

Perfumy Kleopatry

Bacarr Jina



calibre 0.9.43

Perfumy Kleopatry

Jina Bacarr

Harlequin (2009)

Ocena: ★★☆☆☆

Mystery Detective, World War; 1939-1945, General, Romance, Suspense, Erotica, Fiction

Etykiety:

Perfumy

Kleopatry

Cleopatra's Perfume

Przełożyła:

Elżbieta Chlebowska

MIRA

1

Ustronne miejsce nad jeziorem w pobliżu Berlina

29 kwietnia 1941 r.

Blondynki zawsze ściągały na niego kłopoty. Ona mogła sprowadzić na niego śmierć.

Wysoka, z ciałem jak ze snu rzeźbiarza, z dużymi piersiami i uwodzicielskimi ruchami, jakich nie spotkał u żadnej innej kobiety. Szła lekko i zmysłowo, a biodra falowały jak w tańcu.

Postawny esesman z wydatnym nosem trzymał jej ramię w żelaznym uścisku.

- Rozbierz ją! - wrzasnął, popychając blondynkę ku niemu.

- Nie podniosę ręki na kobietę. - Nawet jeśli jest oszustką i kłamczuchą, dokończył w myślach. Przeszedł mu dreszcz po krzyżu, gdy oczy niemieckiego oficera przybrały niepokojący wyraz. Najchętniej rzuciłby się na niego, jednak stał nieruchomo z rękami na biodrach.

- Rozbierz ją! Teraz! - Nazista strzelił z pejcza tak blisko jego głowy, że prąd powietrza połaskotał skórę na karku. Poczuł, jak zalewa go fala gorąca. Przełknął, zakrztusił

się śliną, która miała dziwny posmak. Jednak zachował zimną krew i odwagę. Bez wątpienia wielbiący siłę faszysta lubował się w okrutnych, wyuzdanych aktach, a teraz usiłował

wywołać w nim zazdrość i sprowokować do rywalizacji. Dlaczego? Kto miałby ją wygrać?

- Jeśli nie chcesz posłuchać rozkazu niemieckiego oficera - powiedziała spokojnym, wyważonym głosem - sama ci pokażę, jak się rozbiera kobietę.

Rozpięła ozdobne guziki i otarła rękę, jakby wycierając lepki pot. Wężowym ruchem wyslizgnęła się z niebieskiej jedwabnej sukni, zrzuciła śnieżnobiałe czółenka, zdjęła nylonowe pończochy i podwiązki. Została w cielistej halce. Oddychała nierówno, mrużyła oczy w jaskrawym świetle

słonecznym i czekała na jego reakcję.

- Chcesz, żebym cię przeleciał - stwierdził z niedowierzaniem.

- Tak.

- Więc po co te głupie gierki?

- Jest ciekawiej - odparła z uśmiechem.

- Zwariowałaś.

- Ja? To ty jesteś szalony, jeśli nie skorzystasz z okazji.

- Nie rozumiem. Po tym, co się stało w Kairze...

- To przeszłość - ostrzegła go spojrzeniem, by nie kontynuował tematu, a jednocześnie zwilżyła językiem wargi, co wyglądało jak wyraźna zachęta do pocałunku.

Wyciągnął ręce, by ją przygarnąć do siebie, ale zanim sięgnął talii, puściła się biegiem do jeziora i wspięła na wielki granitowy głaz tuż nad brzegiem wody. Tam jasnowłosa piękność wygięła się niczym syrena podczas słonecznej kąpieli. Piersi zakołysały się, a ona kusicielską pozą obiecywała, że pokaże mu ukryte wejście do jaskini rozkoszy. Odpowiedział

uśmiechem. Prawdziwa nimfa, miękka, mokra i pachnąca morską wodą. Nie miał

wątpliwości, że zanim skończy się ta dziwaczna wyprawa, będzie uprawiał seks z tą kobietą.

Uniosła ręce, jakby chciała sięgnąć nieba i rozpędzić wiszące nad nimi ciężkie chmury wojny. Rzuciła na niego urok i już nie byłby w stanie wycofać się, uciec. W tym zapomnianym przez ludzi zakątku panował niczym niezmacony spokój, jakby bogowie postanowili spełnić kaprys tej najady. Nie na długo.

Na palcu wskazującym nosiła pierścień z wielkim rubinem otoczonym perłami.

Kamień zamigotał, gdy przesuwała dłonią po sobie, jakby już była naga. Koszulka przylegała do ciała jak druga skóra.

- Ostrzegam. - Zsunęła ramiączko z białego jak kość słoniowa ramienia. - W

przeciwieństwie do tego, w co wierzy nasz niemiecki przyjaciel, nigdy nie spotkałam mężczyzny, który by mnie zdołał zaspokoić.

- Już kiedyś mi to powiedziałaś. Wtedy udowodniłem ci, jak bardzo się mylisz. Teraz też to zrobię.

- Obiecujesz?

Drugie ramiączko zsunęło się. Te powolne i dobrze zaplanowane ruchy miały sprawić, by wrząca krew odebrała mu zdolność racjonalnego myślenia. Kusiła go jak odaliska, ścisnęła piersi rękami, podkreślając piękny rowek między nimi. Zabrakło mu słów, ale nie zapomniał, co o niej wie. Była kobietą obdarzoną precyzyjnym, niebezpiecznym umysłem. Używała mężczyzn do zaspokajania własnych żądz.

Gniew pulsował mu w żyłach, jakby płynęła w nich rtęć, na myśl o wyuzdaniu tej kobiety czuł metaliczny posmak w ustach, ale nie odpowiedział, gwizdnął tylko przeciągle.

Uśmiechnęła się. Nie widać było po niej ani odrobiny zażenowania czy speszenia swoją zdrożną zuchwałością.

Posunęła kuszenie o krok dalej.

- Wielu mężczyzn próbowało zaspokoić mój głód, ty też... - Przerwała, wiedząc, że oboje wrócili myślą do tamtej gorącej nocy w zadymionym nocnym klubie. - Żadnemu się nie udało.

- Nie rozumiem. Jaką, do diabła, prowadzisz grę? - Nabrał powietrza i ruszył w jej stronę, ale zanim zdołał ją pochwycić, ześlizgnęła się ze skałki z gracją mitycznej boginki i teraz stała przed nim w całej swej krasie, półnaga, długonoga, ekscytująca.

Odwróciła się plecami.

- Pomożesz? - spytała głosem gorącym jak pustynny wiatr.

Zamek błyskawiczny wzdłuż kręgosłupa zapraszał, by go rozpiąć. Uwodziła go, pewna, że jej się nie oprze. Wróciła obsesyjna myśl o sprowadzeniu tej pięknej kobiety do roli erotycznej niewolnicy, na klęczkach obsługującej swego pana. Pragnienie, które prześladowało go od dwóch lat; od tamtej chwili, gdy ją po raz pierwszy zobaczył w Kairze.

Piękność bez serca; nienawidził jej za to. Udowodniła mu to ponownie, gdy spotkali się w Londynie przed kilkoma tygodniami. Zadrżał, od jeziora powiało chłodem. Przypomniwał

sobie, że nie są sami. Obserwowała ich para niebieskich oczu, lodowatych i głodnych, śledząc każdy intymny gest. Przyczajony drapieznik.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Rozpiął zamek błyskawiczny jednym szybkim ruchem. - I po twojej.

Odwróciła się powoli, poruszając ramionami, jakby tańczyła shimmy. Koszulka zsunęła się z piersi i bioder i opadła na ziemię jak jedwabna kałuża. Blondynka była wysoka, choć w tej chwili stała przed nim na bosaka. Pomyślał, jak dobrze będą wyglądały jej długie nogi, gdy obejmie go nimi w talii. Zrobiła krok w bok i przyjęła pozę modelki. Ręce na biodrach, jedna noga przed drugą, palcem stopy narysowała w powietrzu linię, jakby rzucając mu wyzwanie, by ją przekroczył.

Wstrzymał oddech. Była naga. Piękne, duże piersi, krągłe i jędrne. Duże sutki, brązowe i sterczące. Wąskie biodra. Płaski brzuch. Pochyliła głowę z pozorną wstydlivością.

Przypomniawszy sobie, że często to robiła. Z jej spojrzenia wyczytał, że jest zadowolona z wrażenia, które na nim wywiera. To spojrzenie rozgrzało go do białości, podsycało pożądanie w niepojęty wprost sposób. Dotąd uważał, że żądza jest jak letnia burza, rozplomienia się w jednej chwili i równie łatwo przechodzi.

Tym razem było inaczej. Mężczyzna mógł się zatracić w pożądaniu tej kobiety.

Doskonale wiedziała, jak utrzymać go całymi godzinami w tym stanie. Długie włosy spadające na ramiona połyskliwą falą, uwodzicielskie ruchy pełne lekkości i gracji, jakby była tancerką na scenie. Jedną z tych dziewczyn, które tańczą w świetle reflektorów, przysłonięte tylko wachlarzami z piór. Budzą w mężczyznach najdziksze pragnienia, choć te uwodzicielki są tylko sceniczną iluzją.

Zrobiła parę tanecznych ruchów. Mógłby przysiąc, że jej skóra połyskuje, jakby była pokryta luminescencyjną substancją, jakby zapalił się nad nimi niewidzialny reflektor i oświetlił primabalerinę na scenie.

Będzie ścigał swoją rozkoszną ofiarę cierpliwie i bez pośpiechu. Cóż z tego, że stoją nad jeziorem, a każdy ich gest obserwowany jest przez czujne oko esesmana. Wokół

rozciągają się lasy, nikt niepowołany nie przerwie tej wyrafinowanej gry seksu i kłamstw. Za Republiki Weimarskiej spotykali się tu naturyści, ale to było wcześniej, zanim brunatne koszule i wyznawcy swastyki położyli kres podobnym niewinnym igraszkom.

- Twoja kolej - rozkazała, kładąc mu ręce na ramionach, a rubin błysnął w słońcu.

Niezwykły pierścień znowu przypomniał mu o Kairze i o nieszczęsnym draniu, który go jej ofiarował. Nigdy nie poznał historii z tym związanej. Czy był jedną z jej ofiar, dał się ponieść pożarowi krwi, uległ kusicielce i przegrał? Czy obarczał ją winą za własne niepowodzenie? Czy każdego mężczyznę musiała doprowadzić do upadku?

A może tylko jego?

Spotkali się przypadkowo w hotelu „Adlon” w Berlinie. Kulił się w fotelu w lobby, zastanawiając się, w jaki sposób uniknąć aresztowania, gdy zobaczył ją na szerokich schodach prowadzących do głównego wejścia. Powołał się na dawną znajomość. Udała, że nie widzieli się nigdy w życiu.

- Jestem Amerykanką - stwierdziła. - Pomylił pan osoby.

Nie mogła wiedzieć, że groziło mu zatrzymanie przez gestapo, tortury, najpewniej śmierć. Czyby się tym przejęła? Wątpliwe. Później natknął się na nią w barze, gdzie piła drinki w towarzystwie oficera SS. Zdecydował się podejść do niej jeszcze raz. Przedstawiła go Niemcowi jako amerykańskiego kochanka, którego musi wyekspediować z Berlina przed powrotem szwedzkiego narzeczonego.

- Czemu nie uda się po prostu do amerykańskiej ambasady na Pariser Platz? -

dopytywał esesman.

- Nie może wrócić do Stanów - wyjaśniała, przeżąc się tak, by piersi uwydatniały się lepiej pod obcisłą jedwabną sukienką. - Grozi mu oskarżenie o morderstwo.

Niemiec odwrócił się i zmierzył go wzrokiem z dziwnym, taksującym uśmiechem na wydatnych bezkrwistych ustach. Odniósł wrażenie, że oficer interesuje się bardziej nim niż jego rzekomą kochanką, ale przypisał to własnej paranoi. Liczyło się tylko to, że zdawał się przełknąć wyjaśnienia o powiązaniach Amerykanina z przemysłem ciężkim, tak chętnie inwestującym w Niemczech, stąd ochrona jego dobrego imienia byłaby w gruncie rzeczy działaniem dla dobra Trzeciej Rzeszy. Esesman zasugerował, że jako pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych może użyć swoich wpływów i załatwić wizę w ambasadzie argentyńskiej, jeśli Amerykanka zgodzi się na postawione warunki.

Amerykanka? Przecież była poddaną brytyjską.

Chuck Dawn poznał ją jako angielską arystokratkę, zimną, wyrachowaną istotę, która zmienia kochanków jak rękawiczki. Ona wiedziała o nim niewiele, tylko tyle, że jest amerykańskim lotnikiem i szczerze jej nienawidzi. A zaczęło się tak dobrze. Spotkali się w klubie dla wybranej klienteli, dyskretnie schowanym w jednej z bocznych uliczek Kairu. Nie ukrywała, że pragnie się znaleźć w jego ramionach, natychmiast, jeśli to możliwe, i koniecznie bez odzieży. Sprawy przybrały fatalny obrót, gdy został oskarżony o brutalne morderstwo. Działał w stanie wyższej konieczności, ratując jej życie, ale policja nie dała mu wiary. Teraz, w Berlinie, groziła mu śmierć. To nie był dobry moment, by zajmować się prywatną wendetą. Gestapo deptało mu po piętach i nie powinien odkładać ucieczki na później. A jednak, wbrew zdrowemu rozsądkowi, został. Chciał się o niej czegoś dowiedzieć, a w gruncie rzeczy - choć sam przed sobą wołał się do tego nie przyznawać - chciał pójść z nią do łóżka. Pragnął jej. Znowu.

Zgodził się na jej grę. Wiza wyjazdowa za jedno popołudnie seksu. Znakomity sposób na wymknięcie się z pułapki, i to pod nosem Abwehry, niemieckiego wywiadu. Zanim się obejrzał, był już w drodze do miejsca potajemnych schadzek niemieckich naturystów, usytuowanego nad jednym z jezior w bezpośrednim sąsiedztwie Berlina. Mała plaża z trzech stron osłonięta była lasem, a od strony wody wysoką trzcina. Doprowadziła ich tu piaszczysta droga, w którą zjechali z szosy, tuż za urzędem pocztowym w jednej z anonimowych wiosek, tak podobnych jedna do drugiej. Było ciepło, więc okna samochodu - czarnego mercedesa z tablicami rejestracyjnymi świadczącymi o tym, że wóz jest własnością gestapo - były otwarte, a wiatr bił pasażerów po twarzy. Za przydrożnym straganem z owocami skręcili ponownie, przejechali pod wiaduktem, a potem przez bramę w płocie z drutu kolczastego. Tutaj Niemiec kazał im wyskoczyć z samochodu i z ubrań. Dodał jeszcze, że Chuck ma wyjątkowe szczęście.

- Akurat jestem w nastroju do takich zabaw. Bo inaczej...

Cóż, wiele osób usiłujących wydostać się z Berlina kończyło na gestapo. Nie było to miejsce przyjazne dla takich, którzy mają coś do ukrycia.

Chuck nie poznawał sam siebie. Musiał być szalony, że w ogóle się na to zgodził, a teraz było już za późno, by się wycofać. Przekonanie esesmana, że są kochankami gotowymi zrobić wszystko w zamian za wizę, było brawurowym posunięciem, ale wystawiło na niebezpieczeństwo i ją, i jego.

Instynkt podpowiadał mu, że cała eskapada zamieni się w samobójczą misję, jeśli nie wykonają planu co do joty i będą się opierać przed uprawianiem seksu. Nie spodziewał się po partnerce takiej gotowości do zainicjowania erotycznej sceny, a teraz po prostu musiał podążyć w jej ślady. Inaczej nazista zastrzeli ich oboje.

Chuck potrzebował czegoś więcej niż szczęście, żeby wyjść z tego cało. Tymczasem wpatrywał się jak zaczarowany w swoją partnerkę. W ciepłym popołudniowym słońcu wyglądała jak świetlista zjawą. W rozmowie z niemieckim oficerem deklarowała, że seks jej zobojętniał, ale w rzeczywistości pragnęła go z dziką żądzą i dążyła do niego z obsesyjnym uporem, zupełnie jak mężczyzna.

Nachylił się nad nią, przyciągnięty jej zapachem. Była to intensywna i zupełnie niepowtarzalna woń, od której kręciło mu się w głowie, przemawiająca silnie do jego zmysłów, a pragnienie, aby dać się schwytać w pajęczą sieć erotycznych obietnic, było silniejsze niż głos rozsądku. Jej zapach, korzenny i słodki, wabił go jak syreni śpiew. Czy była takim właśnie mirażem, nieuchwytną zjawą, która zniknie, zanim jego sny i pragnienia urzeczywistnią się w najlepszym na świecie seksie?

W tej kobiecie są dwie sprzeczne istoty: płochliwa, ulotna fatamorgana oraz rozpustna, zmysłowa, nieokiełznana jawnogrzesznica. Jak jej dotrzymać kroku?

Przycisnął twarz do platynowych włosów i głęboko wciągnął rozkoszną woń. Obsypał

delikatnymi pocałunkami kark, nie przestając szeptać lubieżnych słówek, zapowiedzi, co z nią zrobi za chwilę. Tymczasem badał palcami wilgotne wejście, gorące i śliskie. Ta kobieta była jak dojrzały do zerwania owoc. Podniósł rękę, połyskiwała w złocistym słońcu, jej soki były jak najśłodszy miód. Położył palce na jej suchych czerwonych wargach, a potem sam je oblizał, aby oboje mogli skosztować tej esencji.

Już zaraz wtargnie w nią i spełni wszystkie jej najdziksze fantazje, będzie ją ujeżdżał, aż zapłonie, będzie zebrała o więcej i więcej z zagryzionymi wargami, z lśniącym potem pokrywającym skórę. Wreszcie zacznie błagać, by już kończył, a on nie posłucha. Każe jej płacić za wszystko, co mu zrobiła. Serce mu się ścisnęło. Dlaczego właściwie to go niepokoi?

Wyrwała mu bebechy i wywlokła z niego głęboko ukrytą delikatną cząstkę jego męskiej natury, której nigdy nie ujawnił żadnej kobiecie, bo poprzysiągł sobie, że nikomu nie ujawni własnej słabości. Lecz oto ta kobieta zdemaskowała go bez wysiłku. Pokazała mu, kim on jest.

Desperatem.

Jedno jej słowo zmieniło jego życie, wytrąciło go z równowagi i pozbawiło poczucia bezpieczeństwa, choć przecież wcale nie wiedziała, nie mogła wiedzieć, że był gotów wyrzec się swoich pragnień i pójść na wojnę, a nawet umrzeć, gdyby było trzeba. W jakiś niesamowity, niewytłumaczalny sposób rozumiała go, a przecież wcale go nie знаła, nie mogła wiedzieć, że od dzieciństwa cała jego odwaga brała się z ryzykanckiego igrania ze śmiercią, a nie z radości życia. Miał ochotę złapać ją i pieprzyć zawzięcie, aż nie będzie mogła oddychać, a on zyska pewność, że już nigdy żaden mężczyzna nie zawładnie nią w taki sposób.

Jedno słowo, powiedziała tylko jedno słowo, ale strąciła go w środek piekła. Już raz się wydostał. Zrobi to znowu. Teraz nie miał ochoty się nad tym zastanawiać. Patrzył tylko na wielki rubin osadzony między dwoma opalizującymi perłami i myślał, jak bardzo przypomina czerwień kobiecości skrytą między dwoma połyskującymi wilgocią wargami.

Musiała wyczuć jego obleśne myśli, bo bezwstydnie potarła podbrzuszem o jego brzuch. Spodnie nagle wydały mu się za ciasne, a erekcja niemal bolesna. Nie protestował, gdy stanęła na palcach i otarła się o niego biustem. Zdjął marynarkę, potem koszulę. Szło mu to niezdarne. Patrząc na jej piersi, opuścił dwa ostatnie guziki. Zlitowała się nad nim i sama rozpięła mu spodnie.

- Przysługa za przysługę - szepnęła, ściągnęła mu majtki i przesunęła rękami po biodrach. Miał wrażenie, że zaraz eksploduje. Najpierw zdjęła mu spodnie, potem spodenki, a teraz obmacywała go, jakby był rozplodowym bykiem. Czy nie to polecił jej hitlerowiec? Ku jego uciesze mają prowadzić wyuzdane gierki, a gdyby go nie zadowolili, wylądują na przesłuchaniu w siedzibie gestapo.

Schyliła się i rozwiązała mu buty. Podnosząc się, musnęła wargami jego członek, język przylgnął na chwilę do żołądki w wyrafinowanym pocałunku podobnym do liźnięcia płomienia.

Poderwał się do działania. Odrzucił koszulę i krawat. Nie mógł napatrzeć się na to doskonałe kobiece ciało. Nie była młodziutką dziewczyną, z pewnością skończyła trzydzieści lat, ale jej ciało otaczane troską i poddawane wszelkim kosmetycznym zabiegom łączyło urodę z dojrzałością. Z pewnością na dobre jej wyszła przynależność do brytyjskiej arystokracji, choć teraz podawała się za Amerykankę. W odległości kilku metrów od nich oficer SS czekał cierpliwie na swoją kolej.

Chuck nie miał w sobie ani krztyny cierpliwości, nie ze spodniami spuszczoneymi do kolan i piękną kobietą pochyloną u jego stóp.

- Widownia się niecierpliwi. - Wskazał brodą Niemca, który siedział na dużym głazie i od niechcenia uderzał pejczem o granit. Szeroka klatka piersiowa, niemal białe włosy obcięte na wojskową modłę, umięśnione ramiona, silne uda. Funkcjonariusz elitarniej straży przybocznej Hitlera obserwował ich seksualne igraszki z sadystycznymi pomrukami.

Przechadzał się wokół nich w oficerkach, na palcu lewej ręki połyskiwał sygnet z trupią główką, uderzał pejczem o udo, wreszcie powiedział wyraźnie, czego po nich oczekuje. Mają się pieprzyć. Mocno i głośno. On będzie się im przyglądać. Rozpiął kołnierzyk czarnego munduru i świsnął rzemieniem w powietrzu.

Chuck uniósł ją gwałtownie. Wsunęła kolano między jego uda, zarzuciła mu rękę na szyję, stopą przydeptała spodnie.

- Pokażmy mu to, co chce zobaczyć - szepnęła.

- Nie słucham rozkazów kobiet, nawet tak pięknych jak ty. - Sięgnął ręką między jej uda, zwilżył palec i odnalazł pulsujący pączek.

- Twoje męskie ego musi poczekać na dopieszczenie. Mam zadanie do wykonania i nie dbam o to,

czy ci się podobają moje metody.

Jej komenderujący ton w najmniejszym stopniu nie przypominał głosu kobiety na granicy orgazmu. Zadanie? Ta lwica salonowa? Jaką grę prowadziła? Miał na końcu języka ostrą ripostę, ale uznał, że woli się z nią kochać, niż klócić.

- Cieszę się, że tak dobrze się rozumiemy - szepnęła zmysłowym, zdyszonym głosem.

- Nie lubię, kiedy ktoś mną manipuluje. Czemu tak łatwo zrzucasz ciuchy i oddajesz się pierwszemu lepszymu facetowi z twardym kutasem? - Teraz głaskał ją wolniej. - Czy jesteś aż tak spragniona mężczyzny, jakiegokolwiek, który zapali ciemne światło w twoim brzuchu i zmusi do żebrania o mocne rżnięcie? Tak nisko cenisz samą siebie, swoje ciało, swoją duszę?

Nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział.

- Nie twoja sprawa. - Przez moment wydawało mu się, że w jej oczach dostrzega wrażliwość i smutek, jakby ktoś zerwał z bladej twarzy zasłonę iluzji, ale musiało to być złudzenie. - Gdybyś mnie nie rozpoznał, byłabym już w drodze z Niemiec. Teraz nie wiadomo, czy ujdziemy z życiem.

A więc ona także podejrzewała hitlerowca o najgorsze.

- Jeśli mi się nie uda... - zawahała się - ... przeszukaj podróżny kufer w hotelu „Adlon”

i odzyskaj mój pamiętnik ukryty w podwójnym dnie. Dostarcz go do rąk własnych pani Wills w Londynie. - Zdyszonym szeptem podała mu numer pokoju. - Powiedz jej, żeby oddała dziennik pewnemu dżentelmenowi w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, będzie wiedziała, komu, zanim hitlerowcy odkryją cel mojej podróży do Berlina. I koniecznie zabierz z sobą perfumy. Niewykluczone, że będziesz ich potrzebować.

- Perfumy?

- Perfumy Kleopatry. Teraz nie ma czasu na wyjaśnienia.

- W co właściwie jesteś wplątana? Tylko powiedz prawdę... - próbował jeszcze.

- Twój kraj nie przystąpił do wojny z Niemcami, ale ludzie, których nie znasz ani ty, ani ja, są zakładnikami w rękach tego szaleńca, opętanego planem „ostatecznego rozwiązania”. - Gdy uszczypnęła się boleśnie, zorientował się, że chce opóźnić szczytowanie, by przekazać coś ważnego. - Mam szansę udowodnić, że nie żyłam na próżno, że zrobiłam coś dobrego. Nie pytaj już o nic więcej.

- Czego nie chcesz mi powiedzieć? - szepnął, nie przestając drażnić jej łechtaczki.

- Nie przestawaj... - Przymknęła oczy, jej rysy złagodniały, jakby w chwili szczytowania spadła z nich maska twardej, niezależnej kobiety, na moment odsłaniając wrażliwe, subtelne wnętrze, skrywane przed bezdusznym światem.

Jej uroda zaparła mu dech w piersiach.

Po chwili odzyskała samokontrolę i znowu miał przed sobą typową jasnowłosą kusicielkę, pożeraczkę mężczyzn. Zaczęła pieścić swoje piersi, pojękując i zachęcając go, oznajmiając całą sobą: „Zerżnij mnie, teraz, już”.

To nie był scenariusz brukowego romansidła, ale jego życie, i nie zamierzał go stracić.

Wziął ją na ręce i położył na białym piasku. Serce mu waliło, czuł, jak drżała przygnieciona do ziemi jego ciężarem. Palcami odnalazł wilgotne wejście, droczył się z nią, wycofując się, zanim jeszcze zdążył znaleźć się wewnątrz. Czuł, że wyolbrzymiała swoje emocje, odgrywała je na użytek esesmana, a jednocześnie cały czas się kontrolowała. Zmienił pozycję, zsunął się i zaczął ssać mały pączek rozkoszy, skubać go wargami, drażnić koniuszkiem języka.

Przywarł ustami do jej ciała, a kiedy wstrząsnął nią niekontrolowany dreszcz, wiedział, że ma ją w swojej mocy.

Znał dobrze ten wyraz twarzy u kobiet. Widywał go na rumianych buziach wiejskich dziewczyn, które kochały się z nim w stodole na sianie, gdy przemierzał kraj niewielkim dwupłatowcem, albo na zadbanych twarzyczkach dziewcząt z towarzystwa, z ich perfumami, czerwoną szminką i przezroczystymi pończochami. Ona była inna. Należała do brytyjskiej arystokracji, a jednak nie wstydziła się okazywać, jak bardzo pożąda mężczyzn, wszystko jedno, czy będą to ich języki, czy penisy. Była nienasycona, wiecznie głodna pulsowania w brzuchu, które sprawiało, że stawiała się tak rozkosznie wilgotna i gotowa na jego przyjęcie.

Nie czekał dłużej. Rozepchnął szerzej jej uda i wtargnął w głąb, poruszając się z początku wolno, aż zaczęła go ponaglać i domagać się siły i tempa. Wkrótce odnaleźli właściwy rytm, poruszali się jak w tańcu, odpowiadała na każdy jego ruch, nie ustępując mu w niecierpliwej żarliwości. Nie mógł oderwać wzroku od twarzy swej partnerki. Wargi przypominały czerwienią rubin na pierścieniu i tak samo połyskiwały.

Jej źrenice rozszerzały się, gdy wsuwał się głębiej, ciało falowało i zamykało się wokół niego, aż wreszcie osiągnął ten punkt, poza którym nie ma już odwrotu. Im głębiej docierał, tym bardziej się otwierała. Tylko jej oczy pozostały niezbadane i tajemnicze. Zimne zielone oczy, które przyprawiały go o lodowate dreszcze, choć ciało sphywało potem. Oczy jak głębokie jeziora, zazdrośnie kryjące tajemnice duszy. Musi dotrzeć do głębi, musi zobaczyć, co się kryje za kolejną zasłoną, inaczej nie będzie w stanie usatysfakcjonować ani jej, ani siebie.

Przytrzymał ją za biodra, z wysiłkiem miarkując swoją siłę, by nie zostawić na ciele fioletowych śladów. Dobrze wiedział, że osiągnęła już ten poziom szaleństwa, przy którym pozwala się na wszystko, ale nie chciał zatracić się bez reszty. Za taką przyjemność płaci się wysoką cenę.

Kolejne trząśnięcie pejcza zadźwięczało mu w uszach znacznie bliżej. Wyraźnie podniecony esesman stał nad nimi. Czy był już gotów przyłączyć się do zabawy?

Wyślizgnął się jednym zdecydowanym ruchem. Zaprotestowała głośno. Była tak blisko kolejnej fali

rozkoszy, a on odwrócił kierunek przyływu.

- Ty draniu! - wrzasnęła, nie hamując emocji.

Tak, jest draniem i w tym momencie niemal nienawidził samego siebie. Czuł zapach jej soków zmieszany z odurzającym aromatem perfum i aż się trząsał z pragnienia, by znowu zanurkować. Co miały znaczyć te bzdury o perfumach Kleopatry? I ta dziwna prośba o odzyskanie pamiątnika z pokoju hotelowego. Nie umiał jej rozgryźć. Czy była tylko egoistyczną hedonistką, za jaką się podawała? Z wielkim wysiłkiem cofnął się, wiedząc, że nieuchronną rozkosz przemienił w nieuchronny ból, ale nie widział innego sposobu, by przeżyć.

- Co, do diabła, robisz?

- Rozgrzałem cię. Dla niego.

Bezwstydnie rozłożył jej uda, otworzył dolne wargi połyskujące jak wnętrze różowej muszli i zaprezentował esesmanowi, który świśnięciem pejcza co i rusz akcentował swoją obecność.

- To piękna kobieta. Zasluguje na to, żeby ją wyruchał oficer Trzeciej Rzeszy -

powiedział swoją ciężką angielszczyzną. - Gdybym miał ku temu inklinację.

Chuck odwrócił się w jego kierunku, nagle zaniepokojony. Instykt krzyczał, że grozi mu niebezpieczeństwo. Co, do licha, ten szkop insynuował?

- Będzie zaszczycona, jeśli dogodzi członkowi SS - stwierdził, starając się panować nad głosem.

- Wolę patrzeć, jak pan jej dogadza, natomiast ja będę się oddawał całkiem innej rozrywce.

Duża ręka ześlizgnęła się na udo i niedwuznacznie zaczęła je ugniatać. Stali tak blisko, że czuł intensywny zapach tego czystej krwi Aryjczyka, zapach pożądania z domieszką perwersji. Zasady gry zmieniły się i zdecydowanie mu się to nie podobało.

Zapadła martwa cisza. Amerykanin stał jak rażony piorunem. Zaskoczenie, szok, strach? Jeśli strach, to nie o własne życie, lecz życie kobiety. Ostrzegawcze spojrzenia, które posyłała w jego kierunku, świadczyły o tym, że prowadziła jakąś bardziej skomplikowaną grę. O co w tym wszystkim chodzi?

Obejrzał się. Esesman zdążył zrzucić czarny mundur. Miał ochotę unieszkodliwić go kopniakiem w genitalia, ale rzucanie się z gołymi rękami na uzbrojonego przeciwnika nie byłoby mądrym ruchem. Niemiec miał pod pachą kaburę z pistoletem. Walther P-38, świetna broń. Pasowała do ręki jak rękawiczka. Chuck zrozumiał, że nie ma szansy, gdy zobaczył, jak hitlerowiec odbezpieczył pistolet sprawnym ruchem. Muskularne ciało czuć było pożądaniem, pot połyskiwał na tatuażu w postaci dwóch bliźniaczych błyskawic.

Niemiec bez ogródek okazał, czego od niego chce. Teraz paradował zupełnie nagi, tylko w oficerkach i czapce z trupa czaszką, od niechcenia strzelając pejczem.

Chuck starał się opanować przyśpieszony oddech. Schował ręce za plecami, by ukryć, jak bardzo mu się trzęsą. Dotyk mężczyzny wyprowadził go z równowagi. Był rozgrzany seksem, bliski orgazmu i czyjeś ręce na pośladku, czyjekolwiek, mogły go doprowadzić do eksplozji. Żadne inne wyjaśnienie nie miało sensu. Jeśli Niemiec spróbuje jeszcze raz, dostanie w zęby. Słyszał wcześniej plotki o upodobaniu niektórych nazistów do uprawiania seksu z mężczyznami. Wykreślali z niego jakąkolwiek zniewieściałość, woleli brutalne, zaprawione piwem zbliżenia, w których samiec znajdował zupełnie inną dziuplę do wystukania. Sama myśl o tym przyprawiła go o swędzenie całej skóry, jakby pokryła ją ropiejąca wysypka.

- Zabawimy się - powiedział esesman. - Jestem pewien, że się wam spodoba.

- A jeśli nie odpowiada mi ta zabawa? - prowokował go Chuck.

- Na pewno dostosujemy się do pana kapitana - wtrąciła pośpiesznie Angielka. - Będę się pieprzyła z wami jednocześnie.

- Nie - szczechnął hitlerowiec. - Wydupczę was oboje.

Chwycił za pośladek Chucka, a ten z całej siły wbił palce z jego rękę. Miał wrażenie, że robi w niej dziury.

- Przysięgam, że jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz...

- Będiesz ją posuwał, mein Herr, a ja, jak mawiają Amerykanie, zabezpieczę tyły - stwierdził rehotliwie.

- A jeśli odmówię?

- Nie będzie wizy wyjazdowej. - Przejechał ręką po wewnętrznej stronie uda Chucka i trzasnął go z całej siły pejczem, gdy usiłował wyrwać mu z kabury pistolet.

Chuck stęknął i wciągnął powietrze, żeby nie wrzasnąć z bólu.

- Proszę nas zabrać z powrotem do Berlina. Ta gra zaszła za daleko - wydusił.

- Zabiorę was prosto do siedziby gestapo, żebyście wytłumaczyli powody pobytu w Berlinie - warknął nazista i wbił mu lufę pistoletu pod żebra.

- Nie zamierzam się z niczego tłumaczyć. Ameryka nie prowadzi wojny z Niemcami.

- Zapomniał pan o umowie? - Jej ton był chłodny i oficjalny, gdzieś przepadła cała kokieteria. Spojrzała na Chucka wymownie, dając mu do zrozumienia, że bierze na siebie tę rozmowę. Przestała odgrywać erotyczną fantazję, świadoma, że esesman nie jest nią zainteresowany.

- Za późno, Fraülein. - Skierował pistolet w jej stronę.

Chuck bezsilnie zacisnął pięści. Musiał pohamować chęć rzucenia się na Niemca, bo inaczej kobieta mogła stać się przypadkowym celem dla śmiercionośnych kul.

- Nie! - krzyknęła, a gwałtowny ruch ręki wywołał rozbłysk światła odbitego od wielkiego pierścienia, co na sekundę oślepiło hitlerowca.

Chuck błyskawicznie nabrał garść piachu i czekał na dalszy rozwój wypadków.

- Szkoda zniszczyć tak doskonałe ciało - powiedział chłodno esesman. - Nienaganne proporcje, przyznaję, ale dla dobra Rzeszy...

- Uciekaj! - krzyknął Chuck i cisnął piaskiem w twarz Niemca, który gwałtownie odchylił głowę, aż spadła z niej czapka.

Chuck pokonał dzielącą ich odległość w dwóch krokach, depcząc po esesmańskich insygniach, i z całej siły kopnął esesmana w podbrzusze. Pistolet wypalił, a kula trafiła w ziemię, podnosząc fontannę piasku.

Nie czekała. Widział, jak pędziła w stronę jeziora, a platynowe włosy lśniły w słońcu niczym morska piana. Zakręciła się w miejscu i już stała na wielkim głazie, ramiona złożyła na piersi, pierścień połyskiwał na palcu. Patrzyła na Chucka, jakby błagając, żeby nie zapomniał. Kolejny wystrzał. Tym razem nazista był szybszy. Zanim Chuck zdążył

zareagować, kobieta krzyknęła i skoczyła do jeziora. Wszystko działo się w ciągu sekund, a jemu się wydało, że czas stanął w miejscu.

Czy druga kula utkwiała w celu?

Nie miał czasu sprawdzać. Niemiec rzucił się na niego, zwinny jak jaszczurka. Tarzali się po ziemi, wymierzając sobie ciosy i wyslizgując z obezwładniających chwytów. Usiłował

sobie przypomnieć techniki walki, których uczył się w czasie licznych wypadów do Hongkongu, aż w końcu udało mu się wytrącić Niemcowi broń z ręki. Musiał uderzać szybko i celnie, bo przeciwnik był silniejszy. Wymierzył prawy sierpowy prosto w podbródek, ale esesman zaskoczył go unikiem i trafił prosto w żołądek. Odskakowali od siebie, a potem znów zamieniali się w kłęb mięśni jak gryzące się psy. Niemiec odzyskał na moment broń, jednak Chuck znów wytrącił mu ją kopniakiem, potem oberwał piaskiem w oczy i przez chwilę walczył na oślep, aż jego ręce trafiły w tchawicę i ścisnęły ją z miażdżącą siłą. Hitlerowiec szamotał się rozpaczliwie, aż wreszcie znieruchomiał.

Dopiero wtedy Chuck przysiadł na piętach, z trudem łapiąc oddech. Nazista wyglądał

jak diabeł wyrzeźbiony w kamieniu: upiornie wytrzeszczone oczy, kosmyk jasnych włosów przylepiony do czoła, wykrzywione w demonicznym grymasie usta. Był martwy.

Chuck otarł pot z czoła. Dopiero teraz spojrzał na powierzchnię jeziora. Pusta i martwa.

Co się z nią stało? Przeszył go lęk. Zanurkował w głąb krystalicznie czystej wody, przerażony

odkryciem, które czekało na niego na dnie.

Po godzinie - a może po dwóch? - trup leżał zakopany w mule na dnie jeziora, obciążony dwoma dużymi kamieniami przywiązanymi do kostek. Chuck nurkował, aż pękały mu płuca. Ani śladu Angielki. Nie było krwi ani ciała. Nic. Przeszukał całą okolicę, ale wyglądało to tak, jakby zanurkowała i rozplynęła się w wodzie. A może naprawdę była syreną i wróciła do morza?

Boże, chyba traci rozum. Nic nie ma sensu. Blondynka. Esesman. W co się wpakował?

Spisek nazistów, mający na celu dostać go w swoje łapy? Wykluczone. Nikomu nie przysłoby do głowy, że zestrzelony przez obronę przeciwlotniczą pilot będzie szukał

schronienia w hotelu „Adlon” w Berlinie. Był amerykańskim lotnikiem, ale wstąpił do RAFu. Kilka dni wcześniej jego samolot roztrzaskał się w czasie nocnego nalotu na Berlin. Udało im się wyskoczyć ze spadochronami, reszta załogi trafiła do niewoli. Przemykał się nocami, jedząc odpadki ze śmietników. Lotniczą kurtkę zakopał w lesie, ukradł cywilne ciuchy, które jakaś Hausfrau wywiesiła na sznurku w ogrodzie.

Otarł wodę z oczu. To wszystko nie miało sensu. Trzeba stąd zwiewać i jakoś przedostać się do swoich. Zapomnieć o jej pamiętniku. Dlaczego miałby ryzykować życie, by spełnić fanaberię pustogłowej blondynki?

Przebrał się w mundur esesmański - porzuci go, gdy już nie będzie mu potrzebny - i wskoczył za kierownicę mercedesa. W samochodzie unosił się jeszcze aromat jej perfum. Co się z nią stało? W Kairze była znana jako lady Eve Marlowe. Jej uroda go uwiodła, a wspomnienia prześladowały przez wszystkie te miesiące. Teraz nie mógł przestać myśleć o jej śmierci. Przecież tu była, drżała z podniecenia w jego ramionach, kusiła go uśmiechem.

A teraz nie zostało po niej nic. Tylko ulotny zapach perfum.

Niech ją diabli.

Pięć minut później zawrócił i skierował się do Berlina. Nie obawiał się szaleńczej drogi do Francji, gdzie miał nadzieję znaleźć kontakt z ruchem oporu. Lubił igrać z niebezpieczeństwem. Wychodził cało z większych oparów. Wcale nie był pewien, czy lady Marlowe trzymała w hotelowym pokoju gotówkę, która może mu ułatwić ucieczkę.

Przeszukał jej torebkę i odzież przed wyrzuceniem ich za krzaki. Niczego nie znalazł. Nie miał odwagi przyznać się do własnych motywów. Ta piękna kobieta prosiła o pomoc, chciała nadać swemu życiu jakiś sens, coś poza dekadencją i seksem, który, jak wszystko na to wskazywało, był jej celem w Kairze. Cokolwiek ich tam połączyło, skończyło się tu i teraz, a on nie mógł już niczego zmienić. Mógł tylko spełnić ostatnią wolę lady Marlowe. Był jej to winien. Dręczyło go poczucie, że umarła przez niego.

Po godzinie zaparkował parę przecznic od hotelu i po krótkim marszu wkroczył do środka, salutując i mamrocząc „Heil Hitler!” do każdego, kto go pozdrawiał po drodze. Bez słowa ominął recepcjonistę

za kontuarem i wpatzonego w niego z uwielbieniem gońca hotelowego. Na piętrze wpadł na pokojówkę zmieniającą pościel. Samymi gestami i srogimi pomrukami skłonił ją, by go wpuściła do apartamentu zajmowanego przez lady Marlowe. Kto by się ośmielił odmówić oficerowi SS? Znał tylko kilka słów po niemiecku, ale poradził

sobie. Cel osiągnięty.

Na środku pokoju stał kufer podróżny. Miał z metr długości i sześćdziesiąt centymetrów wysokości, w podstawie kółeczka do przesuwania. Drewniana konstrukcja wzmocniona była miedzianymi nitami i obita skórą. Obmacał palcami szczeliny i spojenia.

Rozległ się dzwonek telefonu.

Chuck nie odbierał.

Telefon zadzwonił kilka razy, a on czekał bez ruchu. Nie miał odwagi podnieść słuchawki ani nawet poruszyć się, jakby irytujący dźwięk przerzucił pomost między nim a nieznaną osobą po drugiej stronie. Wreszcie zapadła cisza, która niemal dzwoniła w uszach.

Zamknął drzwi. Ktokolwiek to był, może teraz być w drodze na górę.

Na co czeka? Gapieniem się na kufer nie przywróci utraconego życia. Szarpnął

miedziany rygiel, ale zamek nie ustąpił. Był zamknięty na klucz.

A klucza nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

To mu nie przeszkodzi. Nabrał doświadczenia, gdy otwierał wytrychem zamkniętą na cztery spusty szafkę, w której ojciec trzymał broń. Wraz z młodszym bratem ćwiczyli się w strzelaniu do puszek pod jego nieobecność. Przeszukał toaletkę i szybko znalazł to, co było mu potrzebne: pilniczek do paznokci i szpilkę do kapelusza. Gmeranie w zamku wymagało cierpliwości i precyzji, ale w końcu usłyszał upragnione kliknięcie. Kufer był otwarty. Pod sukienkami, jedwabnymi pończochami i bielizną znalazł niewielkie pudełko na biżuterię, owinięte w czarny aksamit. Odłożył je na bok. Pilniczkiem podważał dno kufra, aż puściło.

Wyjął ze środka zeszyt oprawiony w czerwony jedwab. Kolor rozkwitłej róży. Gdy otworzył

pamiętnik, pomiędzy kart buchnął unikalny, czarowny aromat.

Jej zapach.

Pismo krągłe i kobiece, pośpiesznie kreślone literki. Bezwstydne wyznania, zmysłowe, lubieżne opisy.

Zafascynowany, cofnął się do pierwszej strony. Znalazł tam wszystko, zapisane jej ręką. Samotność, przyjemność, pragnienie uległości, ujawnione sekrety. Wyznania kobiety opętanej tajemnicą perfum Kleopatry, jak to sama nazwała. Nic dziwnego, że jej dotyk i zapach wzięły go w niewolę. Już nie

była uwodzicielką osłoniętą tylko piórami i klejnotami, obiektem pożądania mężczyzny szukającego chwilowego zapomnienia. Teraz myślał o sobie i o niej jak o dwojgu ludziach schwytych w pułapkę niebezpiecznej gry intryg i obsesji. Krok po kroku odsłaniała przed nim sekrety z przeszłości, a tajemniczy zapach emanujący z kartek pamiętnika przemawiał do wszystkich zmysłów z intymną i odurzającą intensywnością.

I tak wkroczył do jej świata.

2

Ten pamiętnik jest własnością lady Eve Marlowe

Londyn, Mayfair

31 marca 1941 r.

Moje życie jest w niebezpieczeństwie, ale to mnie nie powstrzyma. Muszę jechać do Berlina. Wiem, jak wiele mi tam zagraża. Ten kraj jest we władzy potwora, który wydał

wojnę całemu światu i pochłania Bogu ducha winne ofiary niczym nienasycony antyczny bożek Moloch. Nienawiść i chora ideologia niszczą wszystko po drodze jak pożoga. Może nie wyjdę z tego cało, ale nie mam wyboru. Wykonam swoje zadanie lub zginę, tak jak inni, jednak na wszelki wypadek przygotowałam drogę ucieczki, jeśli śmierć zajrzy mi w oczy. Jest tak nieprawdopodobna, że muszę o niej napisać, inaczej nikt nie będzie wiedział, co się ze mną stało i jaką niezwykłą drogę wybrałam. Nikt poza tobą, drogi czytelniku.

Wszystko zaczęło się w 1939 roku, gdy wbrew panującym w moim świecie obyczajom, z całą determinacją i buntowniczością młodej natury odrzuciłam ponurą elegancję wdowich szat. Niepogodzona z losem i pustym małżeńskim łóżem postanowiłam, że ten stan rzeczy wkrótce się zmieni, i udałam się na poszukiwanie przygód. Byłam samotna, choć mając dwadzieścia dziewięć lat, zdążyłam zwiedzić cały świat i dobrze poznałam nie tylko jego cuda, ale i ciemne strony. Mojego zmarłego męża, który był o trzydzieści lat starszy ode mnie, poznałam w Kairze. Utknęłam tam po awanturze, którą kronika towarzyska londyńskiego „Timesa” określiła jako „niefortunny incydent, który miał miejsce podczas ekspedycji badawczej sławnego archeologa lorda Wordleya w Dolinie Królów”. Gazeta insynuowała, że uczestniczyłam w wykopaliskach prowadzonych przez słynnego odkrywcę i należałam do jego orszaku poszukiwaczy mocnych wrażeń. Było to tak dalekie od prawdy, jak to tylko możliwe, ale całą historię opowiem innym razem. Wystarczy, że będziesz wiedział, iż moja przygoda z Egiptem zaczęła się znacznie wcześniej niż późniejsze podróże, które odbywałam już jako lady Marlowe.

Przyjechałam na Bliski Wschód jako dwudziestolatka, w czasach, gdy młode Europejki, zbuntowane przeciw społeczeństwu i własnej rodzinie, przesiadywały w obskurnych kafejkach ubrane w czerwone atlasowe spodnie i wydekoltowane koszulki, popijając koktajle z wysokich szklanek, otoczone wianuszkami mężczyzn. Ośmielone alkoholem uśmiechały się wyzywająco, gdy w głębi knajpy ktoś wygrywał na rozstrojonym pianinie w kółko tę samą melodię. Nie wstydzę się szalonych dni swojej młodości, ale nie mam ochoty ich tutaj przywoływać. Tak więc, drogi czytelniku, kimkolwiek jesteś,

bądź spokojny - dobrze wiedziałam, co robię, gdy opuściłam pokład liniowca w Port Saidzie. Miasto to znane jest jako stolica grzechu, a kobiety są takim samym towarem jak ryż. W ukrytych miejscach, domach i barach, kwitnie prostytutka i handel niewolnicami, a młode dziewczyny marnieją i umierają, zdane na łaskę i niełaskę swych panów.

W tym mieście, strzegącym wejścia do Kanału Sueskiego, odkryłam jeszcze inny sekret. Dowiedziałam się mianowicie, że kobieta może zapomnieć o samotności i rzucić się w wir fantastycznych seksualnych eksploracji, tak dekadencjonalnych, że na samo wspomnienie bliska jestem orgazmu. Ręka trzymająca pióro drży tak bardzo, że odkładam je, rozpinam spodnie z białego jedwabiu, wsuwam palce i zaczynam się pieścić. Oddycham coraz szybciej w niecierpliwym oczekiwaniu na spełnienie, które nadejdzie, jeśli nie przestanę pocierać tego szczególnego miejsca, w którym drzemie rozkosz. Moje ciało zaczyna wibrować, wtórując rytmicznym ruchom palców. Rozkładałam nogi szerzej, by ułatwić sobie dostęp...

Wybacz tę gwałtowną przerwę, drogi czytelniku, ale rozum ustąpił w obliczu tak desperackiego pragnienia. Wkrótce wyruszę w podróż do Berlina, ale tymczasem muszę kontynuować historię sprzed lat i wyjaśnić, czemu po śmierci męża wróciłam na Bliski Wschód.

Spędziłam tu wiele przyjemnych chwil z lordem Marlowe'em. Uczestniczyliśmy w meczach polo w klubie sportowym Gezira w Kairze, robiliśmy wycieczki, by zobaczyć sfinksa i piramidy, podróżowaliśmy w górę Nilu do Luksoru i Asuanu. Tu uciekałam od zatęchłej atmosfery londyńskich wyższych sfer. Nie znosiłam tego świata prawdziwych pereł

i nienaganej wymowy, w którym pozycja społeczna jednostki była przesądzona w chwili narodzin, jakby zapisana w genach, chociaż - jak sama mogłam stwierdzić w bawialniach różnych domostw w dzielnicy Mayfair - brak świeżej krwi prowadzi do degeneracji rasy.

Spakowałam kufry i opuściłam Londyn.

Znałam drogę morską, gdyż wielokrotnie ją przemierzyłam z moim świętej pamięci mężem. Pociągiem udałam się do Genui, tu zamierzałam wsiąść na luksusowy parowiec płynący do Port Saidu, a następnie, po przebyciu Kanału Sueskiego, do Bombaju, Hongkongu i Szanghaju. Podróż, która miała odbywać się pod znakiem spokojnych medytacji, zamieniła się w pasmo neurotycznych doświadczeń. Plotkarska atmosfera na statku była jeszcze trudniejsza do zniesienia niż duchota i sztywność londyńskich salonów. Czułam, że moja niezależność jest kwestionowana i osądzana. Nie miałam się gdzie ukryć przed rodakami, z których wielu wiedziało o moim świeżym wdowieństwie. Szeptali za moimi plecami o skandalu, który niewątpliwie wybuchnie, gdy londyńskie towarzystwo dowie się, że podróżuję sama. A co gorsza, ubieram się w przewiewne białe spodnie i głęboko wydekoltowaną białą bluzkę odsłaniającą ponętny biust.

Zza ciemnych okularów obserwowałam mężczyzn łakomie spoglądających na moje sterczące piersi i kobiety, które czujnie przyglądały się panom. Osłaniałam przed nimi oczy, ale poza ich wyrazem nie miałam niczego do ukrycia. Biel oznaczała czystość serca. Miałam do niej prawo. Żyłam cnotliwie podczas mego związku z lordem Marlowe'em i poza mężem nie wzięłam do łóżka żadnego mężczyzny, ale teraz byłam wolna. Męskie towarzystwo nie było dla mnie tylko spełnieniem zachcianki, po prostu domagało się tego moje ciało, i to natychmiast.

W Port Saidzie zeszedłam z pokładu, by samotnie buszować po sklepikach w poszukiwaniu spodni i sukienek odpowiednich w tropikach, aparatu fotograficznego, taniej biżuterii i francuskich perfum. Miałam szczęście. Sklepy otwarte były przez całą noc, oczywiście dla wygody turystów, którzy następnego dnia rano wyruszali w dalszy rejs. Jednak zakupy znudziły mnie, miałam dosyć upału, wszechobecnych much i równie dokuczliwych spojrzeń i szeptów współpasażerów. Postanowiłam samotnie wybrać się do miasta.

Byłam przekonana, że żadna ze wścibskich dam, tak ciekawych moich poczynań, nie będzie miała odwagi towarzyszyć mi do podejrzenia wyglądającej speluny, w której cuchnęło męskim potem i alkoholem, a dym papierosowy był tak gęsty, że spowijał wszystko nieprzejrzystym woalem, jak tiul przesłania twarz tancerki w tańcu siedmiu zasłon. Usiadłam przy małym stoliku i zamówiłam egipskie piwo, które lord Marlowe nazywał cebulowym ze względu na intensywny smak.

Uniosłam szklankę w toastie do samej siebie, zadowolona z pozbycia się towarzystwa plotkarek, gdy pojawił się przede mną szczupły Egipcjanin w czerwonym fezie z wielkim chwostem zasłaniającym pół twarzy, skłonił się i poprosił, bym mu pozwoliła przepowiedzieć sobie przyszłość. Usiłowałam go odpędzić, spodziewając się, że naciągacz sprzeda mi litanię dobrych rad, które lokalni Brytyjczycy nazywali „pukka gen”, czyli poradami dla złamanych serc, identycznymi dla każdej samotnej kobiety skłonnej wysłuchać wróżbity i coś za to zapłacić.

Nie dał za wygraną. Uparł się, że ma specjalną zniżkę dla damy o włosach koloru księżycowego światła. Odstawiłam piwo i uśmiechnęłam się. Po takim komplementcie nie mogłam odmówić.

Zaprosiłam, by usiadł, a on od razu wyjął zza pazuchy pudełko po biszkoptach, napełnił je czystym piaskiem i polecił, żebym narysowała na powierzchni linie. Wykonałam polecenie. Piasek łaskotał mnie w opuszki palców, ale kierowała mną ciekawość, a nie magia.

Kiedy otrzepałam dłoń, przyjrzał się uważnie narysowanym przeze mnie esom-floresom.

Chwilę myślał, a potem zaczął recytować powoli, jakby odmawiał dobrze wyuczoną modlitwę:

- Pani serce od śmierci męża cierpi z samotności. - Tu westchnął dla większego efektu.

- Rozpaczliwie pragnie pani dotyku mężczyzny, który by złagodził ból.

Skąd wiedział, że jestem wdową? Czy jakimś cudem wyczytał w moich oczach, że pragnę, by męski pot mieszał się z moim, a twarde mięśnie przyciskały się do miękkich piersi?

Spojrzał na mnie, ale opuściłam wzrok. Niezrażony moim milczeniem, kontynuował:

- Jest pani wrażliwa jak kwiat na pustyni, który obraca się ku słońcu i kapie w jego promieniach, ale usycha bez słodkiego deszczu, który ugasi pragnienie.

Bez wątpienia ten opis pasował do niejednej samotnie podróżującej kobiety.

Powiedziałam mu to. Pokręcił głową, upierając się, że to nie wszystko. Chwycił mnie za rękę i zachęcił do ponownego nakreślenia linii na piasku. Zadrzał i skrzywił się w mimowolnym grymasie.

- Przed upływem dwóch tygodni spotka pani mężczyznę. Jego ogień strawi pani ciało aż do kości i straci pani kontrolę nad własnym życiem.

Wyrwałam dłoń.

- Nieprzyjemna perspektywa. - Próbowałam panować nad głosem, aby wróżbita się nie domyślił, jak bardzo wstrząsnęła mną ta przepowiednia, jak podsyciła moje najskrytsze pragnienia, ale mimo tych obojętnych słów poczułam, że moje ciało oblewa żar, a łechtaczka pulsuje z tęsknoty za nieznanym mężczyzną.

- U jego boku czeka panią nieśmiertelność - kontynuował wróżbita.

To mnie zastanowiło, choć nie na długo. Nieśmiertelność? Co za nonsens. Mogłam się tylko domyślać, jakie arabskie baśnie rodem z tysiąca i jednej nocy rozpowszechnia ten człowiek. Nie wierzyłam w to, że uda mi się znaleźć mężczyznę, który wypełni pustkę prześladowającą mnie po śmierci męża i zaspokoi głód tak długo wzbronionych rozkoszy. A mimo to...

- Gdzie go spotkam? - Musiałam o to spytać, bo chciałam wierzyć, że to nieuchronne spotkanie pozwoli mi na ucieczkę przed samotnością i poczuciem niekompletności.

Trzymałam ręce na kolanach, by ukryć ich drżenie. Gdybym znalazła w Port Saidzie takiego mężczyznę i weszła z nim w świat seksualnych rozkoszy, przekroczyłabym granicę do innego świata i nie byłoby już powrotu. Wiedziałam, że znalazłam się w niebezpiecznym impasie.

Wzgardziwszy światem brytyjskiej arystokracji, stanęłam znowu w obliczu czegoś, co uznałam za zamknięty rozdział mojego życia: upodobania do erotycznych tortur. Nie uraczę cię teraz, drogi czytelniku, szczegółami - przyjdzie jeszcze na to stosowna pora.

- Znajdzie go pani w ramionach innej kobiety i odbierze jej - powiedział Egipcjanin.

Dramatycznie zamachałam rękami.

- Nie wierzę w twoje głupie wróżby.

- Proszę uwierzyć, tak właśnie będzie. - Zerwał się z miejsca i wyciągnął rękę. - Pięć piastrow. - Była to równowartość jednego szylinga.

Zapłaciłam, choć byłam mokra od potu i wargi mi drżały, a dym zdawał się oblepiać mnie szarym woalem. Nie mogłam okłamywać samej siebie: jego słowa poruszyły mnie do głębi. Nieważne, jakimi posłużę się wykrętami, i tak nie ukryję prawdy, że byłam rozpaczliwie samotna, erotycznie niezaspokojona i gotowa do skorzystania ze wszystkich wyuzdanych uciech, które oferowało to miasto grzechu, bylebym tylko mogła nasycić wewnętrzny głód bez poczucia winy.

Odwróciłam się, by zamówić drugie piwo, a kiedy wróciłam wzrokiem, wróżbita już nie było.

Ręce wciąż mi dygotały.

Przepowiednia uwolniła mego ducha. Byłam jak ptak wypuszczony z klatki, nieświadomy tego, że czyha na niego drapieżnik. Zbuntowałam się, zerwałam więzy z przeszłością i wyzwoliłam się z lęków. Zaczęłam się rozglądać. Poszukiwać. Wyobrażać sobie, co się może wydarzyć. Moja zmysłowa natura zderzyła się z racjonalną częścią duszy i wygrała.

Postanowiłam przerwać podróż i pozostać w Port Saidzie.

Wróciłam na statek i zadysponowałam, aby mój bagaż dostarczono do hotelu.

Wysłałam na londyński adres telegram do mojej sekretarki i damy do towarzystwa, pani Wills, z informacją, że zatrzymam się w Port Saidzie. Ta kobieta, której sztywne gorsety znakomicie uzupełniały pancerz nienagannych manier, odpowiedziała natychmiast, wyrażając zaniepokojenie o moje samopoczucie i zaciekawienie powodami zmiany planów. Miała wygląd i maniery bibliotekarki, ciemne włosy przetykane siwizną, nosiła nienagannie skrojone ciemne kostiumy i sznurowane półbuty na niskim obcasie. Była całkowicie asekualną istotą, która nie rozumiała i nie aprobowała moich erotycznych eskapad, mimo to wysoko ceniłam jej przyjaźń i rady. Niezwykle rzadko, jeśli w ogóle, wyrażała swoje opinie, uważając, że byłoby to niestosowne, ale bez niej nie byłabym w stanie tak dobrze funkcjonować w brytyjskich wyższych sferach jako lady Marlowe.

Nie chciałam się przyznać sama przed sobą, że słowa ulicznego profety poruszyły mnie tak głęboko, a jego zapowiedzi w niewytłumaczony sposób poruszyły ukryte struny mojej duszy. Przez kolejne dwa dni unikałam towarzystwa mężczyzn, ukrywając się za tarczą okularów przeciwsłonecznych, gdy którykolwiek z nich usiłował nawiązać ze mną kontakt wzrokowy. Zupełnie jakbym chciała sprowokować los, walcząc z czymś, co było już przesądzone. Jednak mój opór był ulotny niczym sen i rozwiął się na widok mężczyzny, którego miałam poznać jako Ramziego.

Jak sobie później wmówiłam, nic by się nie wydarzyło, gdybym nie wpadła w hotelowym lobby na lady Palmer, która nerwowo krążyła w poszukiwaniu córki. Młoda panna zniknęła z popołudniowej herbatki tańczącej, jak nazywano uciążliwy zwyczaj, który rozpowszechnił się w eleganckim świecie od Bombaju po Manilę i Hongkong, a który polegał

na połączeniu dancingu z rytuałem popijania słabej herbaty. Lady Palmer była wieloletnią przyjaciółką rodziny lorda Marlowe'a, a po śmierci jego pierwszej żony często towarzyszyła mu w trakcie rautów i publicznych zgromadzeń. Gdy zostałam jego żoną, wzięła mnie pod swoje skrzydła, choć jak sądzę bardziej z powodu lojalności względem mego męża niż gwałtownej sympatii wobec mojej osoby. Sama lady Palmer była bardzo miłą i przyjemną w obcowaniu osobą, za to jej córka Flavia przejawiała wszystkie cechy awanturniczych młodych kobiet z dobrego towarzystwa, gotowych na każdy rodzaj wyuzdanych rozrywek, oczywiście pod warunkiem, że toczą się według narzuconych przez nie reguł. Nic dziwnego, że lady Palmer wielokrotnie zwracała się do mego męża z prośbą o dyskretne interwencje, zanim wybuchnie skandal, którego niesławną bohaterką zostanie jej córka. Zawsze śpieszył

jej z pomocą z tą samą elegancją i taktem, które tak w nim kochałam. Czulałam tę samą potrzebę, by jej pomóc, gdy wyznała mi teraz, w Port Saidzie, że Flavia gdzieś przepadła.

Jak mi wyjaśniła, poczyniła wcześniej pewne przygotowania, by zabrać córkę na malowniczą

wycieczkę po mieście, a lokalnego kolorytu miał nadać tej wyprawie środek lokomocji, a mianowicie wózek ciągnięty przez muły. Zamierzała pojechać uliczkami ocienionymi przez przydrożne drzewa aż do latarni morskiej, a potem do dzielnicy wiktoriańskich willi z tarasami zarośniętymi bugenwillą pokrytą bujnymi fioletowymi kwiatami. Flavia stanowczo odmówiła matce. Zapewniła ją, że przyjemniej spędzi czas na popołudniowej potańcówce, gdzie będzie miała okazję spotkać zaprzyjaźnione Brytyjki, uczennice angielskiej pensji pod wezwaniem św. Klary. Od tego momentu lady Palmer nie widziała córki. Kiedy wróciła z przejażdżki, nowe przyjaciółki Flavii poinformowały ją, że panna Palmer opuściła hotel i udała się w nieznanym kierunku.

Towarzyszył jej mężczyzna. Jak powiedziały, był to wysoki Egipcjanin mówiący z czarującym francuskim akcentem. Zagarnął ją w swoje ramiona, jakby jego galabija, ciemnoniebieska szata, była zaczarowanym latającym dywanem. Intensywnie pomarańczowa imma, ciasno owinięty turban, kontrastowała z czarnymi włosami i nadawała mu arystokratycznego wyglądu. Kiedy uniósł rękę, by królewskim gestem przesłać znak pożegnania młodemu Angielkom, ich uwagę przykuł pierścień z ogromnym rubinem otoczonym perłami. Na samo wspomnienie dziewczęta wzdychały i snuły przypuszczenia, że musi to być człowiek bardzo bogaty i wpływowy.

Powiedziały, że ma na imię Ramzi.

Zaczęłam rozpytywać w kręgu swoich znajomych, czy wiedzą coś o tajemniczym Egipcjaninie, ale nikt nie potrafił udzielić mi informacji, choć dostrzegłam, że niejedna młoda panna w rozsądnych sportowych pantoflach wzdychała na jego wspomnienie, jakby na jeden jego znak była gotowa zrzucić majtki wraz z rozsądkiem. Wiedziałam, że muszę go odnaleźć.

Czy to on był sutenerem, przed którym ostrzegał mnie wróżbita? Czy w jego rękach spoczywał klucz do zakazanych rozkoszy, których tak desperacko poszukiwałam? Przeszedł

mnie dreszcz, ale był to raczej dreszcz przyjemnego oczekiwania. Miałam zamiar przekonać się na własne oczy.

Owinięta czarną opończę maskującą kształty, z twarzą ukrytą za zasłoną przytrzymaną u nasady nosa ozdobną zapinką z miedzi i złota, w towarzystwie wynajętego przewodnika ruszyłam na eksplorację takich zakątków tego portowego miasta, gdzie mężczyźni w przewiewnych ciemnych szatach przesiadywali w cieniu płóciennych markiz w białoniebieskie pasy, grając w gry planszowe i paląc nargile. Trzymałam się od nich z daleka, ciężki czador sięgał aż do samej ziemi, zamiatałam jego skrajem brudne podłogi, strasząc pełzające po nich robactwo, aż wreszcie...

- Asim zna człowieka, którego pani szuka - oznajmił mój przewodnik.

- Który to Asim? - spytałam zza kwefu, starając się odgadnąć wyraz twarzy obecnych tu mężczyzn.

- To ten ze sztyletem przymocowanym skórzaną opaską do lewego przedramienia.

Mówi, że Ramzi wziął dziewczynę do swojego nocnego klubu.

- Jest tego pewien?

- Tak. Bar „Supplice”.

- Dlaczego ją tam zabrał? - Znałam odpowiedź przed zadaniem pytania. Francuskie słowo „Supplice” oznacza tortury.

Uśmiechnął się paskudnie.

- W Port Saidzie o takie rzeczy się nie pyta. To się wie.

- Zaprowadź mnie tam. Dobrze zapłacę. - Wiedziałam, że stoję okrakiem między dwoma światami, europejską cywilizacją i tutejszą kulturą, w której jako kobieta byłam istotą gorszej kategorii, ale czy nie pokonałam podobnej przeszkody, gdy jako młoda dziewczyna z pospólstwa wyszłam za lorda Marlowe'a? I teraz się nie cofnę.

- Mogę mieć kłopoty, jeśli Mahmud zobaczy, że panią tam przyprowadziłem.

- Mahmud?

- Sługa i ochroniarz Ramziego. Potrafi skrócić człowiekowi kark gołymi rękami. -

Zrobił jednoznaczny gest, upewniając mnie, że widział Mahmuda wymierzającego tę karę jakiemuś nieszczęśnikowi.

Odłoniłam twarz, aby mu uświadomić, że nie ma do czynienia z kobietą ze swego świata, kryjącą pod woalem pokorę i strach przed mężczyzną, swym panem i władcą.

Spokojnym głosem złożyłam mu kolejną, znacznie wyższą ofertę. Uparcie kręcił głową, a ja cierpliwie podbijałam stawkę. Pieniądze nie miały dla mnie znaczenia. Po śmierci lorda Marlowe'a w wypadku samochodowym odziedziczyłam nie tylko tytuł, ale ogromny majątek, którym mogłam swobodnie dysponować. Miałam pewność, że mój nieżyjący mąż życzyłby sobie, abym nadal oddawała się naszym sekretnym przyjemnościom. Zadrzałam, mimo że pociałam się pod grubą szatą. Czułam, że jestem u kresu wędrówki. Pragnęłam odnaleźć utraconą namiętność, wrodzoną, choć teraz gdzieś zagubioną siłę życia. Powtórzyłam ofertę.

Przewodnik uparcie kręcił głową.

Uniosłam abaję, odsłaniając nogawki szerokich białych spodni, najpierw kostki, potem kolana. Ten gest miał mu dać do zrozumienia, że moje żądania rosną i nie poprzestanę na zadawaniu pytań. Nie odejdę stąd bez odpowiedzi. Ciekawość i ukryte pragnienia ustąpiły miejsca przeczuciu, że stanie się coś strasznego. Życie córki lady Palmer było w niebezpieczeństwie. Niewątpliwie młoda panna uległa urokowi starszego egzotycznego mężczyzny z czarującym akcentem. Wyobraźnia podpowiadała mi, że teraz, po kilku drinkach, klęczy przed nim zupełnie naga, podnosi jego galabiję i bierze go do ust. Jest taka młoda, zaledwie dwudziestoletnia, i tak mało ma doświadczenia. Cóż mogła na przykład wiedzieć o takim rodzaju miłosnej gry jak fellatio. To sztuka, której urok docenia prawdziwa kobieta, niewolnica i zarazem władczyni, gdy klęczy przed swym panem i ustami daje mu rozkosz, która czyni go bezbronny.

Szukając zaspokojenia własnych żądz, nie mogłam zapominać o tym, że winna jestem przysługę lojalnej przyjaciółce mego męża. Dobrze wiedziałam, że w Arabii ciało kobiece służy męskim przyjemnościom, by zaraz zostać odrzucone jak ogryzione resztki z pańskiego stołu. Nie miałam wątpliwości, że uwodziciel córki lady Palmer potraktuje ją w taki właśnie sposób.

Opuszczając oczy, jakby chciał ukryć myśli, przewodnik przytaknął w końcu na moją finalną ofertę. Cena została ustalona. Poprowadził mnie wąską starożytną uliczką, przy której stały domy z każdej epoki historycznej, a greckie nazwy miały dodać klasy lokalom, które nie były niczym lepszym niż zwykłe burdele. W oknach wielu z nich pojawiały się twarze ciekawskich młodych kobiet. Zaczepiały mężczyzn wędrujących od baru do baru w poszukiwaniu tyłu kobiecych zdobyczy, na ile pozwoli im ich jurność.

Na końcu ulicy przewodnik wskazał bogato zdobione wejście przypominające złotą wnękę, choć farba łuszcząca się z drzwi niszczyła wrażenie, że pod spodem znajdował się prawdziwy kruszec. Zapewnił mnie, że to bar „Supplice”. Żaden szjld nie wyjaśniał, jakiego rodzaju tortur można się spodziewać wewnątrz. Zapłaciłam, dodając sowity napiwek. Nawet nie przeliczył banknotów, tylko puścił się biegiem, przeskakując po drodze przez ciało żebraczki, która tu skonała, lecz nadal wyciągała rękę zastygłą w proszalnym geście.

Odwrociłam głowę. Ciało zaczęło się rozkładać i powietrze wypełnione było odorem śmierci.

Nie mogłam zrobić nic dla żebraczki, ale nadal mogłam ocalić młodziutką pannę.

Uniosłam brzegi szaty, by się nie potknąć, i pchnęłam drzwi. Choć słońce jeszcze nie zaszło, w środku ogarnęła mnie ciemność. Przekroczyłam progi jaskini rozpusty. Podążyłam pewnym krokiem w głąb korytarza, który przypominał zimne przejścia wykute w skale, zupełnie jakbym miała na sobie czapkę niewidkę. Szłam tą wydeptaną ścieżką prowadzącą mnie do przybytku dekadencji, jak tyłu przede mną, ale z każdym krokiem narastał we mnie niepokój. A może raczej było to niecierpliwe oczekiwanie na skosztowanie zakazanego owocu erotycznej perwersji, tak słodkiego, a zarazem pozostawiającego w ustach cierpki pikantny posmak?

Nie rozczarowałam się. Jeden punktowy reflektor oświetlał mały okrągły podest otoczony pustymi stolikami i krzesłami. Pośrodku, na miękkim dywanie w kolorach pustyni, leżała półnaga dziewczyna. Białoskóra nimfa miała na sobie tylko koszulkę z czerwonego jedwabiu, materiał otaczał jej ciało jak szkarłatne anielskie skrzydła. Wysoki Nubijczyk, który przy tej smukłej istocie wyglądał jak prawdziwy olbrzym, pochylał się między jej nogami, całkowicie pochłonięty lizaniem i ssaniem, długi język na przemian wbijał się w nią i wysuwał. Dziewczyna odrzuciła głowę do tyłu i wiała się na dywanie, nie tłumiąc jęków rozkoszy.

Ciemnowłosa mężczyzna w niebieskiej galabii i pomarańczowym turbanie siedział tuż obok nich i palił długą turecką fajkę wysadzaną kamieniami, które wyglądały na rubiny.

Zapragnęłam wciągnąć głęboko w płuca słodkawy zapach haszyszu, lecz powstrzymałam się. Potrzebowałam pełni władz umysłowych, jeśli miałam uratować tę pannę. Był tylko jeden problem: nie spodziewałam się, że mężczyzna o imieniu Ramzi wywrze na mnie tak piorunujące wrażenie. Ciemne oczy, sardonicznie zrosnięte krucze brwi dodające erotycznej aury idealnym rysom twarzy,

mocno zarysowana broda, szerokie barki.

Był tak przystojny, że jedno jego spojrzenie mogłoby mnie skłonić do zapomnienia, po co tutaj przyszedł. Miał w sobie dostojeństwo jak koń czystej krwi. W tym momencie mojego życia nie byłam zdolna do stawienia mu oporu. Pragnęłam zaprzedać duszę temu uwodzicielowi kobiet. Nie mogłam oderwać wzroku od zmysłowych ust, gdy ssał

bursztynowy cybuch fajki i wydmuchiwał kłęby wonnego dymu na obnażone piersi dziewczyny. Jakże jej zazdrościłam.

Zazdrościłam odnalezionej zgubie, córce lady Palmer.

Nie mogłam oderwać wzroku od tej trójki, tylko rękę położyłam machinalnie na własnych piersiach, a potem zsunęłam ją na brzuch i wzgórek w jego dole. Kiedy Nubijczyk zmienił pozycję i zbliżył swój twardy członek do warg partnerki, drocząc się z nią i kusząc, głośno jęknęłam.

Mężczyzna w długiej niebieskiej galabii zawołał coś po arabsku, więc nie rozumiałam ani słowa. Dziewczyna oblizwała się, najwyraźniej zdecydowana, że nic nie przerwie jej przyjemności. Sięgnęła ręką, by odzyskać swoją zabawkę, ale ku jej niezadowoleniu Nubijczyk poderwał się, kilkoma susami dopadł do mnie i chwycił za ramiona.

- W tej chwili mnie puść! - krzyknęłam po angielsku.

- Brytyjka! - zawołał Ramzi. - Przyrowadź mi ją.

Zanim zdążyłam zaprotestować, Nubijczyk zerwał ze mnie abaję, rzucił mnie na podłogę i rozerwał bluzkę, odsłaniając przezroczystry stanik. Stwardniałe sutki sterczały prowokacyjnie.

- Dotkniesz mnie jeszcze raz - zagroziłam - a urwę ci jaja.

- Nie tylko piękna, ale jeszcze obdarzona temperamentem - skomentował Ramzi.

Wyraźnie zainteresowany odłożył fajkę i wstał.

Cofnęłam się, jakbym chciała uciec przed jego uwodzicielskim urokiem, ale nie miałam najmniejszych szans. Staralam się skoncentrować na oddechu, lecz zamiast tego jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w muskularne, idealnie proporcjonalne męskie ciało.

Luźna szata rozchyliła się. Stał przede mną w całej swojej krasie. Nie byłam w stanie oderwać od niego wzroku.

- Kim pani jest? - spytał.

- To przyjaciółka mojej matki - prychnęła rozzłoszczona Flavia, zanim zdążyłam otworzyć usta.

- Ubierz się - poleciłam. - Twoja matka umiera z niepokoju. - Zauważyłam, że Ramzi nie zrobił nic, by przysłonić swą nagość, jakby chciał ją wykorzystać do wytworzenia między nami erotycznego

napięcia.

- Powinna się już do tego przyzwyczaić - burknęła.

- Ubierz się - powiedziałam z naciskiem. - Wychodzimy.

- Dziewczyna zostaje. - Ramzi spojrzał na mnie wyzywająco. - Chyba że pani zajmie jej miejsce.

Kotłowały się we mnie sprzeczne emocje. Nie byłam w stanie odpowiedzieć, zajęta podziwianiem jego królewskiej męskości: imponującego członka, szerokiej piersi. Odpowiedź

mogła być tylko jedna.

W świetle reflektora w barze „Supplice” nieśpiesznie rozpięłam białe spodnie i pozwoliłam im osunąć się wydłuż bioder na podłogę. Zsunęłam z ramion porwaną białą bluzkę i zrzuciłam zakurzone brązowe pantofle. Ramzi nie tracił czasu. Zdażył już polecić swemu słudze, aby pomógł Flavii pozbierać jej rzeczy i odstawił ją do matki. Nubijczyk zignorował jękliwe protesty, wziął ją na ręce i zniknął gdzieś w ciemnościach, jakby go pochłonęła czarna ściana połyskująca iskierkami gwiazd. W oddali słyszałam coś, co przypominało odgłos zasuwanej kurtyny i podniesiony głos rozzłoszczonej Flavii. Ramzi zdawał się zupełnie nieczuły na jej marudzenia, bo cała jego uwaga skupiła się na mnie.

Przejechał dłonią między moimi łopatkami, a dotyk był tak gorący, że aż podskoczyłam, jakby na moją skórę spadła rozgrzana żarówka. Roześmiał się i dotknął mnie znowu.

Odsunęłam się kokieteryjnie i nieśpiesznym ruchem zdjęłam skarpetki, a potem wyprostowałam się i zmierzyłam go wzrokiem.

- Tego chcesz? - zapytałam, oblizując wargi i przeczesując palcami włosy, które były w najjaśniejszym odcieniu blond.

- Chcę, by stanęła pani przede mną zupełnie nago.

- A wtedy? - Przesunęłam dłońmi po biodrach, jakbym miała na sobie kreację z czerwonego aksamitu, a nie bieliznę.

- Wtedy będę wiedział, czy podoba mi się pani ciało.

- Wolalabym się dowiedzieć, jak wygląda to, co masz mnie do zaoferowania.

Odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się, ukazując białe równe zęby i wilgotny, zapraszający język.

- Zapewniam panią, angielska damo, że nie będzie pani rozczarowana. - Nachylił się nade mną i szepnął: - Mahmud przygotowuje panią do oględzin.

- A jeśli zrezygnuję z gry wstępnej? - Zsunęłam ramiączka stanika i w jednoznacznym geście ścisnęłam piersi rękami. Nie zamierzałam ukrywać podniecenia. Obsesyjna pogoń za odzyskaniem

więzi z własną seksualnością doprowadziła mnie do całkowitego bezwstydu, gdy wykonywałam taniec godowy, kołysząc biodrami i ramionami, przesuając dłońmi po całym ciele, zanim zdjęłam najcieńszy i najbardziej ascetyczny ze staników: żadnych koronek, żadnych pereł, jedynie smuga przezroczystego jedwabiu eksponująca sutki, które sterczały jak twarde kamyki.

- To ja tu jestem panem - odparował, a prostota tych słów maskowała ukryty gniew albo rodzące się pożądanie. - A ty będziesz mnie słuchała.

Zadrżałam, poruszona tym, co powiedział. Miałam nadzieję, że jeszcze się nie domyśla, dlaczego. Przed oczyma mojej duszy pojawiła się zupełnie inna scena. Scena sprzed lat.

Skórzana uprząż na przegubach przytrzymywała ręce przywiązane do wezglowia, piersi ocierały się o jedwabne prześcieradło na łożu, w którym jeden z naszych jurnych monarchów wielokrotnie obdarzał ulubioną konkubinę królewskim nasieniem, moje obnażone pośladki drżały w oczekiwaniu na kolejny nieuchronny cios różgi. Rozkosze chłosty. Scena, którą wielokrotnie odgrywaliśmy z moim mężem w jego ulubionej wiejskiej posiadłości w pobliżu Coventry, gdzie mieliśmy zwyczaj chronić się przed światem.

Ale to był podejrzany lokal w Port Saidzie, dławiący upał, tanie błyskotki, dzięki którym to wnętrze kryjące rozpustę i występki połyskiwało feerią świateł i kolorów. A mnie było wszystko jedno. Nie dbałam o nic. Chciałam tylko odtworzyć błogość, którą odnajdywałam w dziwnym, acz pełnym miłości związku, utraconym wraz ze śmiercią mojego męża. Pragnienie rozkoszy było tak silne, jakbym sobie wstrzyknęła morfinę w udo, podobnie jak robiły to berlińskie chórzystki w rozpasanych latach Republiki Weimarskiej. Moja kobiecość pulsowała boleśnie, nie byłam w stanie myśleć o niczym innym.

- Mam cię słuchać? Nie sądzę, żebyś miał okazję pieprzyć się z Angielką, bo inaczej nie wygłaszałbyś takich nonsensów.

- A pani, angielska damo, nie ujeżdżała nigdy prawdziwego arabskiego ogiera. Jeśli mnie zadowolisz, dostaniesz ode mnie znacznie więcej niż tylko zwykłą fizyczną rozkosz.

Wiedziałam, że usiłuje mnie zwabić na lep obietnic. Podjęłam grę świadomie, wiedziona ciekawością, choć nie mogłam przewidzieć, jak poważne będą konsekwencje mego nierozważnego kroku.

Zanim zdążył zbliżyć się na tyle, by uszczypnąć twarde sutki, przejęłam inicjatywę, zrzuciłam majteczki i patrząc mu w oczy, wsunęłam palec do cipki. Nie odrywał wzroku od mojej ręki. Potarłam powiększoną łechtaczkę jak muzyk strojący instrument. Moje ciało wibrowało coraz silniejszym rytmem. Znałam dobrze to uczucie stopniowego unoszenia się w powietrzu, zawieszenia ponad ziemią w uprzęży rozkosznie krępującej ruchy. Nie zamierzałam przerywać. Nie odrywając wzroku od Ramziego, pieściłam się coraz mocniej, coraz szybciej, najpierw jednym, potem dwoma palcami. Zaczęłam oddychać gwałtowniej, głośniejszym, spazmatycznie...

- Nie zostawiasz mi wyboru, śliczna angielska różo - powiedział z westchnieniem. -

Będę cię pieprzyć tu i teraz.

Zmysłowy i nieokiełznany Ramzi zniewolił moją duszę swoim spojrzeniem.

Nieodgadnionym, niepokojącym, uwodzicielskim spojrzeniem przepastnych czarnych oczu.

Zostałam gwiazdą jego erotycznego kabaretu.

Ubrana tylko w czerwone szpilki i naszyjnik z maleńkich diamentów, nie protestowałam, gdy jego ochroniarz, wysoki Nubijczyk, przywiązał mnie do drewnianego fotela na środku pustej sceny. Nogi szeroko rozsunęte, przywiązane w kostkach do nóżek fotela, ręce przypięte skórzanymi pasami do podłokietników, usta zakneblowane czarnym aksamitem. Nie mogłam usiedzieć w miejscu, a jednocześnie nie byłam w stanie się poruszyć, unieruchomiona prowizoryczną uprzężą. Moje podniecenie osiągnęło szczyty. Wygięłam się spazmatycznie, gdy Nubijczyk delikatnie wziął nagie piersi w wielkie dłonie. Wyglądały na białym ciele jak brązowe miseczki. Potem bawił się sutkami, pociągając za nie, szczypiąc i masując. Światło z reflektora padało mi prosto na twarz, oślepiało. Chciałam jęknąć, ale tylko wbiłam zęby w czarny aksamit.

- Czy jest gotowa, Mahmudzie? - dobiegł z ciemności głos z francuskim akcentem.

Kłęb wonnego dymu snuł się jak ten głos.

Mahmud nie odezwał się, tylko oczy zwięziły mu się do szpareczek. Uśmiech na zmysłowych, pełnych ustach zdradzał, z jakim upodobaniem pieści mój biust. Gorliwie wypełniał polecenia swego pana, zwłaszcza że te polecenia sprawiały mu przyjemność.

Językiem łaskotał sutki, jednocześnie wepchnął we mnie dwa palce, szukając wilgotnego dowodu podniecenia. Nie zawiodłam go. Wargi sromowe były śliskie i mokre. Usiłowałam unieść biodra, by mu ułatwić dostęp. Moje ciało było napięte, dygotało, krople potu lśniły jak brylanty w naszyjniku. Okrężnymi ruchami masował łechtaczkę, zbyt wolno jednak, by mnie doprowadzić do orgazmu. Wgryzłam się w knebel, sfrustrowana i zniecierpliwiona, wiedząc, że nieprędko doczekam się eksplozji rozkoszy. To nie było jego zadanie.

- Jest gotowa - zameldował, wyjmując palce.

- Bon. Rozwiąż ją i przyprowadź do mnie.

Kiedy Mahmud rozwiązał mnie, opadłam bezwolnie w jego ramiona. Moja biel połączyła się z jego czernią, a ja zastanawiałam się, jakie erotyczne niespodzianki czekają na mnie za chwilę. Nie bałam się czarnoskórego sługi ani jego ukrytego w ciemności pana, zredukowanego do łagodnego niskiego głosu i smugi wonnego dymu unoszącej się w powietrzu, bezcielesnej istoty, tym bardziej ponętnej i pożądanej. Unosiła się wokół niego aura zakazanego owocu, podsyciała pragnienie, by go zdobyć. W głowie kłębiły mi się dziesiątki pikantnych scen erotycznych. Pęczniejące narządy seksualne, wijące się i kołyszące nagie ciała, mokre i lepkie od potu i wszelkich cielesnych soków, gorączka zakończona bezprzytomnym szałem, ekstatyczne krzyki, spazmatyczny taniec bioder w rytm oszalałego bębna...

- Czy kiedykolwiek zaspokajało cię dwóch mężczyzn jednocześnie, moja angielska damo? - padło z ciemności ku memu radosnemu zaskoczeniu.

- Nie - szepnęłam, przymykając oczy, by ukryć kłamstwo. Niech myśli, że na samą myśl wpadłam w ekstazę.

- Bon. Odpręż się, i pozwól, że obaj z Mahmudem zabierzemy cię do raję.

Drogi czytelniku, jestem przekonana, że krew krąży ci szybciej, serce bije mocniej, a na twarz wystąpiły rumieńce, choć zapewne nie przyznasz się do tego z wrodzonej wstydlivości, ale nie przerywaj lektury, proszę, bo nie zdążyłam ci zdradzić sekretu perfum.

Wciągnęłam cię w sam środek mojej historii, a nie powiedziałam jeszcze, co stało się, gdy stałam naga na środku baru „Supplice” gotowa do podjęcia gry, którą prowadziło ze mną tych dwóch mężczyzn. Wspominanie tej nocy pełnej pokus, bardziej gorącej niż to, czego wcześniej doświadczyłam, przyprawia mnie o rozkoszne dreszcze. Przedłużę jeszcze chwilę oczekiwania.

Tymczasem muszę wyjaśnić, dlaczego Ramzi wywierał na mnie tak nieodparte wrażenie. Pół Egipcjanin, pół Francuz, obracał się w kręgu ludzi, którzy na wzór europejskich wyższych klas traktowali opinię publiczną z kompletną dezynwolturą. Był tajemniczy, cecha szczególnie pociągająca dla kobiecej duszy. Od niechcienia dotykał moich piersi, gdy przechodziłam obok niego, obserwował mnie spod długich rżęs, gdy wychodziłam z pokoju.

Potrafił być czarujący w sposób, który przemawiał do ciemnej strony mojej duszy, do tej niegrzecznej dziewczynki, którą lord Marlowe znał tak dobrze i poskramiał pewną ręką.

Teraz byłam sama, bez mojego mistrza i pana, chora z tęsknoty za męskim dotykiem.

Zrobiłabym wszystko, by ten głód zaspokoić i doświadczyć raz jeszcze cudownych wrażeń, które pozostawiały mnie bez tchu.

Wybacz, drogi czytelniku, jeśli moje kobiece id przejmuję kontrolę nad myślami, które wszakże powinny być uwięzione w klatce rozumu, klatce wykutej ze słów. Słowa posiadają taką moc, że utrzymują umysł w ryzach, niewolą go. Ja też muszę cię zniewolić słowami, drogi czytelniku, by opowiedzieć ci moją historię. Nie mam odwagi cię stracić. Moja obsesja na punkcie Ramziego jest zbyt niewiarygodna, by ją wyjaśnić. Fascynacja, uwiedzenie, obietnica... Teraz jest już późno, a mam wiele do zrobienia. Muszę się przygotować do drogi.

Jutro opuszczę Londyn i rozpocznę pierwszy etap podróży do Berlina. Po drodze znajdę czas, by wyjaśnić, dlaczego się nie opierałam, nie byłam do tego zdolna. Pofolguj podświadomości i wybierz się ze mną w drogę, gdyż bez ciebie nikt nigdy nie pozna mocy perfum.

Perfum Kleopatry.

Cała drzę, atrament plami mi palce, gdy pośpiesznie kończę opis pamiętnej sceny w barze „Supplice”. Sama myśl o niej jest źródłem zmysłowej przyjemności.

Ramzi, Mahmud i ja.

Półkrwi Egipcjanin, Nubijczyk i biała kobieta pochłonięci erotycznymi igraszkami.

Nie sen ani marzenie, ale najzupełniej fizyczny kontakt ust, rąk, palców, nóg i ud, dotykanie, poznawanie, przekomarzanie się, wączanie i smakowanie swoich ciał, aż wreszcie ten moment idealnej harmonii, gdy czarny jak smoła Nubijczyk ugniatał moje piersi, aż krzyczałam z wyzwalającej radości, a tajemniczy Egipcjanin przytrzymał mnie i obserwował, zafascynowany moim ciałem, na którym można było wygrywać emocje jak na najdoskonalszym instrumencie. Żadne z nas nie przywiązywało wagi do kulturowych przesądów i zakazów, które w zewnętrznym świecie wydawały się nie do pokonania.

W momencie, gdy po raz pierwszy postawiłam stopę w tym przybytku zakazanych rozkoszy, ukrytym w jednym z zaułków Port Saidu, zdecydowałam się rzucić wyzwanie swojej sferze i zlekceważyć niezwykle silne obyczajowe tabu, aby zaspokoić coś znacznie ważniejszego niż przelotną fanaberię, a mianowicie pragnienie mające swe źródło w głębi podświadomości. Nie mogłam go zignorować.

Chciałam zdobyć mężczyznę takiego jak Ramzi.

Wierzyłam wtedy i nadal tak uważam, że poszukiwanie przyjemności nie jest grzechem. Niczego nie żałuję. Czy kobieta nie powinna kierować się biologiczną potrzebą znalezienia najdoskonalszego samca? A dwa pierwszorzędne okazy to chyba jeszcze lepiej niż jeden?

Myśli kłębiły mi się w głowie i nie wiedziałam, czy sama zastawiam się intryg, czy zostałam w nią schwytana. Jestem kobietą światową, miałam w łóżku wielu mężczyzn i nigdy nie kierowałam się ich kolorem skóry, lecz tylko umiejętnością dostarczania i przyjmowania rozkoszy. Scena w klubie nie zaskoczyła mnie ani tym bardziej nie zgorszyła.

Jęknęłam przeciągle i skoncentrowałam się na niezwykłych wrażeniach płynących gdzieś z dołu, gdzie między moimi udami operował Mahmud. Nawet nie spojrzał mi prosto w twarz, tak był zajęty odgrywaniem palców na mojej łechtaczce, guziczku rozkoszy, stymulującym spływanie miłosnych soków. Wyobrażałam sobie, jak jego palce stają się lśniące i lepkie, a do nozdrzy dociera słodkawy kobiecy aromat. Jego oddech zmienił się raptownie, stał się głęboki i nierówny. Byłam ciekawa, o czym myśli. Rozkoszuje się zapachem mojej cipki? Czy tylko posłusznie wypełnia rozkazy swojego pana?

Chyba wyczuł, nad czym się zastanawiam, bo przeniósł się wyżej i pieszczotliwie kąsał moje piersi, aż głośno krzyknęłam. Odchyliłam głowę do tyłu i rzucałam się jak ryba na haczyku. Czy Ramzi pozwoli mu kochać się z nami? - myślałam.

Seks grupowy jest w tej części świata częstym zjawiskiem. Kobiety, ze względów religijnych przymuszane do obrzezania łechtaczki, często używały przy masturbacji bananów, świec czy innych fallicznych przedmiotów, które nadmiernie rozciągały ich pochwę. Kiedy pierwszy raz przyjechałam

do Egiptu, mając za cały majątek parę butów do stepowania, widywałam, jak nagie tancerki występujące w nocnych klubach przekładały sobie między nogami czerwone, niebieskie lub żółte szale i pocierały nimi w zawrotnym tempie, aby wprawić w wibrację wewnętrzne organy i doprowadzić się do ekstazy.

Obserwując ich taniec, zakochałam się w erotycznym świecie Kairu, w jego dekadencjonalnej, zmysłowej atmosferze. Byłam wtedy bardzo młoda, chciałam tylko śmiać się, pić i zapomnieć o całym świecie, chciałam czuć się wolna. Szalone dni, kiedy byłam biedna jak mysz kościelna. Nie miałam nic poza upojnymi nocami, które litościwie przykrywały szatą ciemności moje grzechy aż do chwili, gdy wygrałam los na życiowej loterii.

Pamiętam ten pierwszy raz, gdy miałam jednocześnie dwóch kochanków. Stałam między nimi, wbijając paznokcie w plecy tego, który zapukał do moich bram od frontu, gdy drugi w tej samej chwili forsował tę samą bramę od tyłu. Pierwszy mężczyzna, muskularny Anglik, podniósł moje uda jak najwyżej, aby ułatwić penetrację. Drugi, Holender, przytrzymał mnie w talii i przywierał do moich pleców. Nie dbałam o to, że kolacja z dwoma utytułowanymi dżentelmenami, na którą zgodziłam się z młodzieńczym entuzjazmem, zakończyła się grupowym seksem. Miałam zaledwie dwadzieścia lat i byłam gurlaską w nocnym klubie. Tam właśnie poznałam lorda Marlowe'a i jego holenderskiego przyjaciela.

Lord szczytował jako pierwszy i zdecydował, że tym samym wygrał zakład, a ja będę jego nagrodą. Żądał wyłączności. Najpierw przestraszyłam się i uciekłam w ramiona innych admiratorów, ale wkrótce miałam się przekonać, że mój Anglik ma wyjątkowe kwalifikacje jako kochanek i potrafi zaspokoić każdą kobietę. Podbił mnie mocą miłości, nie strachu. A ja, zagubiona dziewczyna rozpaczliwie poszukująca artystycznej wolności, odnalazłam spełnienie w jego erotycznych fantazjach. Sposób, w jaki na mnie patrzył - prosto w oczy, jakby chciał zajrzeć w głąb duszy - i niewypowiedziana czułość, z którą mnie dotykał, dodawały tyle żaru i intensywności do każdego aktu seksualnego, że przestałam mieć ochotę na innych mężczyzn. Żaden kochanek nie wytrzymywał porównania z moim lordem.

Dzieliliśmy te same namiętności i zamięłowania, jednocześnie płakaliśmy i śmialiśmy się, łączyły nas nawet sny. Osiem lat szaleństwa. Cudownego szaleństwa. Od jego śmierci nie spotkałam mężczyzny, który byłby w stanie mnie zaspokoić. Ani jednego.

Do chwili, gdy poznałam Ramziego.

Skąpiana w fioletowym świetle oblewającym moje nagie ciało, poddałam się pieszczotom Ramziego i Mahmuda. Poruszaliśmy się jak zgrane trio aktorów w erotycznej pantomimie, dotykając się, obejmując, całując. Głaskali mnie, jakby chcieli ukoić moje zmysły, zanim poprowadzą mnie przez labirynt ekstremalnych doznań, które witałam z otwartymi ramionami.

Widziałam swoje nagie piersi, płaski brzuch i gołe uda. Skóra świeciła jak płynny ametyst, a dwie pary rąk wcierały w nią wonny olejek, penetrując każdy zakamarek mego ciała, wślizgując się do środka. Przyjmowałam różne pozycje, by ułatwić im dostęp, głośno zachęcałam moich partnerów, gdy upewniałam się, że obaj mają erekcję. Jeden opierał się członkiem o moje pośladki, drugi ścisnął piersi i wbijał się między dwie półkule, zderzając moją jedwabistość i miękkość ze swoją twardą

męskością. W powietrzu unosił się niezwykle, odurzający zapach olejku i ciężka woń potu i seksu.

Kwiatowy zapach perfum nie przypominał żadnych wcześniej mi znanych woni.

Próbowałam rozpoznać ich nutę. Jaśmin, róże i coś, czego nie umiałam zidentyfikować, a co przyprawiało mnie o zawrót głowy. Ramzi musnął moją dolną wargę i zostawił wilgotny ślad języka na szyi i piersiach, omijając sutki. W tym samym czasie Mahmud penetrował mój anus, z taką maestrią przyciskając szczególnie unerwione miejsca, że reagowałam ruchami całego ciała na każdy ruch palców. Kiedy je wyjął, zaczął wylizywać każdy centymetr kwadratowy prowadzący do zamkniętej we mnie muszli, szczególną uwagę poświęcając niewielkiemu kwiatkowi spinającemu ukryte wargi.

Poddałam się pieszczotom, wyobrażając sobie, że jestem małą lirą, simsimyją, z której mistrzowie wydobywają najdoskonalsze dźwięki. Dama, pani muzyki ekstazy religijnej i poezji miłosnej. Przez moje ciało płynęła melodia wygrywana na niewidocznym instrumencie, ponawiana w licznych wariacjach, gdy Ramzi puszczał wodze swojej zmysłowej naturze i fantazji erotycznej.

Kiedy już byłam pewna, że jestem u kresu możliwości, Ramzi wyciągnął się obok i zagarnął mnie na siebie. Z nieklamany entuzjazmem zarzuciłam mu ręce na szyję. Zanim się obejrzałam, znalazłam się na powrót pod moim kochankiem i wreszcie zdobył mnie niczym zwycięski wódz, który jednym pchnięciem kończy zmagania. Ryknął głośno, bo byłam za ciasna na jego potężną maczugę, ale to tylko zachęciło go do ponawiania energicznych uderzeń. Jęczałam głośno z rozkoszy, dygocząc pod wpływem nagłej erupcji uczuć, od tak dawna pozbawionych głosu, zamrożonych.

Mahmud klęknął nade mną tak blisko, że drażniący zapach jego podniecenia, zapach morskiej wody i piżma, wypełnił mi nozdrza. Wielki członek muskał moje policzki i usta, ale jego zadaniem nie było znalezienie własnej przyjemności. Zamknął moje piersi w dużych dłoniach, miętosił je i ugniatał, dodając kolejny bodziec intensyfikujący erotyczną gorączkę.

Ramzi wyczuł, że jestem bliska orgazmu i posiadał mnie z nowym wigorem. Spazmy rozkoszy porwały nas jednocześnie jak potężne fale oceanu. W głowie łomotał mi werbel, krople potu spływały po twarzy, z ust wydobywały się nieartykułowane dźwięki. Wessałam go w siebie, pragnąc całkowicie się z nim zjednoczyć, i zapadłam w błogą nieświadomość.

Uwierzyłam, że nikt nie będzie umiał zadowolić mnie tak jak Ramzi, tyle mi dał

zmysłowej przyjemności i głębokiego uczucia spełnienia. Miał szczególny, niepokojący sposób patrzenia na mnie. Unosił przy tym lekko lewą brew, a ja nie byłam w stanie odgadnąć, co właściwie myśli. Zerkałam wtedy w dół, mniej lub bardziej dyskretnie, by upewnić się, że mnie pragnie. Był wspaniałym okazem męskiej urody - muskularne ciało, szerokie ramiona - drzę na samą myśl o tym, jak wplata palce w moje włosy, przyciąga głowę i pokrywa twarz pocałunkami, a potem wsuwa dłoń między nogi i otwiera mnie na głębsze, bardziej wymagające eksploracje.

Rozum zasypiał wobec przyjemności, której źródło było usytuowane między moimi udami. Nawet teraz, na samo wspomnienie, wilgotnieję i zaczynam szybciej oddychać, a dotyk jedwabnej halki przywodzi na myśl jedwabną pościel - tak gładką jak druga skóra, i przypomina, ile radości można

odnaleźć w dotyku.

Aby skrócić sobie podróż, koncentruję się na doborze słów i przelewaniu ich na papier, a gdy samolot wpada w turbulencje, przytrzymuję kałamarz z czarnym atramentem.

Lecimy teraz nad terytorium wroga, więc mam wrażenie, że szpony wojny wysuwają się, by zniszczyć moje kobiece fantazje. Czy się boję? Tak. Czy chcę zawrócić? Nie. Mam misję do wykonania i swoje rozkazy - nie, nie jestem żołnierzem, więc wolę je nazywać instrukcjami.

Wyświadczam przysługę staremu przyjacielowi mojego nieżyjącego męża, jestem mu winna pełną lojalność, choć ze względów bezpieczeństwa nie mogę ujawnić jego tożsamości. To on nalegał, bym drogę na lotnisko w Leuchars w Szkocji, pierwszy etap w drodze do Szwecji, pokonała w samochodzie z zaciemnionymi szybami.

Prawdziwi agenci wywiadu dostają pas na pieniądze wypełniony markami, pistolet, zapas konserw i mapy, które ułatwią orientację w terenie. Ja mam tylko niewielką torbę wypełnioną przedmiotami osobistego użytku (oczywiście, zabrałam perfumy Kleopatry). Nie mam przy sobie radiostacji ani saperki. Nie jestem agentką zrzucałą za linię wroga z zadaniem nawiązania kontaktu z członkami miejscowego ruchu oporu, by pozyskać ich do współpracy przy akcjach dywersji i sabotażu.

Mam za to fałszywe dokumenty.

Nie zatrzymam się w Sztokholmie, wyruszę pociągiem do Malmö, skąd dotrę promem do Kopenhagi. Nie miałabym odwagi wyprawiać się ze Szwecji do Niemiec drogą morską, by nie wpaść w łapy niemieckich oddziałów, które podobno przedostają się potajemnie do Norwegii. Najbezpieczniej będzie przepłynąć ze stolicy Danii do małego portu Warnemünde po drugiej stronie Bałtyku, skąd pociągiem dojadę do Berlina.

Ręka mi drży, więc kropelki czarnego atramentu zostawiają na kartce ślady, jakbym chciała zaznaczyć kolejne etapy mojej podróży przez Europę. Boję się tego, co mnie może spotkać w bastionie nazizmu, dlatego postanawiam zapisać tu wszystko, co przydarzyło mi się w Port Saidzie. Nie mam pojęcia, czy w Berlinie znajdę na to czas. Podróżuję z amerykańskim paszportem wystawionym na moje panięskie na nazwisko, Eve Charles. SIS, brytyjska służba wywiadowcza, załatwiła to z pomocą amerykańskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Tak, drogi czytelniku, jestem z pochodzenia Amerykanką, choć krępuje mnie ujawnianie szczegółów z mojego życia przed małżeństwem z lordem Marlowe'em. Zadanie, które mam wykonać, jest niebezpieczne. W przeciwieństwie do innych agentów, mówię tylko po angielsku. Niemiecki znam pobieżnie, uczyłam się go jako dziecko. Byłoby zbyt ryzykowne, gdybym tu wyjawiała powody, dlaczego w ogóle posługuję się gardłową mową oddziałów szturmowych, które zalewają Europę. Wystarczy, byście wiedzieli, że nie jestem szpiegiem.

Wykreśliłam ostatnie zdanie, zanim stewardesa poprosiła, bym odłożyła pióro i atrament. Na zewnątrz szaleje burza, pada deszcz, biją pioruny. Wpadamy w straszne turbulencje. Wszystko, co nie jest przymocowane, fruwa w powietrzu, włączając w to moją filiżankę z kawą i pamiętnik. Zdołałam je przytrzymać, żeby ich nie zabrała stewardesa, łamiąc przy tym paznokiec, i spytałam, czy zawracamy. Odpowiedziała, że kurs prosto przez burzę najszybciej wyprowadzi nas poza rejon, w

którym grozi nam niebezpieczeństwo.

Niebezpieczeństwo? Jak dziwnie brzmi to słowo, gdy wypowiada się je na głos, a ja nie mogę zdławić lęku. Odgarniam przyklepione do czoła kosmyki włosów. Niechcący zadrapałam się złamanym paznokciem. Jeszcze kilka tygodni temu w obliczu podobnej katastrofy kazałabym pani Wills natychmiast wezwać moją manikiurzystkę, lecz teraz paznokieć wydaje się nieistotny. Po prostu go obgryzam. Do końca mojej misji będę żyła w stałym zagrożeniu.

Przyciskam do piersi zeszyt oprawiony w czerwony jedwab. Za oknem widzę jedynie kawałki lodu bombardujące grube szkło. Serce wali mi szybko, gdy kapitan walczy o utrzymanie wysokości. Gradowa lawina, która spada na nas z nieba, za chwilę zmiecie ten niewielki samolot. A jeśli się rozbijemy? Jeśli mój dziennik wpadnie w ręce wrogów? Pod żadnym pozorem nie mogę ci ujawnić natury mojej misji, drogi czytelniku. Ograniczę się do pierwotnego zamiaru i zapiszę, co mi się przydarzyło w Port Saidzie i Kairze, i co, jak sądzę, może mi się przydarzyć w Berlinie, jeśli sprawy pójdą źle i moje życie będzie zagrożone. Nic więcej.

Waham się, drogi czytelniku, czy raczyć cię opisami seksualnych obsesji samotnej kobiety, ale mam nadzieję, że czerpiesz przyjemność z opowieści o tajemniczym mężczyźnie, którego znałam jedynie pod imieniem Ramzi. Wracam więc do wspomnień.

Wypełnione lubieżnymi igraszkami popołudnie w barze „Supplice” zaspokoilo na pewien czas mój cielesny głód. Zamierzałam trochę ochłodzić nasze stosunki, ale Ramzi nalegał, że chce mi pokazać wszystko, co jest warte zobaczenia w Port Saidzie. Nasze spojrzenia krzyżowały się, a dłonie muskały od niechcienia, gdy graliśmy w tenisa, jeździliśmy konno, spacerowaliśmy po plaży o zachodzie. Czerwona szminka chroniła wargi przed słońcem, ale nie przed gorącymi pocałunkami przystojnego Egipcjanina. Pozwalałam mu roztaczać swój czar, choć wyczuwałam, że pod wyrafinowaniem i uwodzicielskim powabem kryją się bezwzględność i nieczułość. Nie zmieniało to faktu, że - jak większość samotnych kobiet - byłam zafascynowana tym niebezpiecznym mężczyzną, który wydawał

się uosobieniem grzechu. Pewnego razu, gdy siedzieliśmy w hotelowej kawiarni przy popołudniowej herbacie, w trakcie partyjki bridża zwierzył mi się, że potrzebuje pieniędzy na sfinansowanie ekspedycji do Doliny Królowych. Jak twierdził, jeden z jego przyjaciół jest na tropie grobowca Kleopatry.

Uniosłam brwi z niedowierzaniem. Historię z ekspedycją uznałam za oszustwo, sposób na wyciągnięcie ode mnie pieniędzy. Całe wieki dzieliły okres budowniczych piramid i śmierć Kleopatry. Odłożyłam karty, nagle odechciało mi się dalszej gry. Jednak słuchałam dalej. Byłam samotna i nie miałam nic lepszego do roboty.

- Jaki masz dowód? - spytałam.

Ramzi upierał się, że opowieść o samobójczej śmierci Kleopatry, która pozwoliła, by królewska kobra ukąsiła ją w pierś, była mitem. Nie przejmując się otoczeniem, dotknął

sukienki w tym miejscu, aż stwardniały mi sutki. Na szczęście nikt nas nie obserwował. Pora

popołudniowej herbaty skończyła się przed godziną i hotelowa restauracja zdążyła opustoszeć.

Nachyliłam się w jego stronę. Chciałam poznać szczegóły. Historia, w której nie brakowało kazirodu, chciwości, żądzy władzy i przelewu krwi, miała jednak całkiem inne zakończenie. Ramzi był gotów ją opowiedzieć, wszakże pod warunkiem, że sfinansuję jego ekspedycję.

Tu pora na dygresję, drogi czytelniku. Muszę ci przypomnieć, że nie jestem ignorantką, jeśli chodzi o historię starożytnego Egiptu. Zwiedziłam piramidy w czasie podróży poślubnej z moim mężem, lordem Marlowe'em, który był nie tylko dżentelmenem, ale też człowiekiem wielkiej erudycji i wiedzy. A także wyrafinowanym kochankiem, który zachęcał mnie do spełniania najdziwniejszych fantazji. Rozciągnięta na sarkofagu faraona, z nagimi piersiami na jego kamiennych ustach, rozgrzana i spływająca sokami jak dojrziała brzoskwinia, drżałam z podniecenia, odbierając kolejną lekcję posłuszeństwa i egiptologii.

Ubrana tylko w białe atłasowe czółenka, przezroczyste pończoszki i czerwone podwiązki, pieszcząłem z rozkoszy, gdy lord Marlowe na przemian szczypał mnie w drżące obnażone pośladki, dywagował na temat historii podboju Egiptu przez Rzymian i chlęstał

najcieńszą z możliwych trzcina, cudownym narzędziem rozkoszy, a nie bólu. Lekkie piekące smagnięcia zaskakiwały mnie początkowo, ale później czułam narastające gorąco, jakby moja pupa płonęła.

Przy każdym uderzeniu wydawałam gardłowy jęk, zamykałam mocno oczy i zaciskałam mięśnie pośladków w oczekiwaniu na kolejny świst różgi, pewna, że ta niepowtarzalna przyjemność wkrótce osiągnie swój szczyt. Nie mogłam się doczekać, aż miecz mego męża znajdzie wreszcie drogę do swej pochwy i wypełni jej pustkę. Krzyczałam, gdy we mnie wchodził, na każde pchnięcie odpowiadałam jeszcze gwałtowniej, mocniej, w całkowitym zapamiętaniu, aż nie mogłam dłużej wytrzymać i sama dotknęłam się w miejscu, które pulsowało i domagało się uwagi, a wtedy dotarłam na szczyt, skąd zagarnęły mnie fale rozkoszy wydzierające z mojej piersi głośne niekontrolowane krzyki.

Później odpoczywaliśmy, ja w jego ramionach, a on opowiadał mi historię Cezara i Kleopatry, jak to młoda władczyni dostała się do pałacu w Aleksandrii przed oblicze rzymskiego wodza ukryta w zrolowanym dywanie. Królewskie ciało jako prezent powitalny dla zwycięzcy. Miała na sobie tylko sznury pereł zawieszane na szyi i zwisające w pasie, złudne przykrycie nagości. Wykonała dla niego erotyczny taniec, rytmicznie potrząsając piersiami i wprawiając w hipnotyzujące falowanie biodra i długie czarne warkocze peruki, a w momencie kulminacyjnym wyciągnęła sznur wielkich nieskazitelnych pereł z ciasnej dziurki między idealnymi półkulami pośladków.

- Wszystko to - śpieszył z wyjaśnieniem mój mąż, zajęty eksplorowaniem mojej analnej dziurki, co nieodmiennie wprawiało mnie w erotyczne podniecenie - po to, by zapewnić sobie pomoc Rzymu w walce o tron Egiptu.

Intrygowały mnie tajemnice starożytności, toteż niejednokrotnie błagałam męża, by mnie wychłostał, snując swoje opowieści. Pragnęłam w równej mierze różgi, przyjemnie rozgrzewającej pośladki, i wiedzy. Przerwałam edukację, gdy miałam szesnaście lat, co nie było rzadkie wśród dziewcząt z

niższych klas społecznych. Byłam niewykształcona, ale wystarczająco bystra, by radzić sobie, gdy samotnie przemierzałam Europę, kiedy i dlaczego -

nie ma tu znaczenia. Wystarczy, gdy będziesz wiedział, drogi czytelniku, że słuchałam pilnie, kiedy lord Marlowe wprowadzał mnie w tajniki sztuk pięknych, historii i wiedzy o starożytnych obyczajach i religiach, a jednocześnie bawił się moimi piersiami, na przemian ssąc i szczypiąc brodawki, by potem, liżąc je, łagodzić nadmiar stymulacji. Powiedziałam mu kiedyś, że wyobrażam sobie, iż jego członek podnosi się jak wąż Kleopatry, naja haje.

Roześmiał się. Wyjaśnił, że ten wąż, czyli egipska kobra, ma więcej niż metr osiemdziesiąt długości i jest bardzo gruby.

- Jak twój wąż? - zażartowałam.

Odparł ze śmiechem, że powinnam baczniej słuchać jego wykładu, jeśli nie chcę zakosztować pieścizot jego różgi na swoim tyłku.

Nigdy nie zapomnę tych dni. Byłam pojętną uczennicą zarówno w edukacji erotycznej, jak i w zdobywaniu wiedzy na temat tajemnic starożytnych cywilizacji. W

przerwach drzemałam rozciągnięta na puchowej kołdrze, tak miękkiej, że wydawało mi się, iż unoszę się w powietrzu. Gruba moskitiera zasłaniała nas przed zewnętrznym światem. Widać było tylko zarys mojej sylwetki, ramiona wyciągnięte nad głową, przeguby przywiązane do smukłych kolumnienek. Rozrzucone szeroko nogi, język mojego męża wślizgiwał się we mnie, opalone dłonie masowały moje uda, gdy hojnie obdarzał mnie cielesnymi przyjemnościami, na które byłam tak łasa...

Dlatego sceptycznie wysłuchiwałam kłamstw Ramziego, choć byłam skłonna przyznać mu rację, gdy tłumaczył mi, że Rzymianie, w tym oczywiście Marek Antoniusz, uważali samobójstwo za honorową śmierć. Jednak w oczach Egipcjan, wywodził dalej, był to grzech. (Wiedziałam, że Kleopatra należała do macedońskiej dynastii rządzącej Egiptem). Nie podjęłam polemiki, choć w głowie kołatało pytanie: Dlaczego okłamuje mnie na temat Kleopatry? Bardzo chciałam mu wierzyć, pragnęłam położyć mu głowę na ramieniu, zajrzeć w głąb duszy, ale tylko siedziałam i czekałam na dalszy ciąg. Musiałam wiedzieć, jak się skończy gra, w którą mnie wciągał. Nie miałam pojęcia, jak niezwykle przegody mnie jeszcze czekają.

- Kleopatrze zamordowano - wyjaśnił, kładąc mi rękę na kolanie pod okrągłym tekowym stolikiem. Jego dotyk palił, płomień liżał podbrzusze, a pragnienie, by ten przystojny, choć dziki mężczyzna posiadał mnie znowu, stało się nie do zniesienia. Och, jakżeby mną gardziły szacowne matrony, te wyrocznie dobrego tonu, o których akceptację tak kiedyś zabiegałam. Teraz opinia kawiarnianego towarzystwa nie miała dla mnie najmniejszego znaczenia. Pozwoliłam temu synowi pustyni, by skalał moją białą skórę swym dotykiem, naruszyłam potężne tabu swojego świata. To wystarczy, by stracić dobrą reputację.

Teraz nie dbałam, co myślą inni, upajałam się zapachem Ramziego jak najlepszym szampanem. Ignorowałam uporczywy głos podszeptujący mi, że mam do czynienia z oszustem najwyższej klasy, usiłującym omotać mnie siecią kłamstw. Zależało mi tylko na tym, by przesunął rękę na gołą skórę

nad podwiązkami.

- Twoja teoria o śmierci egipskiej królowej jest interesująca. - Popijałam herbatę, choć było w niej za dużo cukru i za mało mleka. The a la menthe. Ramzi twierdził, że to lokalna specjalność. - Zapewne powiesz jeszcze, że wiesz, kto ją zamordował?

- Oktawian chciał panować niepodzielnie nad imperium rzymskim - odparł. -

Kleopatra stała mu na drodze, więc pozbył się jej, każąc swoim ludziom, by upozorowali samobójstwo.

- Fascynujące. - Skończyłam herbatę i zlizalam z warg jej słodki posmak. Język mi zdrętwiał, tak była lodowata. - Ale ci nie wierzę.

- Uwierzysz.

- Skąd ta pewność?

- Wiem, jak cię przekonać - szepnął mi do ucha.

4

Naga. Z opaską na oczach. Ramiona rozkrzyżowane i przywiązane złotym sznurem.

Po moim ciele wędrują dłonie. Mahmud, wzorowy ochroniarz. Bez wahania rozpoznaję go po dotyku, podobnie jak Ramziego po grubości i długości członka.

Kiedy Ramzi wziął mnie po raz pierwszy, uległam jego sile bez oporu, choć nie był

wobec mnie brutalny, nie stosował przemocy. Moje pośladki idealnie mieściły się w jego dłoniach, trzymał je w twardym uścisku, ale czule i namiętnie. Wiłam się pod nim, jęcząc i wzdychając, spływając potem jak pokutnica biczowana za minione grzechy, podnosiłam biodra, by ułatwić mu pełniejszą penetrację.

Tym razem będę bardziej powściągliwa. Tajemnicza. Uwodzicielska.

Czekałam. I czekałam. I nic. Nawet Mahmud przestał mnie dotykać, a brak jego kojących pieszczot podsycił coraz bardziej natarczywą migrenę. Pod opaską mocno zacisnęłam zaczerwienione ze zmęczenia, ciężkie powieki. Miękki aksamit dawał schronienie przed irytującym uciskiem w czaszce, wywołującym ból, choć Nubijczyk sownie obdarowywał mnie czułością.

Nieprzyjemne sensacje związane z narastającym uciskiem w głowie pojawiły się od razu po wyjściu z hotelu. Nie myślałam o nich, bo czułam dotyk Ramziego na plecach, a jego ręka stopniowo zsuwała się niżej, w kierunku pośladków osłoniętych tylko cienką jedwabną sukienką. Nie protestowałam, gdy poprowadził mnie do baru „Supplice” i polecił

Mahmudowi, by mnie rozebrał i przywiązał do metalowych pierścieni wystających ze ściany w

fioletowym gabinecie usytuowanym na zapleczu sceny.

Czekałam. Tylko ciepło oddechu na moich piersiach świadczyło o tym, że Nubijczyk jest tuż obok. I nic się nie działo. Dlaczego?

Zaczęłam przestępować z nogi na nogę, szarpnęłam się, aż zadźwięczały metalowe pierścienie, które w równej mierze więziły moje ciało, jak i umysł. Nic nie widziałam, co było dodatkowym źródłem frustracji. Czy tym razem nie zaznam przyjemności, którą mi dawał

wysoki Nubijczyk, gdy rozchyłał wargi mojej kobiecości i prezentował ją Ramziemu jak rzadką orchideę, aby za chwilę eksplorować ją językiem? Zadawał sztychy i cofał, ssał, lizał i mlaskał, drażnił łechtaczkę, aż miauczałam jak kotka w rui. Na co teraz czeka? Cóż to za makabryczny rytuał? Gniew dodał mi odwagi i osłabił pożądanie. Chciałam zażądać, by mnie rozwiązał, gdy...

- Zdejmij opaskę, Mahmudzie.

Głos Ramzego. Wreszcie. Przebiegły przeze mnie dreszcze. Gniew gdzieś uleciał.

Ciemność zniknęła, zastąpił ją półmrok. W przytłumionym świetle przedmioty rzucały niesamowite cienie, jednak nagi Nubijczyk nie mógł się w nich ukryć, gdyż wilgotna skóra połyskiwała, jakby wydzielala poświatę. Chciałam, żeby mnie zaczął dotykać, obsesyjnie myślałam o czarnych palcach potrącających struny mojego ciała. Do diabła, nie byłam w stanie czekać ani chwili dłużej.

- Mahmudzie, ja... ja... - Co mam powiedzieć?

Oddychałam szybko i tylko wzrokiem prosiłam o to, czego nie umiałam nazwać.

Spojrzałam wymownie w dół, na swoje łono. Pokręcił głową. Zasady gry uległy zmianie, zasygnalizował wzrokiem. Pochylił się i poczułam na sobie jego gorący oddech, koniuszki piersi stwardniały w małe kamyki, zaczęłam niecierpliwie wykręcać biodra, by otrzeć się o niego i złagodzić palącą potrzebę dotyku.

- Ach, więc moja angielska róża chce, aby Mahmud ją podniecił.

Ramzi pojawił się w kręgu światła. Szeroki muskularny tors, bufiaste białe szarawary ściągnięte w kostkach, krwistoczerwona szarfa przewiązana w pasie. Światło odbijało się od ostrza zakrzywionego krótkiego sztyletu zwisającego u boku. Dżambija, rytualna arabska broń.

- A ty oczekujesz, że będę błagała o twojego fiuta? - spytałam wyzywająco.

- Nie dzisiaj, moja śliczna. - Powiedział coś do sługi po arabsku. Nubijczyk skłonił się i opuścił pokój. Ramzi pocałował pieszczotliwie jedną, a potem drugą pierś, po czym szczytnął je boleśnie. - Po powrocie Mahmuda zagramy w zupełnie nową grę.

Byłam półprzytomna z pożądania.

Moje ciało drżało i wibrowało pod naciskiem dłoni Nubijczyka. Jego palce były śliskie i wonne,

zostawiały na skórze korzenny zapach perfum. Doprawdy, ten erotyczny masaż z użyciem najdroższych pachnideł stanowił przyjemność, z którą niewiele mogło się równać. Wcierał perfumy, przesuwał wielkie czarne dłonie po całym ciele, od piersi, przez talię i biodra, po uda i pośladki. Spędzał wiele czasu na dole, drażnił łasą na pieszczoty łechtaczkę i zrećnie wprowadzał palce do środka ciała, nie zapominając też o mojej analnej dziurce.

Drogi czytelniku, nie umiem opisać, jak wiele rozkoszy doświadczyłam, gdy po raz pierwszy uległam czarowi perfum Kleopatry. Z początku podchodziłam z niedowierzaniem do własnych doznań, ale czyż powinniśmy pozwalać na to, by ograniczał nas sceptycyzm? Może mój racjonalny i ucywilizowany umysł starał się zignorować najdzikszy, najbardziej prymitywny głód ciała?

Poddałam się cielesnym pragnieniom, odepchnęłam od siebie wszelkie wątpliwości, kierowana pragnieniem wypełnienia pustki. Wtedy właśnie Ramzi pokazał mi alabastrowe puzderko ze zdobieniami na wieczku. Była na nim sylwetka nagiej kobiety siedzącej na tronie, z berłem w jednej ręce. Kleopatra. Otworzył je, a wtedy owionął mnie niezwykły aromat, słodki, a jednocześnie piżmowy i korzenny. Zmysłowy i intrygujący. Był tak silny, że zaczęło mi się kręcić w głowie. Szarpnęłam się, chcąc uwolnić ręce z uwięzi, pochyliłam głowę i wciągnęłam zapach do płuc. W pudełku znajdowała się twarda substancja, przypominająca wosk, w kolorze jasnego złota. Takie są prawdziwe egipskie perfumy.

Ramzi skinął na Mahmuda. Nubijczyk nabrał palcem smarowidło i pocierając o siebie złożone ręce, stopił je, zamieniając w kleistą maź. Ni to głaszcząc, ni pieszcząc, rozprowadził

ją między moimi piersiami, wokół sutek, na brzuchu i wzgórku łonowym, aż wreszcie namaścił wewnętrzną stronę ud i wargi sromowe. Wzdychałam i mruczałam głośno, tak spragniona erotycznego dotyku, że nie dbałam wcale, co myśli obserwujący mnie Egipcjanin.

Zapewniam cię, drogi czytelniku, że choć wybrałam życie seksualne odległe od tego, które prowadzą przeciętni ludzie, jestem świadoma twoich reakcji. Nie zaskakuje mnie krytycyzm wobec mej zuchwałości i umiejętności zatracenia się w erotycznych fantazjach.

Możesz mnie nazwać sybarytką, ale moim przeznaczeniem było życie, o jakim inne kobiety mogą tylko marzyć albo czytać w odrzucających wszelkie tabu romansach.

Nie zamierzałam z niczego rezygnować.

Uświadomiłam sobie, że skóra łaskocze mnie od palców u nóg po biodra, tymczasem Mahmud metodycznie rozprowadzał perfumy za moimi uszami, na szyi, a nawet między pośladkami i wszędzie tam, gdzie mógł dotrzeć zwinnymi palcami.

- W jaki sposób stałeś się posiadaczem tak niezwykłych perfum? - spytałam Ramziego. - I dlaczego Mahmud namaszcza właśnie mnie tym niezwykłym zapachem?

Uśmiechnął się i pokazał mi pierścień z rubinem i perłami. Zarzekał się, że znalazł go w pomieszczeniu, w którym znajdowała się osobista biżuteria Kleopatry, w tym legendarne perły, których użyła, by uwieść Cezara. Włożył mi pierścień na palec, a rękę wsunął między moje uda.

Biały płomień, który ogarnął mnie pod wpływem jego dotyku, był tak niesamowity, że prawie zemdląłem z rozkoszy. Resztką woli walczyłem o utrzymanie świadomości, nie tylko po to, by pełniej doświadczać erupcji przeróżnych doznań, ale głównie dlatego, by nie uronić ani jednego słowa z ujawnianej przez Ramziego tajemnicy.

Opowiem ci historię perfum Kleopatry, jak mi ją przedstawił Ramzi, słowo w słowo, bo pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj.

Dostał te perfumy w Kairze od dragomana, przewodnika i tłumacza, który parę miesięcy wcześniej oprowadzał po Dolinie Królów wycieczkę amerykańskich turystów, namiętnych kolekcjonerów starożytności. Sącząc im do uszu opowieści o mumiach przystrojonych sznurami amuletów i szczerozłotą biżuterią, z sarkofagami z najcenniejszych kruszców wysadzanych kamieniami szlachetnymi, poprowadził Amerykanów samotną i od dawna nieuczęszczaną ścieżką wiodącą w głąb ciemnego grobowca. Tam, oświetlając latarką puste ściany i otwarty sarkofag, wydawał zdławione okrzyki zgrozy, zapewniając, że grób najwyraźniej został niedawno okradziony przez rabusiów.

Kiedy któryś z rozczarowanych turystów zaczynał się złościć i żądać zwrotu pieniędzy, przewodnik zapewniał go, że zna jeszcze inną tajemną komorę grobową wykutą w skalistym zakolu Deir El-Bahri, w pobliżu miejsca, gdzie niedawno odkopano grobowce faraonów. Oczywiście Amerykanin nie miał pojęcia, że komora, w której przed trzema tysiącami lat ukryto królewskie mumie, aby uchronić je przed hienami cementarnymi, została już dawno odkryta i obrabowana, a teraz służyła tłumaczowi jako prywatny schowek na cenne artefakty. Przyprawiał tu swoich klientów, każdego w tajemnicy przed pozostałymi, podchodził z nimi do zamaskowanego wejścia w skalnej ścianie pomiędzy Doliną Królów a Deir El-Bahri, za każdym razem pozwalając im „odkryć” drogocenną statuetkę lub mumię z zachowanym złotym naszyjnikiem czy maską. Kiedy już, za sowitą opłatą, ułatwił

cudzoziemcom wywiezienie zabytków z Egiptu, umieszczał kolejny archeologiczny artefakt jako przynętę dla następnego łatwowiernego turysty, a faktycznie współczesnego rabusia grobów.

Było jednak coś, o czym przewodnik nie miał pojęcia. Nie był pierwszym człowiekiem, który odkrył tę komorę skalną z wejściem zamaskowanym głazami. Pod koniec dziewiętnastego wieku brytyjski okultysta i archeolog, Edward Thorndike, przypadkowo odkrył kryjówkę, w której tysiące lat wcześniej najwyżsi kapłani schowali przed światem mumie faraonów. Thorndike, zrozpaczony i pogrążony w żalobie po śmierci młodej żony, zabitej przez wędrownych Beduinów, wcześniej wszedł w posiadanie niezwykłego skarbu, który królowa Kleopatra VII otrzymała w darze od najwyższego kapłana świątyni Amona, a zarazem swego zaufanego emisariusza. Mężczyzna, który był w niej zakochany. Perfumy miały niezwykłą właściwość. W sytuacji, gdy życie osoby, która je nosiła, było zagrożone, w cudowny sposób przenosiły ciało do sekretnej komnaty jednej z wielkich piramid w Gizie, gdzie można było przeczekać niebezpieczeństwo. Kleopatra wyśmiała swego wielbiciela i nie uwierzyła w magiczne właściwości perfum, choć zakochała się w niezwykłym zapachu i nawet kazała go powielić w fabryczce na brzegu Morza Martwego, która produkowała pachnidła dla jej dworu. Kapłan jednak był przewidujący. Aby mieć pewność, że królowa będzie używała jego perfum, i wiedząc, jak sobie ceni uwodzicielską moc, dodał do perfum potężny afrodyzjak o tajemnej, starożytnej recepturze. Powiedział Kleopatrze, że żaden mężczyzna nie zdoła się jej oprzeć.

- Jeśli wciągnie w płuca ten zapach - zapewnił ją - stanie się twoim niewolnikiem do końca życia.

Legenda głosi, że Kleopatra używała tych perfum, gdy siepacze Oktawiana przyszli ją zabić. Jak przewidział kapłan, ciało królowej zniknęło i nigdy się nie odnalazło. Krążyły pogłoski, że żyła w Grecji albo na Bliskim Wschodzie, gdzie prowadziła żywot zwykłej kurtyzany, bo wolala to, niż powrót do Egiptu i niechybną śmierć. Nie wiadomo, co się stało z perfumami. Czy kapłan je zniszczył? A może gdzieś ukrył?

Jak opowiadał dalej Ramzi, przez całe wieki opowiadano legendy o niezwykłych perfumach, szeptano o nich na dworze bizantyjskich cesarzy, w pałacach Medyceuszy, w komnatach i ogrodach Wersalu, w hiszpańskim Escorialu i w rozplotkowanych salonach napoleońskiej Francji.

Jakim jednak cudem ocalały? Ramzi wyjaśnił, że były ukryte w pojemniku z kalcytu, szczelnie zamknięte i chronione przed temperaturą i wilgocią. Na powierzchni wykryształizowała się naturalna skorupka z soli mineralnych, dzięki czemu perfumy przetrwały przez wieki w niezmiennym składzie. Raz na stulecie zdarzało się, że ich tajemnica wpływała gdzieś na światło dzienne, by znów zginąć w mrokach niepamięci.

Thorndike miał obsesję na punkcie legendy o perfumach Kleopatry i poświęcił

fortunę, by wysledzić ich pochodzenie. Trop zaprowadził go wreszcie do klasztoru ukrytego w górach na południu Włoch, gdzie tajemne stowarzyszenie mnichów odtworzyło recepturę, odczytując starożytną inskrypcję i wykorzystując starożytne olejki zapachowe, których zapachem był nasycony alabastrowy pojemniczek. Jednym z nich był olejek pochodzący z cyperianu, niemal mitycznej rośliny, którą znaleźć można jedynie na zboczach Himalajów.

Thorndike postanowił zdobyć przedmiot swego pożądanego. Uwiódł miejscową dziewczynę, przyrzekając małżeństwo, i przy jej pomocy wykradł perfumy z klasztoru.

Wabiły go tajemnicze skarby starożytnego Egiptu, więc zabrał młodą żonę i wyjechał z nią na Saharę. Przykazał, by używała perfum dla własnego bezpieczeństwa, jednak zapach okazał

się dla niej zbyt mocny i odurzający, toteż zlekceważyła polecenie męża. Niewiele czasu upłynęło, gdy pustynni koczownicy, toczący krwawą wojnę z innym plemieniem, napadli na obóz. Wywiązała się walka, w której zginęła żona Thorndike'a, on zaś popadł w depresję. Był

przekonany, że perfumy Kleopatry mogły ocalić jej życie.

Muszę przerwać, drogi czytelniku, bo właśnie lądujemy. Samolot zniża się, dlatego przeszkadza mi nieprzyjemny ucisk w uszach. W okienko stukają krople deszczu, ten dźwięk pozostaje w harmonii z równymi ruchami mego pióra. Wkrótce będziemy w Sztokholmie, skąd rozpocznę następny etap podróży do Berlina, gdzie czeka na mnie moje przeznaczenie.

Zanim tam dotrę, muszę skończyć historię perfum Kleopatry. Niewątpliwie masz teraz ochotę cisnąć pamiętnikiem o podłogę, rzucić ciętą uwagą czy grubym przekleństwem.

Czujesz się oszukany, uważasz, że wystrychnęłam cię na dudka, zmusiłam do czytania pikantnej

powieści, a nie prawdziwego dziennika. Zapewniam cię jednak, że każde moje słowo jest prawdą.

Ja także nie chciałam uwierzyć z tę historię i uznałam ją za wytwór imaginacji, dopóki nie przypomniałam sobie, co lord Marlowe opowiedział mi kiedyś o staroegipskiej „Księżce umarłych”. Starożytny papirus opisywał, jak kapłani IV dynastii, a więc ponad dwa tysiące lat przed panowaniem Kleopatry, stawali się bogami po przejściu okrytego tajemnicą mistycznego rytuału. Przez trzy dni i noce leżeli jak martwi w piramidzie, podczas gdy ich dusza, ka, wędrowała przez zaświaty. Czy to możliwe, by opowieść o perfumach Kleopatry była prawdziwa? Wciąż miałam wątpliwości.

Przestałam udawać ignorantkę w sprawach egiptologii. Ramzi, słysząc, ile na ten temat wiem, uśmiechnął się szeroko, ale nie zmienił ani słowa w swojej relacji. Dodał tylko, że jeden z kapłanów, lękając się o bezpieczeństwo swego bezbronnego ciała, sporządził

perfumy, które pozwalały mu zabierać ziemską powłokę na wędrowkę w czasie i przestrzeni.

Powszechnie wiadomo, wywodził dalej, że starożytni Egipcjanie mieli unikalną wiedzę na temat balsamowania zwłok. Czemu więc podaję w wątpliwość istnienie tajemnej receptury, pozwalającej na sporządzanie perfum, które dają człowiekowi szansę na nieśmiertelność?

Zadrżałam. Usłyszałam wyraźnie słowa ulicznego wróżbity: „Przed upływem dwóch tygodni spotka pani mężczyznę. Jego ogień strawi pani ciało aż do kości i straci pani kontrolę nad własnym życiem. U jego boku czeka panią nieśmiertelność”.

Mam nadzieję, że nadal mi towarzyszysz, drogi czytelniku, bo najdziwniejsza część tej historii dopiero nastąpi. Ale najpierw dotknij kart pamiętnika opuszkami palców, potrzyj i powąchaj. Nasyciłam je perfumami, by cię uwieść i zmusić do uwierzenia w moje słowa. Nie chcę jednak zmarnować zbyt wiele tej cudownej substancji.

Zawsze można wyprodukować więcej perfum, myślisz. Niestety, sekret przepadł, bowiem półprzytomny z gniewu i żalu Thorndike roztrzaskał tabliczkę, na której hieroglifami zapisano tajemnicę najważniejszego składnika perfum, owego klucza do nieśmiertelności.

Pochował żonę w starożytnej komorze grobowej i zostawił przy niej szkatułkę z cudownym smarowidłem, po czym wrócił do Anglii. Zdążył jeszcze spisać relację ze swoich przeżyć w Egipcie i opublikować na własny koszt dla potrzeb jednego z towarzystw okultystycznych.

Wkrótce potem umarł, zgorzkniały i bez grosza przy duszy. Ale legenda przetrwała.

Kiedy dragoman odkrył grobowiec w skalnym urwisku, jednym z jego łupów stało się pudełko z perfumami Kleopatry. Rozpoznał zapisane hieroglifami imię królowej i rozpytał

dyskretnie wśród archeologów, czy słyszeli legendę o pachnidłach królowej. Udało mu się odtworzyć historię zakochanego kapłana i jego niezwykłego daru. Uznał, że ma w rękach bardzo wartościową rzecz, toteż zwrócił się do Ramziego, by mu pomógł znaleźć kupca.

- Dlaczego nie zatrzymał ich dla siebie? - spytałam roztropnie.

- Egipcjanie są przesądni - wyjaśnił Ramzi. - Boją się przedmiotów, które należały do zmarłych. Dlatego je sprzedają.

- Więc w rzeczywistości nie ma żadnej ekspedycji do Doliny Królów? - Wciągnęłam się w jego opowieść tak bardzo, że zapomniałam o akcie seksualnym, przerwany w połowie.

- Nie. To ja sprzedaję perfumy. - Uśmiechnął się bez skruchy. - Dostaję swoją działkę.

To tylko biznes.

- Tylko biznes? - upewniłam się.

Westchnął głęboko, podniósł palcem moją brodę i zjrzał mi prosto w oczy. Czulałam jego oddech na wargach.

- Niezupełnie. Ty jesteś czystą przyjemnością.

- Weź mnie. Teraz.

- Kusisz mnie, moja śliczna Angielko. Masz urodę, która odbiera mężczyźnie rozum.

Jesteś jak faworyta sułtana, ikbal, najpiękniejsza odaliska w haremie. Kiedy na ciebie patrzę, kiedy cię dotykam, moja krew płonie. Przy tobie tracę panowanie nad sobą. Myślę tylko o tym, by jak najszybciej zerwać z ciebie ubranie i trzymać cię drżącą w ramionach. - Zacisnął

pięści z wyraźną frustracją. - Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Czuję się tak tylko wtedy, gdy osiągam kayf, ekstazę pod wpływem haszyszu. - Przerwał. - Nie, zanim zatracę się w twoich uściskach, musimy ustalić cenę za perfumy.

- Ramzi, zależy mi na tobie, nie na perfumach. - Nie chciałam dać się nabrać na jego bajkę.

- Nie zlekceważ mocy perfum tak łatwo, jak łatwo jest przesycać piasek między palcami - poprosił cicho. - Jesteś piękna, a Port Said nie jest bezpiecznym miejscem dla pięknych kobiet. - Pocałował mnie lekko w kark. - Nie chcę, żeby coś ci się stało.

Zawołwana groźba zmroziła mnie, jednak nie chciałam pokazywać po sobie strachu.

- Jaki mam dowód, że perfumy ochronią mnie przed gwałtowną śmiercią?

- Udowodnię ci to - szepnął.

Starłam się trzymać prosto, choć odurzający zapach sprawiał, że słańiałam się na nogach. Na widok sztyletu, który Ramzi trzymał mocno w garści, celując we mnie szpiczastym końcem, serce załomotało mi w piersi i nagle oprzytomniałam. Jego oczy wydały mi się bardziej przerażające niż nagie ostrze. Jego oczy. Było w nich szaleństwo. On chce mnie zabić! Idiotka, co ja najlepszego

zrobiłam? Pozwoliłam, by mnie zabrał na tę erotyczną odyseję, a na koniec zamordował. Ale dlaczego? Na pewno nie wierzy w tę bajkę, że perfumy mają magiczną moc i chronią osobę, która ich używa. To jakieś wariactwo. Zbyt nieprawdopodobne, by było prawdziwe.

Szarpnęłam się z całych sił, ale więzy trzymały. Kopałam nogami jak dziki mustang, wiedziałam, że grozi mi śmierć, a nie wyimaginowane niebezpieczeństwo. Pot lał się ze mnie strumieniami, byłam śliska jak piskorz, toteż Mahmud miał kłopoty z unieruchomieniem mnie. Wreszcie chwycił moje stopy i uwięził w jednym miejscu. Nie byłam w stanie się wyrwać. Wrzeszczałam ze strachu. Pot zalewał mi oczy. Nie widzę. Nic nie widzę.

Oddychałam spazmatycznie i trzęsłam się cała.

- Ramzi, błagam, nie rób tego!

- Nie bój się, moja śliczna, ciemność nie potrwa długo...

Otworzyłam usta do wrzasku, ale intensywna woń perfum obezwładniła mnie.

Korzenna, zmysłowa. Kręciło mi się w głowie, szybko, coraz szybciej. Straciłam czucie w rękach i nogach, w ustach wyschło, nie byłam w stanie przełknąć śliny. Straciłam smak, nawet łzy i pot były jak woda. Wszystkie zmysły mnie opuściły, z wyjątkiem jednego...

Zapach.

Przepyszny, orientalny, ciężki zapach wypełniał nozdrza, wnikał w pory - niewidzialna kwintesencja erotyzmu. Ostatnim wysiłkiem woli otworzyłam oczy. Nade mną wisiał sztylet, o centymetry od mojego gardła. Jeszcze mgnienie oka, a z ogromną siłą zagłębi się w moim ciele.

5

Zimno mi. Potwornie zimno. Szczękam zębami, trzęsę się cała. Do diabła, nic nie czuję. Ręce i nogi zupełnie bezwładne, jakbym ich nie miała. Czy jestem martwa?

Otwieram oczy. Rzęsy są tak ciężkie, jakby były sklejone. Bursztynowe światło przeświecła czerwone kamienne ściany. Widzę na nich niewyraźne ślady malowideł, kapłan w skórze lamparta podaje faraonowi ankh, symbol życia. Kobiety w szerokich sukniach układają sobie nawzajem fryzury, długie warkocze poruszają się przy każdym skinieniu głowy.

Ściany się zbliżają, zasklepiają nade mną. Mam poczucie, że jestem zamknięta, ale to nie więzienie, malowane figury strzegą mego bezpieczeństwa, są przewodnikami w drodze do... dokąd? Gdzie jestem? Ostatnie, co pamiętam, to...

Ramzi. Sztylet. Nie, nie, nie. Jestem martwa.

Chyba że...

Perfumy Kleopatry? Boże, czy naprawdę istnieje coś takiego?

Nie wierzę.

Dotykam policzka i zauważam na palcu ogromny rubin oprawiony w perły. Pierścień Ramziego. Mgielka drobnutkiego piasku osypuje się na moje piersi, ziarenka są jak lodowate palce, zsuwają się niżej, między uda. Poruszam się, oczekując, że pojawi się znajomy płomień, ale nie dzieje się nic. Piasek wiruje wokół, wije się węzowym ruchem, jakby otulał mnie ochronnym kokonem. Podnoszę dłoń i dotykam ściany. To nie ściana. Leżę w ogromnym sarkofagu, podobnym do sarkofagu Cheopsa z Wielkiej Piramidy w Gizie. Starożytni wierzyli, że piramidy wywierają fizyczny efekt na każde żywe stworzenie. Czy mogą też przedłużać życie?

Odprężam się. A więc legenda jest prawdą.

Piasek otula moje ciało jak leciutki wełniany koc, czuję, jak rozgrzewają mi się stopy...

potem palce... Jestem taka śpiąca... zmęczona. Mam poczucie, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

Strach ustępuje. Zamykam oczy i zasypiam mocnym snem, jak faraonowie w ich piramidach.

Wierzysz mi, drogi czytelniku? Ja uwierzyłam. Otumaniona narkotykiem, wyczerpana seksem i stresem, padłam ofiarą spisku, który miał mnie przekonać, że uniknęłam śmierci dzięki magicznym właściwościom perfum Kleopatry. Bardzo chciałam uwierzyć, bo całkiem straciłam głowę dla Ramziego, miałam wręcz obsesję na jego punkcie. Wtedy nie byłam gotowa na trzeźwą refleksję. Niczym w szalonym śnie żyłam z dnia na dzień całkowicie skoncentrowana na sobie, unoszona na skrzydłach romantycznego zauroczenia. To zauroczenie znajdzie swój ślad na następnych stronach pamiętnika, być może nawet nada im charakter sentymentalnego romansidła, ale uprzedzam, drogi czytelniku, już wkrótce pojawią się całkiem nowe postacie. Tymczasem chciałabym zaspokoić twoją ciekawość i opowiedzieć, jak zakończyła się historia tajemniczego zniknięcia. Kiedy się obudziłam, byłam we własnym pokoju hotelowym, owinięta białą atlasową narzutą. Ktoś wsuwał mi między wargi kandyzowany owoc. Miodowa słodycz budziła przyjemne skojarzenia. Bardzo dziwne, przynajmniej.

- Dzień dobry, moja piękna angielska różo.

Ramzi. Zamrugałam oczami i przetarłam je, by go lepiej widzieć. Uśmiechał się do mnie bez cienia niepokoju i czekał, aż coś powiem. Byłam pewna, że moje oczy wyrażają nieme pytanie, ale nie odpowiedział. Podał mi tylko kolejny, wyborby w smaku owoc.

Polizałam jego palce. Były słodkie.

- Co się stało? - wykrztusiłam wreszcie, potem dotknęłam szyi i czoła. Wszystko było w porządku, tylko głowę rozsadzał tępy ból.

- Perfumy ocaliły cię przed moim sztyletem - wyjaśnił bez wahania.

- Nie wierzę. - Pokręciłam energicznie głową. To absurdalny pomysł. Dlaczego w ogóle na serio go rozważałam? Miałam znacznie prostsze, bardziej racjonalne wyjaśnienie.

Do mojej herbaty wrzucono narkotyk. Byłam nieprzytomna, kiedy Ramzi wraz ze swym sługą przenieśli mnie do krypty i umieścili w sarkofagu sprowadzonym tutaj z Kairu lub Luksoru. Żadne inne wytłumaczenie moich doznań nie miało sensu.

Chwycił mnie za ramiona i potrząsnął z wyraźnym poirytowaniem.

- Dlaczego nie chcesz uwierzyć w niezwykłą moc perfum? Ocaliły ci życie, gdy znalazłaś się w niebezpieczeństwie.

- Jakim niebezpieczeństwie? - spytałam z naiwnym uśmiechem. - Przecież nie zrobiłbyś mi krzywdy.

Złość go opuściła, przez chwilę wydawał mi się młodszy, bardziej niewinny, ale ściągnięte brwi na powrót nadały jego przystojnym rysom zawzięty, niebezpieczny wyraz.

Wyczułam w jego głosie ostry ton, gdy powiedział:

- Prawdziwy mężczyzna jest gotów na niewyobrażalne rzeczy, by zdobyć serce pięknej kobiety.

- Może nawet uknuć tak skomplikowaną intrygę?

Oczy mu pociemniały z gniewu. Wyraźnie akcentując każde słowo, abym go lepiej zrozumiała, wyskandował powoli:

- Przyznaję, że usiłowałam cię nabrać na historyjkę z ekspedycją archeologiczną poszukującą zaginionego grobowca egipskiej królowej, ale każde słowo na temat perfum Kleopatry jest prawdą.

Nie byłam w stanie tego wysłuchiwać. Rzuciłam się na niego z pięściami.

- Przestań mnie oszukiwać!

Chwycił mnie za przeguby i brutalnie przytrzymał. Zaczepnęłam powietrza, zaskoczona przyjemnym podnieceniem, jakim zareagowałam na tę demonstrację siły fizycznej. Zorientował się błyskawicznie i natychmiast wykorzystał swoją przewagę.

- Wysłuchasz mnie, moja mała Angielko, nawet jeśli będę musiał...

- Związać mnie i wziąć siłą?

- Spełnię twoje życzenie, ale najpierw...

Nie protestowałam, gdy ściągnął zielony pas i przywiązał moje ręce do zagłówka tradycyjnego europejskiego łóżka. Reszta pokoju była urządzona w arabskim stylu: zwisające ze ścian kotary wykończone perłami, ciężki perski dywan na podłodze i niska sofa obita złotą tkaniną, na której piętrzyły się białe poduszki.

Szarpnęłam się mocno.

- Nie ucieknę ci. Zadowolony?

- Nie. Najpierw mnie wysłuchasz.

Chciałam się z nim kochać, więc słuchałam.

- Dragoman, który znalazł perfumy, wkrótce się przekonał, jaką mają moc.

- W jaki sposób? - spytałam sceptycznie. - Sam ich użył?

- Ocaliły jego ukochaną przed pałającą gniewem tłuszczą.

- Chętnie posłucham.

Według Ramziego dziewczyna natarła się perfumami, nie znając ich magicznych właściwości. Przewodnik i jego kochanka pochodzili z dwóch skłóconych plemion pustynnych nomadów, a kiedy starszyzna rodowa dowiedziała się o romansie, skazała młodą kobietę na śmierć przez ukamienowanie. Gdy pierwsze kamienie poleciały w stronę nieszczęśnicy, podniosła ręce, by osłonić głowę... i zniknęła sprzed oczu rozjuszonych pobratymców. Ponieważ znali starożytne legendy, domyślili się cudownego działania perfum.

Każdy chciał zdobyć je na własność. Wywiązały się krwawe bójki, w których zginęło kilku mężczyzn. Przerażony dragoman zabrał ukochaną i uciekł, a potem zwrócił się do Ramziego o pomoc w sprzedaży magicznego pachnidła, by mieć fundusze na spokojne życie z wybranką.

- Opowiadasz cudowne bajki, Ramzi - rzuciłam ze śmiechem - ale nadal mnie nie przekonałeś.

Uśmiechnął się wyzywająco i nabrał na palec przezroczyste mazidło z małego alabastrowego pudełka.

Skąd się tu wzięło? - zachodziłam w głowę.

Roztarł substancję na rękach i wmasował w swój tors, po czym rozwiązał mnie i podał

mi sztylet. Skierował jego szpic na lewą pierś i przycisnął tak mocno, że na skórze ukazała się kropelka krwi.

- Pchnij mnie prosto w serce.

- Nie mogę. Na pewno tego nie zrobię.

- Dźgnij.

- Nie.

- Musisz. Zagrożony gwałtowną śmiercią po prostu zniknę.

- Naprawdę wierzysz w tę bajkę?

- Tak.

- Zaryzykujesz własne życie, byle tylko mnie przekonać?

- Tak. Czy nie widzisz, jak cię uwielbiam? Śnię o twoich oczach, ustach, alabastrowej skórze. Odważyłem się obnażyć twoje skrywane pragnienia, ale to mi nie wystarcza. Chcę cię mieć na zawsze. Cokolwiek się stanie, perfumy Kleopatry ochronią cię przed niebezpieczeństwem.

- Jesteś szalony!

- Straciłem dla ciebie głowę, zignorowałem rozum, gotów jestem własną duszą zapłacić za grzechy, ale nic nie jest ważniejsze niż ty. Nic!

- Ramzi, ja...

- Cicho. Pozwól, że ci pokażę, jak bardzo cię pragnę.

Zerwał ze mnie białe satynowe okrycie, poświęcił chwilę uwagi piersiom, szczypiąc je i drażniąc, rozłożył szeroko moje uda i energicznie wepchnął we mnie palec. Uniosłam biodra, by mu ułatwić penetrację, i pojękiwałam wyczekująco, gdy pocierał moją łechtaczkę, wprowadzając ją w równy rytm, umiejętnie rozdmuchując we mnie ogień pożądania. Zanim jednak rozgorzało pełnym płomieniem, cofnął palec. Czy tym razem użyje języka?

Mruczałam zachęcająco. Na co jeszcze czeka?

Upuściłam sztylet na pościel, nie dbając o to, że zagubi się wśród prześcieradeł.

Chciałam w sobie poczuć Ramziego, gorącego i twardego. Czy uwierzyłam w jego opowieści? Nie. Podobało mi się, z jaką żarliwością usiłował mnie przekonać, cała ta barwna narracja, a także brawura, z jaką przyłożył sobie sztylet do serca. Byłam jednak nowoczesną, racjonalnie myślącą kobietą, zdolną do wywęszenia oszustwa nawet w romantycznym przebraniu. Musiał wiedzieć, że nie spróbuję go zabić. Po co mu były te gierki?

Pewnie uważa, że jestem taka jak inne kobiety z jego świata, przekonywałam sama siebie, odaliską o powłóczyстым spojrzeniu oczu obwiedzionych czarnym tuszem. Uległam istotą niezdolną do samodzielnego podejmowania decyzji.

Cóż, skoro tak mu zależało, by kontrolować sytuację, nie zamierzałam się z nim sprzeczać.

Wygięłam się w łuk, gdy wsunął się we mnie jak w ciasną rękawiczkę. Zaczął się poruszać z gorączkowym pośpiechem i energią, wkrótce doprowadzając nas do stanu absolutnej ekstazy. Wstrząsały mną spazmy orgazmu, gdy wystrzelił we mnie swój gorący ładunek. Wtedy podjęłam decyzję. Zrobię wszystko, o co mnie poprosi. Przekażę mu pieniądze na zakup perfum Kleopatry.

Niech myśli, że uwierzyłam w ich magiczne właściwości. W końcu czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Następnego ranka wysłałam do pani Wills telegram z instrukcją przekazania mi stosownych funduszy.

Ramzi zniknął wkrótce po tym, gdy wręczyłam mu gotówkę. Gdy to dotarło do mnie, zaniemówiłam, nie byłam w stanie oddychać, a potem popadłam w głęboką depresję. Był to cios, który odebrałam jak fizyczne uderzenie, które rozdziera wnętrze. Wbił mi sztylet w serce, a ja kompletnie się tego nie spodziewałam.

W zaciszu pokojowego hotelu biłam pięściami, przeklinałam na cały głos, plułam, wymawiając imię Ramziego, wreszcie cisnęłam butem o ścianę z taką siłą, że zламаłam obcas. Miałam ochotę zrobić to samo z pudermem zawierającym perfumy Kleopatry, ale przeszkodził mi uporczywy dzwonek telefonu. Lady Palmer nie mogła się powstrzymać od wtrącenia swoich trzech groszy. Była przekonana, że Ramzi został okradziony z pieniędzy i zamordowany. Słyszała też plotki, że ukrył się na pustyni albo uciekł do Kairu, gdzie przybrał

nowe nazwisko, nową tożsamość i powrócił do oszukańczego rzemiosła.

Jakiegokolwiek powody skłoniły go do porzucenia mnie, nie mogłam zostać w Port Saidzie. Latem 1939 roku panował tu absolutny chaos. Rojło się od Greków, Włochów, Syryjczyków, Ormian i żydowskich uciekinierów z wszystkich stron Europy. Nie zwracałam na nich uwagi. Byłam pochłonięta odtwarzaniem każdej chwili spędzonej z Ramzim, przypominaniem sobie każdego przenikliwego spojrzenia, każdej pieszczoty, każdego miłosnego pchnięcia jego lancy. Użalałam się nad sobą, a jednocześnie wyrzucałam sobie niewybaczalną naiwność, z jaką uległam emocjom i marzeniom. Skąd ta chorobliwa obsesja na punkcie Ramziego? Co o nim wiedziałam? Nic. On również znał mnie tylko jako lady Marlowe, drogi czytelniku, i na tym poprzestańmy. Ujawnianie szczegółów mojej przeszłości niepotrzebnie przykułoby ludzką uwagę, może nawet ściągnęło na mnie poważne zagrożenie.

Nie zamierzam aż tak ryzykować. Wystarczy, jeśli będziesz wiedzieć, że byłam bardzo niepewna siebie i wątpiłam, by jakiegokolwiek mężczyzna - z wyjątkiem zmarłego męża - mógł

mnie kochać taką, jaka jestem.

Życie w Port Saidzie toczyło się normalnie. Herbatki, dancingi, nudne wieczorki bridżowe, spacerzy na plaży. Minął tydzień, drugi, trzeci. Ból stępsiał, zamienił się w drętwość, wreszcie miałam dosyć biadolenia. To do niczego nie prowadziło. Nie żał mi było pieniędzy, które dałam Ramziem. Byłam jedyną dziedziczką ogromnego majątku lorda Marlowe'a, więc po prostu spisałam na straty kwotę zainwestowaną w perfumy. Postanowiłam wyjechać z Port Saidu i przyjąłam propozycję lady Palmer, by wspólnie z nią i jej krnąbrną córką wyprawić się do Bombaju.

Powinnam w tym miejscu wspomnieć, że Flavia po incydencie z Ramzim stała się jeszcze bardziej nieznośna. Była ładną dziewczyną z wielkimi sarnimi oczami, wysoką i długonogą rasową arystokratką. Z gracją nosiła jedwabne sukienki, które podkreślały smukłą talię i zmysłowe ruchy bioder. Nie darowała mi tego, że przerwałam jej sprośną schadzke.

Długo nie była mi w stanie spojrzeć w oczy, choć zachowałam jej wyskok w tajemnicy przed matką, mówiąc jedynie, że znalazłam ją z drinkiem w ręku w podejrzanym barze. Miałam swoje sekrety i liczyłam na to, że znajdę we Flavii sojuszniczkę, ale bardzo mnie rozczarowała, gdy lekceważąco odrzuciła ofertę przyjaźni. Jako osoba urodzona bez tytułu, byłam dla niej niewidzialna. Flavia Palmer, piękna, rozpieszczona, przywykła do stawiania na swoim, miała pochodzenie, za które dałabym się pokroić w kawałki, dobre maniery, których ja musiałam się uczyć całymi latami, a także zdolność do regeneracji, tę cudowną cechę młodości. Byłam absolutnie pewna, że już wkrótce z łatwością znajdzie kolejnego kochanka, który zaspokoi jej seksualny głód.

Tymczasem ja cierpiałam, bezskutecznie usiłując zapomnieć mężczyznę, którego znałam jako Ramziego. Perfumami, które od niego dostałam, przesycone było nie tylko moje ciało, ale i dusza. Tak, uzależniłam się do tego zapachu. Nasączyłam pachnidłem batystową chusteczkę i wtykałam ją w stanik między piersiami. Dlaczego? A czemu kobieta cierpiąca z powodu utraconej miłości robi różne dziwne rzeczy? Czy znasz odpowiedź, drogi czytelniku?

Bo ja nie.

Jeszcze bardziej zdziwiło mnie, że pod pewnymi względami stałam się podobna do Flavii.

Ten kłopotliwy aspekt mojej osobowości objawił się pewnego dnia, gdy wybrałam się z lady Palmer i jej córką na targ w Port Saidzie. Czarnoskóre kobiety sprzedawały różne gatunki kawy, brązowe ziarenka złościły się w palącym słońcu, rozrzucone na czerwonych plecionych matach, kiedyś krwistoczerwonych, a teraz spłowiałych i wysłużonych. Na szyjach handlarek połyskiwały sznury paciorków. Gestykulowały zawzięcie, wychwalając swój towar i zaczepiając przechodniów.

Pulchna kobieta w czarnej abai i kwefie szturchnęła lady Palmer koszem, aby zwrócić uwagę na oferowany wybór kawy. Potrąciła ją tak mocno, że kapelusz angielskiej damy przekrzywił się, ona zaś stanęła jak wryta. Flavia uznała, że jej matka została obrażona i mocno popchnęła Arabkę, która syknęła na nią jak wściekła kotka. Młoda milady tylko się zaśmiała i poszła dalej, roztrzając grupkę brudnych dzieci proszących o bakszysz.

- Cóż to za brudni, nachalni ludzie - skomentowała, zapalając papierosa. - Będę szczęśliwa, gdy wyjedziemy. - Dmuchnęła dymem w moją stronę i powiedziała uszczypliwie:

- Szkoda, że nie bawiłam się tu tak dobrze jak lady Marlowe.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, gdy lady Palmer wyrwała papierosa z ust córki i rzuciła go na ziemię. Wokół niedopałka od razu zakotłowały się dzieci.

- Nie pal, Flavio. Co by ojciec na to powiedział?

- Jak zwykle nic. - Wzruszyła ramionami.

- A miałam nadzieję, że podróże ucywilizują trochę moją córkę - powiedziała smutno starsza dama.

- Szkoda, że nie dostała swojej porcji klapsów - wsparłam ją, pewna, że Flawia chętnie wydrapałaby mi oczy za tę uwagę, podczas gdy jej matka nie miała pojęcia o złośliwej insynuacji

ukrytej w moich słowach.

Lady Palmer była pochłonięta oglądaniem towaru w małym sklepiku, który sprzedawał skarabeusze rzekomo pochodzące z grobowca faraona Tutenhamona, sznury paciorków i statuetki półnagich bogiń. Figurki pokryte były białym pyłem, który pobrudził mi rękawiczki. Zirytowana na grubiańskie zachowanie Flavii, sama urządziłam awanturę biednemu kramarzowi. Kłaniał się w pas, przeproszał i usiłował otrzepać kurz z rękawiczek, ale nie był w stanie mnie ułagodzić.

Wypadłam na zewnątrz, wściekła na niego i na siebie. Co się ze mną dzieje, dlaczego zachowuję się w ten sposób? Perspektywa podróży do Bombaju w towarzystwie lady Palmer i jej córki nagłe straciła swój powab. Podjęłam decyzję, szukając sposobu na samotność, ale nie mam zamiaru znosić bezczelności tej dziewczyny. Nie potrafię funkcjonować w świecie, który pozostaje w sprzeczności z moją naturą. Lady Palmer będzie musiała udać się do Bombaju beze mnie, zdecydowałam. Nie wyjadę z Port Saidu, dopóki nie odnajdę Ramziego i nie powiem mu, co o nim myślę.

I dopóki nie zobaczę raz jeszcze tego wspaniałego męskiego ciała? Czy aż tak silna jest tęsknota za zakazanymi przygodami, seksualna gorączka, żyłka awanturnicza? Czy jestem aż taką idiotką, że nie dbam o opinię innych, którzy zorientują się, jak bardzo jestem zainteresowana Ramzim?

Tak, odpowiedziałam sobie. Tego chcę i do diabła z tym, co pomyślą inni.

Ożywiona nową energią nie zwracałam uwagi na otoczenie. Mały chłopiec wycierał

moje buty brudną szmatą, a dziewczynka podtykała mi pod nos zwiędniętą różę. Sięgnęłam do torebki i podałam mu jednego piastra, a jej dwa, potem pośpiesznie ruszyłam w dół ulicy, ciągnąc za sobą lady Palmer. Minęłyśmy sklepik rzeźnika, kramik szewca, klatki pełne gołębi i stoisko sprzedawcy cebuli, przedarliśmy się przez stado kóz, aż wreszcie opuściłyśmy targ.

Zbliżała się piąta po południu, pora herbaty, choć tym razem potrzebowałam czegoś mocniejszego, by się uspokoić, zwłaszcza że Flavia nie przestawała wygłaszać uszczypliwych uwag pod moim adresem. Marudziła, jak bardzo jest znudzona i jak bardzo się dziwi, co przystojny mężczyzna może dostrzec w starszej kobiecie.

- Nic dziwnego, że wyjechał z Port Saidu sam - syknęła jadowicie. - Dostał, czego chciał.

- Pilnuj języczka, Flavio, jeśli nie chcesz spędzić następnych sześciu miesięcy, podróżując po krajach Orientu w towarzystwie mamy - odparowałam i rozejrzałam się, by się upewnić, że lady Palmer nie słyszała mojej uwagi. Została z tyłu, bo zagroził jej drogę wielbłąd. Zanim zdołałyśmy przyjść jej z pomocą, zwierzę zerwało jej z głowy kapelusz z wielkim piórem.

- Mój kapelusz! - zawołała przerażona.

Chciało mi się śmiać, ale się powstrzymałam. Miała szczęście, że wielbłąd nie odgryzł

jej ucha.

- Lady Marlowe - prosiła - musi pani odzyskać mój kapelusz z pyska tej paskudnej bestii. To

najnowszy model od modystki z Bond Street.

- Z pewnością, droga lady Palmer - uspokoiłam ją z uśmiechem.

Puściłam się w pogoń za dromaderem, który biegł truchtem z nakryciem głowy w zębach. Ścigałam go przez zatłoczone uliczki, aż stwierdziłam, że znalazłam się w podejrzanej części miasta.

W dodatku takiej, którą znałam aż za dobrze.

Po drugiej stronie ulicy dostrzegłam bar „Supplice”. Był opuszczony i zamknięty na cztery spusty. Serce mi waliło jak opętane, a wargi poruszały się w bezgłośnej modlitwie, gdy przypominałam sobie niezwykle przebudzenie, które przeżyłam w kamiennych ścianach przypominających grootę. Piękno tych chwil przesyconych zmysłowością wciąż we mnie żyło.

Jednak za chwilę pojawiło się uczucie pustki i dotarł do mnie smutek tego opuszczonego miejsca. Podniecający świat iluzji, którego magia wciąż mnie nawiedzała, przestał istnieć wraz z wyjazdem Ramziego.

Niemal uszło mojej uwagi, że jakaś młoda kobieta podaje mi kapelusz z piórami, który wielbłąd wreszcie wypuścił z pyska.

- Dziękuję. Jego właścicielka będzie bardzo zobowiązana - powiedziałam machinalnie, nie podnosząc wzroku.

Otworzyłam torebkę, by wyjąć z niej napiwek, gdy dziewczyna wykrzyknęła:

- Pani jest Angielką!

- Tak. Nazywam się lady Marlowe - potwierdziłam, przyglądając się jej.

- Musi... po prostu mi pani pomóc przedostać się do Anglii, zanim będzie za późno. -

Po akcencie można było poznać, że jest cudzoziemką. Mówiła prędko, jakby nie miała czasu do stracenia.

Cofnęłam się, nie chciałam angażować się w cudze sprawy.

- Za późno na co? Kim pani jest?

Wymieniła imię i nazwisko, ale nie zapamiętałam go, w każdym razie była Niemką, jeśli się nie mylę, być może niemiecką Żydówką. Zaniepokoiłam się. Kurczowo chwyciła mnie za ramię i błagała o pomoc. Wyrwałam się jej. Była bardzo młoda, najwyżej osiemnastoletnia. Miała na sobie dobrze skrojony brązowy kostium, który wcale do niej nie pasował. Pachniała... strachem.

Z oczami pełnymi łez wyjaśniała mi gorączkowo, jak strasznym zagrożeniem dla Żydów są ustawy norymberskie i co działo się podczas nocy kryształowej, gdy hitlerowskie bojówki urządziły pogrom w żydowskich dzielnicach, paląc synagogi, wybijając szyby, plądrując sklepy, mordując

mieszkańców. Nikt nie chciał przyjmować żydowskich uciekinierów. Zupełnie nikt. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone odmówiły jej prawa wjazdu, więc wsiadła na włoski statek „Conte Rosso”, by znaleźć się jak najdalej od faszystowskich Niemiec. Jednak jest tylko jedno miejsce na świecie, gdzie przyjmą ją bez wizy w paszporcie.

- Jakże? - spytałam bardziej z uprzejmości niż ciekawości.

- Szanghaj.

- Piękne miasto. Koniecznie powinna pani zatrzymać się w „Cathayu” albo przynajmniej wpaść tam na koktajl. - Hotel był znany z ekskluzywnej klienteli. Rzuciłam parę uwag na temat przedstawicieli świata literackiego, których widywałam w tamtejszym barze.

Nie zwracałam uwagi na wyraz twarzy dziewczyny. Chciałam się jej pozbyć. Zamknięte wejście do baru „Supplice” przyciągało mnie z magnetyczną siłą. Tęskniłam za ramionami Ramziego, za jego zmysłowym głosem, za erotycznymi ekstrawagancjami. Karmił mnie kłamstwami, ale nie dbałam o to.

Młoda Żydówka nie dawała mi spokoju, błagała o pomoc. Starłam się ją ignorować.

Jakie znaczenie mogą mieć dla mnie jej problemy? Z pewnością w Niemczech nie jest aż tak źle. Byłam wszak w Berlinie z lordem Marlowe'em na wernisażu mojej przyjaciółki, Maxi von Brandt, która wystawiała swoje prace fotograficzne. Znałyśmy się sprzed lat, gdy pracowałyśmy w kabarecie. Ja tańczyłam, ona robiła zdjęcia. W wolnych chwilach podrywałyśmy nieznanym i piłyśmy drinki w modnych nocnych lokalach. Rozkoszne czasy, rozpustne i zwariowane dni Republiki Weimarskiej.

- Lady Marlowe, proszę mnie wysłuchać. Nie ma pani pojęcia o tym, co dzieje się w Niemczech pod rządami Hitlera. Nocne aresztowania, wysyłanie Żydów do obozów pracy...

- To wszystko niepotwierdzone plotki. - Unikałam spojrzenia jej prosto w oczy, nie wierzyłam w historyczne oskarżenia. Młode dziewczyny są skłonne do melodramatycznych scen. Zapewniłam, że nie mogę nic dla niej zrobić, ale w rzeczywistości puszczałam jej błagania mimo uszu. Jedyne, co się dla mnie liczyło w tym zakazanym zaułku, to zaryglowane wejście do baru „Supplice”. Cierpiałam na myśl, że ta kapiąca przepychem kryjówka wyrafinowanej dekadencji, w której obnażyłam nie tylko ciało, ale i duszę, zamieniła się w opustoszałą siedzibę szczurów.

Pochłonięta własnym nieszczęściem, nie słuchałam jękliwych skarg młodej Żydówki.

Domagała się ode mnie, bym zaalarmowała cały świat wieścią, jak niewyobrażalny jest los niemieckich Żydów. Obozy, gwałty, śmierć...

- Nie wyostałabym się, gdyby jakiś mężczyzna nie zabrał mnie z sobą do Genui - przyznała.

- Mężczyzna? Więc czemu teraz prosi mnie pani o pomoc?

- Nic pani nie rozumie. Dał mi paszport i kazał mówić, że jestem krawcową.

- Dlaczego krawcową?

- Zapewnił, że jeśli będę mu posłuszna, unikniemy kłopotów ze strażą graniczną i celnikami.

- I pani... była mu posłuszna? - Byłam świadoma, że w moich słowach ukryta jest insynuacja.

- Nie miałam innego wyjścia, milady. - Umknęła wzrokiem.

Pomyślałam o sytuacji z mojej wczesnej młodości, gdy byłam od włoś od wpadnięcia w podobną pułapkę na tyłach berlińskiego nocnego lokalu. Nidoszły alfons został napadnięty przez miejscowych rzezimieszków, a ja rzuciłam się do ucieczki i nawet się za siebie nie obejrzałam.

- Czy teraz pani rozumie, dlaczego potrzebuję pani pomocy, lady Marlowe? Bez rodziny i dokumentów w Szanghaju będę skazana na...

- Rozumiem. - Sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam kilka banknotów. Miałam je podać dziewczynie, gdy przerwało nam jakieś zamieszanie za plecami.

- Lady Marlowe, jak wspaniale, udało się pani odzyskać mój kapelusz!

To była lady Palmer, która energicznie kroczyła w naszym kierunku w towarzystwie córki. Ale kim był podejrzany osobnik w ciemnej marynarce i muszce, białych spodniach i słomkowej panamie na głowie? Wyraźnie utykał, jakby miał chorą nogę. Zaniepokoiło mnie, że prawą rękę trzymał w kieszeni. Czyżby sięgał po pistolet?

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekłam, pomagając jej założyć kapelusz na upięte włosy, a jednocześnie rzucając ukradkowe spojrzenia w kierunku mężczyzny.

Zaczęłam rozmawiać z lady Palmer o wielbłądzie, który ośmielił się zerwać jej nakrycie głowy. Głupia paplanina, ale pozwoliła mi powrócić do świata uprzywilejowanych, do którego tak fortunnie się zaliczałam.

Kiedy odwróciłam się do młodej Żydówki, by jej wręczyć pieniądze, człowiek w panamie trzymał ją mocno za łokieć i zdążył odprowadzić na sporą odległość w przeciwnym kierunku. A potem zniknęli mi z oczu. Udali się razem do Szanghaju, jak sędzę.

Sumienie mnie dręczyło, więc podczas popołudniowej herbaty zrelacjonowałam całą historię lady Palmer. Wiedziałam, jaki los czeka w Szanghaju białe kobiety bez grosza przy duszy. Nie powstrzymało mnie nawet to, że moja arystokratyczna towarzyszka była bliska omdlenia, gdy mówiłam o epidemiach, które dziesiątkują dzielnice biedoty tego przeludnionego miasta. Handlarze niewolników zmuszali bezbronne kobiety do oddawania się klientom w zadymionych jaskiniach hazardu i rozpusty. Posłusznie ulegały obmacującym je łapom, niecierpliwym ustom i palcom penetrującym intymne miejsca, a jedyną ucieczką było opiumowe odurzenie. W krótkim czasie nałóg odbierał kolor policzkom, ciała stawały się coraz bardziej kuche, przypominały szkielet obciążony ziemistą skórą, aż wreszcie śmierć przynosiła wyzwolenie.

Lady Palmer uznała całe zajście za przedstawienie odegrane w celu wyłudzenia ode mnie pieniędzy, tym bardziej że tydzień wcześniej na bazarze jakaś kobieta podeszła do niej i opowiedziała podobną historię.

To mnie nie pocieszyło. Gdy znalazłam się w swoim pokoju, padłam na łóżko, szlochając rozpaczliwie. Co ze mnie za człowiek? Mam pieniądze, należę do uprzywilejowanej elity, a jednak nie zrobiłam nic, by pomóc młodej Żydówce.

Nie, stanowczo lady Palmer ma rację, przekonywałam sama siebie. Cała ta opowieść była jednym wielkim oszustwem. Już raz dałam się nabrać Ramziemu i powtórnie na to nie pozwolę. Nie jestem nic winna tej dziewczynie.

Udało mi się wreszcie przeboleć ów żaloszny incydent. Pocieszyłam się myślą, że niezależnie od surowości obyczajów charakteryzującej angielskie wyższe sfery, bez problemu znajdę dżentelmenów chętnych do tego, by służyć mi swoim towarzystwem na wyścigach czy w teatrze. Trudniej będzie znaleźć stałego kochanka. Swoboda seksualna jest przywilejem mężczyzn, dobrze urodzeni panowie potrafią nawet uczynić z niej coś w rodzaju sportu, jak wyścigi czy polowanie, choć muszę się przyznać, że mnie także zdarzały się jednonocne romanse w sielskiej scenerii wiejskich posiadłości.

Tym razem postanowiłam zapolować na grubszą zwierzynę. Ramzi. Zaczęłam go poszukiwać z obsesyjnym uporem. Skorzystałam z nieograniczonych możliwości finansowych i sypnęłam groszem przewodnikom, by wywęszyli jego ślady, a przez koneksje towarzyskie dotarłam do miejskich oficjeli w Kairze, wreszcie przekupiłam urzędników bankowych, by dowiedzieć się czegoś na temat stanu jego konta. Zajęta prywatnym śledztwem zupełnie zapomniałam o młodej Żydówce. Jeśli jej smutna historia obudziła moje zainteresowanie, wyparowało ono jak krople rosy zlizane gorącym językiem słońca. Nie przyjmowałam do wiadomości problemów świata stojącego na krawędzi wojny i odsuwałam je od siebie równie łatwo, jak eliminowałam z życia wszystko, co nie spotykało się z moją aprobatą - czy była to słaba herbata, bawełniane majtki czy wścibska służąca. Nie wiedziałam, że rzeczywistość i tak mnie dopadnie. Ziarna wojny pęczniały, puszczały korzenie, kiełkowały i rozrastały się, hodowane przez ludzi, którzy - podobnie jak ja -

udawali, że ich nie dostrzegają. Przyznam, że miałam osobiste powody, by ignorować problemy współczesnego świata, choć nie wyjawię ich tutaj, obawiając się, że wzbudziłyby twoją pogardę, drogi czytelniku.

Kulę się w sobie, przerwałam pisanie, bo złapał mnie kurcz ręki, jednak zwalczę fizyczny dyskomfort i zmierzę się z prawdą: stałam się bezwzględna, zachłanna i bezlitosna kobietą. Dbałam jedynie o zaspokojenie zmysłowych cielesnych potrzeb, chciałam zawłaszczyć każdą chwilę i wyssać z niej słodycz do ostatka. Pałący głód wygnał mnie na seksualną odyseję, której celem nie było znalezienie dominującego partnera czy zaznanie rozkoszy fizycznej, ale tęsknota za wypełnieniem pustki powstałej po śmierci mojego męża.

Byłam zupełnie rozdygotana, gdy po dwóch tygodniach oczekiwania znalazłam trop mężczyzny, który jako jedyny wydał mi się zdolny do zaspokojenia owego głodu. Zadzwoił

do mnie pracownik banku. Miał dla mnie wiadomości, i to dobre, jak zapewnił. Otóż Ramzi wrócił

do Port Saidu.

Z trudnością odłożyłam słuchawkę, tak trzęsły mi się ręce. Zalała mnie fala gorąca, byłam podekscytowana. Problemy świata stały się nieistotne. Nie poświęciłam im ani jednej myśli.

Ramzi wrócił. Ale nie sam.

Podniecenie ustąpiło miejsca zazdrości, kiedy dowiedziałam się, że towarzyszy mu kobieta.

Ciemnowłosa, tajemnicza piękność przypominała najwyższą kapłankę. Nie nosiła żadnych ozdób na długiej, smukłej szyi, za to ogromne kolczyki zwisały jej do ramion. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy ujrzałam ją pierwszy raz. Jej oczy błyszczały, gdy końcówki kolczyków pieściły nagą skórę. Nie miałam pojęcia, kim jest i jaką rolę odegra w naszym melodramacie, natomiast naostrzyłam pazurki i przygotowałam się do walki. Chciałam Ramziego tylko dla siebie. Byłam gotowa na wszystko, byle go zdobyć.

Na wszystko.

Obcisła biała sukienka podkreślała każdą krągłość mego ciała, piersi były niemal widoczne pod cienkim jedwabiem, kropelki potu połyskiwały na dekolcie jak pojedyncze brylanciki, a aromat perfum Kleopatry otulał mnie miękkim woalem. Kroczyłam jak bogini zstępująca na ziemię. Ramzi i nieznajoma, siedząc przy stoliku, obserwowali moje wejście. W

tym pomieszczeniu, udekorowanym mozaiką bajecznie kolorowych witraży, królowały intensywne barwy: krwista czerwień, szmaragdowa zieleń, lazurowy błękit, słoneczna żółć i soczysty pomarańczowy, a ja na ich tle przypominałam białego anioła, a nie kobietę z krwi i kości.

Dla lepszego efektu zatrzymałam się na chwilę pod mauretańskimi łukami dużego holu pomalowanego w czerwone i brązowe pasy, oświetlonego misternie dziurkowanymi mosiężnymi latarniami. Wiedziałam, że na mój widok ludziom zaparło dech w piersiach.

Pełgające światło gazowych lamp migotało na ścianach, a mój cień poruszał się, smukły i eteryczny, jak ożywiona sylwetka przeniesiona z paryskich plakatów Erté.

Nie śpieszyłam się. Przez pięć minut spokojnie paliłam papierosa w długiej fifce, wydmuchiwałam dym jak najdalej od twarzy, bo w ciągu ostatnich kilku lat niezwykle rzadko pozwalałam sobie na uleganie temu nałogowi. Tym razem papieros potrzebny mi był jako rekwizyt, sposób na zademonstrowanie siły i wyzwolenia. „Mogę robić, co mi się żywnie podoba” - sygnalizowałam językiem ciała. Chciałam, aby Ramzi i siedząca z nim kobieta zrozumieli bez najmniejszej wątpliwości, że żaden mężczyzna nie będzie mnie kontrolować.

- Jak miło cię zobaczyć, Ramzi. - Wyciągnęłam rękę do pocałunku, pewna, że poczuje zapach perfum. Byłam ciekawa jego reakcji.

- Nie mogłem doczekać się powrotu do Port Saidu. - Ujął moją dłoń w białej rękawiczce, przekręcił ją tak, by odpiąć perłowe guziczki w przegubie i dotknął wargami gołej skóry.

- A dlaczegoż to? - spytałam wyzywająco.

- Tęskniłem za tobą. - Ponowił pocałunek, polizał pulsujące miejsce, a intymność tego gestu oblała mnie warem. Uświadomiłam sobie, że nie dał się nabrać na moją brawurę.

- Kłamca. - Uśmiechnęłam się. Zamiast go nienawidzić, pożałowałam bardziej niż kiedykolwiek.

- Ja?

- Tak, ty. Jesteś draniem. Kochałeś się ze mną, po czym ulotniłeś się...

Zanim zdążyłam skończyć, kobieta siedząca przy stoliku odchrząknęła. Ramzi wskazał ją ruchem głowy i powiedział:

- Lady Marlowe, chciałbym pani przedstawić Lailę Al-Raszid z Kairu.

- Kair? Jakże wygodna sytuacja, Ramzi. Dziewczyna w każdym porcie. - Zwróciłam się do Laili i uśmiechnęłam z wysiłkiem. - Czy długo zostanie pani w Port Saidzie, mademoiselle?

- Wystarczająco długo, by załatwić interesy. - Podniosła się z krzesła i stanęła między nami.

- Wyobrażam sobie, jakiego rodzaju interesy. - Zaczęłam ściągać rękawiczki, dając jej do zrozumienia, że nie mam zamiaru się oddalić.

- Ramzi mówił, że ma pani poczucie humoru, lady Marlowe. - Roześmiała się, mierząc mnie przy tym wzrokiem. Zatrzymała się na moich piersiach. - Wiele mi o pani mówił.

- Doprawdy? - Ze znudzoną miną strząsnęłam popiół do popielniczki. - A ja o pani nie słyszałam.

- Nie dziwię się. Mój brat zapomina, że ma siostrę, gdy traci głowę dla kobiety.

Uważa, że to niszczy jego reputację playboya.

- Pani brat?

- Nie powiedział pani?

- Nie - odparłam przeciągle.

- Ma pani długie, ostre paznokcie. Rzucają się w oczy. - Ujęła mnie za rękę.

- Zatrudniłam manikiurzystkę, gdy usłyszałam, że Ramzi przywiózł z sobą kobietę. -

Oswobodziłam dłoń. - Zdaje się, że była to strata czasu.

- Czy możemy teraz spokojnie coś zjeść? Umieram z głodu - zaproponowała.

Ramzi przejechał ręką po moim nagim ramieniu. Zadrżałam. Też umierałam z głodu, ale zupełnie

innej natury.

Nie pamiętam tematu rozmowy, tylko tyle, że wszystko, jak zwykle, obracało się wokół Ramziego. Zamówił wino i wybierał potrawy, czy była to ryba we francuskim cieście dekorowana sosami i smażonymi warzywami, czy klopsiki z ostro przyprawionej jagnięciny w sosie pomidorowym, podane na ryżu podprawionym szafranem. Wydawał polecenia z czarującym francuskim akcentem, podsuwał tace z kawiozem, oliwkami, serami, podczas gdy jego siostra bawiła mnie anegdotami o haremie paszy, w którym królowały grube żony ze złotymi zębami i podwójnymi podbródkami, bezustannie pałaszujące słodczyce.

Wyczuwałam coś więcej niż rodzinną bliskość między nimi, zwłaszcza gdy Laila kładła mu rękę na ramieniu pod błahym pretekstem, jakby kryła się z niespełnionymi tęsknotami, ale zdecydowałam się to ignorować. „On jest mój” - ostrzegałam ją wzrokiem.

Byłam tak zajęta bezsłownym pojedyńkiem, że zaskoczyło mnie, gdy Ramzi wyjawiał powód przyjazdu.

- Zamknąłem „Supplice” - oznajmił, nabierając kolejną łyżeczkę sorbetu morelowego.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Nawet smakowanie lodów i oblizywanie warg były w jego wykonaniu seksualną obietnicą.

- Wiem. - Nie wyjaśniałam, skąd.

- Otwieram nowy klub w Kairze. - Odepchnął od siebie deser i zapalił papierosa.

- Doprawdy? - Więc na to były mu potrzebne wyłudzone ode mnie pieniądze.

- Nazywa się „Klub Kleopatry”. Sprowadzimy artystki kabaretowe z Paryża, publiczność będzie się pchała drzwiami i oknami. - Dotknął poufale mojego karku. - Będzie też pokój dla wtajemniczonych, gabinet zakazanych przyjemności.

- Brzmi intrygująco.

- Miałem nadzieję, że zgodzisz się pojechać ze mną do Kairu i będziesz mi towarzyszyć podczas wielkiego otwarcia.

Z rozmysłem popijałam wino. Nie nabrał mnie. Wszędzie tam, gdzie w okresie kolonializmu Europejczycy uformowali normy i obyczaje społeczne, obecność brytyjskiej arystokracji działała jak magnes. Jeśli mnie ściągnie na otwarcie klubu, notowania lokalu i właściciela gwałtownie pójda w górę.

- Przykro mi, Ramzi. To wykluczone. Zarezerwowałam już rejs do Bombaju.

- Nie uda mi się przekonać cię do zmiany planów? - Od jego zapachu, gdy nachylił się nade mną, zawirowało mi w głowie.

- Nie. - Chciałam, aby do niego dotarło, że naprawdę mnie rozgniewał swoim zniknięciem i nie udobrucha chytrymi sztuczkami.

- Lady Marlowe, proszę pozwolić, że ja spróbuję. - Laila sięgnęła do torebki i wyjęła papier wyglądający na oficjalny dokument. Podała mi go.

- Co to jest?

- Prawo własności do pięćdziesięciu procent „Klubu Kleopatry”. - Czekwała na moją reakcję.

- Laila - zaprotestował Ramzi.

- Uspokój się, braciszku. Wiem, co robię - kontynuowała nonszalancko, ale zdecydowanie. - Będzie pani pełnoprawną współwłaścicielką klubu wraz ze wszystkimi dodatkowymi korzyściami, których można się spodziewać po takiej umowie. W zamian musi pani zdeponować określone umową fundusze w banku w Kairze na naszym wspólnym koncie.

- A pieniądze, które już dałam Ramziemu? - indagowałam uprzejmie.

Laila zerknęła na brata.

- Użyłem ich na pokrycie wydatków koniecznych do założenia klubu - wyjaśnił

szybko.

- A teraz potrzeba pieniędzy na...? - Znacząco zawiesiłam głos.

- Kontynuowanie działalności, gdyby się pani znudziła i wróciła do Anglii albo uległa jakiemuś wypadkowi.

- Jednego ani drugiego nie mam w planie. - Machnęłam ręką przed nosem Ramziego, by poczuł zapach perfum.

Ucałował mój przegub i uśmiechnął się.

- Jednak ja... to znaczy my... potrzebujemy jakiegoś zabezpieczenia. - Laila wymieniła kwotę, która kazałaby większości kobiet zastanowić się ponownie, czy wdzięki Ramziego są aż tyle warte, ale dla mnie oznaczała tylko krótką rozmowę z przedstawicielem londyńskiego banku.

- Proszę zmienić na pięćdziesiąt jeden procent udziałów - oznajmiłam - i może pani uznać umowę za zawartą.

Laila spojrzała na Ramziego, który skinął głową, a wtedy zażądała pióra i atramentu.

Poprawiła procenty na dokumencie, podpisała i podała mi.

- Pani kolej, lady Marlowe.

Złożyłam podpis. Głupio czy nie, liczyło się tylko to, że Ramzi wrócił do mojego życia. Rozsądek mógł wytaczać powody, dla których wspólny biznes był ryzykownym przedsięwzięciem, ale i tak rozpieierała mnie radość. Wizja niekończącej się przyjemności oszałamiała mnie i upajała. Nic nie zatrzyma mnie w pogoni za rozkoszą.

- Jutro rano wyjeżdżamy do Kairu - oznajmił Ramzi.

- A dziś wieczorem? - Wypchnęłam piersi do przodu, twarde i prowokacyjne brodawki rysowały się pod jedwabiem.

- Chodźmy. Mahmud na nas czeka.

6

W pociągu do Berlina

12 kwietnia 1941 r.

Kair. To słowo wyczarowuje krainę tajemnic i erotyki. Sfinks, grobowiec faraona Tutenhama, Wielkie Piramidy w Gizie. Miasto, które znałam, było żywe, oddychało.

Melodyjne odgłosy i ostre zapachy tworzyły upajający eliksir. Słyszałam powiedzenie, że Kair jest miejscem, gdzie kończy się Zachód i zaczyna Wschód, a obydwie światy spotykają się na bazarze al-Muski. Miasto kosmopolityczne i starożytne, pełne krętych uliczek, po których nieśpiesznie snują się przechodnie przywabieni przez liczne kramy i sklepiki.

Ogarnia mnie dreszczyk podniecenia na wspomnienie takich przechadzek po bazarach w towarzystwie mego męża, rozbrzmiewającej na każdym kroku orientalnej muzyki, zapachu drewna sandałowego i kminku. Jeszcze czuję smak czarnych oliwek od ulicznego handlarza i uśmiecham się na wspomnienie słów lorda Marlowe'a, który szepcze, że chciałby być na miejscu oliwki. Zawsze uważał, że najlepsze zakupy można zrobić w małych kramach w bocznych zaułkach największego kairskiego bazaru, Khan Al-Khalili. Wyszukaliśmy tutaj piękne dywany, mozaiki, rzadkie manuskrypty i drogocenne antykwarskie osobliwości, którymi później udekorowaliśmy wiejską posiadłość, naszą kryjówkę przed światem i miejsce seksualnych eksploracji. W wąskich alejkach oblepionych maleńkimi sklepikami można było kupić niemal wszystko, od słodyczy po kobiety.

Chciało mi się śmiać, gdy widziałam marynarzy, którzy wprost nie mogli się doczekać, kiedy alfons w garniturze i czerwonym fezie, przypominającym odwróconą do góry nogami doniczkę, przyjmie od nich zapłatę i przydzieli im towarzyszkę na godziny. Nie rozumiałam ich niecierpliwości.

Aż do teraz.

Wystarczyło jedno spojrzenie na Ramziego, a płonęłam, cierpiałam z pożądania, moja skóra iskrzyła, w ustach zasychało, a śliska wilgoć plamiła jedwab bielizny. Nie mogłam się doczekać, by go dotknąć, ścisnąć za rękę, położyć mu głowę na piersi. Kiedy był przy mnie, zmieniało się wszystko, nawet mój sposób chodzenia, mówienia, oddychania, jakby odpędzał

ode mnie samotność i przenosił do innego wymiaru. Byłam zaślepiona, niezdolna do rozpoznania jego intryg.

Zachowywałam się niemądrze, ale żyłam w uniesieniu, byłam przepelniona uskrzydającą radością. Za każdym razem, gdy przeżywaliśmy na jawie erotyczne fantazje, znajdowałam coraz więcej fizycznej przyjemności w naszej grze dominacji i podporządkowania. Krzyczałam z rozkoszy, jakby moje orgazmy wybuchały wewnątrz wielkiego dzwonu i odbijały się tysięcznym echem, powtarzając i zwielokrotniając doznanie.

Mój kochanek nie przestawał oszałamiać mnie i zadziwiać. Wydawało mi się, że moje ciało już więcej nie zniesie... Nie, było trochę inaczej. Błagałam o więcej. A on brał mnie jeszcze raz i jeszcze raz.

Chyba teraz rozumiesz, czytelniku, dlaczego bez chwili zwłoki wykupiłam bilet na pociąg do Kairu i dałam znać mojej sekretarce i damie do towarzystwa, pani Wills, że zmieniałam plany. W odpowiedzi dostałam telegram, w którym wyrażała głębokie zaniepokojenie moją decyzją.

Uśmiechnęłam się, gdy go czytałam. Droga pani Wills. Zawsze taka opanowana i układna, ale seks był dla niej ziemią nieznaną, podobnie jak dla mnie celibat. Z tego, co o jej przeszłości opowiedział mi lord Marlowe, wynikało, że pan Wills nigdy nie istniał. Jestem pewna, że udawała mężatkę, bo to lepiej wyglądało w referencjach. Przed przyjściem do nas była damą do towarzystwa pewnej owdowiałej księżnej, znanej arystokratki, o której licznych romansach plotkowało całe towarzystwo, toteż dobrze wiedziała, jakie obowiązki ma osoba, która z pewnością nie jest służącą, ale jeszcze nie ma statusu przyjaciółki. Można by to wyrazić słowami: „Bądź świadoma, co się dzieje, ale udawaj, że o niczym nie wiesz”.

Miałam wątpliwości, czy dobrze zrobiłam, polecając jej, by pilnowała moich interesów w Londynie, zamiast przyjeżdżać do Kairu. Lubiłam jej towarzystwo, wołałam je o wiele bardziej niż spędzanie czasu z siostrą Ramziego. Urodzona w Egipcie, wykształcona w Paryżu, Laila żyła w dwóch światach, wybierając ten, w którym w danym momencie było jej wygodniej. Nie nosiła kwefu, paliła papierosy w miejscach publicznych i potrafiła dać ciętą odprawę w gardłowej arabszczyźnie każdemu, kto ośmielił się skrytykować jej dobór ubrań czy nietypowe obyczaje. Nie pozwalałam jej ingerować w mój romans z Ramzim. Irytował

mnie nadmiar uwagi poświęcanej bratu i zwyczaj dotykania go przy każdej okazji czy domagania się, by jej zapiął na szyi naszyjnik z fałszywych pereł. Tak, fałszywych. Znam się na perłach i z pewnością były sztuczne.

Nie rozumiałam dziwnej relacji między nimi, choć kiedyś zapytałam Ramziego, czemu wciąż go kontroluje, jakby był jej własnością. Zignorował tę uwagę, jednak zwierzył

mi się, że Laila była młodziutką dziewczyną, gdy ojciec rozwiódł się z jej matką, aby ożenić się z Francuzką, wdową z małym synkiem. Prawo egipskie nie wymaga od mężczyzny, by tłumaczył się ze swoich postępów, ale w tym wypadku krewni odcięli się od młodej pary, bo druga żona nie była muzułmanką. Po śmierci matki Ramziego ojciec porzucił ich oboje, a krewni nie ofiarowali dzieciom żadnego wsparcia, choć w tym świecie więzy rodzinne stanowiły podstawową tkankę społeczną.

Byli zdani tylko na siebie i by przetrwać, nauczyli się funkcjonować na obrzeżach świata islamu.

Dlaczego właściwie mówię ci to wszystko, drogi czytelniku? Nie miałam wtedy pojęcia, że mam do czynienia z kobietą w równym stopniu opętaną obsesją, co ja; kobietą czerpiącą perwersyjną przyjemność w śledzeniu ukrytych seksualnych znaków, które sobie przekazujemy: oblizywania warg, dotyku dłoni tuż nad pośladkami, ocierania się bioder.

Stawała się cicha i zamyślona, choć zauważałam kierowane w moją stronę uwodzicielskie sygnały. Dostrzegałam namiętne pożądanie w oczach obramowanych czarnym tuszem, chęć zawłaszczenia czegoś, co nie mogło do niej należeć. Czułam się zażenowana, ale udawałam ignorancję. Bagatelizowałam te niepokojące spostrzeżenia, odrzucałam je równie łatwo jak części garderoby, gdy rozbierałam się dla Ramziego.

Nic nie było ważne, bo żyłam w stanie nieustannego erotycznego pobudzenia.

Rozpalone do białości zmysły wypalały z mózgu każdą racjonalną myśl, która nieśmiało w nim kielkowała. Nie zastanawiałam się nad tym, na jakie niebezpieczne szlaki może mnie zaprowadzić moja lekkomyślność. Rzuciałam się z zamkniętymi oczami w każdą lubieżną eskapadę, której oczekiwał po mnie Ramzi, ignorując sygnały ostrzegawcze. Nie rozpusta i nadmiar seksu stanowiły prawdziwe zagrożenie, ale brutalne rozczarowanie, które mnie czekało.

Tego popołudnia w pociągu jadącym do Kairu nie byłam w stanie usiedzieć spokojnie.

Miałam ochotę sięgnąć pod sukienkę i nacisnąć guziczek, który przyniesie chwilowe rozładowanie seksualnej frustracji. Zamiast tego wyglądałam przez okno, gapiłam się na plantacje bananów i drzewek figowych, płytkie jeziora przy torach i rozmyślałam o gorących nocach w ramionach Ramziego, leniwych dniach spędzanych na marzeniach, bez cienia zmartwień na horyzoncie.

A perfumy Kleopatry? Ich intensywny aromat potęgował wyczulenie wszystkich zmysłów. Rozsmarowałam je między piersiami i pod kolanami, po czym ukryłam alabastrowy pojemnik w bagażu. Czy wierzyłam, że zapewnią mi nieśmiertelność? Nie. Władzę nad mężczyznami? Tak. Spod woalki czarnego kapelusza (mam słabość do kapeluszy z woalkami) dostrzegałam łakome spojrzenia. Napawałam się swoją seksualną niezależnością, nieodpartym seksapilem. Przekroczyłam trzydziestkę, ale moje piersi były jędrne, a sylwetka dziewczęca, choć wokół oczu i ust pojawiły się pierwsze zmarszczki. Po śmierci męża straciłam promienny uśmiech młodej dziewczyny, przekonanej, że zawojuje świat, i tę specyficzną aurę, która zdaje się emanować z jej skóry. Teraz je odzyskałam. Czy na skutek używania perfum?

A jakie to miało znaczenie?

Podróżni tłoczyli się w pociągu do Kairu, wielojęzyczny i różnokolorowy tłum, tubylcy obok Brytyjczyków, Francuzów, Algierczyków i Niemców. Przyjęłam propozycję Ramziego, by wyjść na zewnątrz, na otwartą platformę na końcu pociągu. Z rozkoszą zaciągałam się dymem papierosowym.

Ramzi. Całym ciałem odbierałam jego bliskość. On też bez słów wyczuł, że chcę zostać z nim sam na sam. Wcześniej zaproponował, byśmy się przenieśli do salonki, odgadując, że nie mam ochoty zostać

w przedziale z Lailą i stawiać pasjansów przy wtórze nowoorleańskiego jazzu płynącego ze staromodnego patefonu. Siostra Ramziego, przeskakując z francuskiego na arabski, odesłała Nubijczyka do wagonu drugiej klasy, gdy tylko umieścił na półkach jej bagaże. Patrzyła na niego z góry, każdym gestem dając mu do zrozumienia, że jest istotą gorszego gatunku. Czarnowłosa kusicielka odprawiła sługę skinieniem dłoni. Słowa wydawały się zbędne, panowało między nimi lodowate milczenie.

Byłam niemile zaskoczona zachowaniem Laili, ale nie uznałam za słuszne podejmowania tej kwestii w czasie podróży. Miałam na głowie ważniejsze sprawy.

Ramzi na pozór zachowywał się zgodnie z towarzyską etykietą, ale przy każdej okazji mnie dotykał. Siedzieliśmy na zewnątrz, oddzieleni od reszty pasażerów przeszklonymi drzwiami, wystawieni na ciekawskie spojrzenia ludzi znudzonych lekturą przedwczorajskich gazet czy bezmyślnym gapieniem się na widoki za oknem.

Nie mogli zobaczyć, jak przygryzam między wargami brzeg woalki, gdy Ramzi wsuwa mi rękę pod sukienkę i opiera ją na udzie, pieszcząc ciepłą skórę nad jedwabną pończochą. Pstryknęła zapinka podwiązek. Udałam oburzenie. Chyba nie posunie się dalej?

- Nie powinienesś...

- Nikt nas tu nie widzi.

- Więc cię nie zatrzymam. - Podniosłam woalkę i spojrzałam na niego wyzywająco.

Rozchyliłam uda, a jego palce wślizgnęły się wyżej... och, tak, znalazły dla siebie miejsce spragnione uporczywego dotyku i zajęły się doprowadzaniem mnie do szaleństwa, gdy zapomniane papierosy wypalały się aż do ustnika. Rzuciłam głową do tyłu, z całych sił

wczepiłam się w siedzenie krzesła, odurzona niezwykłą historią magicznych perfum, opowieścią Szecherezady.

Nie miałam wątpliwości, że wszystko potęguje zmysłową ekscytację: upał, zapachy, niecierpliwa energia wibrująca w powietrzu. Równomierne stukanie kół pociągu stanowiło rytmiczny podkład tego niezwykłego zbliżenia, w oddali co chwila pogwizdywał parowóz, któremu wtórowały kolejarskie gwizdki. Patrzyliśmy na siebie, usta rozchylone w urywanym oddechu, niedopałki ciężkie od popiołu. Chwila zatrzymana w czasie. Tutaj, w pociągu, nic złego nie może nas spotkać, jednak na końcu podróży czeka nas Kair z jego wyższymi sferami, w których sztywność brytyjskiej etykiety spotyka się z równie sztywnymi przepisami islamskiego prawa, szariatu. Obydwie społeczności osądzą nas równie surowo. Biała kobieta, która pozwala sobie na intymną poufałość z Egipcjaninem, narażała się na szyderstwa i obsceniczne gesty. Prymitywni, zazdrośni ludzie, można by powiedzieć, ale zagrożenie z ich strony było całkiem realne.

Czy coś mi grozi? Nie brałam poważnie tego pod uwagę, choć wiedziałam, że polityczni uciekinierzy z całej Europy osiedlają się w Kairze, przywożąc z sobą swoje uprzedzenia i nietolerancję. Mogłam uciec przed Hitlerem, ale czy mogłam uciec przed własną klasą? Była dla mnie znacznie większym

zagrożeniem, choć miałam świadomość, że groźba wojny jest realna. Kiwaliśmy zgodnie głowami, gdy ten temat pojawiał się na salonach, ale nikt z nas nie był w stanie wyobrazić sobie cierpienia, przerażenia i śmierci, które już wkrótce rozniosą po całym kontynencie hitlerowscy szaleńcy.

Wszystko wydawało się nam wtedy proste i błahe, ale już wkrótce sytuacja miała się nieodwracalnie zmienić. Po tym, co przeżyłam ostatnio w czasie podróży do Niemiec, nie chce mi się wierzyć, że kiedykolwiek mogłam być tak naiwna.

Piszę te słowa w pociągu do Berlina. To ostatni etap, punkt docelowy mojej wyprawy.

Bóg jeden wie, co mnie spotka w tym mieście, które uosabia wszystko, co złe i podłe w Trzeciej Rzeszy. Wciąż się trzęsę, gdy przypominam sobie ostatnie, bardzo namacalne spotkanie z wojną. Nie, nie chodzi o lot ze Szkocji. Stało się to już na niemieckich wodach terytorialnych.

Pióro wypadło mi z palców, jakbym nie była w stanie opisać własnych przeżyć i cichego heroizmu ludzi, którzy przemycili mnie do tego pociągu jadącego do Berlina. Jutro mogą zginąć, pomagając innym tajnym agentom, ludziom, których nigdy wcześniej nie widzieli i nigdy już nie spotkają. Teraz jeszcze żyją i mają świadomość, że ich dzieło się nie skończyło. Muszę im podziękować, tym anonimowym bohaterom, którzy wierzą, że warto poświęcić życie w imię wolności, członkom ruchu oporu powtarzającym w różnych miejscach Europy te same słowa nadziei, przekonanym, że ich poświęcenie i przelana krew przyniosą w końcu wyzwolenie i na świecie zapanuje pokój.

Nie jestem odważna. Jestem przerażona, na pograniczu hysterii, boli mnie całe ciało.

Jak mogłam uwierzyć, że będzie to łatwa misja?

- Zje pani lunch w Berlinie ze swoją starą przyjaciółką, Maxi von Brandt -

przekonywał mnie znajomy mego męża. - Dowie się pani tego, co chcemy wiedzieć, i wróci do Londynu przez Szwecję.

Jeśli gestapo wpadnie na mój trop, mam zrezygnować z misji i udać się na punkt kontaktowy w Berlinie (adresu nauczyłam się na pamięć). Nie wolno mi ujawnić prawdziwej tożsamości. Mam udawać Amerykankę na wakacjach. Uśmiecham się mimowolnie. Ciekawa jestem, ile przyjaciół mego męża wie na mój temat, czy wie na przykład o brązowej czynszowej kamienicy w Nowym Jorku, w której spędziłam całe dzieciństwo. Ciasne, niskie pokoje, wydeptane drewniane podłogi, wąskie korytarze, ciemne schody prowadzące do mieszkania na czwartym piętrze. Psująca się nieustannie instalacja elektryczna i ścianki działowe wypełnione pyłem węglowym i trocinami stwarzały stałe zagrożenie pożarowe i zamieniały to miejsce w śmiertelną pułapkę.

Pamiętam, jak podczas gorących sierpniowych nocy przesiadywałam na schodach przeciwpożarowych, obserwując światła ulicznych lamp, które migają za balustradą.

Wyobrażałam sobie, że to gwiazdy i marzyłam, by przeniosły mnie do różnych egzotycznych miejsc, gdzie będę spełniała swoje seksualne zachcianki. I gdzie czeka na mnie wielka miłość.

Te myśli zostawiały w mojej duszy tęsknotę, zazdrość, pragnienie.

Wydawało mi się wtedy, że tylko cud wyrwie mnie z okolicy, w której szarzy ludzie żyli w szarych, przeludnionych mieszkaniach. Miałam ochotę puścić się w tany na ogromnym aksamitnym niebie, wytupując obcasami zmysłowy rytm jazzowych standardów, i nigdy nie oglądać się wstecz.

Mama tego nie rozumiała.

To dziwne, że o niej pomyślałam. Mama ze swoimi układnymi manierami i oczami, które spod ciężkich powiek wszystko dostrzegały, osądzały i krytykowały.

- Zasady obowiązują - mawiała. - To wolno, tego nie wolno, tak jest i będzie.

A gdy wyjawiałam jej moje marzenie, by zostać tancerką, lamentowała:

- Dziewczyna powinna wyjść za mąż i rodzić dzieci.

Z nieobecnym wyrazem twarzy snuła opowieści o ciężkim dzieciństwie w starym kraju, a potem, trzęsąc głową z niezadowoleniem, wycierała mi z ust szminkę i karciała za wydawanie nędznych groszy, które zarabiałam w pracowni krawieckiej, na czarne jedwabne pończochy.

Nie mam do niej pretensji. Rzuciłam szkołę, by pomóc jej i mojemu starszemu bratu, Harry'emu (papy nie pamiętam, zginął w wypadku, gdy byłam jeszcze całkiem mała). W

domu potrzebny był każdy grosz. Mama nie żałowała pieniędzy na edukację syna, powtarzała wszystkim wokół, że kiedyś Harry zostanie prawnikiem. Wiedziała, że martwi się o mnie. Z

uporem wbijała mi do głowy, że powinnam się dobrze prowadzić, by nie skończyć jak Sally z sąsiedztwa.

Dziewiętnastoletnia Sally pracowała jako szatniarka w eleganckim nocnym klubie.

Była prawdziwą pięknoscią, ciemnowłosą i wielkooką. Jej oczy były tak duże, że przykuwały uwagę mężczyzn. Mama odganiała mnie od drzwi, gdy Sally wracała do domu nad ranem, ale i tak domyślałam się, co robiła. Przyjęcia, alkohol, adoratorzy. Zazdrościłam jej. Miałam szesnaście lat i nienawidziłam swojej pracy polegającej na dopinaniu przyciasnych gorsetów na grubych klientkach.

- Jasne, dzieciaku, załatwię ci pracę w klubie - obiecała Sally, tapirując mi włosy i udzielając porad, jak powinnam się malować, by wyglądać doroślej.

Byłam wysoka, szczupła, miałam duży biust, więc bez problemu dostałam posadę sprzedawczyni papierosów, a potem tancerki.

Czemu nagle przypomniała mi się mama? Zostawiłam tamto życie za sobą, gdy uciekłam do Berlina z wygadany menedżerem zespołu girlasek. Do diabła, nie powinnam o tym myśleć. Nie wolno mi. Powinnam wyrwać tę kartkę, podrzeć na drobne kawałeczki i wyrzucić resztki mojej przeszłości przez okno. Niech je porwie wiatr. Zamiast tego powiem ci, drogi czytelniku, że lady Eve Marlowe, de domo Eve Charles, była kiedyś sprzedawczynią papierosów. Cały świat zmienił się od owej

chwili, gdy weszłam na pokład statku, który miał

mnie zawieźć do krainy tysiąca rozkoszy. Ja się zmieniłam. Choć nie mam odwagi ujawnić wszystkiego, chcę cię zapewnić, że nie jestem już tą szaloną, rozpuszczoną dziewczyną, która tańczyła w stroju Ewy w nocnych klubach Berlina, a potem Kairu, pokryta od stóp do głów złotą farbą.

Teraz muszę odpocząć i wrócić do równowagi, zanim będę w stanie kontynuować swoją opowieść.

Czuję się o wiele lepiej, choć zaskoczyła mnie niechciana współpasażerka, kobieta z twarzą bez wyrazu i wargami tak bladymi i zaciśniętymi, że tworzyły jedną kreskę. Weszła do przedziału i zatrzasnęła za sobą drzwi. Siedziałam sama, większość miejsca zajmował mój bagaż, to znaczy kufer podróżny, walizeczka na biżuterię, kosmetyczka, pudło na kapelusze, pled i parasolka.

Miałam nadzieję, że matronę, która wtargnęła do mojego sanktuarium, odstraszą moje snobistyczne maniery i amerykański akcent, ale zamiast tego opadła na siedzenie z westchnieniem i zastygła w jednej pozie. Kiedy do przedziału wszedł konduktor, by sprawdzić bilety, prowokacyjnie podciągnęłam spódniczkę, demonstrując długie zgrabne nogi, i przejechałam wargi krwistoczerwoną szminką. To nareszcie wyprowadziło Brunhildę z równowagi. Wymruczała pod moim adresem jakieś nieprzychylnie uwagi i wyniosła się z przedziału.

Odetchnęłam z ulgą. Mam nadzieję, że wystarczy mi atramentu, by zanotować wszystkie myśli. Zostało mi jeszcze wiele do opowiedzenia, co jednak najważniejsze, mam wrażenie, że popełniłam straszny błąd, podejmując się tej całej misji. Świat ogarnęła wojna, choć Stany Zjednoczone jeszcze do niej nie przystąpiły, koszmarna wojna, a ja właśnie przeżyłam noc, jakiej nie chciałabym już nigdy doświadczyć.

Promem dotarłam do Kopenhagi, gdzie czekało na mnie dwóch wyrostków na rowerach. Wyglądali na nie więcej niż czternaście lat, ale zachowywali się jak doświadczeni konspiratorzy. Przed sklepem z odzieżą, do którego dojechaliśmy bez przeszkód, przechadzał

się mężczyzna w mundurze. W pierwszej chwili przeraziłam się śmiertelnie, ale po bliższym przyjrzeniu się rozpoznałam mundur strażaka. Okazał się ojcem jednego z chłopców. Bez słowa odebrał rower i odjechał wraz z synem, a ja weszłam do mieszkania na piętrze, gdzie mówiąca po angielsku Dunka poinformowała mnie, że zostanę tu przez parę dni i w tym czasie mogę rozmawiać tylko z nią. Miałam zachowywać się cicho, unikać podchodzenia do okien i pod żadnym pozorem nie schodzić na dół. W kuchni mogłam przygotowywać sobie posiłki. Dowiedziałam się później, że była to jedna z kilku działających w Danii grup oporu, i to naprawdę dobrze zorganizowana.

Trzeciego dnia o północy strażak powrócił i pod jego opieką dotarłam do baru na terenie portu. Ukryto mnie na zapleczu wraz z żydowskimi uciekinierami z Niemiec, którzy oczekiwali na przerzut do Szwecji. Nareszcie miałam możliwość przekonać samą siebie, że moja misja nie jest zwariowanym i bezsensownym przedsięwzięciem. Zadawałam im setki pytań, przeskakując co chwila na łamaną niemiecką, której nie używałam od lat. Wszystkie lęki, wątpliwości i poczucie winy zamieniły się w strumień słów, którego nie byłam w stanie pohamować.

- Czy naprawdę los Żydów w hitlerowskich Niemczech jest tak ciężki, jak słyszałam?

- dopytywałam niecierpliwie.

- Gorszy, znacznie gorszy - tłumaczyli na przemian po niemiecku i po angielsku. -

Bicie, upokorzenia, zabójstwa.

W pewnej chwili jedna z kobiet rozszlochała się spazmatycznie. Wcisnęłam jej do ręki korony szwedzkie, by im ułatwić drogę do wolności (miałam je wymienić w Berlinie na marki niemieckie). Kobieta podziękowała mi, całując w oba policzki, ale to nie zmniejszyło mojego poczucia winy. Miałam na sumieniu ciężkie grzechy. Czyż nie zignorowałam rozpaczliwych skarg młodej Żydówki w Port Saidzie? Zawiniłam wobec niej tak samo jak mężczyzna, który sprzedał ją do jakiegoś burdelu. Pewnie już nie żyła, nieszczęsna ofiara męskich perwersji. Przysięgłam sobie, że doprowadzę misję do końca i dołożę swoją cegiełkę do obalenia hitlerowskiego reżimu, gdyż zwycięstwo aliantów jest tylko kwestią czasu. Jeśli mi się nie uda, niech ten dziennik świadczy, że próbowałam do końca.

Jakiś czas potem doprowadzono mnie na pokład małego rybackiego kutra, który płynął do Warnemünde. Atmosfera była napięta, bo morskie patrole kontrolowały statki wracające do portu. Kapitan próbował mnie przekonać, bym się wstrzymała i odczekała jeden tydzień, zanim podejmę próbę pokonania cieśniny, jednak uparłam się, że mam swoje rozkazy. Ostrzegł mnie, że nie będzie mógł przyjąć mi z pomocą, gdyby hitlerowcy uznali mnie za szpiega. Nie będzie ryzykował życia całej załogi. Odparłam, że przyjmuję jego warunki.

Plan był prosty. Ubrana w ciemne robocze ubranie miałam udawać jednego z rybaków.

Nocne ciemności mi sprzyjały. Miałam przy sobie tylko skórzaną torbę z osobistymi rzeczami i pieniędzmi oraz pojemnik z perfumami (przełożyłam smarowidło z alabastrowej skrzyneczki, ciężkiej i nieporęcznej). Nic nie pozwalało mi zidentyfikować jako lady Marlowe. Poza pamiętnikiem. Ścisnęłam go w rękach tak mocno, że paznokcie wbijały się w jedwabną oprawę.

- Powinna się go pani pozbyć - poinstruowała mnie kobieta z mieszkania nad sklepem, gdy spostrzegła zeszyt w moim skromnym bagażu. - Hitlerowcy nie okażą pani litości.

Stałam na pokładzie, gotowa wrzucić go do wody i nie byłam w stanie zrobić finalnego gestu. Zbuntowałam się jak małe dziecko, które chowa się w szafie przed gniewem mamy. I cóż z tego, jeśli znajdą przy mnie pamiętnik? - przekonywałam samą siebie. Nie należałam do świata szpiegów i agentów wszelkiej maści. Byłam poza podejrzeniem. Po przyjeździe do Berlina miałam pozować na beztroską i pustogłową damę z nowojorskiej socjety, zaręczoną ze szwedzkim przemysłowcem, której nagle wpadło do głowy, by odszukać dawną przyjaciółkę. Mój kraj nie prowadzi wojny z Niemcami. Gdyby groziło mi najgorsze, ocalą mnie perfumy.

Schowałam zeszyt w kieszeni kurtki i postanowiłam, że opowiem moją historię do końca.

Perfumy naprawdę działają, drogi czytelniku. Ocaliły mi życie... Nie mogę przedwcześnie zdradzić, w jakich okolicznościach. Jeszcze nie. Proszę tylko o to, o co prosił

mnie wróżbita w Port Saidzie.

Uwierz.

Nieustające uderzenia fal o kadłub statku grają mi na nerwach. W tę i z powrotem... w tę i z powrotem, aż żołądek szarpia mdłości. Słyszę głosy, gniewne, szczekliwe. Krzyki.

Łomot butów na pokładzie. Szukają, zagląдают we wszystkie kąty.

Nie płynęliśmy długo, gdy zauważył nas niemiecki okręt patrolowy. Dwóch oficerów wylądowało na kutrze, podkute buty zdawały się roznosić pokład w drzazgi, gniewne wrzaski napełniały załogę przerażeniem. Rybacy mieli powody do obaw. Nie byłam ich jedyną kontrabandą. Jeszcze w porcie zauważyłam, jak ukrywają broń pod pokładem.

Bosman pokazał mi gestem, bym schowała się w szalupie ratunkowej. Narzucił na mnie ciężką płachtę, pod którą dusiłam się z braku powietrza. Oddychałam spazmatycznie, coraz bardziej przestraszona. Co będzie, jeśli znajdzie mnie niemiecki patrol? Jak wytłumaczę swoją obecność na kutrze? Dobry Boże, czyżby to był koniec mojej wędrówki?

Skulona na dnie szalupy, przytulałam do piersi torbę. Płachta śmierdziała ludzkimi ekskrementami, chciało mi się wymiotować. Wilgoć i smród wywołały atak kichania.

Schowałam twarz w dłoniach, by stłumić dźwięki.

Wtedy zaczęło padać.

Najpierw mżawka, potem grube krople. Niemcy przyśpieszyli przeszukiwanie kutra.

Słyszałam, jak otwierają beczki, kopią, popychają, wykrzykują rozkazy. Wrzasnęłam, gdy nagle ktoś zerwał ze mnie płachtę i zaświecił mi latarką prosto w twarz. Odwracałam bezradnie głowę, kryjąc oczy przed ostrym światłem. Miałam tylko nadzieję, że w bezkształtnych roboczych ciuchach i rybackiej czapce na głowie przypominam młodego chłopca.

- Mamy pasażera na gapę, panie kapitanie.

- Ależ śmierdzi - mruknął Niemiec. Nie wiedziałam, czy ma na myśli smród płachty, którym przesiąkła moja odzież, czy korzenne perfumy, którymi się nasmarowałam przed podróżą. Perfumy Kleopatry, moje koło ratunkowe.

- Co z nim zrobić?

- Wyrzucić za burtę.

Pozostało mi tylko wrzeszczeć, gdy hitlerowiec wywlókł mnie z szalupy i chwycił za kołnierz jak szmacianą kukłę. Wielki i muskularny z łatwością trzymał mnie przez kilka chwil w powietrzu. Wiłam się jak piskorz, ale mogłam tylko bezsilnie machać rękami i nogami.

Szkopa rozśmieszyły moje nieporadne próby uwolnienia się, więc cisnął mnie na pokład, rozkazując duńskiej załodze, by nikt się do mnie nie zbliżał. Upadłam ciężko, torba wypadła mi z dłoni, czapka zleciała z głowy. Jasne włosy zalały mnie falą, ujawniając prawdziwą pleć.

- Ein Mädchen.

Po niemiecku „dziewczyna”.

Wpadłam w panikę. A jeśli przeszukają mnie i znajdą dziennik? Dowiedzą się o misji, o mojej tożsamości? Co za idiotka ze mnie.

Rzuciłam się do burty, może zdążę wyrzucić zeszyt do morza. Oficer szepnął coś do swojego towarzysza, który natychmiast wyciągnął broń i przystawił mi lufę lugera do gardła.

Czułam na sobie jego palące spojrzenie: „Zaraz cię zastrzelę”.

Niespodziewanie się uśmiechnął, jakby oczekiwał, że zobaczy w moich oczach strach.

Ku jego zaskoczeniu odpowiedziałam uśmiechem. Zamarł na kilka sekund, niepewny, jak ma zareagować. Odetchnęłam pełną piersią, wciągając w płuca niepowtarzalny, pikantny zapach perfum Kleopatry. Nie miałam się czego bać. Perfumy mnie ocalały. W momencie, kiedy pociągnie za spust, świat wokół zacznie wirować, rozlegnie się przeciągły odgłos i przez chwilę poczuję się oszołomiona i zdezorientowana. Będę istnieć poza czasem i przestrzenią, jakby z zawieszeniu, pozbawiona wszelkich zmysłów prócz jednego: powonienia.

Bezielesne ciało, niewidoczne dla oka. Chciałam, by mnie zastrzelił.

Jednak się pomyliłam. Dopiero teraz pojęłam, jakie ma intencje.

Nie zamierzał mnie zabić. Chciał mnie zgwałcić.

Hitlerowiec cisnął mną o ścianę w kajucie kapitana, aż zęby mi zaszczękały.

Zdławiłam krzyk, gdy zrywał ze mnie spodnie, ręką w skórzanej rękawiczce rozdzielał mi uda, zrywał bawełniane majtki. Drzazgi wbijały mi się w pupę, gdy walił we mnie biodrami, przyciskając do ściany jedną rękę, a drugą kierując do celu swój członek. Krzyknęłam bardziej ze strachu niż z bólu, choć wiedziałam, że nikt mi nie pomoże. To nie dzieje się naprawdę, powtarzałam w duchu. Byłam gwałcona, może zostanę zamordowana. Dlaczego perfumy nie zadziałały?

Uwierz, drogi czytelniku, od chwili, gdy opuściłam Port Said, perfumy niejedną raz uratowały mnie w chwili śmiertelnego zagrożenia. Wyobrażam sobie, jak wykrzywasz się z niedowierzaniem i irytacją. Nie dziwię ci się. Zbyt wielki nacisk położyłam w mojej historii na erotykę, ulegając niepohamowanemu łakomstwu na rozkosze cielesne, a teraz rozgniewałam cię, zatajając kluczowe informacje. Wybacz mi i okaż wyrozumiałość, tym bardziej że owej nocy zapłaciłam wysoką cenę za swoją lekkomyślność.

Wszystko odbyło się bardzo szybko, brutalna penetracja, pulsujący fiut i nieartykułowane

charknięcia. Mimo to nie potrafię zapomnieć, jak się we mnie wwiercał i wpychał coraz głębiej i głębiej. Przy każdym pchnięciu obiecywałam sobie, że zemszczę się za ten sadystyczny akt. Nie spocznę, dopóki nie pošlę każdego faszysty do piekła. Niech zgniją żywcem, niech się zadławiają własną krwią, niech śmierdzą trupem już za życia.

Tymczasem mogłam tylko splunąć na mojego wroga.

Deszcz, deszcz, deszcz. Z nieba płynęły strumienie wody, obmywając mnie, wypełniając usta czystym smakiem.

Niemiec zwymyślał mnie za oplucie jego munduru, potem kazał swemu podwładnemu, by mnie wywłócił na pokład i porzucił na deszczu jak skopaną sukę. Jakaś litościwa dusza przykryła mnie kocem, który błyskawicznie nasiąknął wodą i przygniatał do desek. Skuliłam się w embrionalnej pozie. Po twarzy ciekły mi łzy. Nie wstydziłam się ich.

Szlochałam najpierw bezgłośnie, a później bezwstydnie, gdy do upokorzenia dołączył się gniew. Okrucieństwo tego aktu dowiodło mi, jak bardzo hitlerowcy są zezwierzęceni, gdy napotykają opór.

Wiedziałam, że nic już nie zmienię, więc przestałam płakać.

Dowiedziałam się później, że Niemcy nie znaleźli na pokładzie kutra niczego podejrzanego, a zademonstrowanie władzy i zaspokojenie żądz wystarczająco usatysfakcjonowało oficera, toteż bez zwłoki powrócili z kutra na okręt patrolowy i zniknęli w mroku. Tylko woda równomiernie uderzała w burty statku, dręcząc mnie i szydząc ze mnie.

Perfumy nie zadziałały. Ale dlaczego?

Nie pamiętam dalszej drogi. Nie pamiętam, w jaki sposób znalazłam się w ciepłej koi przykryta suchym kocem. Kapitan przyniósł mi nietknięty bagaż. Pamiętnik i perfumy były bezpieczne.

Kuliłam się pod szorstkim okryciem, ścisnęłam uda do bólu mięśni. Nie spałam. Nie byłam w stanie. Robiłam plany. Wielkie plany. Będę prowadziła dziennik, by cały świat poznał prawdę o tych potworach. Kiedyś odwróciłam się plecami, udawałam ślepa i głucha.

Teraz będę krzyczała na cały świat, zanim będzie za późno.

Wyglądałam przez bulaj wychodzący na morze, noc roztapiała się w szarości nadchodzącego poranka. Modliłam się do Boga na cały głos. Niech ukarze hitlerowskich zbrodniarzy. Wymaże kolory tęczy z ich świata, tak jak oni wymazali ze swojej aryjskiej palety wszelkie kolory poza własnym.

Zacisnęłam zęby z nową determinacją. Zobaczyłam wszystko w innym świetle, jakbym doznała cudownego przeobrażenia. To, co mi się przydarzyło tej nocy, nie jest warte wzmianki w annałach historii. Moje życie nie ma znaczenia. Liczy się co innego. Przetrwam, bo muszę. Mam do wykonania ważne zadanie.

Postanowiłam, że nikomu się nie poskarżę, nie powiem o intymnych ranach odniesionych w starciu z

faszystowskim bydlakiem. W milczeniu będę hodowała nienawiść.

Jest mi potrzebna, by w podobnej sytuacji już nigdy nie bać się śmierci. Perfumy mnie zawiodły. Czy nie mogę liczyć na ich moc? Nie dowiem się tego, aż będzie za późno.

Wiedziałam jednak, że muszę ufać sobie, swojej determinacji.

Na widok linii brzegu na horyzoncie wyskoczyłam z łóżka. Przed nami była mała niemiecka wioska. Warnemünde. Roztarłam ramiona i przytupywałam na podłodze, by odzyskać krążenie. Włożyłam wilgotne ubranie, wzdrygając się, gdy szorstka tkanina otarła się o spuchnięte i obolałe miejsce między udami. Zignorowałam ból, przepełniało mnie poczucie misji do spełnienia. Wykonam ją, choćbym się miała czołgać do Berlina. Nigdy, przenigdy nie zapomnę tej nocy.

Nigdy.

Kobieta z koszem wypełnionym praniem wyszła mi na spotkanie, gdy przycumowaliśmy do nabrzeża. Poszłyśmy do wiejskiego domu, gdzie usłyszałam kolejną porcję wskazówek. Dowiedziałam się później, że w praniu ukrywała lugera.

Zdjęłam mokre odzienie, a ona wręczyła mi strój podróżny, razem z jedwabnymi pończochami (ku memu zaskoczeniu) i eleganckim kapeluszem. Spytałam, gdzie udało jej się kupić jedwabne pończochy, a ona odparła, że po upadku Francji władze okupacyjne narzuciły takie zasady wymiany handlowej, że niemieckie marki miały znacznie większą siłę nabywczą.

Każdy żołnierz niemiecki mógł kupić butelkę perfum Chanel 5 i jedwabne pończochy i sprzedać je potem na czarnym rynku. Jako Amerykanka zaręczona ze Szwedem po prostu nie mogłam wystąpić w bawełnianych. Z miejsca byłabym podejrzana.

Spochmurniała na widok moich posiniaczonych ud i poszarpanych majtek. Nie poskarżyłam się ni słowem, a ona o nic nie pytała. Wiedziała bez słów. Myślę, że dobrze знаła puste spojrzenie zgwałconej kobiety, rozumiała odrazę, którą się czuje do własnego ciała za jego udział w tym morderstwie duszy. Zostawiła mi porcelanową miskę z ciepłą wodą, mydło i ręcznik i wyszła z pokoju. Umyłam się najdokładniej, jak mogłam, choć wydawało mi się, że nigdy nie zmyję z siebie brudu.

Po gorącym posiłku i drzemce przebrałam się we wzorzystą suknię i dostarczone mi dodatki, a gburowaty mężczyzna, który przez całą drogę nie odezwał się ani słowem, odwiózł

mnie na stację kolejową. Szara odrapana półciężarówka najwyraźniej służyła mu także do rozwożenia obornika, więc z trudem powstrzymywałam mdłości. Powiedziałam wcześniej, że nie jestem żołnierzem. To już nie było prawdą. Czułam się żołnierzem i zamierzałam walczyć do końca.

Mój przewodnik pomógł mi ulokować się w pociągu do Berlina i umieścić w przedziale cały mój bagaż. Pewnie wszystkie miejscowe kobiety rzuciły się, by skompletować dla mnie wyprawę. Było to niezwykle poświęcenie z ich strony. Nie miały możliwości uzupełnienia swojej garderoby, jako że sprzedaż ubrań była racjonowana, a co ważniejsze, za pomaganie mogłaby im grozić kara śmierci,

gdyby rzecz się wydała. Zdrajców Tysiącletniej Rzeszy hitlerowcy traktowali bowiem z bezwzględny okrucieństwem.

Podziękowałam mężczyźnie po niemiecku i zostałam sama. Pomyślałam ze smutkiem, że nie mogę oddać sprawiedliwości ludziom, którzy mi pomagają, bo naraziłabym na niebezpieczeństwo innych agentów, którzy będą docierać do Niemiec. Ta niewielka wzmianka w moim dzienniku ma upamiętnić odwagę i poświęcenie anonimowych ludzi. Nasz wywiad poinstruował mnie, że antyfaszystowskie podziemie w Niemczech to nie jest zorganizowany ruch, tylko opór jednostek i niewielkich grup kryjących się przed czujnym okiem sąsiadów.

Mam nadzieję, że to jeszcze ulegnie zmianie.

Oparta wygodnie na skórzanym siedzeniu, bawiłam się puderniczką, by czymś zająć ręce. Czekala mnie długa droga, ale zanim dotrę do Berlina, chciałabym skończyć swoją opowieść. To mi ułatwi koncentrację.

By zepchnąć w niepamięć wydarzenia ostatniej nocy, nastawiłam mentalny kompas na zupełnie inny czas i zupełnie inne miejsce. Kair. Miasto, w którym królują zapachy. Olej do smażenia potraw, garbowane skóry, niemyte, spocone, namaszczone olejkami ludzkie ciała, charakterystyczny aromat szafranu, kadzidelka z wyraźną nutą drzewa sandałowego i róże.

Róże.

Woda różana do zwilżania skóry, pnące róże oplatające dachy meczetów, flakoniki perfum i olejków różanych wystawione na sprzedaż na miedzianych tacach. Trzech małych bosonogich pucybutów w fezach na dworcu kolejowym, a każdy z nich podawał mi bukiet róż w innym kolorze: czerwone, różowe i brzoskwiniowe kwiaty. To Ramzi zorganizował mi takie powitanie. Śmiali się od ucha do ucha rozkosznym, szczerbatym uśmiechem siedmiolatków. Przypominali ciemnoskóre elfy, gdy sypali przed nami ścieżkę z różanych płatków, prowadzącą do gharry, dorożki, do której zaprzężono okazałego czarnego rumaka.

Gdy tak przemierzałam ulice Kairu z Ramzim u boku, czułam się jak księżniczka z bajek tysiąca i jednej nocy. Mój egipski kochanek całował mnie w kark, a jego dłoń jak ciekawskie zwierzątko wślizgiwała się pod moją spódnicę. Niczego mu nie broniłam, opętana obsesją na jego punkcie i spragniona ekstremalnych doznań. Byłam ciekawa, jakie jeszcze fetysze znajdą się w jego arsenale, by mnie podniecać i zaspokajać, jakie sceny będziemy odgrywać, by przedłużyć mój orgazm. Pragnęłam Ramziego tak mocno, że miałam ochotę go wchłonąć, cieszyć się jego ciałem i niespożytą erotyczną fantazją. Z niekłamanym entuzjazmem odgrywałam główną rolę w jego teatrze seksualnej magii. Ostrzegam, drogi czytelniku, zabiorę cię teraz w drugi etap moich niezwykłych peregrynacji. Będziesz zszokowany, zadziwiony, może przyjemnie podniecony, ale nie trać mnie z oczu. Tańczyłam na linie, choć wtedy byłam pewna, że nigdy z niej nie spadnę, tak jak byłam pewna, że skarbnica zmysłowych przyjemności jest bez dna.

W krajach arabskich zbyt ni pośpiech jest obrazą, którą niełatwo wymazać z pamięci, dlatego nie będziemy się nigdzie śpieszyć. Dam ci czas, byś się napawał niezwykłą atmosferą, senną, uwodzicielską, sprzyjającą marzeniom.

Zabiorę cię do tajemniczego miejsca, gdzie fantazje stają się rzeczywistością, gdzie kobieta może być jednocześnie panią i dziwką. W tym miejscu romantyzm i cielesne żądze idą ręką w rękę, a piękne dziewczyny ze wszystkich stron świata są w stanie spełnić najskrytsze, najbardziej wyuzdane męskie pragnienia. Prawdziwe hurysy, które osiągnęły mistrzostwo zarówno w oralnych, jak waginalnych sztuczkach. Kobiety także mogły tu znaleźć partnerów lub partnerki upajających schadzek: kogoś obdarzonego pomysłowością i dowcipem nieskrępowanym konwenansami oraz penisem - czy to naturalnym, czy wyprodukowaną przez człowieka zabawką.

Na następnych stronach pokażę ci wiele obrazów rozpustnej wyzwolonej seksualności rozkwitającej w sprzyjającej temu gorącej atmosferze, wszelkiego rodzaju słodkie owoce grzechu, które znaleźć można było w niezwykle ekskluzywnym nocnym klubie w Kairze, znanym jako...

„Klub Kleopatry”.

7

Berlin

29 kwietnia 1941 r.

Czytał bez przerwy przez godzinę czy dwie. Chuck nie spodziewał się, że pamiętnik odsłoni przed nim kobietę tak skomplikowaną, wyrafinowaną i pełną zmysłowej namiętności.

Seks był jej bóstwem, choć ukrywała nienasycone pragnienie zatracenia się w rozkoszy pod pancierzem brytyjskich dobrych manier.

Pamiętał z najdrobniejszymi szczegółami jej nagie, piękne ciało. Jak siedziała na brzegu marmurowej wanny z rozchylonymi udami, by ułatwić mu sięgnięcie wzrokiem tam, gdzie była tak rozkosznie wilgotna i śliska. Jej dolne wargi nabrzmiwały, gdy ją ssał, wdychając unikalny zapach, który był charakterystyczny tylko dla niej, Europejki należącej do egzotycznego świata. Ten zapach go odurzał i wprowadzał w stan hipnotycznego otumanienia. Wyobrażał sobie, jak obejmuje go udami, poddaje się jego twardym uderzeniom, ochryplym jękiem domaga się, by przyjemność trwała nadal, choć oboje omdlewają z wycieńczenia. Więc nie przerywał. Mógłby się z nią kochać w nieskończoność.

Jej ciało nie przestawało go zachwycać, było tak cudownie sensualne, doskonale zaokrąglone, pokryte jedwabistą skórą. Oddawała mu się bez reszty.

Zmarszczył brwi. To nieprawda. Nie należała do żadnego mężczyzny, nawet do swojego Egipcjanina. Spała z nim, pozwalała, by wraz z Nubijczykiem dawał jej rozkosz, ale to jej nie wystarczało. Potrzebowała czegoś więcej. Wyniosła, niedostępna, krążyła po klubie w sukni tak cienkiej, że aż przezroczystej. Mężczyźni pożerali wzrokiem jej jędrne piersi z twardymi ciemnymi sutkami. Wyglądała jak bogini seksu. W jej obecności przenosił się do innego świata, w którym nie istniała udręka, a przyjemność trwała bez końca. Mimo to wyczuwał, że zjawiskowa blondynka utknęła w błędnym kole, błąka się, tak jak on snuł się bez celu po ciasnych uliczkach najbardziej zakazanych kairskich dzielnic. Nie dostrzegał w jej oczach cierpienia, bo zajęty był tłumieniem własnego bólu. Zabawa w myśliwego i zwierzynę pochłonęła go do tego stopnia, że nie uświadamiał sobie, jak

bezbronna była jego ofiara.

Zeszyt wyslizgwał mu się ze spoconych dłoni. W jego sercu miejsce gniewu zajął

podziw. Wyobraził sobie, jak traumatyczne były jej przeżycia na pokładzie kutra. Nawet podczas wojny i nawet w zetknięciu z tak bezwzględnymi i okrutnymi wrogami, jakimi byli hitlerowcy, gwałt wydawał się szczególnie odrażający. A ona z pełną determinacją kontynuowała swoją misję. To nie była ta sama kobieta, którą znał w Kairze. Co jednak znaczyły te bzdury na temat perfum Kleopatry? Coś podobnego usiłowała mu powiedzieć tuż przed śmiertelnym skokiem do jeziora.

Nie chciał cofać się myślami do jednego z najgorszych okresów w swym życiu, ale przełamał się i podniósł zeszyt, by powrócić do przerwanej lektury. Ręce mu się trzęsły. Nie był w stanie opanować tej czysto fizjologicznej reakcji na wspomnienie więzienia w Kairze, smrodu, który wżarł się w kamienne ściany, psychologicznych gier, które toczyli z nim śledczy, by doprowadzić więźnia na skraj szaleństwa. Udało mu się uciec dzięki pomocy innego więźnia, Czecha, który - jak podejrzewał - wcale nie był tym, za kogo się podawał.

Ale to przeszłość. Teraz zamierzał uhonorować ostatnie życzenie Eve i mówiąc jej słowami, kontynuować podróż, w którą go zabrała. Czego jeszcze się dowie na jej temat? Ta kobieta wciąż była dla niego zagadką.

A on? Czy różnił się od niej? Zanim wylądował w Kairze, przez wiele miesięcy objął

się po wszystkich zakątkach Bliskiego Wschodu, rozwożąc pocztę jako pilot brytyjskiej ekspozytury Imperial Airways. Wolny czas tracił na kobiety, alkohol i hazard. Opuścił Stany Zjednoczone, by zapomnieć o straszliwej pomyłce, przez którą jego młodszy brat stracił

życie. Kobieta. Chuck postanowił uwieść egoistyczną pannę z wyższych sfer, żeby nie dobrała się do chłopaka i nie zniszczyła mu życia swoimi kłamstwami. Zależało jej tylko na tym, by popisywać się przed bogatymi przyjaciółmi najnowszą zdobyczą, czyli przystojnym lotnikiem. Skąd miał wiedzieć, że szczeniak podejmie desperacką próbę zaimponowania niewiernej wybrance, namówi ją na wspólny lot i zacznie się popisywać akrobacjami w powietrzu? Jeden z manewrów zakończył się tragicznie, samolot rozbił się na polu, a pasażerka zginęła na miejscu. Jego brat przeżył wypadek, ale wkrótce popełnił samobójstwo.

Po śmierci brata Chuck nie mógł znaleźć sobie miejsca. Zachowywał się jak samolot wprowadzony w korkociąg, którego pilot stracił kontrolę nad sterami i bezsilnie pikuje. Dwa lata temu (to tylko dwa lata?) jego życie się zmieniło. Z jej powodu. Lady Eve Marlowe.

Arystokratka. Czyż wszystkie nie są siebie warte?

Zaczęło się tamtej nocy w Kairze, kiedy wskoczył do śmierdzącej moczem taksówki i kazał się wieźć do baru w hotelu „Shepherd”, nie wyglądając nawet przez brudne okienka pokryte tłustym kurzem. Po co? Z zewnątrz nic go nie mogło zaskoczyć, czy byli to uliczni sprzedawcy ciastek, zręcznie przeciskający się z tacami w tłumie samochodów, przechodniów i dorożek, czy mężczyźni grający w szachy na stolikach pod gołym niebem, czy obładowane tobołami osiołki, tratujące wszystko na swej

drodze.

W hotelowym barze znieczulił się odpowiednią dawką whisky i ruszył na włóczęgę po bazarze, wdychając zapach kminku i cynamonu, pojadając orzechy i suszone owoce, zanim smród psującego się surowego mięsa i obdartych ze skóry owczych głów nie wypędził go na poszukiwanie kolejnej knajpy. Nie zwracał uwagi na strumienie iskier spływające z wirujących kół ulicznych ostrzycieli noży i tłuszcz pryskający z wielkich patelni, na których w oleju sezamowym smażyły się paseczki wołowiny. Skierował się do Wagh el-Birket, dzielnicy burdeli.

Wybrał ciemnooką piękność w niebieskiej haleczce tak cieniutkiej, że materiał zdawał się topnieć mu w dłoni, przejechał dłonią po apetycznych pośladkach i biodrach, po wygolonym wzgórku łonowym. Usłużnie rozłożyła uda, ale nie miał ochoty jej posiąść.

Nieważne, jak był pijany, dobrze pamiętał, że mieszkanki tych paropiętrowych budynków roznoszą wszelkiego rodzaju zarazę.

Akt seksualny sprowadził się więc do ust dziewczyny drażniących główkę jego męskości. Dalsze kroki zaprowadziły Chucka na rynek ptaków. Ogłuszająca kakofonia skrzyków cytrynowo-zielonych papug zirytowała go, ale nie powstrzymała przed podążaniem za mężczyzną w ciemnej szacie i wielkim turbanie. Wyrażna słodkawa woń haszyszu zwabiła go do ustronnego zaułka, w którym Arabowie przekrzykiwali się, obstawiając zakłady, a walczące koguty wydawały ostre, skrzekliwe odgłosy, rosnące wraz z zażartością pojedynku.

Postawił na dużego samca z czerwonym dziobem i morderczym spojrzeniem przekrwionych ślepi. Ochryple ptasie wrzaski stanowiły echo emocjonalnej burzy i seksualnej frustracji, których sam od dawna doświadczał. Zbyt długo prowadził życie hulaki, pijaka, hazardzisty, człowieka, który jest nieodpowiedzialny i niewierny, ale nigdy nie zapomina. Nigdy. I właśnie pamięć zatruwała mu duszę.

Jego kogut zadziobał przeciwnika, więc odebrał wygraną i miał zamiar zalać się w najbliższej knajpie, gdy jego ciekawość obudziły słowa wypowiedziane przez jednego z nieznanym mężczyzną:

- Właśnie otworzyli nowy klub z prywatnymi gabinetami dla osób z gotówką i nietypowymi apetytami. Nazywa się „Klub Kleopatry”. - Dla wzmocnienia słów Arab zrobił

kółko z kciuka i palca wskazującego i kilka razy dźgnął palcem drugiej ręki, imitując seks.

Chuck uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Nieprzyjemny głosik w tyle czaszki podpowiedział mu, że alternatywą jest obudzenie się rano w brudnym hotelowym pokoju ze strasznym kacem i kurwą pochrapującą przy uchu. Czemu nie sprawdzić, co jeszcze Kair ma do zaoferowania?

Zrobił pierwszy krok ku własnej zgubie.

Na myśl o tamtej nocy otarł pot z czoła i rozpiął kołnierzyk esesmańskiego munduru.

Pragnął kobiety, której nie mógł mieć. Sytuację pogarszało jeszcze to, że jej zakosztował, wciąż czuł miękkość jej ciała, widział odchylenie głowy, gdy się z nim przekomarzała, pamiętał sutki twardniejące pod palcami.

Niech ją diabli.

Nie rozumiał, co go wtedy przyciągnęło do serca, a może raczej podbrzusza kairskiego nocnego świata. Do tego miejsca krzykliwego, jaskrawego, wyuzdanego. Wydawało mu się, że „Klub Kleopatry” dostarczy mu w nadmiarze melodramatycznych wrażeń, które uśmierzą ból i poczucie winy. Nawet teraz, w hotelowym pokoju w Berlinie, widział oczyma wyobraźni nagie ciała tancerek wyginających się bezwstydnie w przejściach między małymi, okrągłymi stolikami, kobiety prowokacyjnie potrząsające biustem i zachęcające partnerów, by pofolgowali instynktom i kochali się z nimi w dyskretnie wydzielonych pomieszczeniach.

Otrząsnął się, by wrócić do rzeczywistości. W pokoju hotelowym panowała martwa cisza, przerywana łomotaniem serca. Telefon nie dzwonił, ale nic nie zmieniało faktu, że powinien na gwałt uciekać z Niemiec. Podróż przez małe miasteczka będzie trudna, łatwiej jest się zgubić w wielkim mieście. Wahał się, czy zostać i skończyć lekturę, czy zabrać dziennik z sobą. Nie znalazł w pokoju lady Marlowe pieniędzy ani biżuterii, które ułatwiłyby mu wymknięcie się z pułapki. Sukienki w kufrze nie były tak wytworne jak kreacje, do których go przyzwyczaiła, ale przecież była to garderoba, na którą złożyły się kobiety z rybackiego portu.

Kusiła go perspektywa pozostania tu trochę dłużej. Nie powinien ruszać w drogę, dopóki nie dowie się czegoś więcej o tajnej misji lady Marlowe. Do diabła, sam siebie okłamuje. Chce więcej wiedzieć o niej. Chce się dowiedzieć, dlaczego zdradziła go w Kairze.

Zamknął oczy, przekonany, że zobaczy tę samą scenę. Nawiedzała go jedna konkretna wizja. Jej nagie ciało pokryte od stóp do głów złotą farbą. Tańczy. Stoi odwrócona plecami, otulona dymem papierosowym niczym woalem, jakby to były astralne łapy obmacujące ją, zostawiające brudne odciski palców na złocistej skórze. Nie może oderwać oczu od jej pośladków. Są krągłe, absolutnie doskonałe. Wyobraża sobie, że rozchyła dwie półkule i bierze ją od tyłu, nadziewa ją na swój członek i doprowadza do ekstazy. Wyobrażał to sobie w kółko w czasie długich nocy spędzonych w kairskim więzieniu. I wciąż wracały te wszystkie dręczące podejrzenia. Dlaczego go okłamała? Czy w pamiętniku znajdzie wreszcie odpowiedź na to pytanie?

Oddychając ciężko, przewrócił kartki zeszytu, pewien, że w dalszej części to on będzie jednym z głównych bohaterów opisaney w nim historii.

Kair

Wrzesień 1939 r.

Miałam szósty zmysł do wynajdywania przyjemności i potęgowania jej do maksimum.

To stanowiło w moim ręku potężną broń. Ostrą, niezawodną. Śmiertelną. Posługiwałam się nią każdej nocy w czeluściach „Klubu Kleopatry”, gdzie w wydekoltowanej sukni ze złotej lamy

przypominałam najwyższą kapłankę tajnego kultu. Dbałam o to, by światło padało na obnażone ramiona i plecy pod odpowiednim kątem i wywoływało wrażenie, iż całe ciało skrzy się i migocze, a oczarowany widz nie był w stanie rozróżnić, gdzie kończy się jawa, a zaczyna złudzenie. Ten efekt przykuwał uwagę, intrygował, zdumiewał. Moją obsesją było kreowanie wizualnych afrodyzjaków, które wabiłyby przychodzących. Dotyczyło to zarówno przemyślanego w najdrobniejszych szczegółach wnętrza, jak i młodych kobiet o dojrzałych kształtach, których zachowanie, czasem ironiczne, a czasem z głową w chmurach, czyniło z nich szczególne obiekty męskiego pożądania.

Naszym klientkom „Klub Kleopatry” zapewniał towarzystwo przystojnych mężczyzn w wieczorowych garniturach, całujących ich dłonie, podających ogień i każdym gestem obiecujących znacznie więcej. Cudowne uczucie pulsowania i gorąca rozlewającego się w brzuchu, gdy będą wiły się, przygniecione ciałem nieznajomego, wykrzykiwanie w zapamiętaniu imion obiektów swych seksualnych fantazji, szloch i jęki rozkoszy tłumione obcymi wargami, i z niczym nieporównane uczucie spełnienia, wyzwolenia, bujania w powietrzu. Potem wciągały na siebie jedwabną bieliznę i pończochy, poprawiały fryzury, które trwała ondulacja utrzymywała w nienagannym stanie, i wracały do swego normalnego życia oficerskich żon, dam z towarzystwa, rozpuszczonych panien na wydaniu, tylko tajemnicze uśmiechy na twarzach i przyjemna nadwrażliwość między nogami przypominały o przeżytej przygodzie. „Klub Kleopatry” pozwalał każdej kobiecie przybrać na chwilę oblicze pięknej egipskiej królowej: połowa twarzy jasna i rozpromieniona wewnętrzną radością, druga połowa w cieniu. Zakazana. Tajemnica, erotyzm, dekadencja.

Mieliśmy to wszystko.

Dzientelmeni w białych rękawiczkach poddawali inspekcji nagie niewolnice przykute do łańcucha, nakazywali im obracać się i zmieniać pozycję, szczypali sutki, by potem zdjąć rękawiczkę i wprowadzić palec do środka. Pisząc te słowa, przypominam sobie spisany na zbrązowiałych papirusach obszerny katalog niewolnic i niewolników, ujmujący z najdrobniejszymi szczegółami ich wymiary i szczególne umiejętności w dziedzinie erotycznych rozkoszy. Seks oralny i analny, chłosta batem, pejczeniem i szpicrutą.

Doznaję niezwykłego uniesienia, gdy wspominam spocone męskie ciała splecione z moim, ręce pełnące po ciebie, ciekawskie palce, niepowtarzalne uczucie wypełnienia, gdy trzech mężczyzn brało mnie ze wszystkich stron. Ochoczo odpowiadałam na tę ekstremalną stymulację, po omacku szukając zajęcia dla swych dłoni, krzycząc z całych sił, gdy moje ciało dygotało w wielokrotnych orgazmach.

Byliśmy wszyscy młodzi i zmysłowi, w tym mieście oddalonym od europejskiej cywilizacji chcieliśmy wcielić w życie najdziksze seksualne fantazje. A ja co wieczór zdumiewałam naszą klientelę, bo grałam najodważniej i o najwyższe stawki, jakbym zamierzała rzucić wyzwanie całemu światu.

Teraz gram swą rolę na innej scenie. Moja publiczność składa się z ludzi, którzy być może nie doczekają jutra. Czuję się jak zaprawiony w bojach żołnierz: szczęśliwy, że udało mu się przeżyć kolejny dzień, świadomy, że walka toczy się nadal. Ale to nie miejsce na roztrząsanie prywatnych wątpliwości i lęków po części cynicznej, a po części romantycznej natury. Obiecałam ci ogród zakazanych rozkoszy i dostarczę ci go. Ostrzegam, drogi czytelniku, wydarzenia, które miały miejsce w „Klubie Kleopatry” późnym latem 1939 roku z pewnością cię zaszokują, a gdy na to pozwolisz,

rozpałą twe zmysły. Ale, jak sądzę, jeśli czytasz nadal, to znaczy, że szukasz mocnych wrażeń.

Nie odmówię ci tej przyjemności.

Nie zdradzę, gdzie mieścił się „Klub Kleopatry”. Doznałbyś rozczarowania, gdybyś znalazł się w Kairze i trafił pod ten adres, obecnie bowiem znajduje się tam placówka służby zdrowia brytyjskiej żandarmerii, a głównym celem jej działania jest zbieranie danych na temat chorób wenerycznych wśród żołnierzy. Nie mają pojęcia, jakim rozpustnym uciechom służył ten malowniczy budynek w pobliżu hotelu „Shepherd”.

Mimo to zdegradowana siedziba królestwa grzechu nadal wywiera wrażenie. Wejścia strzegą kamienne węże, słonie i smoki. Domostwo zbankrutowanego tureckiego przedsiębiorcy przez całe lata stało opuszczone i niszczało, aż wypatrzył je Ramzi i zatrudnił

majstrów, by przywrócili mu utracjuszowską świetność. Budynek otoczony był ogrodem, w którym wśród bujnej zieleni stały rzeźby przedstawiające pary kopulujące w różnych pozycjach. W środku, w głównym holu, wzrok wchodzących gości przykuwali nadzy mężczyźni i kobiety, przedstawieni na ściennych freskach z pieczołowitą dokładnością.

Dwóch Maurów pilnowało połączonych drzwi ze złotymi klamkami, za którymi znajdowało się główne pomieszczenie klubu z podłogą pokrytą mozaikowym parkietem i eleganckimi krętymi schodami prowadzącymi na wyższe piętro. Wszędzie, nawet na suficie, wisały belgijskie kryształowe lustra. W ogromnym marmurowym kominku dniem i nocą palił

się ogień, aby żarzące się węgle podsycaly temperaturę ludzkich namiętności. Do prywatnej części na górze, zwanej Pokojem Kobry, można się było dostać windą. Jedna winda wiozła gości na górę, natomiast druga zwoziła ich na dół, by nie mieli możliwości się spotkać.

Absolutna dyskrecja była podstawą sukcesu „Klubu Kleopatry”. Nikt nie mógł mieć pewności, kto z obecnych odwiedzał pomieszczenie na górze, co otaczało ten przybytek aurą magicznej tajemniczości.

Szczególny nastrój, uwodzicielski i czarowny, wiązał się też z muzyką rozbrzmiewającą w pomieszczeniach klubu. Ogniste tango. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłam Josette La Fleur przy pianinie. Grała tak, jakby jej palce ślizgały się po uległym ciele kochanka, pieszcząc go, a jednocześnie czerpiąc przyjemność z każdego taktu. Zmysłowo poruszała biustem ledwie przykrytym krwistoczerwonym aksamitem sukni, energicznie przyciskała pedały długimi smukłymi nogami, ale najlepiej pamiętam jej dłonie.

Podrywały się znad klawiatury i fruwały w powietrzu w pełnych ekspresji gestach. Dłonie o długich palcach zakończonych paznokciami o kształcie migdałów, marzenie każdego rękawicznika. Wyczułam w niej pokrewną duszę, kobietę obdarzoną zmysłową żywotnością, a jednocześnie dobrze znającą ból płynący z poczucia wykluczenia.

Josette była Mulatką o tak jasnej karnacji, że z łatwością mogłaby podawać się za białą, gdyby jej na tym zależało, ale to nie byłoby w jej stylu, bo zawsze chlubiła się mieszanym pochodzeniem. Była utalentowaną pianistką, która równie dobrze grała na akordeonie i gitarze. Opowiadała wiele historii

o swojej rodzinie, ale nigdy nie doszłam do tego, czy w którejś było ziarno prawdy. Nie wiedziałam, czy zawdzięcza smukłą, arystokratyczną sylwetkę ojcu, etiopskiemu dyplomacie, czy matce, paryskiej primabalerinie o długiej szyi i małych piersiach. Innym razem twierdziła, że jej ojciec był afrykańskim królem, który trafił do Francji z Konga Belgijskiego, a matka zamożną amerykańską rozwódką o szarych oczach. Tęczówki Josette także były szare, obramowane długimi czarnymi rzęsami, za którymi kryła swe myśli jak za wachlarzem. Kimże byłam, by osądzać tę czarującą młodą kobietę, skoro sama miałam dobrze skrywane sekrety. Mam je nadal i nie zamierzam ich ujawniać aż do zakończenia misji.

Robię pauzę. Siedzę przy toalecie w hotelowym pokoju w Berlinie, poprawiam wargi czerwoną szminką dla dodania sobie animuszu. Wkrótce wychodzę na umówiony lunch z Maxi. Ma mi przekazać pewne informacje, na które czekają w Londynie. Ale teraz mam jeszcze czas, by skończyć swój wpis w dzienniku i opowiedzieć historię Josette, z całą sympatią, którą mam dla młodej utalentowanej śpiewaczki.

Była wcieleniem seksownej elegancji, gdy tak siedziała przy pianinie, jednak potrafiłam dostrzec pod tą migotliwą powłoką wewnętrzną twardość i nieustępliwość, które musiała w sobie wyrobić, gdy wspinała się po szczeblach sławy, grając gorący jazz na scenkach nocnych kabaretów. Miała charakterystyczny, trudny do podrobienia styl wykonywania piosenek, a jej mocny, trochę zachrypnięty głos łaskotał uszy słuchaczy jak języczek kociaka zlizującego mleko z dłoni swego pana. Paryż oszalał na jej punkcie, zwłaszcza teraz, gdy Francuzi fascynowali się murzyńską muzyką i sztuką. Niestety, nie na wiele się to zdało. Zazdrosna żona jej kochanka wynajęła bandytów, którzy zagrozili, że potną jej śliczną buzię brzytwą, jeśli nie opuści Paryża w trybie natychmiastowym. Spakowała więc sceniczne kostiumy i instrumenty muzyczne i wyniosła się na inny kontynent, by jak najszybciej zapomnieć o niefortunnym romansie.

Świetnie rozumiałam, co znaczy boleść po utraconej miłości, nie zadawałam więc żadnych pytań, gdy przyszła do klubu w poszukiwaniu pracy. Zatrudniłam ją, zanim jeszcze skończyła grać moją ulubioną piosenkę z repertuaru Cole'a Portera. Przyszło mi to tym łatwiej, że nasz poprzedni pianista wyjechał właśnie w towarzystwie piosenkarki, skuszony lukratywną ofertą z hotelu „St. George” w Algierze. Josette była wysoka i smukła, z prostymi czarnymi włosami do ramion. Wsadzała sobie kwiat za jedno ucho, a papierosa za drugie. Ten kwiat mówił wszystko o jej naturze. Zmysłowa chryпка w głosie, pociągające ciało, kwintesencja kobiecości na scenie.

Te chwile, gdy przesiadywałam popołudniami w barze i słuchałam, jak Josette ćwiczy nowe piosenki z rosyjskim skrzypkiem, wirtuozem ze szczególną słabością do Mendelssohna i martini, traktowałam jak duchową ucztę. Ze szklaneczką brandy w jednej ręce i papierosem dymiącym w popielniczce przede mną, nuciłam ze śliczną Mulatką francuskie ballady, a ich tęskna zmysłowość potęgowała głód, który mógł nasycić tylko Ramzi, o ile w porę wyrwie się z biznesowego spotkania z Lailą.

Czy podejrzewałam, że łączy ich coś więcej? Nie, choć dostrzegałam dowody jego uzależnienia od siostry. Uzależnienia, które, jak sądziłam, nie miało erotycznej natury. Laila zwykła była potrząsać głową jak tancerka, by rozhuścić długie kolczyki i wprawić je w hipnotyzujące kołysanie, ilekroć chciała wysłać Ramziego z jakimiś poleceniami.

Zachowywała się jak królowa, która wydaje rozkazy swemu niewolnikowi.

Spełniał je bez zwłoki. Podkładał poduszkę pod plecy, biegał na bazar po egzotyczne przysmaki, przyrządzał mocną arabską czarną kawę i podawał z wprawą zawodowego kelnera, a wszystko to bez cienia protestu i z najwyższą atencją. Laila czerpała perwersyjną przyjemność z demonstrowania przede mną, jaką władzę posiada nad swoim bratem, jakby chciała mi udowodnić, że pociąg seksualny jest nieporównanie słabszą więzią w zestawieniu z niewidzialną smyczą, na której go trzyma. Zresztą Ramzi był jedyną osobą, której okazywała czułość i przywiązanie. Nie mogła marzyć o zaspokojeniu w łóżku pożądania, które do niego czuła (a przynajmniej wtedy tak mi się wydawało), więc znalazła inne lekarstwo na swoją impotencję - jeśli można tym impertynenckim słowem podsumować jej pozbawioną miłości egzystencję - i syciła się władzą absolutną, którą sprawowała nad swoim mężczyzną.

Czy mi to przeszkadzało? Szczerze mówiąc, nie. Pozwalałam Laili na te małoduszne gierki. Nie bałam się jadowitych spojrzeń rzucanych w moim kierunku, nie zwracałam uwagi na długie kolczyki tańczące na nagich ramionach i wymuszone grymasy, które miały imitować uśmiech. Byłam nienagannie uprzejma i uparcie szukałam w niej śladów ciepła, ale nigdy nie dostrzegłam najmniejszej nawet isierki.

Chętnie bym tu napisała, że miałam do czynienia z kobietą bezbarwną i nudną, ale byłoby to kompletnie fałszywe. W rzeczywistości cechowały ją inteligencja i ogromna wiedza o historii starożytnego Egiptu oraz jego zabytków. Chroniła Ramziego z taką pasją, z jaką artysta mógłby bronić dzieła swego życia. Dopiero później dotarło do mnie, że Ramzi w istocie był jej tworem, bo przelała w niego swą duszę, swą zachłanną seksualność, zostawiając w sobie pustkę wypełnioną jadowitą nienawiścią do każdego, kto zagroziłby jej arcydziełu.

Nie wiedziałam wtedy, że była kompletnie szalona, opętana przez demony. Nie zrozum mnie źle, nigdy nie traciła samokontroli, lecz przez to jej szaleństwo stawało się tym bardziej niebezpieczne. Była istotą seksualnie okaleczoną. W dzieciństwie poddano ją obrzezaniu, co w praktyce oznaczało, że społeczeństwo - w hołdzie dla zabobonów i przesądów na temat kobiecej seksualności - wyrwało z niej serce kobiecości, jeszcze zanim mogła zaznać słodkiej przyjemności płynącej z pierwszej miłosnej nocy. Zabito w niej duszę.

Nie była w stanie zrozumieć, na czym polega rozkosz fizyczna, której poszukujemy w seksie.

Zostały jej ironiczne poczucie humoru i ostry jak brzytwa język. Jej dowcip zawsze miał

seksualny podtekst, ale urwana w połowie pointa jakby zostawała zawieszona w powietrzu.

Była jak poeta, który upił się absyntem i wyśpiewuje swój geniusz, powtarzając w kółko tę samą frazę.

Nie byłam w stanie przeniknąć jej lodowatej powłoki, choć jak się później okazało, Laila prowadziła niebezpieczną grę, o której jeszcze napiszę. Wtedy widziałam w niej tylko kobietę, która nie jest w stanie doświadczyć seksualnego spełnienia, więc syci oczy widokiem cudzych ciał, gdy sama pozostaje lodowata i dziewicza. Przypominała aktorkę, która zastyga porażona paraliżującą tremą i nie jest w stanie wyjść na scenę.

Sama myśl o niej - o pretekstach wymyślanych po to, by Ramzi zajmował się spełnianiem jej zachcianek, o kolczykach na obnażonych brązowych ramionach, wiecznych skargach na upał - przyprawia mnie o ból głowy. Nie będę teraz o niej pisała, drogi czytelniku. Jest wiele innych przyjemniejszych tematów. Tęsknię za męskimi ramionami, za gorącym oddechem łaskoczącym mój kark. Jestem samotna, dlatego zabawiam się, spisując te wspomnienia, przeskakując od jednej erotycznej przygody do drugiej jak pensjonarka, która na ścianie i w sercu przykleja fotosy z wizerunkami ulubionych gwiazdorów filmowych. Nie mam ambicji stworzenia wiekopomnego dzieła. Krytycy nie zostawiliby na mnie suchej nitki.

Moim celem jest opisanie historii kilku osób, które ze swoimi poplątanymi życiorysami, nałogami i obsesjami nie mogły nigdzie znaleźć dla siebie miejsca, aż wreszcie spotkały się w przeddzień straszliwej wojny w Kairze, w miejscu przypominającym niebo z ich delirycznych majaczeń - czyli w nocnym klubie, gdzie normą były rozpusta i nierząd. Nazwę to po imieniu

- pieprzenie się - bo choć słowo jest wulgarne, celnie oddaje spazmatyczne ruchy ciała, lubieżne westchnienia i jęki, śliskość genitaliów i ich klaskanie w pośpieszonym zbliżeniu.

Ogień rozpała się we mnie, chcę zanurkować w głąb własnej pamięci, wynurzyć się mokra i na granicy ekstazy, choć nie użyję rąk, by się zadowolić, bo będę potrzebowała całej drzemiącej we mnie energii do wykonania misji.

Kiedy zamknę zeszyt, znowu będę sama w pustym pokoju hotelowym, ale kolejne wspomnienia, ubieranie ich w słowa, napelnią mnie błogością. Jeśli uważasz, że zbyt wiele czasu poświęcam na popisy retoryczne, chcę cię zapewnić, że dobra znajomość bohaterów mojej opowieści jest kluczowa, byś rozumiał zawikłanie akcji i okazał wyrozumiałość dla tego, czego świadkiem staniesz się wkrótce na kartach pamiętnika oprawionego w czerwony jedwab. Wyczuwam twoją niecierpliwość, drogi czytelniku, toteż zapewniam, wszelkie pikantne historie, których masz prawo oczekiwać, ujawnię z najdrobniejszymi szczegółami.

Wystarczy, że przewrócisz stronę.

Widzę oczami wyobraźni, jak właśnie to czynisz.

8

Wiele razy rozbierałam się w świetle księżyca, którego biała kula unosiła się tuż za oknem hotelowego apartamentu, a Ramzi przyglądał mi się, wsparty na wielkich zielonych poduszkach.

Stałam w intensywnej poświacie bezwstydnie naga, przymykałam oczy i wyobrażałam sobie, że mój kochanek jest rzeźbiarzem, a ja miękką gliną w jego rękach, formowaną stosownie do życzeń artysty. Nacierał dłonie olejkiem jaśminowym i wmasowywał go w całe moje ciało, nawilżając skórę i dając jej ukojenie. Zamykał piersi w dłoniach, pocierał

kciukami sutki i jak magik ożywiał je, a one prężyły się i sztywniały.

Wyginałam się spazmatycznie i instynktownie przysuwałam do niego bliżej, nie opierałam się, kiedy

muśnięcia przechodziły w brutalny dotyk, wałkował w palcach moje brodawki, aż stawały się twarde. Teraz już byłam niezdolna do powstrzymania fali gorąca spływającej w rejon podbrzusza, ale on nadal masował każdy centymetr kwadratowy mego ciała i poznawał palcami każdy jego zakątek. Zawłaszczał je, brał w posiadanie.

Nie! - podpowiedział mózg.

Poczułam się jak osoba wyrwana z hipnotycznego transu i nagle przeszył mnie ból.

Wiedziałam, dlaczego. Pławiłam się w takiej samej rozkoszy, gdy dotykał mnie lord Marlowe, kiedy mu ulegałam. Teraz dręczyło mnie poczucie winy wobec nieżyjącego męża. Co się ze mną dzieje? Czy można zdradzać zmarłego? A jeśli było to podświadome ostrzeżenie?

Zabawa w dominację i uległość może się okazać niebezpieczna, zwłaszcza gdy prowadzi ją dwoje graczy, którzy nie są z sobą do końca uczciwi.

Ale za chwilę, gdy Ramzi zanurzył we mnie swoje palce, a potem zaczął pocierać stwardniałą lechtaczkę, nie byłam już zdolna do racjonalnej analizy. Teraz rządziła mną prymitywna siła, potężniejsza niż rozum. Istniała tylko chwila terażniejsza. Drżałam w podnieceniu i czekałam na moment, gdy mnie zaspokoi.

Jednak mój partner miał inne plany.

Otworzyłam oczy i stwierdziłam, że przygląda się moim piersiom, okrągłym i jędrnym. Naoliwiona skóra połyskiwała, jakbym była posągiem pokrytym ranną rosą. Nie poruszał się, patrzył tylko. Podziwiał mnie, jakbym była dziełem sztuki. Nie miałam pojęcia, że praktykuje na mnie rytuały charakterystyczne dla muzułmanów wschodniej Afryki, czyniąc ze mnie rozpieszczoną niewolnicę przyzwyczajoną do spełniania swych wymyślnych zachcianek i zmysłowego luksusu. Wtedy wiedziałam tylko, że nie potrafię bez niego żyć.

- Jesteś uosobieniem grzechu, moja piękna Angielko - rzekł z westchnieniem. -

Zdeprawowaną do szpiku kości.

- To ci przeszkadza? - Opadłam na kolana i łakomie polizałam gładką główkę jego członka. Skoro zwlekał, sama przejmę inicjatywę.

- Podnieca mnie twoja przemiana w boginię, gdy nienasycenie i emocjonalne burze zamieniasz w żywioł porażający pięknem.

- Jak teraz?

Przejechałam językiem po całej długości jego pała, napawając się gorącem i intensywnym męskim zapachem. Ramzi uważał się bardziej za Europejczyka niż Egipcjanina i potrafił dostrzec moje upodobanie do jego naturalnego piżmowego zapachu. Zauważyłam, że nie naciera się już perfumami Kleopatry, choć Egipcjanie mieli zwyczaj namaszczania całego ciała wonnymi olejkami. Przebaczyłam głupie kłamstewko o niezwyklej mocy perfum, którym mnie uwiódł na początku

znajomości, nie mogłam jednak darować Laili stałych nacisków, bym kupiła kolejne artefakty ze znalezionych niedawno grobowców, a potem odsprzedała je z zyskiem przy jej pomocy, oczywiście po odliczeniu solidnej prowizji. Nie miałam zaufania do wciskanych mi starożytności. Uważałam, że albo pochodzą z podejrzanych źródeł i zostały skradzione ze stanowisk archeologicznych, albo są znakomitymi podróbkami, nie do odróżnienia dla laika. Muszę jednak przyznać, drogi czytelniku, że pudełko z perfumami - rzekomo należące do słynnej z urody królowej - było mistrzowskim fałszerstwem, a już z całą pewnością najlepszym, jakie mi się zdarzyło w życiu widzieć. Każdy szczegół wyglądał na zachwycająco autentyczny. Trzymałam je w apartamencie w hotelu „Shepherd” i z upodobaniem korzystałam z wonnej zawartości.

Zapach perfum Kleopatry wzmacniał moje uzależnienie od seksualnych zabaw, którym się oddawałam nocami. Wznosiłam modły, bym nigdy nie musiała przekonać się na własnej skórze, czy perfumy rzeczywiście mają jakąkolwiek magiczną moc.

Tej nocy, podobnie jak przy wielu innych podobnych okazjach, wąchałam Ramziego, lizałam go i smakowałam, aż wreszcie wciągnęłam niemal do gardła, nie przestając ssać z całej siły. Palcami pieściłam jego jądra, czułam, jak członek twardnieje i pulsuje, a gdy eksplodował w moich ustach, delectowałam się słonawym smakiem spermy, zanim połknęłam ją bez zastanowienia. To, co byłoby nie do pomyślenia w stosunku do moich byłych kochanków, wydawało mi się rzeczą naturalną i przyjemną, gdy kochałam się z Ramzim. Lubiłam go obserwować podczas intensywnych orgazmów. Oddychał z trudem, dygotał na całym ciele, krzyczał, a potem mokry od potu opadał na zielony jedwab.

- Moja angielska róża wie, jak zadowolić mężczyznę - mawiał i przejeżdżał palcami przez moje zmierzwiłone włosy.

Przymykałam oczy, zadowolona z delikatnej kojącej pieczy. W jego dotyku było tyle czułości.

- Uwielbiam cię zadowalać, mój sułtanie. - Skubnęłam wargami jego ucho, przywarłam do niego nagim ciałem i dotknęłam bezsilnego, skurczonego członka. - Muszę trochę poczekać na swoją kolej.

- Nie pozwolę ci długo czekać - odparł ze śmiechem.

- Pragnę cię, Ramzi, jak żadnego innego mężczyzny - szepnęłam głosem pełnym emocji. To była prawda. Miał piękne ciało i tyle szelmowskiego wdzięku, że rozpalał mnie sam jego widok.

- Nigdy się nie rozstaniemy. Dałaś tyle rozkoszy swemu panu, że będziesz jego hurysą w raj.

- Mój raj jest tutaj, z tobą, Ramzi - odparłam, odsuwając się nieco. - Ale żaden mężczyzna nie jest moim panem.

- Będziesz moją niewolnicą, jeśli sobie tego zażyczę. - Ścisnął mnie za rękę.

- Nie. - Zajrzałam mu w oczy z wyzwaniem, ale nie próbowałam się oswobodzić. Nic mi nie groziło.

- Nie? Mam ci sprawić lanie? Chcesz, żeby twój tyłeczek zalał się rumieńcem po spotkaniu z moim pejczem? A może wolisz, żebym cię nabił na pal?

- Nie będę się broniła.
- Czy wiesz, o co prosisz? - Jego władcza, zaborcza ręka zsunęła się na moje udo.
- Chcę, żebyś mi to wszystko zrobił, Ramzi - szepnęłam. - A nawet więcej.
- Więc jestem twoim niewolnikiem, angielska ślicznotko, bo nie umiem ci odmówić.

To była nasza zakryta przed światem gra. Prowokowaliśmy się, drażniliśmy, rzucaliśmy sobie wyzwania. Czułam, że te intymne godziny spędzane tylko we dwoje były dla niego równie ważne jak dla mnie, choć nie ukrywam, że braliśmy udział w seksie grupowym wszelkiego rodzaju, gdy wymagały tego od nas obowiązki właścicieli „Klubu Kleopatry”. Jednak to właśnie tamte momenty wyjątkowej bliskości i czulej akceptacji przechowuję w pamięci jak najdroższe skarby.

Jeszcze coś muszę ci powiedzieć o moim Egipcjaninie: nigdy nie czekałam więcej niż kilka minut na to, by jego członek wyprężył się ochoczo, gotowy do wypełniania swych obowiązków. Rozmiary zapierały dech w piersiach. Pieprzył się ze mną z taką nieustępliwą jurnością, że kręciło mi się w głowie. Lubił eskalować napięcie. Widząc, że jestem bliska orgazmu i wystarczy jedno pchnięcie, by wysłać mnie na orbitę, nieruchomiał i kazał mi błagać o rozkosz. Z zapalem odgrywałam swoją rolę, skamlałam i jęczałam, domagałam się, by folgował swym chuciom, aż wreszcie tracił resztki samokontroli i porywał mnie w szaleńczy galop, po którym padaliśmy na łóżko kompletnie wyczerpani i całkowicie zaspokojeni.

Czasem podejrzewałam go o nieustającą erekcję, tak ochoczo odpowiadał na każdą moją seksualną zaczepkę i spełniał każdą erotyczną zachciankę. Klęczałam przed nim na czworakach wtulona twarzą w miękką białą narzutę, gdy penetrował mnie od tyłu; stałam oparta plecami o ścianę, z nogą na jego biodrze, gdy rozpychał się między moimi udami; leżałam na plecach nadziana na jego twardą męskość i jęczałam ochryple z rozkoszy, gdy zarzucał sobie moje nogi na ramiona dla lepszej penetracji. Owinął mnie sobie wokół palca, otumanił, zauroczył, a ja potrzebowałam go w coraz większych dawkach, wierząc naiwnie, że kontroluję sytuację. Nie dostrzegałam, do jakiego stopnia mnie uzależnił, jak bardzo idealizowałam seks, który nas łączył. Jego niespożyte siły witalne mnie zdumiewały. Ja też nigdy nie byłam aż tak wyuzdana...

Do diabła. Denerwuję się i opisuję mój związek z Ramzim, jakby to była bajka z tysiąca i jednej nocy. Muszę ci coś wyznać, drogi czytelniku. Prawda jest o wiele bardziej skomplikowana. Brązowa plama na tej stronie to ślad po brandy. Ręka tak mi drżała, że rozlałam zawartość szklaneczki. Potraktujmy ją jako dowód emocjonalnego napięcia, z jakim odtwarzam kolejność wydarzeń, które nieuchronnie prowadzą mnie do Berlina. Już mówiłam, że moje wspomnienia nie są fikcją, powieścią, która ma zaskakiwać czytelnika na każdym kroku, choć staram się wzorować na prawdziwych pisarzach i ich warsztacie. Z rozmachem nakreśliłam portret mego egipskiego księcia, lecz zapewniam cię, czytelniku, że słowa nie są w stanie oddać, jak bardzo był przystojny i jakie miał królewskie maniery. Nie ujawniłam ci do tej pory pewnej kluczowej informacji, chcąc cię oszołomić erotycznymi peregrynacjami i przyrządzając opisy jak smakowity krem, lekki i rozplływający się w ustach. Pominęłam coś, co powinno być nazwane jasno i wyraźnie. Mogłabym pisać o swym obłędzie w kwiecistych, onirycznych frazach (jakbym jeszcze się z niego nie przebudziła), ale puste, niemądre

słowa są bezużyteczne.

Nie będę owijała w bawełnę. Nie potrafię przyozdabiać własnej neurozy czerwonymi kokardkami i ignorować brzydkich emocji, które jak czerwie toczą moją duszę. Prawda jest taka, że śmiertelnie się wstydzę. Wstydzę się za samą siebie z tamtego okresu. Tak, byłam arogancką, egocentryczną nimfomanką, ale do tego już się przyznałam. Mam tajemnicę, która do tej pory doskwiera mi jak kompromitujący grzech pominięty w czasie spowiedzi.

Muszę teraz odejść od erotycznego wątku opowieści i wyznać coś, co mnie brzydzi i przyprawia o mdłości. To nieprzyjemne wyznanie, niezależnie od tego, w jakie słowa je ubiorę. Narkotyki. Kokaina, morfina.

Robi mi się zimno do szpiku kości, trzęsę się jak galareta. Ręka mi tak dygocze, że odkładam pióro, podnoszę je i odkładam znowu. Wreszcie słyszę w głowie jego słowa, jakby je wypowiedział tu i teraz, a jego gniew zmusza mnie do napisania dwóch słów: Byłam narkomanką.

- Nie - szepczę błagalnie - nie chcę tego napisać - ale ręka mnie nie słucha i kreśli kolejne litery.

Jakże łatwo byłoby udać, że nie pamiętam mych flirtów z odmiennymi stanami świadomości, ale teraz nie posunę się do kłamstwa. Przyznaję, że zaczęłam brać narkotyki pod koniec lat dwudziestych w Berlinie, w czasie tych wypełnionych tańcem szalonych miesięcy. Miałam szczęście. Byłam młoda i nie cierpiałam na żadne efekty uboczne. Dopiero teraz, gdy popadam znienacka w stany depresyjne, gdy dręczy mnie paranoja, uświadamiam sobie, że to opóźniony skutek młodzieńczej nierozwagi. Czas może jeszcze ujawnić kolejne fizyczne konsekwencje szprycowania się narkotykami przed laty.

Bóg jeden wie, jak nisko stoczyłabym się na tej drodze do samounicestwienia, gdyby nie interwencja lorda Marlowe'a. Tak, to jego głos słyszałam przed chwilą w głowie, to on popycha mnie do dokonania rozrachunku z przeszłością. Jak już pisałam, był prawdziwym dżentelmenem i uczonym, a chociaż za nic nie zrezygnowałby ze swojego kieliszka porto, gardził narkotykami.

- Paskudne świństwo - mawiał.

Wiedziałam, dlaczego. Nie opowiadałam o tym nikomu, ale rodzina Marlowe'ów miała wstydlive sekrety. Ojciec mego męża, Charles Henry, dziewiąty wicehrabia Marlowe i pan na włościach Glynwyck, popadł w obłęd z powodu alkoholizmu i uzależnienia od absyntu i opium. Swego czasu wywołał wielki skandal, a sam popełnił samobójstwo, przerażony oskarżeniami o spowodowanie śmierci młodej ładnej służącej w czasie jednego z niekontrolowanych napadów szału. Lady Anne Marlowe nie była w stanie uwierzyć, iż jej mąż byłby zdolny do ulegania tak haniebnym nałogom, toteż użyła swych koneksji i ogromnego majątku do zamknięcia ust plotkarzom i wścibskim reporterom. Dochodzenie prowadzone przez lokalną policję zostało umorzone.

Nie była jednak w stanie zachować tajemnicy przed swym synkiem, chłopcem, który odziedziczył lordowski tytuł i wiele lat później ożenił się ze mną, podobnie jak nie była w stanie ukryć przed nim istnienia sekretnego pokoju wyposażonego w krzyże św. Andrzeja, łańcuchy przymocowane do ściany, pasy cnoty, uprząże na ręce i nogi, kaptury i kneble, obroże dla niewolników oraz całą kolekcję pejczy, szpicrut, batów i trzciniek bambusowych.

Lord Marlowe odziedziczył po ojcu upodobanie do wiązania swych partnerek, ale w przeciwieństwie do niego brzydził się wszelkimi stymulantami. Jako chłopiec miał niewiele okazji, by obserwować stopniową degradację rodzica pod wpływem narkotyków, jednak jako młody oficer walczący na francuskim froncie podczas pierwszej wojny światowej niejednokrotnie widział żołnierzy, którzy tracili rozum po zażyciu kokainy. Wskakiwali z okopów i atakowali na oślepe pozycje wroga albo załamywali się i płakali ze strachu, niezdolni do zrobienia najmniejszego ruchu.

Jeśli przed ślubem wiedział o mojej słabości do kokainy, nie zdradził się z tym ani słowem, a ja ukrywałam swój sekret jak mogłam najlepiej. Kupowałam narkotyk od osoby z towarzystwa, która rozpaczliwie potrzebowała gotówki. Nigdy nie brałam, gdy mąż był w domu, ponadto różowałam sobie policzki i odgrywałam rolę wesołego urwisa, by nie zwracał

uwagi na moją nienaturalnie białą cerę, gdy wracał przed czasem.

Jednak nadszedł taki dzień, gdy przedobrzyłam. Zaczęło się niewinnie, choć żadne moje ówczesne zachowanie w istocie nie było niewinne. Byłam perfidną pajęczycą łowiącą ofiary w sieć intryg, używającą jedwabnych pończoch jak oręża i hipnotyzującą ogłupiałych mężczyzn kólkami dymu papierosowego wypuszczanymi spomiędzy karminowych warg.

Tego dnia zaskoczyłam męża w jego gabinecie. Wkroczyłam ubrana tylko w pończochy, czerwone podwiązki i długie futro z czarnych soboli, które mi kupił w Paryżu.

Uwielbiałam to futro, mogłam je nosić dniem i nocą. Zrobiono je ze skórek stu najpiękniejszych zwierzątek z rosyjskich ferm i kosztowało Jego Lordowską Mość ponad trzydzieści tysięcy dolarów. Na początku nie miałam odwagi go włożyć, nie byłam przyzwyczajona do tak niewyobrażalnego luksusu. Do tej pory biegałam w płaszczyku za pięć dolarów z króliczym kołnierzem.

Zrobiłam parę tanecznych kroków, uwodzicielsko zakołysałam biodrami, potem przechadzałam się po pokoju, wyginając się jak modelka na wybiegu, ale nie oderwał wzroku od przeglądanych dokumentów. Uśmiechnęłam się. To była gra, której reguły doskonale znaliśmy. Ja uwodziłam, on udawał obojętność. Byłam myśliwym, a on zwierzyną.

Namawiałam go, a on się opierał. Był obdarzony potężną siłą witalną i potencją, której inni mężczyźni w jego wieku mogli mu pozazdrościć. Potrafił to ze mną robić w każdej sytuacji i w każdym miejscu.

Tym razem nie miałam ochoty siadać gołą pupą na wielkim dębowym biurku, przy którym przodkowie męża planowali działania wojenne, podnosili podatki, a czasami zadzierali służącym spódnice i folgowali swoim żądzom. Byłam nowoczesną dziewczyną, nie bawiło mnie obmacywanie się, chciałam seksu, a nie sztubackich pieszczot. Zamierzałam zwabić go do sypialni i oddać mu się na łożu okrytym puchową kołdrą.

Byłam na haju, trochę wcześniej zażyłam kokeę, która wzmagala moje żądze. Idiotka.

Sądziłam, że uda mi się ukryć przed mężem swój brudny sekret.

Zapaliłam papierosa i przysiadłam na biurku, zakładając nogę na nogę i odkrywając gołą skórę nad podwiązką. Sprawdzał kolumny cyfr, machinalnie pieszcząc moje udo.

Delikatne drganie kącika ust wystarczyło jako sygnał do dalszej akcji. Rozchyliłam futro, rozłożyłam nogi i nie minęło kilka chwil, a już jego palce dotarły do owego ciemnego wilgotnego zakątka, który tak kochał. Zakrztusiłam się dymem papierosowym, gdy nie zatrzymały się na brzegu, ale wdarły do środka, w najbardziej intymną przestrzeń.

Uśmiechnął się tylko i kontynuował powolne pełzające ruchy. Palce dotarły do łechtaczki, przyciskały ją i rytmicznie pocierały, aż zaczęła nieznosnie pulsować i piec. Westchnęłam i zakołysałam się, by go zachęcić do kontynuowania tego, co zaczęło się tak obiecująco.

- Niestety, teraz nie mamy czasu.

Jego słowa zepsuły mi humor. Przecież widział, jak bardzo go potrzebuję. Jednak miał

rację, mieliśmy plany na wieczór. Jego pozycja społeczna nakładała na nas obowiązek uczestniczenia w koktajlach, proszonych kolacjach, wernisażach i premierach. Gdy tak krążyliśmy w tłumie gości z drinkami w rękę, nikt nawet nie podejrzewał, że nasze porozumiewawcze spojrzenia nie wyrażały typowego dla owej sytuacji znudzenia.

Przesyłał mi sobie płomienne sygnały, czytaliśmy w myślach, odnajdując tam najbardziej wyuzdane obietnice.

Tego wieczoru, rozbierając się pośpiesznie, ukląmłam się platynową broszą przytrzymującą ramiączko wieczorowej sukni. Upuściłam ją na podłogę, a gdy pękł

mikroskopijny zameczek, na dywan rozsypał się ukryty w środku biały proszek. Zanim zdążyłam posprzątać, lord Marlowe nabrał odrobinę pyłu na palec i posmakował. Przysięgam, nigdy nie widziałam go tak rozgniewanego. Poczerwieniał na twarzy, oczy wyszły mu z orbit i niemal zmiażdżył moje ramię w żelaznym uścisku.

- Kokaina - stwierdził.

- Nie jestem ćpunką. - Pobraliśmy się niedawno i ciągle jeszcze byłam nieokiełznaną dziką dziewczyną.

- Naprawdę? - Uniósł moją brodę i zmiażdżył mnie wzrokiem. Nawet nienaganny makijaż nie mógł ukryć przed nim prawdziwej Eve. - Od jak dawna ukrywasz to przede mną?

- Wiedziałaś, kim jestem. Aktorką kabaretową, bywalczynią nocnych klubów.

- Nie waż się nawet tknąć tego przeklętego paskudztwa.

- Czy można czegoś zabronić lady Eve Marlowe? Mogę robić, co mi się żywnie podoba.

- Tutaj ja jestem panem. Będziesz się zachowywała, jak przystoi mojej żonie.

- Pewnie się boisz, co pomyślą twoi nudni przyjaciele, gdy wyjdzie na jaw, że twoja żona jest dziewczyną z pospólstwa i narkomanką - powiedziałam wyzywająco.

- Nie dbam o to, co mówią czy myślą moi przyjaciele.

Przyjrzałam mu się uważnie. Jego szare oczy potwierdzały każde słowo. Mówił

prawdę. Nie dbał o opinię salonów na nasz temat. Widziałam przed sobą mężczyznę przyzwyczajonego do podejmowania decyzji i brania za nie odpowiedzialności. Problemy go nie przerażały, nawet wtedy, gdy dotyczyły nałogów krnąbrnej młodej żony. Mój mąż był

prawdziwym panem na włościach.

- Więc dlaczego się tak złościysz?

- Bo cię kocham, Eve Charles.

Powiedział: „Eve Charles”. Zadrzałam. Publicznie zawsze używał należnego mi tytułu

- lady Eve lub lady Marlowe. Gdy byliśmy sami, mówił mi po imieniu, ale niezwykle rzadko wspominał dziewczynę, którą poznał w Berlinie.

Zawstydziałam się, ale ciągle nie byłam gotowa przyznać się do błędu. Wypieranie się -

nawet w obliczu oczywistych dowodów - jest typową reakcją nałogowca.

- Poradzę sobie z tym. To nic groźnego - zapewniałam.

- Nic groźnego? - Szarpnął za suknię, obnażył moje piersi i brzuch, po czym zaczął

wcierać we mnie biały proszek z dywanu.

- Co robisz? Przestań! - Po raz pierwszy się go przestraszyłam.

- Wolisz narkotyk ode mnie, więc będziesz go miała!

- Co robisz?! Przestań, proszę! - błagałam, ale nie puścił mnie.

- Pewnego dnia obudzisz się z ciałem pokrytym wrzodami. Będziesz wrzeszczała ze strachu przed robactwem wijącym się na twojej skórze. Nikt poza tobą nie dostrzeże tych wytworów chorego umysłu, ale dla ciebie staną się bardziej rzeczywiste niż świat naokoło. -

Zmiana w jego zachowaniu była przerażająca. Ten nienagannie opanowany dżentelmen stał

się nagle brutalny i bezwzględny. - Będziesz starała się myśleć, przypominać sobie, ale mózg odmówi ci posłuszeństwa. Nie będzie już ekstatycznych wzlotów, tylko koszmar na agonia.

Nadal wcierał narkotyk w moją skórę, jego słowa i dłonie w równej mierze paraliżowały mnie i

odbierały wolę walki. Stałam się marionetką w jego rękach.

Dni przedłużyły się w tygodnie, tygodnie w miesiące. Mój mąż zamienił się w dozorcę więziennego. Nie spuszczał ze mnie oka, gdy przechodziłam piekło odwyku. Wrzeszczałam, błagałam, bezwstydnie wyznawałam wszystkie grzechy, zrobiłabym wszystko za jedną porcję narkotyku. Zachowywałam się jak osoba opętana przez diabła, który szaleje, gdy odetnie mu się drogę do ognia piekielnego.

Nałóg mnie pożerał. Myślałam tylko o kokainie. Później popadłam w całkowitą apatię, nie byłam w stanie wykonać najprostszego gestu. Byłam tak słaba, że potrzebowałam pomocy, by wstać z łóżka i pójść do łazienki. Pieszczoty mego męża nie sprawiały mi przyjemności, raczej irytowały i niepokoiły. Potem przyszła faza podejrzeń. Oskarżałam Jego Lordowską Mość, że mnie szpieguje, byłam też pewna, że kradnie moją kokę. Wreszcie ogarnęła mnie depresja, byłam bliska samobójstwa. Kiedy spałam, nie przychodziło ukojenie, bo dręczyły mnie nocne zmory i majaki.

Pewnego razu mój mąż znalazł mnie na podłodze, gdy usiłowałam wywąchać mikroskopijne drobiny proszku z dywanu. Poderwał mnie do góry, choć wrzeszczałam i kopałam. Zachowywałam się jak furiatka. W końcu przywiązał mnie do łóżka za ręce i nogi.

Zachryłam od krzyków, szlochów i przekleństw, aż wreszcie straciłam przytomność ze zmęczenia. Teraz rozumiem, że lord Marlowe przeżywał straszliwy stres i cierpiał jeszcze bardziej niż ja, ale nigdy nie zabrakło mu wytrwałości i odwagi.

Nasze małżeństwo stało się jeszcze mocniejsze dzięki uporowi, z którym uwalniał

moją duszę i ciało ze szponów nałogu, oraz okazanej mi czułości i troskliwości. Co ciekawe, w miarę jak zdrowiałam, wprowadzaliśmy do naszego pożycia więzanie i dominację.

Pozwalałam mu na rzeczy, które nie przyszłyby mi do głowy z innym partnerem. Lord Marlowe mawiał, że go inspiruję, gdy krępował mnie wymyślnymi więzami i przymocowywał linę do uchwytów w suficie. W naszym wiejskim domu w Coventry mieliśmy pokój przystosowany do sadomasochistycznych zabaw.

Uwielbiałam ofiarowywać mu swoje ciało. Czułam się jak królowa, rozpieszczana i podziwiana, godna miłości wyjątkowego mężczyzny. Zapach skórzanych uprząży kojarzył mi się z jego siłą i moim bezpieczeństwem. Potrafił godzinami pieścić mnie palcami, wargami, główką twardego członka i czarną szpicrutą, która spadała na moje gołe pośladki. Słyszę, jak wstrzymując oddech, zastanawiasz się, czy to boli. Uśmiecham się pobłaźliwie, ale spróbuję ci wytłumaczyć. Czy w twoim ostatnim orgazmie nie było ani szczypty bólu? Nie wstydz się.

Nikt nas nie słyszy. Wiedziałaś, że się przyznasz. Pomyśl tylko: orgazm zaczyna się od rozkosznego napięcia w pachwinach, potem odczuwasz palącą potrzebę zaspokojenia, serce przyśpiesza, skóra rumieni się i spływa potem, eksplozja na granicy wytrzymałości wyrzuca cię poza czas i przestrzeń, wijesz się w spazmach rozkoszy. Widzisz więc, drogi czytelniku, że chłostanie gołych pośladków nie ma na celu wywołania bólu. To gra prowadzona przez dwie osoby. I droga do orgazmu.

Poczekam parę minut, jeśli chcesz ochłonąć po moich rewelacjach.

Lord Marlowe i ja byliśmy parą jedyną w swoim rodzaju: mistrz i jego muza, dwoje ludzi bezgranicznie sobie oddanych. Mąż twierdził, że moja elegancja i unikalny styl stanowiły przedmiot podziwu mężczyzn i zazdrości kobiet; ja upierałam się, że to lord Marlowe jest obiektem pożądania przedstawielek płci pięknej, oczarowanych jego sławą niezrównanego kochanka. Więzy między nami była niezwykle silna, nie potrafiły jej naruszyć okrutne ludzkie języki i kąśliwe komentarze wygłaszane za naszymi plecami. Jakiś

„życzliwy” zawsze mi w końcu donosił, że jestem prymitywną dzikuską, którą lord zaszczycił małżeństwem, kabaretową tancerką bez żadnych paranteli.

Nauczyłam się ignorować plotki, podchwytliwe pytania, jadowite epitety. Byłam dumna z drogi, którą przebyłam: od czynszowej kamienicy w Nowym Jorku, przez berlińskie kabarety po arystokratyczne salony Londynu u boku mężczyzny, którego kocham z wzajemnością. Wiem z całą pewnością, że już nigdy nie sięgnęłabym po narkotyki, gdyby lord Marlowe nie wsiadł pewnej deszczowej jesiennej nocy do samochodu, by spotkać się ze mną w naszej samotni w Coventry. Tej nocy ognistoczerwone liście straciły kolor i zamieniły się w czarny popiół, i nic już nigdy nie było takie samo.

Jego Lordowska Mość zadzwonił do mnie tego dnia, obiecując, że cały weekend spędzimy na ulubionych sadomasochistycznych zabawach, zwłaszcza jednej, która wymagała wykorzystania grubego czerwonego sznura, używanego dawniej w wiejskich posiadłościach jako sznur do dzwonka na służbę. Gładki, z jedwabistym połyskiem, pochodził z majątku...

nie powinnam tego pisać, zdradzę tylko, że z całą pewnością brakuje sznura w jednym z gościnnych pokoi wiejskiego dworu należącego do członka rodziny królewskiej.

Lord Marlowe wiązał mi ręce w przegubach i przeciągał linkę między nogami.

Kłęczałam wydana na jego spojrzenie, usiłując go namówić słodkimi słówkami i wyuzdanymi pozami do zajęcia się moją łechtaczką, która wychylała swój dziobek jak pisklę z gniazdka.

Mój mąż z szatańskim błyskiem w oku zajmował się każdym skrawkiem mego ciała, tylko nie tym jednym, który tak desperacko domagał się uwagi. Masował moje piersi, brzuch, uda.

Wymierzał mi pieszczotliwe klapsy. Traciłam rozum. Jęczałam, skomlałam, obiecywałam złote góry, ale to nie skutkowało.

Tamtej nocy czekałam na niego i snułam rozkoszne plany. Mijały godziny, deszcz się nasilał. Wyjęłam szkarłatny sznur, zwijałam go i rozwijałam, czując jeszcze ulotny zapach własnego podniecenia. Byłam podekscytowana, niemal czułam obecność męża, liczyłam minuty do jego przyjazdu. Ale nie dojechał.

Bardzo już niespokojna, próbowałam się dodzwonić do pani Wills do Londynu.

Chciałam się upewnić, że lord Marlowe nie zmienił planów, że nic nie zatrzymało go w mieście. Telefon milczał głucho. Rozpętała się burza i wiatr pozrywał druty. Błyskawice.

Grzmoty. Noc, która była jak gniew boży. Zarzuciłam na siebie płaszcz nieprzemakalny, stałam na ganku i przez kilka godzin patrzyłam, jak krople deszczu łączą się na ziemi w wielkie lśniące kałuże. Coś się stało, myślałam, ale nie chciałam w to wierzyć. Wyrzucałam sobie, że przyjechałam do Coventry wcześniej. Miejscowy antykwariusz przywiózł mi z Wenecji zamówioną książkę, prawdziwy bibliofilski rarytas. Chciałam podarować mężowi pierwsze wydanie „Księgi pięćdziesięciu rysunków” Aubreya Beardsleya, secesyjne erotyczne ilustracje wiktoriańskiego artysty.

O czwartej rano dowiedziałam się, że automobil lorda Marlowe'a uderzył w balustradę mostu i stoczył się do rwącego strumienia. Mój mąż, jak mi powiedziano, został wyrzucony na zewnątrz, uderzył głową o skałę i zginął na miejscu.

Zajęłam się przygotowaniami do pogrzebu, po czym wróciłam do Coventry i zamknęłam dom. A wcześniej zwinęłam czerwony sznur w ciasną kulę i umieściłam ją w okrągłym pudełku na kapelusze. Z kominka wyjęłam jedną płytkę i ukryłam pudełko w tajnym schowku, który odkryliśmy po zakupieniu domostwa. Poprzednia właścicielka, wówczas już nieżyjąca, przechowywała tam listy miłosne od narzeczonego, który zginął we Flandrii w czasie wojny światowej. Były to piękne listy, pełne żarliwych miłosnych zaklęć.

Oboje z lordem zachwyciliśmy się poezją i szczerością tej korespondencji. Zostawiliśmy ją w schowku jak relikwię. Usunęłam listy i położyłam w to miejsce szkarłatny kłębek. Teraz było to nasze święte miejsce.

Często odwiedzam Coventry i zawsze wydaję sznur, bawię się nim, pieszczę się jego dotykiem na nagiej skórze i wspominam ekstazę, o którą mnie przyprawiał.

- Doprawdy? - spytasz. - Żadnych łez, smutku, wdowiego żalu?

Nie mam czasu na łzy. Napisałam o wydarzeniach owej tragicznej nocy, bo nie mogłam ich pominąć, jednak nie stać mnie teraz na poddawanie się emocjom. Moja misja może okazać się samobójczą. Ostrzeżono mnie, że istnieje ryzyko, iż Maxi jest przynętą, a spotkanie pułapką zastawioną przez gestapo.

Droga Maxi. Nie opowiadałam o niej jeszcze, ale pojawi się na kartach pamiętnika.

Cierpliwości. Odegrała kluczową rolę w moim powrocie do Anglii, ale pomyśl, że teraz pracuje dla niemieckiej tajnej policji, wydaje mi się idiotyczny. Nie mam pojęcia, jaką korzyść miałyby gestapo, gdybym została aresztowana, przecież tak niewiele informacji mogliby ze mnie wycisnąć. Jestem tylko małym trybikiem w wojennej machinie. Jednak determinacja i gotowość do poświęceń w imię zwycięstwa nad nazistami czynią mnie niebezpiecznym przeciwnikiem.

Drugi raz sięgnęłam po narkotyki podczas pobytu w Kairze z Ramzim. Byłam przybita i zniechęcona, szukałam nowych podniet, ale nie spodziewałam się, że znajdę substytut tego, co utraciłam. W związku z lordem Marlowe'em zaznałam wielkiej miłości, mój romans z Ramzim był efektem obopólnej żądzy, której nie byliśmy w stanie kontrolować.

Palilo mnie požądanie tak intensywne, że nic nie mogło go ugasić: ani narkotyki, ani groźba wojny, ani obawa, że mój kochanek mnie oszukuje. (Podejrzewałam Ramziego o dwulicowość. Sądziłam, że wraz z Lailą uknuli plan, jak wyciągnąć ze mnie jeszcze więcej pieniędzy, jednak nigdy nie przyszło mi do głowy, by mogli posunąć się do morderstwa).

Jeśli sądzisz, że tak gwałtowny romans powinien się szybko wypalić, zapewne w normalnych warunkach miałbyś rację, jednak pustynny żar, egzotyka otoczenia i polityczne wrzenie podsycaly go wciąż na nowo. Wiem, wiem, byłam niemądra i próżna, gdy tak fascynowałam się stylem życia międzynarodowej bohemy. Nie potrafiłam się oprzeć Ramziem, gdy kusił mnie odurzającą wonią perfum Kleopatry i stymulującym zmysły białym proszkiem. Tak, czytelniku, chodzi o kokainę. Sięgnęłam po nią raz i drugi, potem przestałam liczyć, naiwnie wierząc, że mogę przestać w każdej chwili. Ale nie mogłam.

Uwodziłam bywalców klubu bez wysiłku samą aurą niedostępności, natomiast cała moja uwaga skupiona była na Ramzim. Wierzyłam, że magia i seks trwać będą wiecznie, a narkotyk stał się nieodłączną częścią tej religii.

Obsesja na punkcie Ramziego była tak silna, że zapomniałam o moralności, zdrowym rozsądku i dumie. Nie potrafiłam trzeźwo spojrzeć na „Klub Kleopatry” i dostrzec, że jest miejscem, w którym dewianci wszelkiej maści mogli zapomnieć o zewnętrznym świecie, a narkotyki przenosiły ich do innego wymiaru rzeczywistości. Lepiej rozumiałam swojego Egipcjanina niż Kair, miasto mitów i starożytnych tajemnic, egzotyczne, nieodgadnione, zmysłowe, a jednocześnie brudne i przeludnione - siedlisko nędzarzy i zarazków. To miasto mnie przyciągało, otwierało się przede mną, a potem oszukiwało i korumpowało mą duszę. A jednocześnie dało mi szansę odkupienia grzechów. Nie podjęłabym się tej misji, gdybym nie miała za sobą okresu, gdy - niebaczną na konsekwencje - uległam urokowi Bliskiego Wschodu. Przyjechałam tam po raz pierwszy jako młoda dziewczyna w towarzystwie lorda Marlowe'a, by na nowo odkryć własne przeznaczenie. Wróciłam jako kobieta w żałobie po stracie miłości mego życia, by przekonać się nieodwołalnie, że nie chcę być osobą, którą się stałam - bezwolną niewolnicą obsesji seksualnych.

Mam trzydzieści jeden lat, ale czuję się jak stara kobieta o wystygłym sercu i aseksualnym ciele. Czy zerwałabym z Ramzim, gdybym wiedziała, co mnie czeka? A może jego urok był zbyt silny? Czy nasza historia musiała się tak skończyć, a wielka namiętność ustąpić miejsca zazdrości, podejrzewaniom i wzajemnym pretensjom? To pytanie nie daje mi spokoju.

Ale za daleko wybiegam w przyszłość. Nie zdradzę, co się stało z Ramzim, by ci nie popsuć przyjemności poznawania tej historii. Opowiem ją zgodnie z chronologią zdarzeń i sam ocenisz, czy sprawiedliwości stało się zadość. Nie będę tu sprawiać sądu nad mym Egipcjaninem, choć ciężko zapłacałam za jego grzechy. Pod wieloma względami był dobrym człowiekiem, ale nie jestem w stanie mu przebaczyć, że ożywił tę część mojej osobowości, którą usiłowałam w sobie unicestwić.

Poznałeś mój sekret. Byłam narkomanką. To nie usprawiedliwia mojego zepsucia i rozpusty, na którą nie pozwoliłaby sobie normalna kobieta. Jeśli masz odwagę, drogi czytelniku, zaproszę cię tam, gdzie wstęp mieli jedynie wtajemniczeni. Pokażę ci, co działo się na górze, w pomieszczeniu, które nazywaliśmy Pokojem Kobry.

Plac zabaw samego diabła.

Wejdiesz tam ze mną?

9

Wyobraź sobie, że wchodzisz schodami prowadzącymi do „Klubu Kleopatry”. Uliczny kurz osiada na twoim białym smokingu lub trenie wieczorowej czarnej sukni, nieznośny upał

powoduje, że w powietrzu zapach potu miesza się z wonią kosztownych perfum.

Zatrzymujesz się, wahasz. Może to nie temperatura, a podekscytowanie tym, co oczekuje cię w środku, powoduje, że się pocisz?

Z uśmiechem mijasz Maurów strzegących wejścia, fałszywa pozłota drzwi kontrastuje z ich skórą koloru czarnej kawy, kłaniają ci się nisko i otwierają przed tobą podwoje. Widzisz tłum zgromadzony wokół ruletki, ale ignorujesz nawoływania krupiera. Nastała pora obstawiania, ale dzisiaj twoim kolorem nie będzie czarny ani czerwony. Dzisiaj masz ochotę na blondynkę, rudą, a może brunetkę.

Przy barze wymieniasz uprzejmości z dżentelmenem pijącym wódkę z tonikiem, ignorujesz jego złe maniery, gdy zaraz po prośbie o ogień usiłuje cię naciągnąć na pożyczkę.

Zabierasz martini i wchodzisz głębiej. Szukasz ukrytej windy. Być może byłeś tu już wcześniej lub też jesteś nowicjuszem, który usłyszał o klubie od życzliwego Egipcjanina w czerwonym fezie czy podsłuchał rozmowę oficerskich żon przy stoliku bridżowym. Tak czy owak, doskonale wiesz, czego szukasz. Znajdujesz windę. Serce wali ci w piersiach. Widzisz piękną dziewczynę w przezroczystych fioletowych szarawarach i krótkim czarnym bolerku.

Wąż oplata jej nagie piersi, rozdwojonym języczkiem sięga do brązowych dużych sutek, a potem ześlizguje się między jej uda.

To sygnał.

Pokój Kobry zaprasza gości.

Wjeżdżasz na najwyższe piętro, gotowy zaspokoić chętkę na nagie cuda, które tam na ciebie czekają. Ich płeć zależy od twoich preferencji seksualnych. Wiele naszych klientek czerpie szczególną przyjemność z sytuacji, w których oddają się mężczyznom, a wokół

gromadzą się rozochoceni gapie. Niewielu klubowiczów odrzuciłoby okazję obmacania nagich dziewczyn i possania ich piersi podczas udawanej aukcji niewolnic. Popularną zabawą naszych klientów jest rozrywka zapożyczona z berlińskich nocnych lokali: spośród publiczności wybiera się ochotniczki i ochotników, którzy zostaną ukarani rozkoszną chłostą wymierzoną na gołe pośladki przez dwóch dżentelmenów wprawnie operujących okrągłymi packami. Tutaj, w Kairze, mają one wycięty otwór w kształcie litery K, jak „Klub Kleopatry”.

Pieczątka odcisnięta na skórze jeszcze długo będzie cieszyła tyłeczek wychłostanej i oko jej przyjaciół.

Kulminacją wieczoru jest konkurs na najładniejszą cipkę, sędziowany przez szczęściarzy wybranych spośród stałych bywalców. Ukryte za kotarą modelki pokazują genitalia przez wycięte w śliwkowym aksamicie otwory, rozchylają palcami wargi sromowe, by sędziowie mieli lepszy wgląd w intymne zakątki. Wystarczy powiedzieć, że dla niejednego noszącego monokl dżentelmena albo damy, jeśli ma ku temu inklinację, kolor różowy nabiera zupełnie nowego znaczenia.

Jednak najciekawszy widok czeka cię tuż obok pianina, na którym gra dziewczyna o murzyńskich rysach i jasnej skórze, ładnym głósie i swawolnych piersiach. Twój wzrok przyciągnie jednak nie artystka, a piękna jasnowłosa Angielka, która w luźnej kremowej galabiji z kapturem przypomina mniszkę. Od niechcienia sączy brandy i wciąga nosem biały proszek, podczas gdy jej przystojny towarzysz z ekstatycznym wyrazem twarzy pali długą turecką fajkę nabitą haszyszem. Od czasu do czasu jego ręka błądzi po ciele kobiety skrytym pod powłóczystą tkaniną i można tylko odgadywać, że pod spodem blondynka jest zupełnie naga. Goście szepczą między sobą, że w kulminacyjnym momencie zatańczy w stroju Ewy.

Gdy kaptur zsuwa się z jej włosów, zaczynają migotać, jak płynna platyna - w jasne warkoczyki wplecione są złote nitki odbijające światło. Wypina pierś, prostuje ramiona, aż pod materiałem uwypuklają się twarde brodawki błagające o uwolnienie. Nie sposób pozbyć się natrętnej myśli, jak ciepła i wilgotna musi być jej skóra. Pragnienie zamknięcia tych ponętnych jabłuszek w klatce własnych dłoni oscyluje na pograniczu fizycznego bólu i już wiesz, że nie wyjdiesz stąd bez jego zaspokojenia.

Podchodzisz ostrożnie, by cię nie spostrzegła. Wtedy dociera do ciebie niezwykle, lekko pikantny zapach jej perfum. Działa jak wabik, który wyostrza zmysły i wzmaga pożądanie, podpełza jak wąż hipnotyzujący bezbroną ofiarę. W tym pomieszczeniu wypełnionym gryzącym dymem papierosowym i słodką wonią haszyszu docierają do ciebie także erotyczne zapaszki poszczególnych gości, ale nic nie jest w stanie odwrócić twojej uwagi od płynącego ku tobie magicznego aromatu. Trudno go określić. Nie wystarczą słowa

„kwiatowy” lub „egzotyczny”, by opisać tę niezwykłą mieszankę finezyjnej kapryśności, zmysłowego żaru i niemal mistycznej aury.

Nie możesz przestać się gapić na jasnowłosą, nawet wtedy gdy rozgląda się szklistym narkotycznym wzrokiem, zarzuca kaptur na głowę i znika za ukrytymi drzwiczkami. Czekasz, rozważasz różne opcje, w końcu otwierasz je ukradkiem i oto znajdujesz się na krętych schodkach prowadzących w dół, oświetlonych przyćmionym niebieskim światłem z nieznanego źródła. Schodzisz z ociąganiem, krok za krokiem, ale ciekawość bierze górę nad ostrożnością. Na dole ogarnia cię chłód, jakbyś znalazł się we wnętrzu antycznej krypty.

I wtedy ją dostrzegasz. Jest naga. Odwrócona do ciebie plecami, klęczy oparta tułowiem na kamiennym sarkofagu, jakby była to ławka do wymierzania kary cielesnej.

Rękami trzyma się brzegu płyty, włosy fosforyzują w tym nierealnym świetle. Nagle słyszysz głośne

kłaśnięcie. Cofasz się gwałtownie i wstrzymujesz oddech, ale nie jesteś w stanie wyjść stąd. Wpatrujesz się w to wspaniałe nagie ciało chłostane przez Nubijczyka o skórze ciemnej jak najczarniejszy heban. Białe pośladki drżą przy każdym śmignięciu bicia. Kobieta kuli się w sobie, ale nie wydaje głosu. Jest zakneblowana? Nie. Dlaczego nie krzyczy? Jest pod wpływem narkotyku? Tak. Przecież widziałeś, jak wciągała kokainę.

Zamierzasz odebrać bicz Nubijczykowi, obronić ją, ale instynkt powstrzymuje cię przed pochopnym działaniem, a ciemna strona twojej natury, którą zazwyczaj trzymasz na wodzy, przedziera się przez powłokę dobrego wychowania. Nakazuje ci trzymać język za zębami i przypatrywać się z ukrycia scenie w krypcie. Jesteś ciekawy, czy chłostana kobieta jest urodzoną niewolnicą, istotą spragnioną mocnej ręki pana, czującą rozkoszne dreszcze, gdy bat świszczy w powietrzu, chętnie podstawiającą pośladki pod pieśczość skórzanego rzemienia, wijącą się teraz z bólu i sprzężonej z nim rozkoszy. W przeciwieństwie do tego, czego mogliby się spodziewać ludzie o ograniczonej wyobraźni, nie czuje bólu i upokorzenia, ale odbywa lot do ciemnej krainy perwersyjnej przyjemności, po którym zostanie jej podrażniona skóra i krwista czerwień pośladków, swoisty order za odwagę. Zdajesz sobie sprawę, że woń perfum jest tu intensywniejsza, jakby każde uderzenie potęgowało wydzielanie przez skórę drażniącego korzennego zapachu.

Odwraca głowę w twoją stronę, jakby domyślała się, że jest obserwowana. Ma usta czerwone i napęczniałe od zagryzania, ale na jej twarzy maluje się błogość. Trudno tego nie zauważyć. Twoje ciało aż wibruje, a ból w pachwinach staje się nie do zniesienia. Jeśli zostaniesz tu chwilę dłużej, zamienisz się w samca, który instynktownie reaguje na samicę w rui. Sam się zdekonspirujesz.

Na palcach wracasz na górę. Upewniasz się, że nikt nie zauważył twojej nieobecności.

Tymczasem Egipcjanin podnosi głos, chce coś zapowiedzieć.

- Dzisiejszy wieczór wymaga nowych ochotników.

Jego oczy są czarne jak piekielne otchłanie, gdy rozgląda się wokół po rozochoconej publice.

Nerwowo przestępujesz z nogi na nogę, zrobisz wszystko, by odwrócić uwagę od dręczącego pulsowania w dole brzucha. Czy powinieneś? Czy możesz? Dlaczego nie? I tak nikt nie uwierzy w historię, które opowiesz po powrocie, jeśli w ogóle odważysz się je opowiedzieć.

Podejmujesz decyzję. Wychodzisz przed innych, rozbierasz się i drżysz na myśl o chłości, która daje rozkosz.

Ramzi i ja królowaliśmy w tym podziemnym raj, i choć możesz mnie oskarżyć o koloryzowanie, zapewniam, że każdy szczegół dotyczący seksualnych igraszek, do których dochodziło w klubie, odpowiada prawdzie. Żałuję, że nie byłam wystarczająco przewidująca, by zachować film, który nakręcił któreś nocy pewien europejski reżyser, ale obawiam się, że przepadł on bezpowrotnie, podobnie jak zawartość grobowca Kleopatry. Zapewne nie uwierzysz, drogi czytelniku, ale przedwojenny Kair był prawdziwą mekką dla filmowców.

Wiem coś na ten temat. W pierwszym dźwiękowym filmie nakręconym w tym mieście zagrałam małą

rólkę dziewczyny z wyższych sfer. Robiliśmy sobie żarciki z reżyserem na temat arystokratki grającej bogatą dziedziczkę, jednak nie przyznałam się, że w życiu gram jeszcze bardziej wielopiętrową rolę.

Noc po nocy, zabawa w „Klubie Kleopatry” nie miała końca. Lokal stanowił

erotyczny amalgamat kabaretu i burdelu, miejsce, gdzie intelektualna i arystokratyczna śmietanka europejskich salonów mogła spełniać najbardziej perwersyjne marzenia. Na początku mojej erotycznej odysei miałam zwyczaj przeskakiwać z jednego orgazmu w drugi, aż padałam obolała, zmęczona i znieczulona nadmiarem doznań. Potem zdarzyło się coś, czego nie przewidziałam. Mój seksualny pęd nie prowadził do zaspokojenia, jak kiedyś.

Ramzi mnie pieścił, a ciało reagowało mechanicznie, jak nakręcany gramofon. Igła trafiała w dobrze wyżłobiony rowek i odtwarzała tę samą melodię coraz bardziej zgrzytliwie i monotennie. Im bardziej pragnęłam rozkoszy, tym rzadziej byłam w stanie przeżyć orgazm, od którego trzęsła się ziemia. Przesiadywałam sama w barze, miałam nerwy w strzępkach, wydawałam polecenia sarkastycznym tonem, a czasem nawet kłóciłam się z Ramzim.

Zwróciłam się do Mahmuda, by pofolgować swym ciemnym pragnieniom. Zażądałam, by w ciszy podziemnej krypty w czasie potajemnych schadzek chłostał mnie i spełniał

masochistyczne zachcianki. Czy miałam nadzieję, że ofiara z samej siebie roznieci na nowo płomień, który zgasł owej jesiennej nocy, podczas której straciłam lorda Marlowe'a? Nie wiem.

Przyznaję tylko, że na skutek nałogu zaczęłam robić dziwne rzeczy. Flirtowałam z Mahmudem, obiecując, że mu się oddam, co, jak doskonale wiedział, wykraczało poza zakres jego obowiązków, choć stanowiłoby spełnienie najskrytszych fantazji. Zrobiłam to pewnej nocy i kochaliśmy się delikatnie i czule, aż żądza zaślepiła go zupełnie i kazała mu posiąść mnie z brutalnym zapamiętaniem.

Kazałam mu przysiąc, że nigdy nie zdradzi Ramziem naszego sekretu. Czemu to robiłam? Chciałam sobie udowodnić, że nic nie dzieje się naprawdę, bo moje uczucia zaczęły się ograniczać do czysto fizycznego zaspokojenia. Nadal znajdowałam szczęście w ramionach Ramziego, ale coraz częściej czułam się wyjałowiona z jakichkolwiek wyższych emocji i uczuć. Nie byłam w stanie zanurkować w podświadomość i zaznać tej niezwykłej duchowej więzi z drugim człowiekiem, co tak cudownie zapewniał mi mój zmarły mąż.

Wreszcie sama przed sobą przyznałam się do czegoś, co usiłowałam wyprzeć ze świadomości, a mianowicie że romans z Egipcjaninem osiągnął punkt kulminacyjny i nie miał

szans na dalszy rozwój. Nie byłam jednak w stanie go zakończyć, póki tkwiła we mnie irracjonalna nadzieja, że wspaniały seks musi zamienić się w wielką miłość. Taką samą miłość, której doświadczyłam w małżeństwie z lordem Marlowe'em. Nie potrafiłam przyznać się do porażki nawet wtedy, gdy Ramzi wyśmiał moje niemądre rozterki.

- Pragniesz miłości, moja angielska różo?

- Tak. Czy to niezgodne z naukami Koranu?

- Jest wolą Allaha, by mężczyzna był dumny ze swej męskości i łączył się cieleśnie z kobietą. Masz urodę, bogactwo, władzę. Czego więcej możesz sobie życzyć?

- Nie mam ciebie.

- Nigdy nie będziesz wiedziała, jak bardzo poruszasz mą duszę, gdy biorę cię w ramiona, wchodzę w ciebie i czuję, jak ufnie i ochoczo otwierasz się dla mnie.

- Nie mam twojej miłości, Ramzi - tłumaczyłam bezradnie. Najwyraźniej nie rozumiał znaczenia tego słowa.

- Dałem ci o wiele więcej - szepnął.

- Tak, wiem. Perfumy Kleopatry i nieśmiertelność. - Nie polemizowałam z nim. Skoro upierał się przy swojej wierze w magiczną moc perfum, nie zamierzałam jej podważyć.

- Muszę cię opuścić, angielska różo. Ale wkrótce wrócę.

- Dokąd się wybierasz? - Nie mogłam się powstrzymać od zaborczej reakcji.

- Laila poleciła mi zanieść utarg z ubiegłej nocy do banku.

- Jest chora? - Zazwyczaj nie pozwalała się nikomu wyręczać przy wpłacaniu pieniędzy na konto.

- Nie. Allah obdarzył moją siostrę zdrowiem i powodzeniem. Dziś rano podejmuje ważnego gościa, prawdziwego dżentelmena.

- Nie wiedziałam, że lubi mężczyzn - palnęłam z całą szczerością. Nigdy nie brała udziału w klubowej rozpuście i podejrzewałam ją o to, że preferuje kobiety. Często zmieniała asystentki. Wszystkie były w tym samym typie, blondynki o bladej cerze i małych piersiach.

Zatrudnialiśmy w klubie kilka dziewcząt podobnej urody. Były to prostytutki z Polski i Węgier, krajów zagrożonych przez Hitlera, choć nigdy nie słyszałam, by komentowały politykę międzynarodową. To były zabronione tematy, choć wśród naszych klientów było wielu intelektualistów, dyplomatów, brytyjskich oficerów oraz paszów z Algierii i Maroka.

Ramzi zignorował mój komentarz.

- Laila znalazła kupca na wykopaliska z Amarny - pochwalił się.

- Kim jest ten pechowiec? - Nie mogłam powstrzymać się od złośliwości, bo niezmiennie irytowało mnie jego ostentacyjne przywiązanie do siostry.

Nachylił się nade mną i szepnął mi do ucha nazwisko oficera, który skupował dzieła sztuki do

prywatnej kolekcji Hermanna Göringa.

Podskoczyłam z takim impetem, że przewróciłam krzesło.

- Laila nie będzie ubijała interesów z nazistami w moim klubie!

- Klub tylko w połowie należy do ciebie, moja śliczna. To Laila nim zarządza -
powiedział pojednawczo.

- Mam pięćdziesiąt jeden procent.

- Rób, co uważasz za stosowne. Sama zwróć się do Laili ze swoimi obiekcjami. -

Pocałował mnie na pożegnanie i wyszedł.

A ja nie zrobiłam nic. Dosłownie nic.

Ramzi miał rację. Byłam większościowym udziałowcem w Klubie Kleopatry, ale to Laila prowadziła cały biznes.

Dobrze o tym wiedziała.

Świetnie również wiedziała, że nie umiem niczego odmówić jej bratu, toteż bez skrupułów wyciągnęła ode mnie pokaźne fundusze na gruntowną renowację zniszczonego budynku, zakup nowych mebli, zatrudnienie pracowników, z którymi nie mogłam się porozumieć, a także na prowadzenie rozlicznych interesów, o których nie miałam zielonego pojęcia, bo byłam zbyt zajęta seksualnymi zabawami z Ramzim.

Bezsilna i bezradna opadłam na krzesło. Musiałam przyznać sama przed sobą, że stałam się niewolnicą pogoni za miłością. Gdy brakowało mi uczucia, szukałam diabelskich substytutów i zatraciałam się w narkotycznych wizjach.

Spociłam się, a jednocześnie poczułam lodowate zimno. Miałam pilniejsze sprawy do załatwienia niż rozprawienie się z Egipcjanką. Otworzyłam puderniczkę i końcem długiego czerwonego paznokcia nabrałam biały proszek. Podniosłam rękę, by wciągnąć go w nozdrza -

i zatrzymałam się. Nadal byłam wściekła na Lailę. Teraz myślę, że powstrzymało mnie nagłe przecucie przyszłych zdarzeń, choć prawdopodobnie zadziałała tu moja podświadomość, owa tablica rejestrująca absolutnie wszystko, co się wokół nas i z nami dzieje, i w specyficznych sytuacjach ujawniająca ułamki tej wiedzy. A Kair aż huczał od plotek na temat przygotowań Hitlera do wojny.

Cokolwiek się wtedy ze mną stało, moment był przełomowy. Strząsnęłam proszek do puderniczki. Nie potrzebuję narkotyku, by panować nad emocjami. Byłam wściekła na Ramziego, na Lailę, na samą siebie. Seksualna utopia okazała się złudą. Znalazłam się po drugiej stronie lustra, gdzie przyjemność i chciwość przekraczają sprawy ciała, ale konsekwencje tego zderzenia z

rzeczywistością nie były przyjemne i kazały mi ponownie przemyśleć własne postępowanie. Nigdy dotąd nie miałam tak dojmującego poczucia bezradności, płynącego z przekonania, że jestem o krok od przepaści. Kiedy żył lord Marlowe, jego niezłomna lojalność i niezawodna opiekuńczość osłaniały mnie przed żarłocznym światem. Z nim byłam bezpieczna, nawet wtedy gdy zanurzałam się w zakazanych rozkoszach. Teraz, w Kairze, poszukiwałam tych samych doznań, ale zostawiały w ustach cierpki posmak. Nie chroniło mnie rycerskie ramię mojego obrońcy. Miałam nadzieję, że będzie nim Ramzi, szukałam namiastki u Mahmuda, ale nie potrafili mi niczego zaoferować. Wielbili moje ciało, ale odmawiali duszy prawa do chronienia się za zasłoną, jakby nie była naturalnym elementem ich świata. Wciąż mnie podniecało ich pogańskie, kanibalistyczne podejście do seksu, ale potrzebowałam czegoś więcej.

Jest takie arabskie przysłowie, że brak sensu w życiu jest jak cień, który pochłania wszelką radość. Czy coś podobnego działo się ze mną? Seks przestał mi sprawiać przyjemność, bo w moim życiu brakowało celu?

To mnie sprowokowało do wypróbowania innych ról na drodze do odnalezienia seksualnej satysfakcji. Uskrzydlało mnie pragnienie obalenia wszelkich norm i zasad.

Odkryłam, że lubię przyglądać się parom uprawiającym seks. Po wielu miesiącach orgii byłam gotowa na dalsze eksploracje. Zamiast uczestniczyć w miłosnych igraszkach, chciałam podglądać innych.

Nawet mi nie zaświtało w głowie, że folgowanie tej nowej zachciance może wywołać lawinę uśpionych emocji i uczynić samotność jeszcze bardziej dotkliwą. Zaczęłam obserwować pary i wielokąty splecione w zmysłowych zapasach. Gromadziłam obserwacje i zapisywałam je w pamięci, by odtwarzać je, smakując każdy szczegół.

Odkryłam, że podglądactwo to znacznie więcej niż zwykła obserwacja. Dla kobiet był to owoc zakazany, cieszyłam się nim w ukryciu i tym więcej sprawiał mi przyjemności.

Widziałam, a nie mogłam dotknąć, byłam świadkiem różnych perwersji, a nie mogłam w nich uczestniczyć. Czy byłam zepsuta? Pochlebiam sobie, że tak. Nowe upodobanie nie wpłynęło na moje relacje z Ramzim. Utrzymałam go w nieświadomości i - jak poprzednio - co noc szukaliśmy seksualnego zaspokojenia w swych objęciach. Nie czułam się winna. Pozwalałam mu dominować w naszym związku, a nawet zachęcałam do flirtowania w klubie z ładnymi kobietami. Zapewne podświadomie chciałam zobaczyć go uprawiającego seks z inną partnerką.

Przyznaję, że sprawiało mi przyjemność obserwowanie, z jaką łatwością manipuluje kobietami. Nosił biały płócienny garnitur i fantastycznie wywiązywał się z roli gospodarza zabawiającego klubowych gości. Wprost emanował seksem. Postawa, uroda i zmysłowy wdzięk sprawiały, że kobiety nie były w stanie oderwać od niego wzroku. Wszystkie, co do jednej. Byłam przekonana, że szczypta cynizmu pozwoli mi dostosować się do nowej sytuacji.

Nie przewidziałam, że przyjazd mojej starej znajomej, Maxi von Brandt, odmieni wszystko.

W moje życie wkroczył pierwiastek kobiecy wraz z przybyciem z Berlina Maxi von Brandt. Nie była typową aryjską blondynką, ale jasnoniebieskie oczy stanowiły dla władców Trzeciej Rzeszy wystarczający dowód czystości rasowej. Inną jej zaletą była niesamowita zdolność obserwowania świata przez obiektyw aparatu fotograficznego, choć sama nie opisywała w ten sposób swojej pracy.

- To jest czysto zmysłowe przeżycie - zwykła mawiać przy każdym udanym zdjęciu.

Podziwiałam ją za sposób, w jaki wysysała ze swych modeli emocje, jakby mentalnie się z nimi przespała, i za przekonanie, że artysta ponosi moralną odpowiedzialność za swoją sztukę. To ostatnie często zamieniało jej sny w koszmary.

Do dzisiaj pamiętam serię dziwacznych zdjęć przedstawiających ofiary brutalnych sadystycznych mordów. Była wtedy związana z ciemnookim psychologiem o perwersyjnych upodobaniach i niezdrowej fascynacji zabójstwami na tle seksualnym. Byłyśmy wtedy bardzo młode i ciekawe życia. Staraliśmy się eksperymentować z seksem i wyznaczaniem własnych granic. Maxi podkochiwała się w terapeutę ze szramą po pojedynku i uważała, że jest nieodparcie seksowny, natomiast mnie na jego widok chodziły dreszcze po krzyżu. Uwiódł ją swoimi wywodami, że wszystkie zbrodnie są formą rozładowania popędu seksualnego, i zachęcał do towarzyszenia mu w czasie policyjnych wizji lokalnych na miejscach zbrodni lub do wizyt w miejskiej kostnicy, a na deser kończyli noc w łóżku.

Kariera Maxi nabrała gwałtownego tempa, gdy wszystkie bulwarówki zaczęły publikować jej zdjęcia okaleczonych ofiar. Były szokujące, ale i poruszające, dowodziły wyjątkowej w tym zawodzie wrażliwości fotoreporterki i jej współczucia wobec zamordowanych kobiet.

Koszmar, który przeżywała obecnie, jak się miałam wkrótce przekonać, miał niewiele wspólnego ze spustoszeniem czynionym przez zazdrosnych kochanków i potwornymi skutkami uzależnienia od opium i kokainy. (Wtedy nie uważałam się za osobę uzależnioną, ta świadomość przyszła dopiero z czasem). Maxi dręczył kryzys twórczy. Zrozpaczona zadzwoniła pod mój londyński numer i wycisnęła z pani Wills informację, gdzie się obecnie znajduję.

Droga pani Wills. Strzeże mojej prywatności jak lwica i w normalnych okolicznościach nie zdradziłaby nikomu mojego adresu, jednak dobrze wiedziała o naszej przyjaźni jeszcze z berlińskiego okresu. Niewiele jest rzeczy, których pani Wills o mnie nie wie. Ujawnię ci wszystkie już po powrocie z misji.

Przyrzekam.

Wracając do Maxi, ta apatyczna, trochę zaniedbana introwertyczka była obdarzona prawdziwym talentem. Teraz przybyła do Kairu, by zrobić sobie wakacje od apoteozy Trzeciej Rzeszy, którą uprawiała w swojej sztuce. Chciała uciec od wybuchowej atmosfery w Berlinie i maniackiego pragnienia Hitlera, by wciąż być portretowanym jako charyzmatyczny wódz i ojciec narodu. Ta kobieta egzystowała w świecie męskiej dominacji, ale to ona bystrzej i przenikliwiej dostrzegала koniec bajki braci Grimm niż jakikolwiek facet w brunatnej koszuli. Cicha, niepozorna, asekualna Maxi. Była bliska załamania nerwowego po miesiącach fotografowania hitlerowskich parad i

sfanatyzowanego niemieckiego społeczeństwa podnoszącego ręce w faszystowskim salucie. Nie wspomnę już o molestowaniu przez oficjalnego fotografa Führera, Heinricha Hoffmanna. Ten cuchnący piwem neurotyk powiedział jej wprost, że nie znajdzie nigdzie pracy, jeśli nie ulegnie jego natarczywym zalotom w ciemni. Znienawidziła dotyk tłustych paluchów poplamionych chemikaliami, przesycony alkoholem oddech na karku. Pozwalała mu na takie zachowania, kiedy była jego asystentką jako młoda adeptka fotografii, lecz teraz nie chciała się na nie zgadzać.

Konflikt z Hoffmannem zaowocował wizytą gestapo. Maxi obawiała się, że jako osoba aktywnie zaangażowana w propagowanie ruchu naturystów Nacktkultur trafi na czarną listę reżimu i nie uratują jej nawet powszechnie chwalone zdjęcia niemieckich sportowców robione podczas olimpiady w Berlinie w 1936 roku. Otrzymała za nie oficjalny list pochwalny od samego ministra propagandy, Josepha Goebbelsa. Poleciał jej także towarzyszenie Hitlerowi w czasie wizyt w niemieckich fabrykach przemysłu zbrojeniowego i dokumentowanie przemówień wodza na masówkach dla klasy robotniczej. Odmowa oznaczałaby koniec kariery. A może gorzej. Mogła trafić do obozu koncentracyjnego na tak zwaną reedukację, bez szans wyjścia na wolność.

- Co za nuda - narzekałam, robiąc w szafie miejsce na jej ciuchy. Były to workowate garsonki i garnitury w burych kolorach. Czy Führer dyktował kobietom, jak się mają ubierać?

- Nuda - potwierdziła - a w dodatku verboten.

- Skoro mowa o rzeczach zakazanych, przypomniały mi się nasze czasy w Berlinie.

Pamiętasz, jak ślizgałyśmy się na miejskim lodowisku ubrane tylko w nauszники?

Ku memu zdziwieniu nie rozpogodziła się.

- Zawsze myślisz wyłącznie o zabawie?

- A jest coś jeszcze warte uwagi? - zażartowałam, usiłując rozluźnić atmosferę.

- Droga Eve, za długo żyjesz w swojej Nibylandii. - Maxi przejechała palcami przez krótką czuprynkę i z emfazą uniosła wyskubane brwi. - Mówiłam o niemieckich zbrojeniach.

Traktat wersalski ich zakazywał.

- Dlaczego więc fotografujesz te fabryki? - spytałam, zajęta podziwianiem czerwonych pantofelków, które Maxi kupiła w Rzymie, gdy towarzyszyła oficjalnej delegacji rządowej.

- Nic nie rozumiesz, Eve. Gdybym się nie podporządkowała, ucierpiałby mój ojciec.

- To idiotyzm, Maxi. Co twój ojciec ma wspólnego z twoją pracą?

Wyjęła papierosa, zaciągnęła się, jakby ważyła w głowie następne słowa.

- Mój ojciec ma... odmienny pogląd na kwestie rządzenia państwem.

- I co z tego?

- Sytuacja w Niemczech bardzo się zmieniła - szepnęła, jakby obawiała się podsłuchu.

- Słyszałam plotki, że mogą go wysłać do obozu pracy.

- Obóz pracy? Co to takiego?

- Zamykają tam wszystkich przeciwników Hitlera. Nikt stamtąd nie wraca.

- Dostyc tego mówienia o Hitlerze i jego głupich obozach pracy. - Objęłam ją za ramiona. Dopóki tu jest, pokażę jej dobrą zabawę. - Chodźmy na herbatę, a potem cię zabiorę do „Klubu Kleopatry” na niezapomniany wieczór.

Jak widzisz, drogi czytelniku, nie przywiązywałam wagi do jej paplaniny. Bardziej mnie interesowało, jaki odcień czerwonych szminek jest obecnie najmodniejszy i czy może mi pożyczyć jedwabne pończochy, bo moje są porzucane w całkowitym nieładzie.

Wszystko przez Ramziego, który je zrywał w pośpiechu.

- Kim jest Ramzi?

Gdy o to spytała, zapewniłam ją, że wkrótce go pozna. Jej reakcja na przystojnego Egipcjanina była całkowitym zaskoczeniem. Zamieniła z nim nie więcej niż dwa słowa i przez cały wieczór zachowywała się nienaturalnie sztywno. Jego urok najwyraźniej na nią nie podziałał. Nie czuła się dobrze w towarzystwie atrakcyjnych mężczyzn, ale cóż, wołała podejrzanego indywidua, takie jak jej szalony psycholog. W życiu prywatnym zakładała różne maski: teutońskiej brawury, artystowskiej niedbałości, awangardowej twórczyni.

Wypowiadała się przez swoją sztukę. Była wielką artystką, która w fotografiach odrzucała wrodzoną nieśmiałość i uwodziła mężczyzn, dowartościowując ich ego.

Ramzi nie był wyjątkiem.

- Odwróć głowę, dobrze, trochę bardziej. - Pstryk, pstryk. Z aparatem w dłoni Maxi krążyła wokół Ramziego, utrwalając na filmie wszystkie pozy, które przybierał. - Rozchyl kołnierz, bardziej, teraz dobrze. Świetnie. - Pstryk.

- Kim właściwie jest ta kobieta? - Spojrzał na mnie pytająco.

- Ramzi, oto Maxi von Brandt, stara przyjaciółka z Berlina.

- Dlaczego mnie pani fotografuje? - zwrócił się do niej z arogancją mężczyzny przywykłego do kobiecej potulności.

- Bo jest pan najpiękniejszym mężczyzną, jakiego widziałam w życiu - odparła bez wahania.

Odpowiedział jej olśniewającym uśmiechem.

W tym momencie przed moimi oczyma ziściło się coś, czego się obawiałam i pragnęłam jednocześnie.

Ramzi z inną kobietą.

Wyobrażanie sobie tego podniecało mnie. Obserwowanie realnej sytuacji zbiło mnie z tropu.

- Czarująca przyjaciółka mojej pani jest zawsze mile widziana w „Klubie Kleopatry”.

- Ramzi ujął jej dłoń, odwrócił wnętrzem do góry i pocałował delikatną skórę na przegubie.

Uświadomiłam sobie, że oto objawiła się taka strona jego osobowości, której wcześniej u niego nie dostrzegłam. Chciał unieśmiertelnić coś, co uważał za swój wkład do bogatej kultury islamskiej.

Własny wizerunek.

Rozanielony wyraz twarzy Maxi był ciosem dla mojego libido. Najwyraźniej Ramzi uruchomił w niej coś, co od lat pozostawało uśpione. Ten blask w oczach miała tylko wtedy, gdy udało jej się utrwalić na błonie filmowej ulotne piękno.

- Świetne ujęcie - mawiała.

Wiedziałam, że żyje w ciągłym strachu, iż pewnego dnia straci swój talent. Poza drobnymi wzmiankami nie rozmawiała o tym nawet ze mną, niczym zabobonna wieśniaczka lękająca się złego uroku. Musiał być nieokreślony, ukryty i nieprzewidywalny, jakby poddanie go analizom równało się wiwisekcji.

- Wtedy umrze - powiedziała kiedyś - jak ptak z połamanymi skrzydłami.

Ramzi ożywił jej artystyczną wizję i stał się inspiracją dla jej sztuki.

Egipska wersja księcia na białym koniu.

Oto naga prawda.

Maxi wyznała, że chce go ubóstwić i unieśmiertelnić, a jednocześnie - do czego się nie przyznała - zaczęła go pożądać. Wtedy dotarło do mnie, że choć cierpię po utracie męża, to jednak przeżyłam miłość, podczas gdy moja przyjaciółka nigdy nie zaznała takiej serdecznej intymności z mężczyzną. Teraz kręciła się po klubie, pstrykając zdjęcie za zdjęciem, a Ramzi pozował w białym płóciennym garniturze, nie odrywając wzroku od fotografski, a nie od aparatu, jakby już rozbierał ją w myślach.

Poczułam, że po karku spływa mi pot, i wcale nie dlatego, że owinęłam szyję białym szalem. Byłam zazdrosna. Maxi miała na sobie obcisły zakieciak, a kiedy tak schylała się, przyklękała i wyginała, od niechcenia odpięła górny guzik.

- Niemożliwy upał - poskarżyła się.

A więc gra się zaczęła. Przyjęłam wyzwanie i rozpięłam dwa guziczki sukienki oraz wytarłam dekolt białym jedwabiem. Uśmiechnęła się tylko i po chwili zniknęła z Ramzim w czeluściach klubu. Była pewna swoich profesjonalnych umiejętności, a ja zastanawiałam się, jakie znaczenie będzie miał fakt, że może mu ofiarować coś, czego ja nie będę w stanie mu dać.

Światowy rozgłos.

Kiedy wrócili, zakieczik był rozpięty o dalsze dwa guziki, koralowa szminka rozmazana, a wargi spuchnięte. Zagotowało się we mnie, ale nie powiedziałam ani słowa.

Tak, drogi czytelniku, od początku byłam świadoma narastania erotycznego napięcia między nimi, ale nie zamierzałam interweniować. Kismet, jak mówią na bazarach. Tak było pisane.

Byłam związana z mężczyzną, który podzielał moje skłonności do teatralizacji i zaspokajał mnie fizycznie, nawet jeśli zerkał na inne kobiety. Zamierzałam udowodnić sama sobie, że potrafię podtrzymać jego fascynację „angielską różą”.

Strasznie się myliłam.

Maxi niespodziewanie wyraziła życzenie fotografowania aktów. Potrzebny jej był

męski model i poprosiła Ramziego o pozowanie. Był z niego pierwszorzędny kochanek, ale model? Jednak Maxi krążyła wokół niego jak ćma wokół płomienia świecy. Ciężko pracowała nad każdym ujęciem, była skupiona i profesjonalna. Powiedziała, że łatwiej jest robić zdjęcia, jeśli fotograf zapomina o sobie i uwiecznia to, co widzi.

Najpiękniejszego mężczyznę, jakiego widziała w życiu.

Wyobrażałam sobie, jak trudno jej było podporządkowywać się reżimowi hitlerowskiemu. Zapewne epizod z Ramzim miał jej pomóc w odzyskaniu równowagi umysłowej i weny twórczej. W końcu była moją przyjaciółką i miałam do niej zaufanie.

Nie będę szukała usprawiedliwień, drogi czytelniku, i powiem prosto z mostu: Maxi uprawiała seks z Ramzim i Lailą. Byłam zszokowana, jak ty teraz. Spodziewałam się, że dojdzie między nimi do flirtu, nawet pewnych poufałych pieszczot, ale nie zdawałam sobie sprawy, jakie konsekwencje dla jej psychiki miała wieloletnia trauma i jak wygłodniałe było jej ciało. Aparat w rękach Maxi przestał być magicznym narzędziem, choć nie przyznawała się do tego sama przed sobą. Teraz nagle przebudziła się ze złego snu, przekonana, że uwolni spętany umysł i odzyska błysk geniuszu.

W dodatku zakochała się w Ramzim. Seks z Egipcjaninem stał się jej obsesją, uskrzydlił ją jako kobietę i artystkę.

Udawałam, że nic nie wiem o potajemnych schadzках tego nietypowego ménage à trois, ale cierpiałam katusze. Czy mam wyjechać z Kairu? Odziedziczyłam fortunę, więc nie musiałam czekać, aż sprzedam udziały w klubie, jednak było mi wstyd ulegać małodusznej zazdrości.

I nagle wszystko wymknęło się spod kontroli. Jedna osoba spowodowała, że miałam nerwy w strzępach i straciłam wiarę w siebie.

Laila.

Zaczęło się pewnego popołudnia, gdy Maxi w towarzystwie Ramziego wybrała się na sesję fotograficzną w cieniu wielkich piramid. Dostałam telegram od pani Wills, że londyński bank przelał na moje konto pieniądze konieczne do bieżącej działalności klubu. Chcąc nie chcąc, musiałam się spotkać z Lailą w jej biurze, by omówić szczegóły. Spytała mnie o brata, choć jestem przekonana, że wcale go nie potrzebowała do przeprowadzenia transakcji. Oparta o brzeg biurka otworzyłam papierośnicę, wyjęłam papierosa, wreszcie poinformowałam ją, że jest z Maxi.

- Zazdrosna? - Podała mi ogień.

Zaciągnęłam się i wydmuchałam dym w jej kierunku.

- A powinnam? Maxi jest moją najlepszą przyjaciółką. - Staralam się, by mój głos wyrażał pewność siebie, choć przewidywałam, że nadeszły ciężkie czasy dla owej przyjaźni.

- Nie wątpię, że mój brat jest tobą oczarowany, choć skądinąd wiem, że potrafi być bardzo zaborczym i zazdrosnym kochankiem. - Oparła dłoń na moim udzie. - Uważaj, lady Marlowe, gdzie rozkładasz nogi.

Strząsnęłam jej rękę. Czy robiła aluzję do mojego skoku w bok z Mahmudem?

Nubijczyk na pewno nie powiedział nikomu, więc może tylko prowokowała mnie, ciekawa reakcji.

- Twoja sugestia jest obraźliwa.

- A twoja obecność w moim biurze mnie rozprasza.

- Tylko jedno, zanim wyjdę. Nie musimy się lubić, ale dopóki jest tu Maxi, chcę, byś mi okazywała uprzejmość.

- Nie zamierzam sprawiać przykrości twojej przyjaciółce, jednak na twoim miejscu zasugerowałabym jej, żeby bardziej się liczyła ze słowami. Niemieckie władze oczekują od swoich obywateli pełnej lojalności, nawet od artystów.

- Powiedział ci to twój gość z Niemiec? - Przez moment zobaczyłam na jej twarzy zaskoczenie, ale nie odpowiedziała. Nie musiała, ten moment wiele mi wyjaśnił. Jej interesy z Trzecią Rzeszą sięgały o wiele głębiej niż zwykły handel antykami.

Wyszłam z klubu i skinęłam na dorożkę. Chciałam jak najprędzej znaleźć się w swoim pokoju. Laila coś knuła, coś bardzo niebezpiecznego. Nie wiedziałam wtedy, że jej intryga była wymierzona przeciwko mnie.

Tydzień później Maxi oznajmiła, że skończyła fotografować Ramziego. Zaparło mi dech w piersi,

gdy zobaczyłam wielkie białe-czarne odbitki. Zdjęcia były fenomenalne, wprost magiczne. Ciało Egipcjanina - plastyczne, żywe, trójwymiarowe - niemal oddychało i lśniło od potu. Wyraz twarzy i półprzymknięte oczy wyrażały zmysłowość niemal jak w seksualnym transie, a męska siła i jurność porażały i podniecały jednocześnie.

Maxi sfotografowała go, jakby był jednym z tych boskich faraonów sprzed tysięcy lat, odkryła w nim piękno i tajemniczość. Odtworzyła zapomniany świat starożytnej cywilizacji z taką pieczołowitością, jakby czarami przywróciła go do życia. Ramzi stał z heka, laską pasterską, taką samą, jaką dzierżył władca Egiptu na freskach malowanych wewnątrz piramid; stał i opierał się o skałę, nie tracąc nic ze swej królewskiej postawy.

Był nagi.

Moją uwagę przykuł jego członek, widoczny na każdym zdjęciu. Maxi kazała Ramziemmu pozować wśród kamiennej kolumnady, na stopniach wielkiej piramidy, na brzegu Nilu. Wszędzie sprawiał wrażenie istoty, która ucieleśnia ducha starożytnego Egiptu, kogoś natchnionego, kto każdym gestem komunikuje nam ponadczasowy przekaz.

Maxi wzniosła sztukę tworzenia męskich aktów na nowe wyżyny, dodając historyczny kontekst, ponadczasowe przesłanie i wykorzystując niekłamany seksapil Egipcjanina.

Zależało jej na tym, by ucieleśniał ideał mężczyzny w oczach każdej kobiety, która będzie oglądała te zdjęcia, a jednocześnie zachował fizyczną zmysłowość - stąd kontrast między skórą lśniącą od olejków a chropowatą fakturą kamiennej ściany.

Byłam pełna podziwu dla jej zmysłu obserwacji i lekkości, z którą operowała światłocieniem. Nagie ciało Ramziego w zestawieniu z zamazanym ciemnym tłem emanowało wewnętrznym światłem. Fotografowała je z czułością, eksponując magnetyczną seksualność i w zdumiewający sposób nawiązując do mistycyzmu starożytnej egipskiej cywilizacji. Jakby mocą wyobraźni ożywiła erotyczne sceny zapisane w pamięci piasków pustyni. Byłam pewna, że włożyła w nie duszę.

- Są piękne, Maxi. Nie mogę oderwać od nich wzroku.

- To moje najlepsze prace.

- Gdzie je wystawisz?

- Paryż, potem Londyn. A potem, kto wie, może nawet Nowy Jork.

- Nie w Berlinie?

Nie odpowiedziała.

- Poprosiłam Ramziego, by w przyszłym tygodniu pojechał ze mną do Paryża.

- Nie, to wykluczone. Potrzebuję go na miejscu, w klubie.

- Nie poradzisz sobie sama, Eve? Jego obecność jest dla mnie ważna. Podbije serca publiczności, wywoła rozgłos wokół wystawy. Jako Amerykanka powinnaś to rozumieć.

- Jestem poddaną brytyjską. Znają mnie tu jako lady Marlowe.

- Jakże mogłabym zapomnieć. - Zachmurzyła się. - Choć mój pobyt w Kairze pod wieloma względami przypomina naszą berlińską młodość. Te bankiety, alkohol...

- I seks?

Zaczerwieniła się i odwróciła głowę.

- Przepraszam, Eve. Muszę wracać do ciemni. Mam więcej filmów do wywołania.

Zeszła do krypty w podziemiach, tej samej, w której ofiarowałam Mahmudowi coś, co wykraczało poza jego marzenia. Teraz Ramzi przeznaczył ją na ciemnię dla Maxi. Powinnam była pohamować zazdrość i powstrzymać się przed zejściem w dół, ale ciekawość i nadzieja na spełnienie ostatniej fantazji okazały się silniejsze.

Chciałam zobaczyć Ramziego z inną kobietą.

Skradałam się na paluszkach, dygocząc ze zdenerwowania, na granicy hysterii. Kiedy ich zobaczyłam, stanęłam ukryta w cieniu, nagle lodowato spokojna. Leżeli na miękkich poduszkach, ciała fosforyzowały w przyciemnionym niebieskim świetle. Ramzi, Maxi. I Laila. Trzy nagie sylwetki rozgrzewające chłód wnętrza. Dotykali się, chichotali. Ramzi głaskał piersi Maxi, potem rozłożył jej nogi i już wkrótce usłyszałam jej ekstatyczne skamlenia i gruchania. Z drugiej strony pochylała się nad nią Laila. Pierwszy raz widziałam ją nago. Zaskoczyło mnie, że przy cienkiej talii ma naprawdę duże piersi z sutkami jak soczyste owoce. Nie domyślałam się, że jej ciało może być aż tak apetyczne. Kontrast między kobietami był uderzający, gdyż Maxi ze swoimi wąskimi biodrami i niewielkimi, choć doskonałymi w kształcie cycuszkami przypominała od tyłu młodego chłopca.

Laila pochylała się nad kochanką, pieszcząc i miętosząc jej piersi, gdy Ramzi jednym palcem (a może dwoma? Ze mną zawsze używał dwóch) wprawiał jej łechtaczkę w rozkoszne wibracje. Wyobraziłam sobie wilgoć spływającą na jego dłoń i ogarnęło mnie podniecenie nie do zniesienia. Wrzała we mnie dzika zazdrość, a jednocześnie zapierające dech pożądanie obejmujące całą tę piekielną trójkę i wymazujące na chwilę negatywne emocje skierowane przeciwko nim. Czy nie było to spełnienie moich mrocznych pragnień? Ramzi z inną kobietą...

Bez zastanowienia wcisnęłam rękę między uda. Nie dbałam o ślady, które zostawię na śliskim jedwabiu spodni. Liczyło się tylko to, że nie pozwolę zostawić się na boku, choć zapomnieli o mnie, porwani nowym zauroczeniem. Nie wiedzą, że tu jestem, więc cóż złego się stanie, jeśli się obnażę i sama dam sobie rozkosz?

Ani przez chwilę nie spuszczałam z nich wzroku. Widok tych trzech osób w lubieżnych uściskach był jeszcze bardziej stymulujący niż przyjemność masturbacji.

Przyśpieszyłam, gdy Egipcjanin nadział Maxi na swój członek, aż stęknęła gardłowo. Dobrze znałam

ten moment, gdy tracił kontrolę i jego nasienie rozlewało się ciepłą falą.

Nagle zlodowaciałam i zamarłam. Zazdrość zabiła podniecenie, jej ostrze sięgnęło aż do serca. Nie byłam w stanie doprowadzić się do orgazmu, choć jeszcze przed chwilą wydawał mi się w zasięgu ręki.

Jak zaczarowana patrzyłam na Laile, liżącą i ssącą ciało drugiej kobiety, jakby było najwspanialszym daniem stworzonym przez naturę. Ogarnęły mnie emocje poza wszelką kontrolą.

Już nie umiałam ignorować fascynacji dwoma kobietami, które okazywały sobie tyle żywiołowej namiętności.

Chciałam do nich dołączyć.

Przez kolejne dwa dni obserwowałam każdy ich ruch. Ramzi i Maxi. Śmiali się, dyskutowali, kłócili się o zdjęcia, godzili i znowu sprzecali. Okazywali sobie zadziwiająco dużo współczucia. Gadali, co im ślina na język przyniosła (Maxi po niemiecku, Ramzi po francusku) i myślę, że to wariactwo jeszcze bardziej ich zbliżyło do siebie. W całej aferze najbardziej drażniło mnie to, że Ramzi nadal kochał się ze mną każdej nocy po zniknięciu klubu. Co kiedyś było związkiem ciał i dusz, celebracją ziemskiej radości, zamieniło się w czysty seks. Kiedyś bawiliśmy się, przekomarzaliśmy, prowokowaliśmy, teraz zostało pieprzenie. Nie znajdowałam w nim dawnej przyjemności. Przyznaję, skarżyłam się wcześniej na mechanikę swego orgazmu - może to egoistyczny punkt widzenia, ale nie zamierzam przeproszać. Seks powinien poruszać najgłębsze struny twojej duszy, przepełniać zmysły; seks to rozkoszne dźwięki i widoki, wonny aromat oraz przyjemny smak, ale przede wszystkim kochający dotyk. Brakowało mi tego wszystkiego, zwłaszcza że Ramzi przejawiał

oznaki zmęczenia - w końcu każdego dnia posuwał dwie kobiety. Musiałam zaakceptować fakt, że okazał się słabym śmiertelnikiem. Nic mu nie powiedziałam. Męskie ego jest wyjątkowo delikatne, a mój egipski kochanek nie różnił się pod tym względem od całej reszty płci brzydkiej. Wpadłby w gniew na wiadomość, że mnie nie zadowala w łóżku. Bóg raczy wiedzieć, do czego mógł się posunąć. Nie ufałam mu. Może byłam jego seksualną niewolnicą, ale moje szare komórki pracowały równie sprawnie co dawniej i ostrzegały, że nie mogę tracić czujności. Zawsze ufałam swojej intuicji. Lord Marlowe mawiał, że mam niesamowitą zdolność do instynktownego wyczuwania niebezpieczeństwa i to ustrzegło mnie przed wdepnięciem w poważne kłopoty, gdy byłam bardzo młoda. Czynił też aluzję do faktu, że miałam wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by wybrać właśnie jego na swego opiekuna. Za każdym razem, gdy przypominam sobie maksymy mego lorda protektora, czuję się tak, jakby ktoś mi wymierzył cios prosto w żołądek. Strasznie mi brakuje jego rozsądnego pragmatyzmu i ironicznego poczucia humoru.

I tak, drogi czytelniku, moje zamiary, by na nowo wnieść trochę magii do naszego życia seksualnego, spełzły na niczym. Mijały dni, potem tygodnie. Ramzi szukał różnych wymówek, by wykręcić się od spotkania, a kiedy przychodził, wołał oferować narkotyki niż seks. Zapewniał, że niepokoi się o mnie, pytał, czy nie jestem chora. Kręciłam przecząco głową i odsuwałam jego rękę, gdy usiłował ją wsunąć pod sukienkę.

Nie chciałam orgazmów, które mógł mi zaoferować. Przedmiotem moich fantazji stały się zupełnie

inne obiekty. Ciepłe, wilgotne, różowe. Śledziłam Ramziego, gdy popołudniami wymykał się na schadzki z Maxi i przyrodnią siostrą. Podglądałam ich, gdy pieprzył

kochankę, podczas gdy Laila pokrywała jej ciało pocałunkami podobnymi do liźnięć kociego języczka. W klubie było wtedy cicho i martwo, a jedyne ludzkie głosy dobiegały z podziemnej krypty. Moje westchnienia spotykały się w powietrzu z odgłosami wydawanymi przez ich ciała, mieszał się słodki oddech trzech kobiet, ich wargi spragnione były delikatnego dotyku własnej płci, skoro mężczyźni nas zawiedli.

Zraniona męską niewiernością i tak bardzo samotna, znajdowałam więcej erotycznej stymulacji w podglądaniu kobiet uprawiających miłość niż w mechanicznych pieszczotach Ramziego. Sama się zaspokajałam, dotykając cipki nieśpiesznymi, delikatnymi muśnięciami.

Zachłannie patrzyłam na Lailę obejmującą Maxi, odchylającą jej głowę; piękne było to spotkanie ust, spotkanie piersi, skóra koloru miodu ocierająca się o kość słoniową. Były cudownie wokalne: łkały, jęczały, krzyczały, wzdychały. Dodawałam swój głos do kobiecego chóru, gdy w moim ukryciu zaczynałam się masturbować coraz szybciej i szybciej, bliska orgazmu, który zalewał ciepłą falą całe moje ciało. Dzieliłam ten moment z Maxi, a jednocześnie widziałam, jak na moich oczach rozsypuje się w proch wieloletnia przyjaźń.

Dziwne, sprzeczne uczucia - utrata przyjaciółki, na którą się jednocześnie zaczyna spoglądać z miłosnym pożądaniem.

Nie byłam już w stanie kontynuować związku z Ramzim, w którym seks zamienił się w farsę. Nie miałam zamiaru odmawiać sobie przyjemności tylko dlatego, że zadałam się z mężczyzną, który nie umiał wejść w skórę mego zmarłego męża. Znajdę innego kochanka lub kochankę, kogoś, kto ukołi mój ból i wypełni pustkę.

Cicho jak duch wymknęłam się z krypty. Czuję się wyzwolona i zdolna do poczynienia własnych planów. Ramzi może się zapieprzyć na śmierć, jeśli o mnie chodzi.

Spadły mi łuski z oczu i widziałam go takim, jaki był: mężczyzna niezdolny do miłości, chciwy i pozbawiony sumienia. Zrobił ze mnie idiotkę, afiszując się romanssem z Maxi, a jednocześnie zapewniając mnie o swoim oddaniu. Otrząsnęłam się z zauroczenia równie łatwo jak z kurzu krypty, który osiadł na moim ubraniu.

Królowa Kleopatra, uwodzicielka sprzed wieków, która nas połączyła, natchnęła mnie pomysłem, w jaki sposób mam pokazać Ramziem, że moja obsesja się wypaliła. Koszmar, w którym się znalazłam, próbując wypełnić pustkę w życiu kutasem Egipcjanina, przejściowo pozbawił mnie ducha, ale powstałam jak Feniks z popiołów. Znowu poczuje w ciele gorączkę i płomień, a w duszy odnajdę odwagę i ulotny romantyzm. Nikt mnie nie powstrzyma.

Dwoje może grać w tę grę, drogi czytelniku.

Ale zapewniam cię, zwycięzca jest tylko jeden.

Spędziłam w Kairze wiele tygodni, skutecznie przymykając oczy na fakt, że świat jest o krok od wojny totalnej. Czułam tylko, że w moim życiu nadchodzą jakieś bliżej nieokreślone zmiany. Przygoda, która zaczęła się jako subtelna gra w oparach ekscytującej woni, zamieniła się w sprośną rozpustę, w dodatku wiodącą ku zatraceniu, a ja nie mogłam powstrzymać biegu wypadków, podobnie jak nie mogłabym powstrzymać Hitlera w jego szaleńczym podboju świata.

Jego celem była Polska. Moim - Ramzi.

Führera już tylko dni dzieliły od krwawej napaści na bezbronny kraj. Mnie tylko minuty dzieliły od nocy, po której wybuchnie skandal stanowiący przedmiot najdziwszych plotek opowiadanych szeptem na kairskich bazarach i w eleganckich nocnych klubach luksusowych hoteli. Nocy, gdy Kleopatra zatańczy nago.

Północ. Gorąca, parna. Ukryłam się w kącie klubu i obserwowałam salę. Pokój Kobry tętnił zwykłym życiem. Półnogie tancerki dumnie zadzierają głowy, piersi podskakują przy każdym kroku, a pantofelki na obcasach wystukują rytm jazzowych kawałków wygrywanych na pianinie przez Josette. Jeszcze jeden numer i przyjdzie pora na moje wielkie wejście.

Zazwyczaj miałam wtedy na sobie suknię ze złotej lamy przylegającą do ciała jak druga skóra, wyciętą na plecach tak głęboko, że moi wielbiciele mogli podziwiać dwa dołeczki nad pośladkami.

Dzisiaj będzie inaczej. Zrzucę drugą skórę i objawię się ludzkim oczom jako prawdziwa królowa Nilu.

Połyskująca złotą farbą.

I niczym więcej.

Zatańczę nago.

Platynowe włosy ukryję pod kwefem i złotym czepkiem ze sznurami pereł.

Czy egipska królowa uznałaby mój taniec za żart, czy za hołd złożony jej kobiecej przebiegłości? Nie wiem, co mnie popychało tej nocy w samo serce ciemności, być może zawiedzione nadzieje, które pokładałam w Ramzim. Oczekiwałam, że zajmie miejsce zmarłego męża i uciszy dręczące mnie pragnienie. Zamiast tego podczas krótkiego pobytu w Egipcie straciłam unikalny talent do nasycania głębszym znaczeniem sadomasochistycznych zbliżeń. Ciągle miałam w pamięci to niezwykle wyzwolenie, którego doznawałam, gdy przekazywałam memu lordowi władzę nad ciałem i drżałam w radosnym podnieceniu, słysząc świst bata i wiedząc, że nigdy nie nadużyje siły wobec mnie. To dawało mi poczucie władzy.

Doświadczałam jedynie przyjemności, a nie bólu. Byłam jego boginią, a nie zimną statua o uwodzicielskim uśmiechu.

Moim celem było odtworzenie z Ramzim tej unikalnej więzi, która istniała między mną a zmarłym

mężem, tymczasem uległam jego degradującym wymaganiom i szokującej amoralności. Musiałam spaść na samo dno piekieł, by wreszcie odkryć drogę do zbawienia.

Tej nocy pojawię się przed tłumem jako wcielenie kusicielki, a taniec Kleopatry uwiedzie wszystkich, którzy będą mieli szczęście go zobaczyć.

Oto z ciemności wyłania się Mahmud, półnagi, tylko w czerwonych jedwabnych szarawarach. Niesie na ramieniu perski dywan zwinięty w rulon. Zatrzymuje się, daje mi klapsa, bo kicham i kręcę się w środku. Może się zaśmiać, ale strasznie mi duszno i niewiele do mnie dociera przez grubą tkaninę. Wyobrażam sobie pobudzoną ciekawość publiczności, szepty, milczenie ogarniające salę. Widzą tylko podeszwy złotych sandałów, reszta jest ukryta przed ich wzrokiem.

Nie na długo.

Zrzuca dywan z ramienia i delikatnie kładzie na środku Pokoju Kobry. Rytmiczna melodia wygrywana na pianinie pobudza moje zmysły. Ramzi energicznym ruchem rozwija rulon i odsłania ukryte w środku nagie ciało. Jak rozwijający się kwiat lotosu, powoli się prostuję i przeciągam, unosząc ramiona nad głowę. Złoty pierścień Kleopatry z rubinem i perłami połyskuje w świetle reflektorów. Rozpaczam erotyczny taniec, który uczynił mnie sławną w berlińskich kabaretach. Wtedy byłam lekkomyślną dziewczyną, gotową na podjęcie każdego ryzyka, spragnioną rozgłosu. Teraz chciałam się zemścić na Ramzim za jego niewierność. Brzydkie uczucie, ale jakże stymulujące.

Chwytam wachlarz z niebieskich piór leżący na pianinie, w tanecznym pas przemierzam salę, zatrzymując się tu i ówdzie i mocząc palce w kieliszkach z szampanem.

Krople musującego płynu spływają mi po piersiach, brzuchu, łonie, ale nie ugaszą płonącego we mnie ognia. Wszystko wokół jest nienaturalne, jak w krzywym lustrze, jakby odzwierciedlało mój wewnętrzny brak harmonii.

Nie jestem tamtą młodą dziewczyną. Jestem lady Eve Marlowe. Mam ochotę uciec spod światła reflektorów, ukryć się pod wdowią żałobą, zapomnieć o odwecie na mężczyźnie, którego kochałam, a przynajmniej tak mi się wydawało. Zranił mnie, ale wymierzenie ciosu za cios niczego nie naprawi.

Niczego nie podejrzewa. Obiecałam mu nawet, że przyjmę go później w moim hotelowym apartamencie. W rzeczywistości nie miałam zamiaru spotkać się z nim. I z Maxi.

Już nie wrócę do klubu. Perspektywa zaszokowania publiki nie daje mi przyjemności. Tańcem wyrażam gniew i gorycz. Mam mięśnie tak sztywne, jakby zamieniły się w kamień.

Zaciskam powieki, by powstrzymać łzy. Nie chcę mieć na policzkach śladów przypominających drapania kocich pazurków. Dociera do mnie, czemu wybrałam ten właśnie taniec. Występowałam w nim w Berlinie, w kabarecie „Montmartre”, tej właśnie nocy, gdy poznałam lorda Marlowe'a. Był to zwariowany hałaśliwy lokal, w którym klienci ukrywali twarze za czarnymi lub białymi maskami. Przez cały taniec czułam na sobie jego płomienny wzrok, był jak dotyk na piersiach, pośladkach, między udami.

Zatrzymuję się gwałtownie. Sala zamiera, jakby wszyscy wstrzymali oddech. Dociera do mnie, że czuję na sobie inne spojrzenie, ale obdarzone podobną palącą intensywnością.

Ramzi?

Nie. Ktoś inny. Wysoki, męski, nie taki uładzony jak Egipcjanin, ale nieujarzmiony i trochę nieokrzesany. Czuję jego zapach równie wyraźnie co aromat perfum Kleopatry wtartych w pachy i pachwiny. Dlaczego mnie to tak porusza? Dociera do mnie z całą jasnością, że przed wyjazdem z Kairu chcę odtworzyć noc, która po raz pierwszy połączyła mnie i Jego Lordowską Mość. Tak, drogi czytelniku, postanowiłam opuścić Kair. Uciec do Paryża czy Rzymu, gdzie w powietrzu rozbrzmiewa śmiech, lekki wietrzyk pieści skórę, a każdy dzień przynosi obietnicę romansu. Kobieta kurczowo czepiająca się mężczyzny, który jej nie kocha, jest głupia. Ja taka nie jestem. To Ramzi okazał się głupcem: uważał, że może mnie wykorzystywać, bo oszalałam na jego punkcie. Jak większość podobnych mu osobników - gładkich w obyciu, ambitnych, narcystycznych - wszystkie kobiety traktował jak swoje zabawki, nawet moją przyjaciółkę. Bardziej dotknęła mnie zdrada Maxi - nie rozumiałam jej zachowania i nie chciałam go zrozumieć.

Poczułam się tak, jakby opadła ciemna zasłona skrywająca przede mną świat.

Zapragnęłam żyć. Uwodzić i być uwodzona. Prowokacyjnie zakołysałam biodrami, wprawiłam złote pośladki w obłądne wibracje. Wszyscy mężczyźni wychylili się, by lepiej widzieć, kobiety zerkały zza ich ramion. Tańczyłam w erotycznym zapamiętaniu, w ekstazie, nawet ściany kołysały się ze mną jak w gabinecie krzywych luster. Płatki jaśminu rozrzucone przez dwie tancerki przyklejały się do złotej skóry niczym lśniące krople deszczu. Porwał

mnie upojny rytm tanga, czułam się lekka i radośnie podniecona.

Znowu spostrzegłam nieznajomego, błysk pożądania w jego oczach. Wystarczyła chwila, gdy próbował mnie dotknąć, bym go oszacowała wzrokiem. Jasnobrązowe włosy, skóra zbrązowiała od słońca, mocna linia szczęki sugerująca charakter i męskość.

Odwróciłam się do niego plecami, a od spojrzenia, które rzucił na moje pośladki, zaparło mi dech. Jakby już je rozchylił i spenetrował analną dziurkę; jakby jego głód równał

się mojemu pożądaniu. Czułam falę gorąca w podbrzuszu, znajome pulsowanie obudzonej kobiecości, która domagała się, by ktoś ją głaskał, drażnił, wypełniał. Jeszcze niedawno marzyłam o delikatnych kobiecych paluszkach igrających z moją łechtaczką, czułych westchnieniach wywołujących łagodne pragnienie bliskości. Teraz potrzebowałam mężczyzny, który odpowie na wezwanie mego głodnego libido. Tego właśnie mężczyzny.

Kim był? Na pewno nie Anglikiem, bo narzucał innym szacunek dla siebie, nie dla swego urodzenia czy wychowania. Najprawdopodobniej był amerykańskim poszukiwaczem przygód. Jako tancerka dobrze wiedziałam, jak wiele można wyczytać z ruchów ciała. Jego leniwy, pełen gracji chód wiele mówił o charakterze. Nie śpieszył się, obserwował i oceniał

wszystko i wszystkich, także mnie. Jego obecność była tak intensywna, że nie mogłam oderwać od

niego wzroku. Rozdzierana lękami, uzależniona od seksu i narkotyków, wyleczona z Ramziego - dojrzałam do tego, by w moim życiu pojawił się nowy mężczyzna.

Potrzebowałam gorącego romansu.

Nie wiedziałam, że Ramzi także wyczuł mój niepokój. Widziałam, jak wszedł w towarzystwie Maxi. Z Lailą o krok za nimi. Usiedli przy naszym stoliku, kelner podał

koktajle. Coś do siebie szeptali, Maxi się śmiała, Laila obserwowała otoczenie, Ramzi pykał

turecką fajkę. Ruszyłam do nich tanecznym krokiem, ale nie zatrzymałam się, tylko kontynuowałam przedstawienie. Zamierzałam przyprawić o orgazm przystojnego nieznajomego, a wraz z nim całą salę. Nie zapomnę mojego tańca.

Skinęłam na szefa kelnerów, by zgasił światła na sali. Reflektory wydobywały mnie z mroku. Niezapomniany widok. Lśniaca złotem naga kobieta, twarz zasłonięta woalem, widać tylko namiętne oczy podkreślone ciężkim makijażem, sznury pereł tańczące przy każdym ruchu głowy. Przyznaję, byłam na haju, bez koki nie stać by mnie było na taką szaleńczą brawurę. Wyznanie przychodzi mi z trudem, obawiam się, że pomyślisz z pogardą o mojej amoralności. Mogę za to przysiąc, że straciłam zainteresowanie dla seksualnych zabaw z Ramzim, nie urzekła mnie już jego chmurna uroda, wyrafinowanie i fascynująca osobowość.

Na moim horyzoncie pojawił się nowy mężczyzna.

Po kolejnym perfekcyjnym piruecie przesunęłam rękami po połyskującym złotem wzgórku łonowym i oparłam dłonie na pośladkach. Oczy sali zwróciły się na szczelinę między półkulami. Tylko jeden mężczyzna patrzył mi prosto w twarz, z takim samym pożądaniami, które ja odczuwałam względem niego - w półmroku dobrze widziałam imponujące wybrzuszenie w spodniach. Nie miałam wątpliwości: doprowadzę tłum do stanu erotycznego wrzenia, będą leżeć u moich stóp.

Pokażę im orgazm, którego nie zapomnę.

Uwiodę ich, jak Kleopatra uwiodła potężnego Cezara. Za pomocą sznura analnych koralii.

Zgięłam się w pół, moje pośladki zatańczyły w powietrzu. Między nimi zwisała prawie niewidoczna końcówka. Wystarczyło za nią pociągnąć. Wcześniej Mahmud nasmarował mój anus bezwonny olejkiem i rozmasował mięśnie, więc czynność umieszczenia koralii w jelicie grubym była całkiem przyjemna. Wsuwał we mnie niebieskie kulki, jedną po drugiej, robiąc przerwy, bym się przyzwyczaiła do ich obecności w ciele i nie odczuła dyskomfortu.

Poleciłam mu, by w kulminacyjnym momencie tańca wyciągał je ze mnie równie wolno, gdy ja będę się pieścić aż do osiągnięcia orgazmu.

Zasygnalizowałam mu wzrokiem, że zmieniałam zdanie. Skłonił się nisko i wycofał, choć na jego twarzy mignęło zdziwienie i rozczarowanie. Będzie mi brakowało jego czulego dotyku i mistrzostwa w sztuce uprawiania miłości, ale podjęłam inną decyzję. Nubijczyk płonął jak wieczny płomień, nie znał zmęczenia i o nic nie prosił, a wszystko to pomnażało jego wartość w mych oczach, ale

potrzebowałam kogoś, kto zaspokoi nie tylko fizyczne, ale i psychiczne potrzeby.

Czy nieznajomy okaże się tym właściwym mężczyzną?

Byłam jak uskrzydłona. Oto chwila wielkiego rewanżu. Do mojego orszaku dołączył kolejny wielbiciel, a życie seksualne miało zostać uzdrowione.

Wykonałam serię krótkich kroczków zbliżających mnie do mego wybranka. Jako tancerka starałam się wychodzić poza rutynę, wyrażać ruchem pulsujące we mnie rytmy.

Łączyłam ducha z perfekcyjną techniką. Tym razem mój występ będzie czymś więcej niż ulotną sztuką - głęboko odcisnie się w duszach audytorium.

Poruszałam zmysłowo ramionami, a Josette przeszła z jazzu na Debussy'ego, dodając klasyczne wątki do starożytnego tańca. Zatrzymałam się tak blisko nieznajomego, że niemal ocierałam się o niego pośladkami. Wyciągnął dłoń i dotknął mojej złotej skóry. Cofnęłam się o pół kroku.

- Czy chce pan być moim Cezarem tej nocy? - powiedziałam głośno, wskazując metalowy pierścień między pośladkami. - I wyciągnąć korale? - dodałam ciszej, by usłyszał

mnie tylko on.

- Szybko czy wolno? - zapytał z uśmiechem. Jego akcent go zdradził. Był

Amerykaninem.

- Pan decyduje.

- A później? - Chciał, bym wiedziała, że nie da się zbyć tak łatwo.

- Ja zdecyduję, dokąd pójdziemy.

- Rozumiem. Po prostu nie mogę stracić. - Znow się uśmiechnął.

- Nie może pan - odparłam podobnym tonem. - Ja też nie.

Zakręciłam pupą, wprawiłam biodra w zwariowany wibrujący ruch, niesamowicie erotyczne shimmy. Sięgnęłam ręką między uda i znalazłam mały pączek, twardy i sztywny.

Kołysałam się zmysłowo, coraz bliższa zaspokojenia. Podekscytowany tłum wstrzymał oddech.

- Teraz! - krzyknęłam w ekstazie. - Proszę ciągnąć!

Z gardłowym jękiem osiągnęłam orgazm i czułam, jak rozplływam się w słodkich skurczach, gdy nieznajomy - koralik po koralu, metodycznie - uwalniał cały sznur ukryty w moich trzewiach.

Rozkosz falowała we mnie, przelewała się, oszałamiała, a w głowie dudniła jedna myśl: Czy pójdzie za mną? Czy będzie chciał kontynuować erotyczny scenariusz z dala od wścibskich spojrzeń?

A jeśli to zrobi, czy kiedyś tego pożałuję?

Zaprosiłam go gestem, by mi towarzyszył do alkowy za barem, gdzie wstęp miał tylko personel.

- Była pani fantastyczna - powiedział, podając mi sznur koralu.

- Proszę je zatrzymać na pamiątkę wizyty w „Klubie Kleopatry”. - Zawinęłam je w bawełnianą serwetkę i wetknęłam mu do kieszeni. Cofnął się. Zerwałam z głowy czepek i kwef, jasne włosy spłynęły platynową falą.

- Chcę czegoś więcej - szepnął żarliwie, wtulając w nie twarz.

Odwróciłam się, byłam pewna, że mnie pocałuje. Czułam jego oddech na ustach, gdy przerwał nam Ramzi, który jednym szarpnięciem odrzucił na bok kurtynę z koralików i brutalnie złapał mnie za ramię.

- Żadna kobieta nie robi ze mnie głupka.

- Zostaw mnie! - wrzasnęłam.

- Słyszysz pan, czego chce dama - z groźbą w głosie powiedział nieznajomy.

Egipcjanin udał, że go nie zauważa.

- Ubieraj się. Wychodzimy.

- Nie. - Odmowa przyszła mi z łatwością. Nie widziałam powodu, by się usprawiedliwiać. Miałam swoją chwilę tryumfu, zaspokoiliam potrzebę zemsty i ostatecznie się wyzwoliłam. Teraz interesował mnie Amerykanin. - To mój ostatni występ w „Klubie Kleopatry”, Ramzi. Odchodzę.

- Mamy umowę - upierał się.

- Umowa nie dotyczy mojego ciała. Wybacz, ale mam w planach kolację z... -

Spojrzałam pytająco na nieznajomego. Zdążył zdjąć skórzaną lotniczą kurtkę i podwinąć rękawy koszuli. Szykował się do pobicia Ramziego? To mi dodało kurażu, nie mówiąc już o dużej dawce adrenaliny na widok muskularnej piersi tego osiłka.

- Chuck Dawn.

- Pan Dawn i ja jesteśmy starymi znajomymi.

- Kłamiesz. - Ramzi nie należał do osób, które łatwo rezygnują. - Używasz mężczyzn jak tancerka szala, do masturbacji. Żaden cię nie zadowoli. Myślisz tylko o własnej przyjemności.

- Odszczekaj albo pożałujesz. - Chuck zacisnął pięści i uniósł ręce, gotowy do ciosu.

Szarmancki kawaler. To mi się podoba.

- Opanuj się, Ramzi. Nie rozumiesz Eve. - Między nami pojawiła się Maxi, smukła chłopczyca w męskim garniturze, z monoklem w lewym oku. - Była królową berlińskich kabaretów do czasu, gdy nas opuściła, by wyjść za mąż za diabelnie przystojnego brytyjskiego lorda. - Kiedy spojrzała na mnie, po raz pierwszy dostrzegłam w jej oczach nieklamana zawisć, równie krzykliwą jak złota farba na mojej skórze.

- Wreszcie zrozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi, Maxi. Tyle lat minęło, a ty nigdy nie zdradziłaś się ani słowem, co naprawdę myślisz o moim małżeństwie.

- Nie pytałaś. - Chwyciła Ramziego za ramię. - Postaw mi drinka.

- Nie. - Odtrącił jej rękę. - Nie ruszę się stąd bez mojej angielskiej róży.

Maxi wyjęła monokl i niecierpliwie zaczęła pocierać szkiełko.

- Musisz mi postawić drinka. Nalegam.

- On cię nie posłucha, Fräulein. Mój brat zawsze chce tego, czego nie może mieć. -

Laila zaborczo objęła ją w talii. - Ja też.

- To pani przyjaciele? - upewnił się Chuck. Zarzucił mi swoją kurtkę na ramiona, bo trzęsłam się, mimo że taniec mnie rozgrzał.

- Do niedawna tak sądziłam.

- Wychodzimy. - Gdy Chuck rozejrzał się w poszukiwaniu wyjścia, zauważył Maurów blokujących dostęp do windy. - Choć to się może okazać trudniejsze, niż przypuszczałem.

Oddałam mu kurtkę i sięgnęłam po galabiję. Pozwoliłam mu na ostatnie spojrzenie na moje nagie, pokryte farbą ciało.

- Nie obiecywałam, że będzie łatwo.

- Właśnie widzę - rzekł z uśmiechem.

Wzburzony Ramzi znowu nas rozdzielił. Nie zamierzał rezygnować.

- Kochałem się z tobą, jakbyś była boginią, a okazuje się, że jesteś królową lodu. -

Pstryknął na Maurów. - Nie pozwolę ci stąd wyjść.

- Wyjdzie. - Chuck skierował się w moją stronę, jakby miał zamiar wziąć mnie na ręce, ale Ramzi

wymierzył mu cios w szczękę. Chuck szybko się otrząsnął i zaatakował ze zwinnością dzikiego kota. Złapał Egipcjanina za pasek i krocze, cisnął nim o podłogę, po czym przytrzymał go w zapaśniczym uścisku. Ramzi szamotał się, ale był zbyt zaskoczony, by się oswobodzić. Przeklinał po arabsku zdławionym głosem, a Chuck wbijał mu kolano w kręgosłup i ścisnął ramieniem za gardło.

Okryłam się galabiją w kompletnej konfuzji. Kim jest ten człowiek? - zachodziłam w głowę. Muszę go powstrzymać, zanim zabije rywala. Tak, drogi czytelniku, mimo jego niewierności nie życzyłam byłemu kochankowi śmierci.

- Puść! - Uwiesiłam się na jego łokciu, by nie skręcił Ramziemu karku. - Proszę. Nie jest tego wart.

Chuck niechętnie poluzował uścisk.

- Sukinsyn ma szczęście. Na drugi raz...

- To będzie twój kark - prychnął Ramzi i wymownie zacisnął dłonie.

- Nie licz na to, koleś. Tam, skąd pochodzę, umiemy sobie radzić z takimi jak ty.

Oczy Ramziego zalśniły gniewem.

- Miłego wieczoru. Angielska róża pachnie odurzająco, ale strzeż się, bo kasa jak kobra i jest równie jadowita.

- Zaryzykuję.

- Trzeba ci będzie przychylności losu, jaką się cieszyli wielcy faraonowie. A i tak ich świątynie runęły w proch i pył. Ja zaś jestem jak pustylny wiatr. Wszystko przetrzymam -

oświadczył Ramzi.

- Na to bym nie liczył.

Kłócili się, a ja milczałam. Dwaj mężczyźni bili się o moje ciało. I duszę.

- Myślicie, że nie mam nic do powiedzenia? - zaprotestowałam wreszcie. - Nie jestem niewolnicą, która trafi do tego, który będzie licytował najwyżej.

- Uważaj, angielska damo - ostrzegł mnie Ramzi. - Perfumy Kleopatry ocalą cię przed gwałtowną śmiercią, ale nie przed męską chucią.

- O czym on, do diabła, mówi? - wtrącił Chuck.

- To pewna gra, która dotyczy tylko nas, prawda, Ramzi?

Przyłożył palce do ust, potem do czoła, wreszcie skłonił głowę.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

- Mam dosyć gier - powiedział Chuck. - Wychodzimy.

- W sztuce rozkoszy, monsieur - powiedział jeszcze Ramzi - angielska róża szybko się nudzi tym, co może jej dać el-ihhl. Potrzebuje stymulacji, którą potrafi jej zapewnić tylko ktoś taki jak ja.

- Niech dama sama zdecyduje, którego kutasa woli - z uśmiechem odparł Chuck.

Po czym opuściliśmy „Klub Kleopatry”. Chuck Dawn zaimponował mi znajomością arabszczyzny. Niewielu turystów zna slangowe określenie na męski organ. Najwyraźniej z niejednego pieca chleb jadał. Zaintrygował mnie.

Wraz z chęcią dowiedzenia się o nim czegoś więcej przyszło pożądanie, żarliwe, przemożne, świeże. Chuck Dawn wyparł z mej wyobraźni Ramziego. Przyjdzie mi za to drogo zapłacić. Nie miałam pojęcia, jakie demony obudziłam w duszy Egipcjanina, do czego był gotów się posunąć, byle mnie zatrzymać dla siebie. Jakbym była niezwykle cennym antycznym dziełem sztuki, które kolekcjoner zazdrośnie ukrywa przed oczyma ciekawskich.

Tej nocy uświadomiłam sobie, że Ramzi zaciska pętlę na mojej szyi. Muszę ją poluzować albo umrzeć.

12

Berlin

14 kwietnia 1941 r.

Wracam do pokoju w Hotelu „Adlon”. Plamy od nikotyny na rękawiczkach wymownie świadczą o ilości wypalonych papierosów. Maxi nie przyszła na spotkanie.

Dlaczego? Co się stało? Czekałam w barze ponad godzinę, świadoma wścibskich spojrzeń i spekulacji na mój temat. Samotna kobieta budzi podejrzenia nawet w tak niebezpiecznych czasach, choć dało się odczuć pewne rozluźnienie obyczajów - nie potrzebowałam rekomendacji, by zarezerwować miejsce. Na niewiele się to zdało, skoro Maxi się nie pokazała.

Zmieniła zdanie, od początku nie miała zamiaru przychodzić, została aresztowana, nie żyje.

- O co tyle hałasu? - zapytasz.

Wiem, drogi czytelniku. Jesteś zawiedziony i trochę rozgniewany. Spodziewałeś się pikantnej sceny erotycznej z nowym mężczyzną, który tak fortunnie pojawił się w moim życiu.

Zamiast tego uraczyłam cię marudzeniem. Nie odkładaj dziennika. Proszę, zostań ze mną. Mój taniec w stroju Ewy pobudził twoje zmysły, jeszcze czujesz zapach seksu i perfum, słyszysz upojną muzykę, krew szybciej krąży ci w żyłach. Nie przeczę, chciałam podzielić się z tobą najdrobniejszymi szczegółami tej niezwykłej podróży do królestwa erotycznych rozkoszy, ale teraz sytuacja zmusza mnie do zmiany planów.

Otóż jestem obserwowana przez niemiecką tajną policję.

Był w barze i nie spuszczał ze mnie oka. Oficer SS. Wysoki, jasnowłosy, podgolony w sposób typowy dla wojskowych, zmarszczone ciemne brwi. Zaniepokoił mnie. Nie wiem, czemu. Przyjęłam papierosa, którym mnie poczęstował. Wydało mi się, że zaczepia mnie bardziej z ciekawości niż z obowiązku.

Wdaliśmy się w błąhą rozmowę. W pewnym momencie wtrącił, że miał zaszczyt należeć do prywatnej ochrony Hitlera podczas wieców poparcia dla narodowych socjalistów.

Wymienił nazwy przemysłowych miast Zagłębia Ruhry i ogromnych fabryk i hut. Otaczały je rozległe pola złocistych słoneczników.

- Kwitnące słoneczniki, kwitnąca gospodarka niemiecka - powiedział. - W wiecznym ruchu, w nieustannym wzroście.

Kiwałam głową. Odgrywałam rolę amerykańskiej turystki nieświadomej, że jest poddana nieformalnemu przesłuchaniu. Zorientowałam się, że usiłuje wyciągnąć ze mnie informację, gdy zapytał, czy byłam w Paryżu po zajęciu miasta przez Niemców.

Powiedziałam, że nie, a on zapewnił, że miasto jest równie piękne jak dawniej, niczym śliczna kobieta obejmująca nowego kochanka.

Spojrzał na moje nogi i uśmiechnął się z rozbawieniem. Zauważył jedwabne pończochy. Powiedział, że kobiety w hotelu muszą mi zazdrościć. Niemki mają obecnie przydział na jedną parę raz na dwa miesiące. (Zapomniał dodać, że żołnierze przyjeżdżający z Francji na przepustkę mają nimi wypchane kieszenie. Typowe. Karmił mnie propagandowymi półprawdami). Odparłam, że sądząc po wystawach sklepowych, kobiety w Berlinie nadal mogą nosić jedwabne sukienki. Szepnął mi na ucho, że zdrowy naród nie potrzebuje jedwabiu, a gdyby to od niego zależało, wszyscy o zdegenerowanych gustach trafialiby do obozów pracy na reedukację. Spodziewałam się, że za chwilę zażąda okazania paszportu i weźmie mnie w krzyżowy ogień pytań. Zamiast tego pochwalił kompozycję zapachową moich perfum i zasugerował, że używam ich do uwodzenia mężczyzn. Odparłam, że samotna kobieta w hotelu wypełnionym niemieckimi oficerami i dyplomatami z całego świata może budzić ciekawość, ale zeszłam do baru, by wypić drinka i poczekać na przyjaciółkę.

- W razie przesłuchania proszę w miarę możliwości mówić prawdę - uprzedzono w mnie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. - Jeśli Abwehra się zorientuje, że pani kłamie, nie ujdzie pani z życiem.

Nie chciałam okazać zdenerwowania, zapaliłam papierosa, potem drugiego i trzeciego.

Czekałam, ale Maxi nie przyszła. Spanikowałam. Co teraz? Zaciągnąć esesmana do łóżka?

Oszłomić go perfumami, którymi posmarowałam najbardziej intymne miejsca? Nie jestem szpiegiem. Nie chciałam się zadawać z ochroniarzem Hitlera.

Urwałam się pod pretekstem oczekiwania na telefon od narzeczonego. (Miałam przy sobie numer

telefonu szwedzkiego przedsiębiorcy, który współpracował z rządem brytyjskim i mógł w razie czego potwierdzić moją historię). Wychodząc, czułam na plecach spojrzenie esesmana. Dlaczego wybrał właśnie mnie? Śledzili mnie od początku? Zostanę aresztowana, zanim dojdę do pokoju?

Jeśli tak, Maxi jest w rękach gestapo. A może to pułapka? Zemsta za to, co stało się w Kairze? Nie martw się, drogi czytelniku, nie skończę pamiętnika, dopóki nie poznasz całej historii, ale teraz mam pilniejsze sprawy na głowie. Czy trafię do obozu koncentracyjnego?

Będę torturowana?

W pokoju zdjęłam rękawiczki i spróbowałam usunąć nikotynowe plamy zimną wodą, ale bez powodzenia. Jestem naznaczona. Obserwują mnie na każdym kroku, poczynając od recepcjonisty, który odnotowuje godzinę, o której zeszłam na śniadanie, po kierownika nocnej zmiany pukającego do moich drzwi z upomnieniem, że w czasie zaciemnienia niedokładnie zaciągnęłam zasłony i w oknie widać smuzkę światła. Teraz znalazłam się pod nadzorem tajnej policji.

Powinnam uciec z Berlina.

Zapisuję w dzienniku jedno słowo:

Niebezpieczeństwo.

Towarzyszy mi na każdym kroku. Przed hotelem dwóch faszystowskich żołnierzy bije chudego staruszka. Płaszcz wisi na nim jak na strachu na wróble, żółta gwiazda Dawida przesądza o jego losie. Idę dalej i zatykam nos chusteczką. Mam wrażenie, że miasto cuchnie.

Tęsknię za zapachem świeżego chleba, zamiast tego buchają mi w nos spaliny z przejeżdżających ciężarówek. Na szczęście nasyciłam chusteczkę perfumami Kleopatry. Mój talizman. Naprawdę działa. Wyjaśnię ci to później, drogi czytelniku.

Tymczasem modłę się, by i teraz zapewniły mi bezpieczeństwo.

Minęły dwa dni, potem trzy i cztery. Popadam w rutynę: wychodzę na długie spacerunki, przesiaduję w barze. Ani słowa od Maxi. Za każdym razem, gdy notuję coś w pamiętniku, zastanawiam się, czy to będzie mój ostatni wpis. Wierzyłam, że Maxi chce się ze mną pojednać, lecz najwyraźniej się przeliczyłam.

Wrócę więc do swojej historii.

Kair

23 sierpnia 1939 r.

Intensywne gorąco naszych ciał zdawało się topić metaliczną farbę, złote krople spływały mi po piersiach i udach, gdy wtargnął we mnie i uderzał z rytmiczną gwałtownością.

Wrażenie było piorunujące, jakbym się przeniosła do erotycznego rajku.

Nieruchome powietrze zdawało się przesycone wonią lubieżnych scen od niepamiętnych lat rozgrywających się w tych czterech ścianach, jednak wszystko przebiegało

zapach naszej żądzы zmieszany z zapachem perfum Kleopatry, którym przesiąkała wilgotna skotłowana pościel. Nurzaliśmy się w tym korzennym oparze, a zmysłowy aromat podsycił

podniecenie seksualne, w moim przypadku zintensyfikowane jeszcze przez kokainę. Nie miałam żadnych zahamowań, byłam niezmordowana w dążeniu do erotycznego spełnienia.

Liczyła się tylko chwila.

Ta chwila.

Czułam piznowy zapach Chucka, jego ciężar na sobie i twardość członka w sobie.

Przesunęłam się, by łatwiej we mnie wchodził. Przyjemność narastała stopniowo, falami.

Zeszywniałam w pełnym nadziei oczekiwaniu. Czy będę zdolna do orgazmu? Noce bez seksu wypełniało mi samobiczowanie. Obwinałam siebie za nudę, monotonię, przesyt. W

rzeczywistości - choć rumienię się ze wstydu, gdy piszę te słowa - miałam wiele okazji, by spostrzec, że kokaina osłabiła moją wrażliwość na bodźce erotyczne, tylko nie chciałam się do tego przyznać. Tymczasem dotyk Amerykanina zdjął ze mnie zły czar, wskrzesił, co utraciłam. Odnalazł esencję mojej rozkoszy, umiejętnym dotykiem doprowadził ją do wzrostu i rozkwitu. Czułam, jak pulsują mięśnie pochwy, wsysając w siebie jego palce. Byłam tak blisko szczytu, że zajęczałam w absolutnej frustracji, gdy wyrwał ze mnie rękę. Kolejne wrażenie przypominało muśnięcie piórkiem. Nawilżał wargi mojej cipki. Aksamitny, wilgotny, śliski dotyk. Wprowadził we mnie członek powoli, drobnymi kroczkami, jednak wkrótce zaczął uderzać biodrami z całej siły, a masywne cedrowe łóżko trzęsło się pod nami i podskakiwało, rytmicznie stukając o ścianę.

Wyczuł, jak bardzo pragnę rozładowania seksualnego napięcia i jak bliska jestem szczytowania, ale przekornie zmienił rytm, zwolnił i zmusił mnie do miotania się w spazmatycznych konwulsjach aż do momentu, gdy sam nie był w stanie już się powstrzymać.

Zacisnął szczęki z determinacją i ponowił posuwiste ruchy, zdecydowany zakończyć zmysłowy taniec dwóch ciał, który zamienił się w niepohamowaną pogoń za rozkoszą.

Intensywność orgazmu odebrała mi zdolność myślenia. Uwierzyłam, że znajdę siły, by egzorcyzmować z siebie demona.

Uzależnienie od kokainy.

Gdy wyslizgnął się ze mnie, zauważyłam, że ma na sobie prezerwatywę, śliską od moich soków. Uśmiechnęłam się. Pochwały godna ostrożność w mieście, w którym szerzą się wszelkie zarazy, zwłaszcza w dzielnicy domów z czerwoną latarnią. Nie odpoczywał długo, wkrótce jego ciekawskie palce znowu zawędrowały do mojej łechtaczki.

Nie wiem, ile godzin tak leżeliśmy, ocierając się o siebie, masując i pobudzając.

Zaznałam takiej seksualnej uczyty, z jakimi miałam do czynienia tylko na początku mojego pobytu w Kairze. Wtedy zaspokajało mnie dwóch mężczyzn, a teraz Amerykanin musiał mi sprostać w pojedynkę. Był jak niezawodna maszyna. Ssał, lizał, dotykał.

Nie zastanawiałam się, czy narkotyk zakłócił moją zdolność ocenienia jego jurności.

W północy wyobrażałam sobie, że leżę na pustyni pod palącym słońcem, a fale rozkoszy zalewają mnie ze wszystkich stron, równie oczywiste co fatamorgana na horyzoncie. A przecież zapytana o to wiedziałabym, że leżę w zmiętych prześcieradłach na łóżku w brudnym hoteliku, który nie był niczym więcej niż burdelem. (Chuck nie był w stanie czekać dłużej na zaspokojenie swojej żądz, a ja nie miałam ochoty paradować przez lobby hotelu

„Shepherd” w charakterze ożywionego złotego posągu). Nic nie było w stanie zepsuć radosnego uczucia wyzwolenia. Przyszła mi na myśl mała gazela, którą widziałam na pustyni w czasie automobilowej przejażdżki. Omal nie wpadła mi pod samochód. Zatrzymała się na poboczu, odwróciła zgrabną główkę i przypatrywała mi się z zaciekawieniem. Nie bała się, sprawiała wrażenie oswojonej.

Czułam się jak ta gazela. Mój nowy kochanek, amerykański pilot Chuck Dawn, rozwoził pocztę po całym Bliskim Wschodzie dla Imperial Airways. Powiedział, że nie stawia sobie innego celu niż spędzenie kolejnej nocy w ciepłym łóżku.

- Szukam przygody i zapomnienia - wyznał.

Nie zdradził, o czym stara się zapomnieć. O kobiecie? Wątpię. Żadna kobieta nie naznaczy mężczyzny tak głębokim smutkiem, zakorzenionym w jego psychice i wykraczającym poza sprawy seksu. Widziałam ból w jego oczach, mieniących się na przemian błękitem lub zielenią. Przypominał mi duszę pokutującą, bezskutecznie szukającą odpuszczenia win.

Czy będę jak gazela, która czmychnie w popłochu? A może będę zwlekać i pożre mnie szakal?

Ucichły odgłosy seksu, leżeliśmy wycieńczeni i zaspokojeni. Spranym do szarości ręcznikiem przeznaczonym najwyraźniej do ablucji po stosunku Chuck wytarł z moich piersi resztki złotej farby. Żartobliwie ugryzł moje sutki, a kiedy jęknęłam, zaczął je ssać i miętosić z zapalem.

Obok łóżka na podłodze leżała porzucona lotnicza kurtka. Z raptownym wzruszeniem przypominałam sobie, jak zarzucił mi ją wczoraj na ramiona, by osłonić przed nieżyczliwym wzrokiem Ramziego.

Niespodziewanie rozpoznałam znajomy zapach. Prawdziwa skóra - nie delikatna skórka wyprawiona na zamszową szmatkę i wyperfumowana bez umiaru, ale skóra pachnąca mężczyzną i przygodą. Kojarzyła mi się ze skórzaną rączką szpicruty lorda Marlowe'a.

Dlaczego prześladowało mnie pragnienie, by znowu poczuć pocałunki rzemienia na obnażonych pośladkach?

- Nigdy dotąd nie kochałem się z kobietą pomalowaną na złoto - stwierdził Chuck między kolejnymi łykami herbaty jaśminowej, która, jak nas zapewniono, była specjalnością tego burdelu.

Spod półprzymkniętych powiek obserwowałam jego rozbawioną twarz. Młoda służąca (a może prostytutka?) namydliła mnie wonną pianą, jej dotyk był delikatny i nieśmiały, bardzo erotyczny. Siedziałam na marmurowym obramowaniu wpuszczonej w podłogę wanny, mocząc stopy w letniej wodzie. Kobieta uciskała piąstkami moje uda, masaż usuwał z mięśni ból po intensywnej ekwilibryście wczorajszego tańca. Gdy sięgała ręką między moje uda, przechodził mnie dreszcz. Chciałam, by posunęła się ociupinę dalej. Zerknęłam na Chucka.

Wyraz jego twarzy wymownie świadczył, jak entuzjastycznie powita taki rozwój wypadków.

- A ja nie miałam dotąd przyjemności zobaczyć amerykańskiego lotnika w akcji.

Jesteśmy kwita, panie Dawn.

Patrzył zachłannie, jak dziewczyna mydli moje ciało różaną emulsją, a ja przywoływałam doznania minionej nocy, ale w kółko wracał obraz Chucka ssącego moją cipkę. To mnie podniecało. Dziewczyna dotykała moich piersi smukłymi brązowymi palcami, musiała więc zauważyć, że sutki stwardniały i wyprężyły się, jednak trudno było wyczytać emocje z jej pozbawionej wyrazu twarzy. Zastanawiałam się, dokąd mnie zaprowadzi kontynuowanie romansu z mężczyzną, o którym nic nie wiedziałam. Czy to zauroczenie również stanowi efekt obsesji na punkcie seksu? Pewnie nie wierzysz moim wątpliwościom, drogi czytelniku. Powołasz się teraz na początek historii z Ramzim, gdy bez oporów pozwoliłam się związać i uprawiałam seks z dwoma mężczyznami. Zapewniam, to była wyższa konieczność. W grę wchodziła cnota córki lady Palmer. I czy mogłam walczyć z przeznaczeniem? Przypominam, że wróżbita z Port Saidu przepowiedział mi związek z Egipcjaninem.

Poczułam nagły lęk przed wtargnięciem nieznajomego do mojego życia. Uwielbiałam okazywać pełne posłuszeństwo memu mężowi, stawać się jego seksualną niewolnicą, ale do lorda Marlowe'a miałam bezbrzeżne zaufanie i wiedziałam, że w ostatniej instancji to ja będę decydować, na jaką formę wiązania lub zadawania bólu się zgodzę. Nie czułam się zdolna do podobnej uległości wobec amerykańskiego lotnika. Wyczuwałam tylko, że nie przypomina pozbawionego zasad moralnych Ramziego, wiecznego poszukiwacza przyjemności. Chuck Dawn sprawiał wrażenie człowieka trochę nieokrzesanego, nadzwyczaj pewnego siebie, obeznanego z niebezpieczeństwem, a nawet bezczelnie mocującego się z losem. Nie da się go wodzić za nos, a jeszcze trudniej będzie o nim zapomnieć.

- Czy gdzieś ukrywa pani męża, o którym powinienem wiedzieć? - Zapewne słyszał

wiele plotek o rozwiązłości oficerskich żon, które bez skrupułów brały sobie kochanków.

- Był - wyjaśniłam krótko. - Zginął w katastrofie samochodowej.

- Przykro mi.

Skwitowałam jego współczucie skinieniem głowy i przekręciłam się, by łaziebna spłukała ze mnie mydło. Do kąpieli dodano środków zapachowych, których nie rozpoznawałam.

- Pewnie zdziwił pana widok Angielki tańczącej nago w nocnym klubie?

- W Kairze nic mnie nie dziwi. - Po czym dodał z prostotą: - Nie znam pani imienia.

- Proszę, mów do mnie Eve.

- Chciałbym zostać... Eve, ale zaraz wylatuję do Basry, a potem do Bombaju. Wrócę za kilka dni.

- Miałam zamiar wyjechać z Kairu. - Znowu się przekreśliłam, bo dziewczyna nacierała moje plecy i pośladki mleczkiem kokosowym, by nadać skórze aksamitną miękkość.

- Tak prędko? Dopiero się poznaliśmy.

- Ale właśnie zmieniałam zdanie.

- A co z Egipcjaninem? - Nachylił się, by mieć lepszy widok na różowe płatki sromu ukryte między udami.

To sprawiło mi przyjemność.

- Co z nim? - szepnęłam ochryple. Młoda łaziebna wcierała teraz słodko pachnący kwiatowy olejek w moje najbardziej intymne miejsca.

- Wydawał się niezadowolony, gdy wyszłaś z klubu w moim towarzystwie.

- Nie przejmuj się nim. Łączy nas tylko biznes.

- Rozumiem. To mi wystarczy.

Czyżbym usłyszała westchnienie ulgi w jego głosie?

- Naprawdę musisz wyjechać już dzisiaj?

- Chętnie bym został. - Spojrzał na zegarek. - Ale mój samolot jest zatankowany i gotowy do startu.

Zdażył mi wcześniej wyjaśnić, że od trzech lat pracuje dla brytyjskiej firmy kurierskiej, która przewozi pocztę i pasażerów z Londynu do Kairu, następnie do Basry w Iraku i dalej do Indii.

- Wcześniej chcę się upewnić, że bezpiecznie dotarłaś do hotelu.

- Potrafię zadbać o siebie.

- Nie wątpię.

Stał z rękami w kieszeniach, obserwując mnie z powątpiewaniem. Miał zmęczone, podsiniałe oczy. Uśmiechnęłam się na myśl o powodach tego zmęczenia. Po pierwszym orgazmie, który spadł na nas jak trzęsienie ziemi, kochaliśmy się jeszcze dwa razy. Chuck umył się szybko, zanim się obudziłam, ale zdażyłam wejść do łazienki i przyrzeć się wyraźnej muskulaturze jego klatki piersiowej. Moją

uwagę przykuł płaski brzuch o gładkiej jędrnej skórze, miałam ochotę wylizać go językiem. Wreszcie zerknęłam na długi członek, który tak niedawno sprawił mi tyle przyjemności. Chuck zauważył moje łakome spojrzenia.

Jestem pewna, że rzuciłby mnie znowu na skotłowane prześcieradła, gdyby tylko czas mu na to pozwolił.

Pomyślałam o oczekującym go długim locie i fiolce z kokainą ukrytej w wewnętrznej kieszeni mojej szaty. Została jeszcze szczypta. Akurat tyle, by nie odczuwał zmęczenia.

Idiotko, stracisz go, jeśli mu to zaproponujesz, ostrzegałam się w duchu.

Zapewniam, drogi czytelniku, zaczęło mi na nim zależeć. Nie wiem czemu, ale tak właśnie było. Ledwie go znałam, ale nie mogłam go popychać w pułapkę uzależnienia. Nie wiedział, co się roi w mojej głowie, jednak źle przyjął moją lapidarną deklarację niezależności.

- Pewnie nie chcesz być widziana w towarzystwie zwariowanego lotnika.

- Nie. - Wyzywająco zakołysałam biodrami. - Nie chcę zaszkodzić twojej reputacji.

- Nigdy nie lubiłem kobiet z twojej sfery, ale jak na angielską damulkę jesteś OK.

Nie sprostowałam. Pozwolę mu myśleć, że jestem angielską damulką. To nie ma znaczenia. Zrobiłam tylko jeden błąd. Powinnam była mu powiedzieć prawdę o moim związku z Ramzim, przez co nam obojemu zaoszczędziłabym kłopotów. Wiedziałam tylko, że chcę go znowu zobaczyć, leżeć w jego ramionach i zaznać tej szczególnej bliskości z drugim człowiekiem, której mi boleśnie brakowało. Dlaczego wybrałam Chucka? Prawda jest taka, drogi czytelniku, że w jakiś sposób przypominał mego zmarłego męża. Jego Lordowska Mość roztaczał taką samą aurę szorstkiego autorytetu, sprawowania kontroli nad sytuacją i odwagi mierzenia się z wyzwaniem losu. Tylko emocje zawsze trzymał w karchach, jak nową talię kart pieczołowicie zapakowaną i ukrytą w kieszonce na piersiach. Kiedy byliśmy sami, gra była dzika, zmysłowa i pełna fantazji. Lord Marlowe bez problemu przyznawał się do dużej różnicy wieku między nami i często podkreślał, że fakt, iż partnerka młodsza o trzydzieści lat nie ma zamiaru opuścić go dla mężczyzny bliższego jej wiekiem, jest dla niego źródłem satysfakcji. Mawiał, że jestem panią swojego losu i nie mogę obwiniać nikogo prócz siebie, jeśli nie czuję się szczęśliwa.

Miałabym go opuścić? Nigdy.

Zachęcał mnie nie tylko do spełniania erotycznych fantazji, ale szlifował mój umysł, wprowadził do mego świata książki i intelektualne dyskusje, nauczył rozumienia polityki, pogłębił mój światopogląd, aż w końcu lady Eve Marlove stała się jego największym dziełem.

Odwołuję się do historii mego małżeństwa, by wyjaśnić fascynację Chuckiem Dawnem, pragnienie, by znajomość z nim rozwinęła się w twórczy i dojrzały związek.

Nie mogłam wtedy przewidzieć, że wkrótce sprawy przybiorą tak dramatyczny obrót.

Tymczasem wyszłam z wanny, moje nagie ciało w świetle poranka połyskiwało wszystkimi odcieniami różu. Chuck patrzył jak zhipnotyzowany, gdy łaźnie mnie osuszała. Przyznaję, przemknęła mi myśl, jak przyjemnie by było, gdyby zaczęła mnie lizać i całować z wprawą ulicznicy i delikatnością młodej dziewczyny. Od czasu, gdy zobaczyłam Ramziego z Maxi i Lailą, nie przestawałam roić o seksualnych igraszkach w trójkacie -

jednak ten kaprys musiał poczekać na inną okazję.

Przekonałam Chucka, że wystarczy, jeśli wezwie dla mnie dorożkę, podałam dorożkarzowi nazwę hotelu i naciągnęłam kaptur na głowę. Kiedy ubiegłej nocy wchodziłam do „Klubu Kleopatry”, księżyc chował się za chmurami, jakby chronił gwiazdy przed zuchwałością i perwersją mego tańca. Teraz ruchliwe ulice Kairu zalewało jaskrawe i skwarne światło słoneczne. W głowie mi łomotało, trzęsłam się i pociłam, zaczęły się objawy głodu narkotycznego. Czułam się tak, jakby mnie pokąsały skorpiony, węże, wielkie mrówki i srebrzysto-czarne jaszczurki, mieszkańcy pustynnego świata. Choć ranek był taki promienny, dla mnie wkrótce zapadnie noc. Ciało doświadczy bolesnych tortur, a psyche znajdzie się w brzydkich i ciemnych miejscach, których jeszcze nie potrafiłam sobie wyobrazić.

Następne dni przetrwałam w melancholijnym oszołomieniu, a świat wokół mnie rozpadł się na czynniki pierwsze. Walczyłam z nałogiem, wyrzuciłam kokainę z puderniczki do umywalki i splukałam wodą. Starłam się ignorować mdłości, migreny i bezsenność.

Wyobrażałam sobie, że wszyscy naokoło znają mój brudny sekret. Przemykałam przez hotelowe lobby jak duch i zawsze wydawało mi się, że słyszę jakieś szepty za swymi plecami.

W końcu popadłam w taką paranoję, że przestałam wychodzić z pokoju.

Po tygodniu znoszenia niewyobrażalnej męki na skutek odstawienia narkotyku, dostałam telegram od Chucka. Otwierałam go z biciem serca i drzeniem rąk. Szczęśliwy uśmiech starł wspomnienie tortur, które sobie zadałam. Wraca do Kairu. Jeszcze nie wiadomo, kiedy - wszystko zależy od monsunowych deszczy w Indiach - ale już wkrótce.

Chciałabym móc powiedzieć, że nałóg umarł śmiercią naturalną po tej wiadomości, ale to byłoby kłamstwo. Nie należałam do tych szczęściarzy, którzy są w stanie odstawić narkotyki mocą samej siły woli. Czekano na mnie jeszcze wiele problemów psychologicznych, a każdy z nich mógł mnie doprowadzić do załamania nerwowego. Na tę część mojej historii przyjdzie jeszcze pora, tymczasem powiem tylko, że nadal słyszałam głosy i miałam problemy z koncentracją. Byłam wciąż podenerwowana, ale wiadomość od mojego lotnika upewniła mnie w postanowieniu, że muszę do końca przeprowadzić odwyk. Mimo to nadal przechowywałam małą kasetkę z narkotykiem. Trudno jest zwalczyć nałóg, drogi czytelniku.

Na szczęście Chuck Dawn dał mi motywację i nadzieję. Jego obecność w moim życiu podniosła mnie na duchu, wręcz uszczęśliwiła, i nie mogłam się doczekać kolejnego spotkania.

Zaakceptowałam fakt, że narkotyki utrudniają mi codzienne funkcjonowanie, że nie daje przyjemności i zmagalam się ciężko, by prowadzić normalną egzystencję. Starłam się na nowo wprowadzić do

swojego życia harmonię i równowagę umysłu i ciała. Odnajdowałam proste przyjemności w delektowaniu się filiżanką gorącej miętowej herbaty, zwiedzaniu piramid, przejażdżkach po pustyni, w czasie których owiewał mnie ciepły pustynny wiatr, ten sam, który wprawiał niegdyś w ruch wachlarze starożytnych królowych. Znajdowałam zmysłową przyjemność we wcieraniu perfum Kleopatry w rowek między piersiami i wdychaniu ich stymulującego, wyrazistego zapachu. Miałam trzeźwy umysł i ciało tryskające kobiecością. Nie mogłam się doczekać powrotu kochanka i chwili, gdy przycisnę nagi biust do jego szerokiej piersi, a on wejdzie we mnie, gotowy na zaspokojenie każdego mojego kaprysu i na wspólną dziką ekstazę.

A potem Ramzi znowu pojawił się w moim życiu.

I zaczęło się zstępowanie do piekła.

13

Spacerowałam po Muski, głównej ulicy kairskiej starówki, kupując drogocenne kobierce i inne przedmioty zbytku do mojego domu w Coventry. Pewnego dnia powrócę do naszej samotni, gdzie będę mogła w spokoju wspominać lorda Marlowe'a i prosić go o przebaczenie za mój lekkomyślny flirt z Egipcjaninem i błogosławieństwo na romans z amerykańskim lotnikiem, gdy usłyszałam nad uchem znajomy głos:

- Chwała niech będzie Allahowi. Znalazłem moją angielską różę. Samą.

Ramzi. Ręce na biodrach, biały kaftan, niebieski turban na głowie. Pojawił się przede mną zniecka, jakby zamierzał mnie porwać na latającym dywanie.

- Odejdź, Ramzi. - Odwróciłam się plecami, udając zainteresowanie poduszkami wyszywanymi czerwonymi i fioletowymi jedwabnymi nićmi. - Dostałeś, co chciałeś. Nie będę ci przeszkadzała w przejściu „Klubu Kleopatry”.

- Nie dbam o klub. To pomysł Laili. - Kurczowo złapał mnie za rękę. - To ciebie pragnę. Kocham cię.

- Co mężczyzna taki jak ty może wiedzieć o miłości? - Nie uwierzyłam mu. Zawsze kpił z tego uczucia. - Nigdy nie wpuściłeś do swego serca żadnej kobiety.

- To prawda, ale wszystko się zmieniło, gdy cię poznałem. Jesteś taka piękna. Piękne są twoje piersi, jędrny tyłeczek, ciało spragnione mojego kutasa...

- Mówisz o seksie, Ramzi, nie o miłości. To dwie różne rzeczy. Lubisz kobiety, wszystkie kobiety. I ja tego nie zmienię.

- Wolą Allaha jest, że mężczyzna oswojony przez jedną kobietę pozostaje drapieżną bestią na smyczy.

- Nie mam nastroju na twoje barwne przypowieści, Ramzi. Raz mnie nimi uwiodłeś.

Teraz już nie działają. Puść.

Zamiast tego objął mnie w talii i zbliżył usta do mojego ucha. Zalała mnie słodka woń haszyszu.

- Musisz mnie wysłuchać.

- Gdzie Maxi? - przerwałam, nie chcąc wysłuchiwać jego żalonych opowieści. - Czy nie czeka na ciebie w krypcie?

- Skończyłem z nią, przysięgam.

- Kłamiesz. Zabiera cię z sobą do Paryża jako żywy eksponat na wernisaż.

- Na Allaha, mówię prawdę. - Trzymał mnie w żelaznym uchwycie.

- Ramzi...

- Chodź ze mną. Udowodnię ci.

- Maxi nic dla mnie nie znaczy! - wrzeszczał Ramzi histerycznie, zrywając z suszarki mokre jeszcze odbitki zdjęć i wrzucając je do otwartego kamiennego sarkofagu.

Zadrzałam. Wielokrotnie ocierałam się łonem o płyty z czerwonego granitu, jak rzeźbiarz polerujący lśniące powierzchnie, i czekałam na znajomy świst bata, plamiąc swymi sokami powierzchnię porożytą hieroglifami.

Teraz trzęsłam się ze strachu.

Zanim zdołałam go powstrzymać, Ramzi zapalił zapałkę i wrzucił na stos świeżych odbitek, które Maxi zostawiła w ciemni do wyschnięcia. Nie wierzyłam własnym oczom.

Płomienie pochłaniały artystyczne wizerunki przystojnego Egipcjanina, arcydzieła sztuki fotograficznej. Chciałam się wycofać, uciec po prostu, ale w tym momencie ze starożytnej trumny wystrzelił strumień iskiei i wylądował tuż u moich stóp.

- Zwariowałeś! - Zaczęłam zadeptywać płonące strzępy papieru fotograficznego. Nie miałam odwagi zbliżyć się do sarkofagu. Buzował w nim ogień. Czyżby Ramzi zamierzał

odstawić stary numer z udawanym zamachem na moje życie? Chce się odwołać do magii perfum? Czy uważa mnie za idiotkę, która nie przejrzy jego prawdziwych motywów, czyli próżności i egoistycznej żądzy?

Byłam emocjonalnie wyczerpana, nie miałam siły na teatralne sceny - i popełniłam błąd. Zajęta własnymi obsesjami nie dostrzegłam wściekłości, udręki i chaosu, w których pogrążona była dusza Egipcjanina. Towarzysząc mu do podziemnej krypty w „Klubie Kleopatry”, podsyciłam jego szaleńcze urojenia i niepohamowaną furję. Może wiedział, że Maxi zrobiła więcej odbitek, a teraz odgrywał dramę na mój użytek. Nie ustąpiłam.

- Nie wierzę ci - powiedziałam. - Wyjeżdżam z Kairu. Bez ciebie.

- Zniszczę negatywy i udowodnię ci, że mówię prawdę. - Zapalił zapałkę i trzymał ją nad dużymi negatywami z nitrocelulozy. Negatywy, czarne i lśniące, połyskiwały w migotliwym świetle. Na każdym widoczne było nagie męskie ciało, ale kolory były odwrócone - biel zastępowała czerń, a czerń wkraczała na miejsce zajmowane przez światło.

Poraziło mnie nieoczekiwane odkrycie. Jak mogłam nie zauważyć cienia, w którym pogrążona była dusza Ramziego?

W mrocznej, wilgotnej krypcie zrobiło się straszliwie duszno. Złapałam się za gardło.

Płomienie pożerały gruby papier fotograficzny z taką łatwością, jakby to była cienka bibułka.

Intensywnie pomarańczowe smuzki przebijały się przez gęsty czarny dym. Ogień unicestwiał zdjęcia w kamiennym sarkofagu, w którym przed wiekami spał snem wiecznym jakiś faraon.

Tłące się skrawki unosiły się w powietrzu, tworząc dziwne desenie na czarnym tle.

- Ty głupcze! - rozległ się kobiecy głos za nami. - Czyś ty oszalał?

Odwróciłam się i zobaczyłam Maxi zbiegającą po schodach. Wytrąciła Ramziemmu zapałkę z ręki. Jej głos był ochrypły z nadmiaru emocji, a w oczach dostrzegłam nieklamane przerażenie. Ogień rozgorzał jeszcze intensywniej, jakby chciał polizać jej twarz palącym jęzorem. - Zabijesz nas wszystkich z powodu swojej chorej ambicji wyruchania każdej spotkanej kobiety!

- Zostaw nas samych, Maxi - warknął Ramzi, zapalając kolejną zapałkę.

- Jeśli będziesz tak szalony i podpalisz te negatywy - ostrzegła - umrzemy wszyscy...

„Jeśli będziesz tak szalony i podpalisz te negatywy, umrzemy wszyscy”.

Słowa Maxi dźwięczały mi w uszach, gdy oparłam się o ścianę, bo nie byłam w stanie ustać o własnych siłach. W głowie mi się kręciło, odrażający zapach dymu czynił mnie dziwnie drażliwą. Maxi i Ramzi szamotali się. Maxi krzyczała głośno, że palące się negatywy wydziela opary trujących gazów, a ich wdychanie spowoduje naszą śmierć. Próbowałam złapać Ramziego za ramię, ale moja ręka przeszła przez niego na wylot, jak to się zdarza na filmach z duchami, które nie są w stanie pojąć, że już się zdematerializowały. Ja jednak nie byłam duchem. Racjonalna część mego umysłu przekonywała mnie, że to iluzja wywołana mdłym światłem, kłębamii dymu i emocjonalnym rozdygotaniem.

Zamarłam. Najważniejsze to nie panikować. Trzeba się zastanowić, co dalej.

Odruchowo podniosłam rękę, by obetrzeć pot z czoła, ale nic nie poczułam. Usiłowałam coś powiedzieć, ale nie mogłam wydobyć głosu. Wargi miałam suche, na języku nie czułam żadnego smaku. Jakby mi odjęło wszystkie zmysły.

Oprócz wężu.

Obezwładniała mnie wspaniała woń. Pełna energii, korzenna esencja z ciepłymi, egzotycznymi nutami połączona z dymami kadzidełek. Doświadczylam podobnych wrażeń, gdy Ramzi odegrał swoją wielką scenę, udając, że chce mnie dźgnąć nożem. Wtedy też miałam zawroty głowy, poczułam, że jestem bezcielesna i znajduję się poza czasem i przestrzenią, znikły wszelkie głosy i widoki, pozostał jedynie wyrazisty i niepowtarzalny zapach. Nie miałam odwagi łączyć tych dwóch epizodów, ale z pewnością miały wspólne ogniwo.

Natarłam się perfumami Kleopatry i wtedy, i teraz.

O tym nie chciałam myśleć. Starłam się natężyć słuch i usłyszeć awanturę między Maxi a Ramzim, wysilałam wzrok, by zobaczyć, jak z sobą walczą, ale ich głosy znikły, a widok się zatarł.

Nigdy nie zapomnę tego dziwnego, niepowtarzalnego zapachu docierającego do najgłębszych zakamarków mego mózgu, jakby mityczne zaklęcie przejmowało władzę nad moim umysłem. Nie będę próbowała tłumaczyć czegoś, czego nie da się objąć rozumem, wszakże wielokrotnie próbowałam się zastanawiać nad tym, co się ze mną działo, szukając wytłumaczeń zarówno naukowych, jak i fantastycznych, i doszłam do takiej oto konkluzji: tak jak negatywy zawierają obraz ukryty w różnych natężeniach bieli i czerni, tak w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia energia duchowa manipulowała intensywnością padającego na mnie oświetlenia w taki oto sposób, że moje ciało stawało się przezroczyste, niewidzialne.

Nie miałam pojęcia, co by się stało, gdyby czekała mnie pewna śmierć, a nie tylko potencjalne niebezpieczeństwo. Na to jeszcze przyjdzie pora, drogi czytelniku, i bardzo cię proszę, byś nie przeskakiwał teraz do ostatnich stron (o ile z Bożą pomocą spiszę ten pamiętnik do końca), ale towarzyszył mi w mojej podróży. Tyle jeszcze mam ci do powiedzenia. Zaczynałam nowy etap życia i chcę go opisać, zanim stracę odwagę.

Otoczyły mnie kłęby czarnego dymu, wsysała dławiąca ciemność, zalewał zimny strumień panicznego strachu. Trzęsłam się, aż mi zęby szczękały. I nagle wszystko się zatrzymało. Znienacka opuścił mnie niepokój. Dotknęłam palcami ust, policzków.

Oddychałam nierówno, czułam posmak sadzy. Obraz wracał wolniej, na początku światło i cienie, potem napłynął kolor, zamazane przedmioty odzyskały kontury, stały się trójwymiarowe. Wreszcie dotarło do mnie, że Ramzi przeklina po arabsku...

Wyciągnął zza paska zakrzywiony sztylet i jednym ruchem przeciął śliski celuloid, a Maxi wrzasnęła, jakby ugodził ją w serce. Waliła w niego pięściami. Nie poruszyłam się.

Mogłam myśleć tylko o tym, że wróciłam. Znowu widzę, słyszę, dotykam, mówię...

Kiedy Maxi odkryła czarne płyty popiołu w sarkofagu i uświadomiła sobie, że tylko tyle zostało z jej fotografii, zalała się łzami. Nigdy nie widziałam jej w takiej rozpacz.

Starłam się ją pocieszyć, ale mnie odepchnęła. Coś się w niej zmieniło. Widziałam to po oczach,

jakże dzikich i pełnych nienawiści. Plunęła na mnie i parsknęła, że natychmiast wyjeżdża z Kairu. Dzwoniono do niej z biura Goebbelsa i wezwano do powrotu do Berlina, gdzie czekają na nią nowe zlecenia. Wcześniej zamierzała zabrać Ramziego do Paryża, Londynu i Nowego Jorku, wytknęła nam jadowicie, a teraz nie chce widzieć ani mnie, ani jego już nigdy w życiu.

Wybiegłam z krypty, zanim ktokolwiek mógł mnie powstrzymać. Nie z własnej woli znalazłam się w samym środku prywatnej wojny między Ramzim i Maxi, nie będę brać w niej udziału, nie zostanę jej ofiarą. Jednak nie mogłam zapomnieć o tym, co się stało.

Niebezpieczeństwo minęło, zapach do mnie przywarł.

Byłam jak kobieta, po której zostaje woń perfum.

Kobieta o imieniu Kleopatra.

Po nagłym wyjeździe Maxi Ramzi nie dawał mi spokoju. Śledził mnie, chodził za mną, zawsze w towarzystwie wiernego Mahmuda. Zaskoczyło mnie, że już go nie pożądam, jakby jego deklaracje miłości unicestwiły we mnie jakąkolwiek emocjonalną reakcję.

Martwiłam się, że nie potrafię już kochać. Wkrótce miałam się przekonać, jak bardzo bezpodstawne były te obawy.

Mimo chłodu, z którym przyjmowałam jego wyznania, Ramzi nie przestawał przy każdej okazji wygłaszać kwiecistych oracji, wyraźnie zresztą wyuczonych, za czym kryć się mogła Laila. Kiedy wreszcie przekonałam go, że nie zmieniałam zdania i za kilka dni wyjeżdżam z Kairu, przestraszył się, ale sardoniczne zmarszczenie brwi nadało mu nieco szatański wyraz i zaczęłam się na serio obawiać, do czego jeszcze się posunie, by mnie zatrzymać.

To były dziwne dni wypełnione samotnością i niepokojem. Znowu sięgnęłam po kokainę. Nie miałam innego wyboru. Widok Ramziego wszędzie, gdzie się pojawiałam, wytrącał mnie z równowagi, nadwątlął odwagę i podważał wiarę, że amerykański lotnik do mnie wróci. Dlaczego Chuck Dawn stał się tak ważną postacią w moim życiu?

Przyznaję, uważałam, że jest diabelnie atrakcyjny z tymi swoimi szerokimi barami i wąskimi biodrami. Fantazjowałam o sznurze niebieskich koralu i członku Chucka z dużą, lśniąca główką, po czym sięgałam po kokainę, by stłumić ból spowodowany samotnością.

Wiedziałam, że ożywienie wywołane przez biały proszek nie stanowi substytutu dla radosnego podniecenia i płomiennego pożądania, których doświadczałam w towarzystwie amerykańskiego lotnika, jednak nie mogłam sobie odmówić kolejnych dawek. Nie potrafiłam też dostrzec, że tęsknię nie tyle za seksem, ile za poczuciem bliskości z mężczyzną, który mnie pragnie, ale nie zamierza kontrolować jak Ramzi.

To właśnie odnajdywałam w towarzystwie Chucka Dawna. A jednocześnie nie wiedziałam o nim nic. Wystarczało mi, że patrzy na mnie z roziskrzonymi oczami, ostro, uważnie. Przenikał zasłonę, którą osłaniałam swoją duszę. On też nie miał pojęcia, kto kryje się pod arystokratycznymi pozami i

obyciem. Zastanawiałam się, czy potrafi pod iluzją, którą się otaczałam, dostrzec żywą kobietę, jak robił to lord Marlowe. Uwierzyłam, że może nas połączyć ta sama najgłębsza więź dusz. I czekałam.

Dni mijały jeden za drugim. Nie byłam w stanie jeść. Nie spałam. Nosiło mnie.

Narkotyk podsycił we mnie niepokój i żądzę. Fantazjowałam o seksie z Chuckiem, biorącym mnie od tyłu, na czworakach, brutalnie.

Co gorsza, Ramzi miał obsesję na punkcie zatrzymania mnie w Kairze. Im bardziej nalegał, tym bardziej zamykałam się w sobie. Przestałam czuć cokolwiek. Byłam jak odrętwiała. Nosiłam beże, khaki, zgniłe brązy, kolory, których nienawidziłam, kompletnie aseksualne, a wszystko po to, by zamaskować wewnętrzny chaos. Postrzegałam własne życie jak impresjonistyczny obraz składający się z kropek i plamek, które nie tworzą jednego spójnego wizerunku. Nie dostrzegałam, że plamki wypełnione były białym proszkiem, a malowidło z wolna rozpływało się w nicość.

Dopiero teraz, dokonując retrospekcji, stwierdzam, że mój upadek był częścią większego planu - takiego, nad którym człowiek nie ma żadnej kontroli. To objawienie przenika mgłą zakrywającą moją pamięć i przepelnia mnie wiarą, że powrót do owych czasów dekadentckiego zepsucia ma głęboki sens, niezależnie od tego, czy czeka mnie szczęśliwe życie, gdy minie szaleństwo wojny, czy też nieuchronnie zbliżam się do śmierci.

Czekam więc w Berlinie na spotkanie z kobietą, której nie mogę nazywać swoją przyjaciółką, i zamierzam wykorzystać ten czas na opisanie wszystkiego, aż do samego końca. Chuck Dawn. Obudził we mnie uczucia, których nie zaznałam od czasu, gdy Jego Lordowska Mość przełożył mnie przez kolano i kochającą ręką wymierzył klapsy na gołe pośladki. Amerykański lotnik wrócił do mnie i właśnie te dwa dni i dwie noce zaraz ci opiszę.

Nie zawiedziesz się, to ci mogę przyrzec.

14

Trzymaliśmy się kurczowo, obmacywaliśmy jak ślepcy, serca nam łomotały. Ubrania rozrzucone w nieładzie, bluzka na podłodze, spodnie spuszczone do kolan, stanik zwisający z lusterka. Oparłam stopy o otwarty dach samochodu, model Flying Twenty Standard z 1937

roku, wierzgnęłam nogą i zrzuciłam pantofelek, drugi leżał już w piasku przy asfalcie.

Prawie nie odzywaliśmy się do siebie, zajęci zrywaniem z siebie odzieży. W

popołudniowym upale skóra lśniła od potu. Chuck bawił się moimi brodawkami, podziwiając różowe otoczki, ciągnął je i rolował w palcach, a ja jęczałam z rozkoszy. Moje chrapliwe gruchania roznosiły się daleko po pustyni. Suche powietrze nie sprzyjało strunom głosowym, kaszlałam i dławiałam się, jakby ktoś mnie karał za nadmierne folgowanie sobie. Nie powinnam była otwierać dachu, bo do środka nasypało się piasku, jednak możliwość znalezienia się w ramionach mojego Amerykanina, wystawienia się na jego ciekawskie spojrzenia i wszędobylskie palce, warta była każdej niewygody.

Wiłam się z rozkoszy na miękkim siedzeniu koloru czerwonego wina, a on głaskał

moją cipkę i kreślił palcem kółeczka na skórze. Błagałam go, by mnie wziął tu i teraz, na środku pustyni, choć nie spodziewałam się, że posłucha. Nie doceniłam go. Zamruczał pod nosem, że w Londynie oberwie mu się za spóźnienie, ale znajdzie jakiś wykręt, i przysunął się do mnie. Za skarby świata mu tego nie powiem, ale wyglądał niesamowicie seksownie z kosmykiem jasnobrązowych włosów opadającym na czoło i brwiami zmarszczonymi z frustracji. Zerwał z siebie białą koszulę tak szybko, że nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej, gdy rozpiął rozporek i - zanim miałam okazję mu się dokładniej przyjrzeć - wśliznął się we mnie. Zapiszczałam z zachwytu, unosząc biodra.

Posuwał mnie bez wytchnienia, równo i energicznie, a ja zastanawiałam się, czy to właśnie miała na myśli Standard Motor Company, gdy obiecywała swoim klientom niezapomnianą jazdę. Wygięłam się w łuk i wydałam z siebie coś pośredniego między słowami a miauczeniem. Zrozumiał mnie. Teraz. Chciałam szczytować. Byłam arogancka, wiem, ale zamierzałam dostać to, czego chciałam, i nie będę przeproszać za swoją hucpę.

Tylko chrząknął, ale ogień w jego oczach powiedział mi wszystko. Przyspieszył, a ja uniosłam biodra jeszcze wyżej i odpowiadałam na każde pchnięcie, mięśnie pochwy zacisnęły się mocno wokół jego członka i dłużej nie mogłam powstrzymać konwulsji. Wspięłam się na taki szczyt, jakiego wcześniej nie znałam, a kolejne fale rozkoszy pozwoliły mi zapomnieć, że pod czujnym okiem sfinksa kocham się z mężczyzną, o którym nic nie wiem.

Z radością odkrywałam w nim dzikość i nieujarzmioną siłę, która kazała mu brać mnie szybciej, głębiej i mocniej. Mogłabym tak całymi godzinami, ale Chuck był niecierpliwy.

Stracił samokontrolę i kochał się ze mną jak automat, który działa na autopilocie, aż wreszcie ejakulował z krzykiem. Jego pierś pokryta była potem i warstewką pustynnego pyłu. Mój orgazm jeszcze trwał. Oddychałam ciężko, cipka pulsowała, wysyłając fale przyjemności zalewające całe ciało. Byliśmy zamknięci w naszym wewnętrznym świecie, płonęliśmy w delirycznej żądzy i wcale nas nie powstrzymało, że w każdej chwili mogli się tu pojawić ludzie. Nawet mój mąż nie zdecydowałby się na tak ryzykowną przygodę.

Romantyczne interludium, które nadało nowe znaczenie słowu „orgazm”, miało miejsce przy drodze łączącej Kair z piramidami. Uparłam się, że będę pilotować Chucka, jako że wielokrotnie przemierzyłam tę trasę. Szofer z hotelu „Shepherd” podstawił samochód pod tylne wyjście. Nie miałam ochoty przeciskać się wśród brytyjskich oficerów, nerwowo krążących w głównym lobby i zdolnych do rozmowy jedynie na temat niemieckiej armii, która przekroczyła granice Polski. Nie chciałam, by ktokolwiek zauważył, że wychodzę w towarzystwie Chucka Dawna. Ktokolwiek - a tak naprawdę Ramzi i Laila.

Dzień był piękny, pędziliśmy potężną maszyną z sześciocyndrowym silnikiem i wzmocnionym przednim zawieszeniem, zdolną do rozwijania zawrotnej prędkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę. (Jestem obeznana z tym technicznym żargonem, gdyż identycznym modelem jeździł lord Marlowe. Auta wyrabiano w fabryce w Coventry, tym uroczym mieście, pod którym mieliśmy naszą

wiejską posiadłość).

Chuck usiadł za kierownicą. Widziałam, jaką przyjemność sprawia mu prowadzenie.

Komentował nawet, jak wspaniale samochód trzyma się drogi i jakie ma rewelacyjne przyśpieszenie. Z przyjemnością patrzyłam, jak napinają się mięśnie jego przedramion, gdy zmienia biegi. Odruchowo oblizałam wargi. zaproponował, że możemy się zatrzymać, jeśli jestem spragniona.

- Jestem głodna - odrzekłam, wymownie rozpinając górne guziczki bluzki.

Przypomniałam mu, że mamy w bagażniku kosz z herbatą i kanapkami z hotelowej kuchni i możemy się zatrzymać na piknik w cieniu Wielkich Piramid. Oblizałam palec, nie spuszczać z Chucka wzroku. Zaczął się kręcić niespokojnie, a na czole wystąpiły mu krople potu. Poczulałam się jak młoda dziewczyna na sekretnej randce.

Mijaliśmy wioski z willami stojącymi w cieniu rozłożystych palm i otoczonymi ogrodami pełnymi kwiatów. Przed „Mena House Hotel” w Gizie musieliśmy zwolnić z uwagi na tłumy turystów oczekujących na przewodników, by pod ich opieką odbyć wycieczki do piramid i sfinksa, siedząc okrakiem na grzbiecie znudzonych wielbłądów.

Pomachałam do lady Palmer i jej córki Flavii, które wypatrzyłam w kolejce, ale się nie zatrzymaliśmy. Nie widziałam ich od czasu Port Saidu, choć było mi wiadomo, że zatrzymały się w Kairze po drodze do Bombaju. Dostrzegłam Flavię, gdy pewnego wieczoru usiłowała wejść do „Klubu Kleopatry”, i poleciłam Maurom odprawić ją z kwitkiem. Zrobiłam to w równej mierze dla jej dobra, jak własnego. Nie chciałam, by wtykała nos w moje sprawy i roznosiła plotki po mieście, ale też chciałam ją uchronić przed wpadnięciem w sieci Ramziego. Mimo pozorów rozwiązłości, wynikłych raczej z naiwnego zaciekawienia zakazanymi rejonami niż faktycznych inklinacji, była to przyzwoita dziewczyna i z uwagi na jej matkę poczuwałam się do odpowiedzialności za jej los.

Nagle przypomniałam sobie nasze ostatnie spotkanie i naszły mnie smutne myśli.

Tego dnia świat moich fantazji zderzył się z rzeczywistością, a ja odesłałam młodą Żydówkę na zatracenie. Nadal usiłowałam przekonać samą siebie, że owego dnia nie miałam szansy jej pomóc. Zarazem rodzi się pytanie, czy jestem neurotyczką, gdyż wciąż wracam do tej historii? A może opowieści Maxi o życiu w Niemczech pod hitlerowskim reżimem uświadomiły mi, jaka przepaść dzieli mój wytworny świat uprzywilejowanych ludzi od świata nietolerancji i dyktatury?

Podśluchałam też fragmenty rozmów w hotelowym lobby o bombardowaniu Warszawy i Krakowa przez niemieckie samoloty i przełamaniu polskiej obrony w ciągu kilku godzin. Myślę, że zimny dreszcz, który odczułam, był przeczuciem przyszłych wydarzeń.

Nieuniknione koło losu.

Chuck zapytał (czyżby z nutką zazdrości?) komu macham, więc wyjaśniłam, że lady Palmer jest moją starą znajomą. Zasugerowałam także, że tłuczenie się na wielbłądach pod piramidą nie jest najlepszym pomysłem. Wymownie położyłam mu dłoń na udzie. Dodał gazu i znaleźliśmy się na

drodze prowadzącej do Wielkich Piramid.

W pobliżu monumentalnych grobowców faraonów, ale w bezpiecznej odległości od turystów, rozbiliśmy czerwony namiot, który chronił nas przed palącym słońcem. Pod plandeką było chłodniej, choć słoneczne promienie, przenikające przez cienki materiał, skąpały wnętrze w czerwonej poświacie. Wyjęłam termosy z herbatą i mlekiem, zagryzaliśmy herbatnikami i rozmawialiśmy, jak robią to nieznajomi, o pogodzie, zaletach i wadach Kairu, polityce światowej i prawdziwej sile niemieckiej armii. Jednak wkrótce ulegliśmy nastrojowi.

Nie musiałam pytać, co myśli o moich perfumach, gdyż nachylił się nade mną i z upodobaniem wciągał do nozdrzy ich zapach. Znajomy aromat docierał do mnie ciepłą falą, gdy tylko rozchyliłam uda. (Przed wyjazdem wtarłam pachnidło w pachwiny). Wierzyłam, że perfumy Kleopatry stanowią potężny afrodyzjak, wchłaniają moje naturalne zapachy i czynią je jeszcze bardziej prowokacyjnymi i ponętnymi. Zamierzałam to wypróbować, gdy tylko ruszymy w drogę powrotną.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli otworzymy dach? - zaproponowałam. - Jest strasznie duszno.

- Zauważyłem. - Spojrzał na moje piersi i, przysięgam, samym spojrzeniem spowodował, że brodawki mi stanęły. Przekręcił pokręteł, a gdy dach nad naszymi głowami odsłonił niebo, rozpięłam bluzkę i zsunęłam ją z ramion...

W ramionach Amerykanina czułam się całkowicie bezpieczna. Ostatni raz doświadczyłam tego uczucia absolutnej harmonii, gdy lord Marlowe uściskał mnie przed moim wyjazdem do Coventry i czule wymierzył kilka klapsów. Może dziwisz się, dlaczego często piszę o Chucku per Amerykanin, skoro sama urodziłam się w Stanach. Gdy Ramziego zwę Egipcjaninem, jest to zrozumiałe, obcość, egzotyka, ale tu? Powiem tylko tyle: musiałam zerwać związki ze swoim jankeskim dziedzictwem, gdy przed laty opuściłam Nowy Jork, by szukać szczęścia na szerokim świecie. Nie mam tam nikogo, komu by na mnie zależało. To boli, ale udało mi się skutecznie zablokować wspomnienia tej dziewczynki, która tańczyła na schodach przeciwpożarowych, choć teraz widzę, jak łatwo byłoby przywołać je znowu.

Czasem miałam ochotę pojechać do Stanów i odwiedzić moją matkę, ale z powodów, których na razie nie ujawnię, byłoby to nazbyt bolesne, a nawet niebezpieczne.

Chuck opowiadał o swoich przygodach, powietrznym cyrku i poczcie lotniczej, a ja utwierdzałam się w przekonaniu, że powinnam zabrać się z nim do Londynu. Nie robiłam sobie złudzeń. Amerykanin był niepoprawnym narwańcem, lubił ostry seks i zmysłowe kobiety. Nie wiedział o mnie nic, poza tym, że na imię mi Eve i jestem Angielką obdarzoną apetytem na seks i mężczyzn. Tak było prościej, tym bardziej że nadal brałam. Mała fiolka kokainy tkwiła ukryta w kieszeni spodni. Jednak nie miałam ochoty po nią sięgnąć. Byłam zbyt szczęśliwa.

Rozmawialiśmy szczerze o najbardziej intymnych sprawach, jak to bywa między ludźmi, których ścieżki krzyżują się niespodziewanie. Poczucie braterstwa owinęło nas jak ciepły kokon, opowiadaliśmy sobie o takich rzeczach, do jakich nie przyznalibyśmy się najlepszym przyjaciołom. Wyczułam, że wchodzimy na grząski grunt, gdy zapytałam Chucka, czy jego rodzina nie martwi się o niego, gdy tak lata po całym świecie. Przez ponuro zaciśnięte usta wybąkał, że to z powodu brata

opuścił dom.

- Pokłóciliście się o kobietę? - spytałam.

Zacisnął pięści i nie odezwał się ani słowem, a potem szybko zmienił temat i zapytał

mnie o mojego zmarłego męża. Opowiedziałam mu o miesiącu miodowym spędzonym tutaj, w Kairze, i o gościnie, której nam udzieliła ekipa archeologów. Nie wspomniałam jednak o tym, że poznaliśmy się w berlińskim nocnym lokalu. Zdziwiony dopytywał, dlaczego Anglik przywiózł młodą żonę właśnie do Egiptu, więc rozwodziłam się o mojej fascynacji egiptologią i upodobaniem męża do gier erotycznych, które wywołałyby zgorszenie w kręgu jego przyjaciół.

- Jakich gier? - dopytywał.

- Zmysłowych i odważnych - wymruczałam obiecująco.

- Na przykład?

- Czy wiesz, ile rozkoszy może dać szpicruta opadająca na gołe pośladki, jeśli znajdzie się w troskliwych rękach mistrza?

- Nie. Powiedz więcej.

- Mój mąż chłostał mnie batem albo ratanową trzcinką, cieńszą niż ta, której używa się w brytyjskich szkołach z internatem do wymierzania kary. - Sama myśl o naszych ulubionych zabawkach wywoływała miłe łaskotanie skóry. - Chociaż klapsy wymierzone gołą ręką mogą dać równie dużo przyjemności.

- Jak te? - Z szerokim uśmiechem przerzucił mnie przez kolano i rozległy się głośne klaśnięcia.

Westchnęłam, zachwycona jego pojętnością i wyczuciem, jaki poziom bólu będzie wystarczający.

- Stać cię na więcej - droczyłam się.

- Ty mała spryciuło. Sama się o to prosisz.

Dał mi klapsa w jeden pośladek, potem drugi, aż krzyknęłam chrapliwie, a potem wybijał rytm raz na jednej połówce, raz na drugiej, mimo że się wykręcałam na wszystkie strony.

Uniosłam pupę, zacisnęłam mięśnie pochwy i dałam się ponieść emocjom wywołanym przez upragnione katusze, bojąc się przy tym, że mógłby przestać, zanim osiągnę orgazm, bo jeszcze nie rozumiał zasad tej gry. (Nie chcę ci psuć zabawy, drogi czytelniku, ale Amerykanin naprawdę nie miał pojęcia o obustronnym przepływie energii i władzy w sadomasochistycznych relacjach między dominującym panem a uległą partnerką, natomiast ja nie miałam zamiaru rezygnować z orgazmu tylko po to, by mu tłumaczyć teorię).

Przerwał, gdy moje pośladki nabrały ślicznej wiśniowej barwy, i starał się ostudzić je masażem,

jednak w końcu uległ moim błaganiom i doprowadził do finału to, co zaczął z takim rozmachem.

Dzień zbliżał się do końca, gdy pruliśmy do Kairu drogą, która od siedemdziesięciu lat służy turystom (zbudowano ją jeszcze dla cesarzowej Eugonii). Pustynia falowała wokół nas, zachodni wiatr przesuwiał wydmy, jakby to była morska woda albo śnieżne zasy. Niebo na zachodzie było intensywnie pomarańczowe z fioletową luną na brzegach. Tubylcy twierdzą, że cięższe powietrze, które jest efektem intensywnego upału, przepuszcza czerwone promienie słoneczne i eliminuje ze słonecznej palety niebieskie kolory, dlatego w taki dzień jak dziś świat zalewa ciepła złocista poświata. Wszystko zapowiadało burzę piaskową.

Nie wierzyłam własnym uszom, gdy silnik zakrzusił się, zabulgotał i przestał działać, akurat gdy zjeżdżaliśmy z góry. Chuck gwałtownie skręcił kierownicą, żeby nas nie wyrzuciło poza drogę, podskoczyliśmy na jakiejś dziurze, ale nie to było najgorsze.

- Co się stało? - spytałam lekko przestraszona.

- Zabrakło nam benzyny.

- Niemożliwe! Kazałam portierowi zatankować do pełna.

- Najwyraźniej nie rozumiał po angielsku.

Nagle coś mi zaświtało.

- Albo ktoś celowo spuścił paliwo - powiedziałam cicho.

- Masz na myśli Egipcjanina?

- Tak.

- Kim on jest dla ciebie?

- Nikim. - W tej chwili była to prawda. Wszelkie uczucia do Ramziego ulotniły się ostatecznie po paskudnej scenie w krypcie. - Jesteśmy współnikami w interesach, ale jak wielu mężczyzn nieuznających równouprawnienia kobiet, uważa, że to mu daje prawo również do mnie.

Ruszyliśmy do Kairu pieszo, jednak wkrótce wróciliśmy biegiem, bo potwierdziły się moje obawy i nadeszła burza piaskowa. Gwałtowny poryw wiatru wzbił w powietrze tumany pustynnego pyłu, włosy smagały mnie po twarzy, ziarenka piasku chrzęściły w ustach.

Schroniliśmy się w aucie, domknęliśmy okna i dach. Nastawiliśmy się na spędzenie tu nocy.

Temperatura na pustyni gwałtownie spada po zachodzie słońca i nawet na początku września bywa całkiem zimno. Jeśli spodziewasz się kolejnych opowieści o dzikim seksie i erotycznych klapsach, to się zawiedziesz. Byliśmy zbyt zmęczeni i zbyt wyczerpani emocjonalnie na takie zabawy. Powstała między nami więź innego rodzaju, zbliżenie dusz, które połączyła magia Sahary. Nie umiem tego wyjaśnić, ale człowiek przesiąka pustynią do szpiku kości, szczególnie wtedy, gdy doświadcza

kojącej nocnej ciszy i bezkresu nieba, na którym miliony gwiazd iskrzą się jak brylanty rozsypane przez bajecznie bogatego sułtana.

Perfumy Kleopatry wywietrzały, ale w towarzystwie Chucka czułam się bezpieczna.

(Już wcześniej zauważyłam pistolet zatknięty za jego pasek, jednak nie zadawałam żadnych pytań, bo uznałam to za rozsądny środek ostrożności. W końcu samotnie przemierzaliśmy bezludzie). Mój pilot nie przestawał odgrażać się Ramziem i zapowiadał, że skręci kark temu Arabowi za wpakowanie nas w taką kabałę. Choć lękałam się powrotu do Kairu i konfrontacji z Ramzim, świadomość posiadania takiego sojusznika napępiała mnie otuchą.

Ta noc na zawsze pozostanie klejnotem w skarbnicy mojej pamięci. Ani przez sekundę nie czułam zagrożenia, choć na zewnątrz szalała piaskowa zamieć, a nad ranem ogarnęła nas najczarniejsza czerń. Wręcz przeciwnie. Wyobrażałam sobie, że pustynia, ze swoimi tajemnicami sprzed wieków i starożytną mądrością, rozpoznała we mnie spadkobierczynię królowej Kleopatry i chciała na kilka godzin dłużej zatrzymać mnie pod swoją opieką.

Wczesny ranek. Patrzyłam na przejrzyste niebo, na prostą jak strzała drogę do Kairu i podziwiałam nagą, dziewiczą urodę pustyni. Mogłam sobie wyobrażać, że podróżujemy w czasie i cofnęliśmy się do epoki faraonów. Ale to była fantazja, zapewne pobudzona koką, której zażyłam, zanim mój Amerykanin się obudził. Oszukiwałam się, że narkotyk dodaje mi zmysłowości, gdy w rzeczywistości utrudniał samoakceptację. Miałam w sobie idealnie oszlifowany piękny kryształ, który rozprysnął się na kawałki. Korzystałam z niego, zauroczona tym, że rozszczepiłam się na różne osobowości, wystarczająco płynne, by przechodziły jedna w drugą i umożliwiały coś na kształt normalnej egzystencji.

Głodni i spragnieni ruszyliśmy przed siebie na piechotę. Całe stada skowronków podrywały się i spadały jak kamienie w poszukiwaniu pożywienia. Jakie to dziwne, zważywszy na to, że prawie nic tu nie rośnie. Ranek był chłodniejszy, niż się spodziewałam, upał miał jeszcze nadejść. Moje ciało rozpaczliwie domagało się wody, a umysł nadziei, więc nagle uległam omamom i rzuciłam się biegiem w kierunku zielonej oazy na horyzoncie, z małym jeziorkiem otoczonym przez las palmowy. Potknęłam się i osunęłam na piasek, gdy uświadomiłam sobie, że to tylko fatamorgana, obraz nieba odbity od warstwy gorącego powietrza unoszącego się tuż nad ziemią. Chuck podbiegł do mnie i pomógł mi wstać.

- Twoja oaza jest w istocie karawaną - stwierdził. - Są około stu metrów stąd.

- Wielbłądy? - zaskrzeczałam przez wyschnięte gardło. - Przynajmniej nie zabraknie im paliwa.

Przez całą drogę walczyłam z chorobą morską, usiłując dostosować się do kołyszącego truchtu zwierzęcia i utrzymać się w siodle. Zauważyłam rozbawione spojrzenia Chucka, który, jak się okazało, doskonalił tę sztukę w czasie swoich podróży i jeździł na wielbłądzie niczym Arab. Wyglądał jak prawdziwy król pustyni, choć nie miał na sobie turbanu i powiewnych szat, w jakie odziany był Beduin prowadzący karawanę.

Balansowałam na garbie wielbłąda, starając się zignorować obsceniczne odgłosy wydawane przez

zwierzaka i odrażający, zatechły smród szmat, którymi dromader był

przykryty. Przyznaję, jazda miała swoje przyjemne strony. Moje uda ocierały się o dobrze wyprawioną skórę siodła, a doznanie to przypominało wczorajsze pieszczoty, których nie szczędził mi Amerykanin. Monotonne kołysanie, hipnotyczny wpływ pustyni i magnetyczne wspomnienia wprowadziły mnie w stan medytacyjnego rozmarzenia, a obolałe pośladki przypominały o piekących klapsach wymierzanych przez Chucka i płomieniu, który rozpałił

w mojej kobiecości.

Niestety, drogi czytelniku, były to ostatnie chwile, gdy miałam szansę zatracić się w mojej pogoni za przyjemnością.

Na przedmieściach Kairu obleciało mnie dziwne uczucie, którego nie umiałam określić. Izolacja, zagrożenie? Chuck także rzucał wokół niespokojne spojrzenia. Na drodze dostrzegliśmy kolumnę ciężarówek (jestem pewna, że to brytyjska armia) opuszczającą miasto, ale dokąd? Ciężkie samochody wzbijały w powietrze tumany żółtego pustynnego piasku, pokrywając nas pyłem. My podróżowaliśmy jak Arabowie w czasach Kleopatry, na grzbietach niezawodnych wielbłądów o grubych wargach i tęsknym spojrzeniu łzawych oczu.

Nasza mała karawana minęła wąskie uliczki wypełnione dorożkami, osiołkami, ulicznymi handlarzami i zakwefionymi kobietami z chmarami dzieciaków, aż wreszcie dotarliśmy do reprezentacyjnej części miasta i przed nami pojawił się duży taras hotelu

„Shepherd”. Zazwyczaj wypełniony był turystami popijającymi popołudniową herbatę i obserwującymi barwny tłum.

Dzisiaj taras był niemal pusty.

Znowu poczułam niewytłumaczalny zimny dreszcz. Chuck wynagrodził poganiacza wielbłądów solidną sumką w piasrach i zapowiedział, że spotka się ze mną za godzinę w lobby, a teraz pędzi na lotnisko. Nie wiedział jeszcze, w jaki sposób ma usprawiedliwić swoją nieobecność i obawiał się, że straci pracę. Nie mogłam na to pozwolić. Byłam gotowa narazić się na skandal i prosić o interwencję jednego z dobrych przyjaciół lorda Marlowe'a, który miał znajomości w zarządzie Imperial Airways.

Pośpieszyłam do hotelu i skierowałam się do recepcji, by wysłali kogoś po samochód unieruchomiony na poboczu drogi. W lobby dosłownie roiło się od brytyjskich oficerów rozprawiających między sobą z ożywieniem i święcie przekonanych, że są pępkiem świata.

- Co za głupiec z tego Chamberlaina.

- Hitler nie zatrzyma się na Polsce.

- Teraz to nasza sprawa, stary.

Czułam zapach mocnej kawy po turecku i smród papierosów. W tym bastionie męskości gdzieś

przypadły dziewczęta, tak chętnie flirtujące z dobrze ułożonymi brytyjskimi wojskowymi. A gdzie się podzieli grubi Amerykanie w towarzystwie znudzonych żon, przy każdej okazji pstrykający na kelnera? Egipscy kupcy w powłóczystych szatach? Brakowało nawet kilkusobowej orkiestry przygrywającej zwykle gościom.

Czy świat oszalał?

Odpowiedź przyszła, jak to często w życiu bywa, z najmniej oczekiwanej strony.

- Nic pani nie słyszała, lady Marlowe?

Wpadłam prosto na lady Palmer ciągnącą ciężkie walizki przez hotelowe lobby. Wyraz jej twarzy mówił wyraźnie, że ciężkie chmury zebrały się nad jej idealnym światem popołudniowych herbatek, jednobrzmiących opinii i nienagannyh manier. Wyraźnie się śpieszyła i niecierpliwie popędzała córkę, ale zatrzymała się przy mnie, by odbyć święty rytuał wszystkich dobrze urodzonych dam. Wścibianie nosa w nie swoje sprawy.

- Nie, lady Palmer. Wróciłam przed chwilą.

- Ale widziałam panią wczoraj na drodze do piramid z tym przystojnym dżentelmenem... - Ciekawość aż ją roznosiła.

- To amerykański lotnik - zbyłam ją krótko.

Recepcjonista nie przestawał gadać przez telefon i udawał, że mnie nie widzi. Lady Palmer narzekała, że Amerykanie ignorują to, co się dzieje w Europie, ale na nich też przyjdzie pora. Nie zwracałam na nią uwagi. Nie miałam czasu na towarzyskie ploteczki. Za godzinę jestem umówiona z Chuckiem. Ledwie trzymałam się na nogach ze zmęczenia.

Chciałam się umyć i przebrać. Modliłam się, by dała mi wreszcie spokój.

- Nie słyszała pani tych strasznych wieści?

- Nie. Zabrakło mi benzyny i musiałam spędzić noc na środku pustyni.

- Z Amerykaninem? - wpatrywała się we mnie z takim niedowierzaniem, jakby odpowiedź twierdząca miała ją przyprawić o omdlenie. A może też dostrzegłam cień zazdrości?

- Tak. Jest czarujący...

- Moja droga - zapewniła mnie pośpiesznie - jestem przekonana, że zachowywała się pani przyzwoicie, a gdyby nawet nie, to nie moja sprawa. Jednak podczas pani romantycznej przygody na pustyni nasz ambasador w Niemczech w imieniu brytyjskiego rządu postawił

Hitlerowi ultimatum w związku z atakiem na Polskę...

- Nie chcę tego słuchać - przerwałam, jakby ignorowanie rzeczywistości miało sprawić, że nie

będzie istniała. Chciałam zatrzymać świat, jaki znałam, pełen emocji, pożądania, seksu, pragnień i łez, przesycony zapachem perfum, który rozplómił moją duszę. Czułam, że nadejdzie jego kres, jeśli moje obawy się spełnią.

Potrząsnęła mną, trzymając za ramiona, i spojrzała mi prosto w twarz.

- Musi mnie pani wysłuchać, lady Marlowe.

- Nie mogę...

- Musi pani, moja droga. Wielka Brytania wypowiedziała Niemcom wojnę!

Jak przez mgłę pamiętam, co działo się potem. Wyrwałam recepcjoniście klucz do pokoju i przeciskałam się przez tłum, gdy dostrzegłam znajomą postać. Josette La Fleur.

- Lady Marlowe, słyszała pani, co się stało?

- Tak, Josette. To nie do wiary. Wojna!

- Francja także wypowiedziała wojnę Niemcom. Przed godziną. Proszę mi wybaczyć, madame, ale opuszczam Kair. Muszę wrócić do Paryża.

- Chyba nie sądzisz, że Niemcy...

- Nie, faszyci nigdy nie wejdą do Francji. - Pokręciła głową z emfazą. - Linia Maginota stanowi wystarczającą obronę przed ich artylerią i dywizjami pancernymi.

Teraz wiem, że bardzo się myliła. Już w czerwcu następnego roku hitlerowcy maszerowali po Champs Elyseés.

- Widziałaś Ramziego? - Nie wiem, czemu o to spytałam, ale w obliczu wojny wszelkie kłótnie wydawały się nieistotne.

- Wczoraj wieczorem nie pokazał się w klubie.

Dziwne. Tknęło mnie niedobre przeczucie.

- To nie ma znaczenia - odparłam. - Po wybuchu wojny i tak trzeba będzie zamknąć klub.

- Laila zapowiedziała personelowi coś odwrotnego.

- To znaczy? - Zirykowało mnie, że Egipcjanka podejmowała takie decyzje za moimi plecami.

- Twierdzi, że napłynie jeszcze więcej Brytyjczyków i nadejdzie złota era dla nocnych klubów. Niemcy nas nie zbombardują, jako że Kair jest świętym miastem.

- Nie dbam o Niemców. Zależy mi tylko na ludziach, którzy dla mnie pracują, Josette.

Takich jak ty. - Zamierzałam sprzedać swoje udziały w klubie, ale chciałam znaleźć inną pracę dla zatrudnionych u nas ludzi.

- Nie mogę zostać, proszę mnie zrozumieć, lady Marlowe. Francja potrzebuje wszystkich swoich dzieci, nieważne, skąd przychodzimy.

- Co ty mówisz, Josette?

- Podjęłam już decyzję i jestem gotowa ponieść ofiarę. Jadę walczyć o wolność Francji. Dla wszystkich ludzi.

Przyjrzałam się jej uważnie. Oczy Josette lśniły czymś, czego mi brakowało.

Patriotyzmem. Byliśmy na progu wojny światowej, a ja myślałam jedynie o własnych problemach. Tymczasem Francuzka kierowała się dobrem swojego kraju i swego narodu. Jaką byłam egoistką!

- Podziwiam cię, Josette - powiedziałam szczerze. - Może pewnego dnia nasze ścieżki skrzyżują się znowu.

- Mam taką nadzieję, lady Marlowe. - Pocałowała mnie w oba policzki. - Au revoir.

Zniknęła w tłumie. Chuck z pewnością słyszał już wieści i będzie tu lada moment.

Modliłam się, by udało mu się wcisnąć mnie na listę pasażerów, jeśli nie stracił przeze mnie pracy, ale nie sądziłam, że w takim momencie firma pozbędzie się doświadczonego pilota.

Chciałam się wydostać z Kairu tak prędko, jak to tylko możliwe.

Z takimi myślami wjechałam windą na swoje piętro i szybkim krokiem weszłam do apartamentu. Przystanęłam w małym korytarzyku, chcąc zapanować nad emocjami, gdy usłyszałam:

- Czekałem na ciebie, angielska różo.

15

Byłam przerażona. Ramzi siedział w rozłożystym fotelu w kącie sypialni, mierząc do mnie z lugera. Pewnie Laila dostała pistolet w prezencie od swojego przyjaciela, hitlerowca.

- Jak się tu dostałeś? - spytałam ostro.

- Mam swoje sposoby - odparł z tajemniczym uśmiechem. - Ale to nieważne. To ty jesteś ważna.

A więc nie pod wpływem nagłego impulsu trafił do mojego apartamentu, tylko kierował się jakimś przemyślanym planem. Było dla mnie oczywiste, że stara się trzymać na wodzy silne emocje. Wyczułam w powietrzu słodkawy zapach haszyszu, a z doświadczenia wiedziałam, że opary dymu kładą się na duszy Egipcjanina brudną patyną. Bałam się go, oczywiście nie ze względu na jego perwersyjne upodobania i seksualną jurność, ale z powodu fałszywej natury i łatwości, z którą

posługiwał się własnym wdziękiem do manipulowania ludźmi, czego tyle razy doświadczyłam na sobie. Bez trudu mogłam sobie wyobrazić, jak przyciska się do pokojówki, szepcząc do uszka słodkie pochlebstwa, a jednocześnie odpina jej klucze przychepione do paska.

- Odłóż pistolet, Ramzi. I wynoś cię stąd.

- Nie. - Odbezpieczył broń. - Nie wyjedziesz z Kairu. Zrozumiałaś?

- Nie zastrzelisz mnie. - Starłam się mówić z przekonaniem, choć w głębi serca wiedziałam, że zauroczenie dawno ustąpiło miejsca zazdrości, kłamstwu i podejrzliwości.

- Nie chcę cię zabijać, angielska różo, ale nie dajesz mi wyboru. - Wstał i wycelował

lufę w moją głowę. - Zdradziłaś mnie!

- Masz na myśli Amerykanina?

- Nie. Z nim porachuję się później. - Jego głos nabrał złowieszczych tonów. -

Pozwoliłaś się pieprzyć Mahmudowi, zwykłemu słudze. Według obyczajów mojego plemienia muszę zmyć hańbę twoją krwią.

Nie wierzyłam własnym uszom. Przecież sam zachęcał Mahmuda do aktywnego udziału w naszych seksualnych zabawach, pozwalał, by Nubijczyk zadowalał mnie palcami i językiem, a teraz ma pretensje?

Nie potwierdziłam ani nie zaprzeczyłam. Spojrzałam na niego, jakbym go widziała po raz pierwszy. Oto mężczyzna, który uzasadni najdziksze oskarżenia, byle postawić na swoim.

W tyle głowy pojawiła się niepokojąca myśl.

- Gdzie jest Mahmud?

- Wziąłem jego los w swoje ręce - odparł bez wahania. - Teraz Allah będzie go sądzić.

- Zamordowałeś go? - Słowa uwięzły mi w gardle. - Zwariowałeś? Nubijczyk zrobił

tylko to, o co go prosiłam, nawet błagałam, do czego ty nie byłeś już zdolny. Zaspokoił mnie.

- Żaden mężczyzna cię nie zaspokoi, śliczna Angielko. - To spokojne stwierdzenie bardziej mnie zdenerwowało niż poprzednie pogroźki. Powiedział prawdę. Od śmierci lorda Marlowe'a szukałam wyzwolenia dla swej seksualności. Chciałam znaleźć głębokie duchowe porozumienie bazujące na sile płynącej z odgrywania roli kobiety uległej. Niewolnica ubóstwiana przez swego pana. Mój zmarły mąż świetnie mnie rozumiał i dostosował do moich potrzeb sposób, w jaki dominował w naszej sypialni. Ramzi tego nie potrafił. A Amerykanin? Czy będę miała szansę się dowiedzieć?

Napięcie między nami stało się nieznośne. Egipcjanin przepełniony był gniewem i pragnieniem

zemsty, jakby śmierć stała za nim i domagała się kolejnej ofiary. Cofnęłam się, a piasek z podeszew butów, który rozsypał się na dywanie, przypominał mi kokainę.

- Przeklinam ciebie i twoją urodę! - wrzasnął. - Przez ciebie jestem potępiony. Ale bez ciebie nie mogę żyć.

Zakołysał się na nogach, wymachując pistoletem. W jego oczach była otchłań piekielnej nienawiści, szalonej i narkotycznej. Jeśli wpadnie w amok, nie powstrzymam go.

Muszę znaleźć w sobie odwagę, muszę działać. Zaskoczyć Egipcjanina czymś irracjonalnym, prowokacyjnym.

- Czy nie zapominasz o czymś, Ramzi? - spytałam ze śmiechem.

No i zaskoczyłam go. Nie rozumiał, dlaczego się nie boję.

- Nic, co powiesz, mnie nie powstrzyma.

- Perfumy Kleopatry. Nie możesz mnie zabić, pamiętasz?

Przyznaję, to było kłamstwo. Nie doznawałam w tej chwili dziwnego zawirowania zmysłów, które zdarzało się wcześniej w niebezpiecznych sytuacjach. Odwagi dodała mi natomiast kokaina krążąca w żyłach i zakłócająca pracę neurotycznego umysłu. Pewnie dlatego chwyciłam się słomki, mając nadzieję, że ocaleję życie. Wiedziałam tylko, że należy zmusić go do mówienia, aby rozładować nieznośnie napiętą atmosferę.

- Pachniesz innym mężczyzną, nie perfumami - rzucił ze złością. - Zabiję cię i nic mnie nie powstrzyma.

Strach oblaźł mnie jak mrowie czarnych pustynnych skorpionów. Jak mogłam myśleć, że go oszukam? Nie smarowałam się perfumami od chwili, gdy wyszłam z hotelu, czyli od wczorajszego ranka.

- A więc wierzysz, że perfumy nie pozwoliłyby mi zabić?

- Jesteś głupią kobietą - powiedział z zaskakującą szczerością. - Perfumy są bezwartościowe. To tylko bajeczka, która miała oczarować bogatą Angielkę i ułatwić naciągnięcie jej na dużą kasę.

- Mylisz się, Ramzi. Perfumy są magiczne. Udowodnię ci to. Pozwól, bym najpierw się nimi nasmarowała, a dopiero potem mnie zastrzel. - To był ryzykowny plan, ale nie miałam innego. - Pozbędziesz się mnie i „Klub Kleopatry” będzie twój...

Splunął na dywan, jakby musiał wypluć z siebie nadmiar nienawiści.

- Nie chcę klubu. Chcę ciebie, otwartą na dotyk moich rąk, mojej męskości...

Nie chciałam tego słuchać. Nie wierzyłam mu.

- Jeśli nie umrę, obiecaj, że nie będziesz przeszkadzał w moim wyjeździe z Kairu.

- Wykluczone. W gwiazdach jest zapisane, że należysz do mnie.

- Więc czemu pieprzyłeś się z Maxi? - spytałam z nagłą złością.

- Laila chciała sprawdzić, co ona wie na temat planów niemieckiej inwazji na Polskę. I czy Göring ma zamiar zawłaszczyć najcenniejsze dzieła sztuki. Moja przyrodnia siostra jest fanatyczką, koniecznie musi kontrolować i mnie, i międzynarodowy handel egipskimi zabytkami. Nigdy nie miałem ochoty pieprzyć się z Maxi.

- Czekaj... Maxi wiedziała o planowanej napaści na Polskę?!

- Jeśli nawet, to nie pisnęła ani słówka. Ta niemiecka suka nie powiedziała mi nic wartego uwagi. Chciała seksu, a ja się z tego wywiązałem. - Zaklął pod nosem i spojrzał na mnie z takim pożądaniem, że straciłam nadzieję, bym kiedykolwiek zdołała zrozumieć zawikłane ścieżki, którymi błakają się jego myśli. - Z tobą, moją posłuszną niewolnicą, odkryłem taką namiętność, jakiej nie znałem nigdy wcześniej. Nie pozwolę ci odejść, nie oddam cię nawet śmierci.

O co chodziło temu szaleńcowi? Zamierzał mnie zмумifikować, a następnie sproszkować i używać jako afrodyzjaku? Te słowa zniszczyły resztki obsesji, którą niegdyś miałam na jego punkcie. Jeszcze niedawno byłam zafascynowana Ramzim, zależało mi na nim, ale gorycz zazdrości wypaliła z mego serca wszelkie tkliwe uczucia. Zresztą nawet w najgorętszym okresie romansu, gdy nasze stosunki były pełne żądzы i erotyzmu, brakowało w nich tej głębi zaufania i wzajemnego zrozumienia, która cechowała moje małżeństwo.

Natomiast zakosztowałam czegoś podobnego w ciągu dwudziestu czterech godzin spędzonych z amerykańskim lotnikiem. Poza tym nie wierzyłam, że mężczyzna taki jak Ramzi jest zdolny do miłości. Był uwodzicielskim i podstępным neurotykiem, narzędziem w rękach swojej siostry. Niczym więcej.

Dotknęłam ręką skroni. Byłam głodna, zmęczona i potrzebowałam kolejnej dawki narkotyku. Ramzi uznał mój gest za objaw słabości, chwycił mnie w pól, przyciągnął do siebie i zaczął szeptać czułe słówka po arabsku. Zapach haszyszu przyprawił mnie o mdłości.

Sięgnął pod bluzkę, rozpiął stanik, zaczął miętosić moje piersi.

- Przestań, nie! - krzyczałam, ale moje ciało zareagowało jak dobrze naoliwiony automat. Co się ze mną dzieje? Ramzi wbił mi w żebra lufę pistoletu. Drań grozi mi śmiercią, chce mnie zgwałcić, a moje ciało reaguje, jakbym była uliczną prostytutką.

- Nie rozumiesz? Nie mogę przestać! - wrzasnął. - Muszę cię mieć!

- Puść ją.

Krótką, prosta komenda. Nie miałam odwagi odwrócić się, by Ramzi nie przycisnął

spustu, ale poznałam ten głos.

Chuck.

Zawsze będę mu wdzięczna, że zniecierpliwiony czekaniem wszedł na górę. Usłyszał przez drzwi naszą kłótnię - i ocalił mi życie.

Egipcjanin odepchnął mnie. Upadłam, boleśnie otarłam policzek o szorstki dywan.

Przez chwilę leżałam oszołomiona, a gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że Ramzi mierzy do Chucka.

- Wynoś się!

- To ty jesteś intruzem - odparł lotnik.

- Ty arogancki sukinsynu! - Ramzi roześmiał się ponuro. - Brytyjczyk, Amerykanin, kimkolwiek jesteś. Za długo się tu panoszyłeś. Wkrótce niemieckie wojska zajmą Kair.

Wtedy my będziemy tu rządzić.

Padł strzał, a ja krzyknęłam.

Trudno mi pisać, co się działo dalej, choć cały horror utrwalił się w moim umyśle z niezwykłą dokładnością. Byłam bezsilnym świadkiem, który nie mógł w żaden sposób wpłynąć na bieg wypadków. Ramzi celował do Chucka, ale to Chuck wystrzelił pierwszy, trafiając prosto w pierś.

- Ramzi! - Z niedowierzaniem spojrzałam na jego pogromcę. - Postrzeliłeś go.

- Nie miałem wyboru. - Nie starał się usprawiedliwiać, zresztą nie oczekiwałam tego.

Byłam mu wdzięczna za uratowanie życia, jednak opadłam na kolana przy Egipcjaninie.

Wciąż go widzę, jak leży na podłodze w kałuży krwi i z każdym oddechem odpływa w niebyt jego niepowtarzalna osobowość: uwodzicielska męskość, zmysłowy głos, ale też arogancja, próżność i niedojrzałość emocjonalna. Krzyczałam i szlochałam bez opamiętania - nie wiem, czy z żalu nad nim, czy nad sobą. Wykorzystałam go dla własnej przyjemności, ale to on - nie ja - zapłacił najwyższą cenę. Jeśli oskarżasz mnie teraz o taką samą dwulicowość, jaką zarzuciłam Ramziemu, bo przecież opłakiwałam człowieka, który przed chwilą groził mi bronią i oszukiwał mnie od samego początku, to weź pod uwagę również i to, że był

niezrównanym kochankiem. I coś jeszcze. Myślę, że kochał mnie na swój sposób.

- To nie tak miało się skończyć - wyszeptał, a z ust ciekła mu krew.

- Nic nie mów, Ramzi. Sprowadzimy pomoc.

- Żegnaj, angielska różo.

Patrzył na mnie szklistym wzrokiem, jego pierś przestała się poruszać. Prawie uwierzyłam, że wstrzymuje oddech, by zatrzymać w płucach ulotną woń perfum, które pozwolą mu żyć jeszcze przez chwilę.

- Ramzi! - Szarpnęłam go za koszulę. - Ramzi!

- On nie żyje, Eve. - Chuck podniósł mnie i przytulił. Nie odzywał się, gdy starałam się pomóc człowiekowi, którego zastrzelił, jakby uszanował fakt, że dzieje się tu coś, w co nie jest wtajemniczony. - Musimy się stąd zmywać.

- Poradzę sobie z policją. To ty musisz uciekać. I to szybko.

Otworzyłam drzwi na korytarz i nagle do środka wdarła się wataha gapiów, uniemożliwiając Chuckowi wymknięcie się chyłkiem.

Dopytywali, skąd padły strzały.

Chcieli zobaczyć napastnika, zatrzymać go.

Wiele bym dała, aby zmienić bieg wypadków, by Chuckowi udało się uciec przez tłum hotelowych gości, brytyjskich oficerów, nubijskich ochroniarzy i egipskich policjantów.

Jednak rozpętało się piekło. Kobiety piszczały, mężczyźni krzyczeli, ktoś obezwładnił

Chucka, odebrał mu broń. Oddzielono mnie od niego, domagano się wyjaśnień.

- Dlaczego? - szlochałam. - Dlaczego nikt mnie nie słucha?

Nikt nie uwierzył, że było to działanie w samoobronie.

- Jest pani ranna, lady Marlowe? - spytał egipski policjant.

Pokręciłam głową. Nie byłam ranna, choć krew poplamiała moją bluzkę, spodnie, nawet buty.

- Jak się do ciebie zwrócił? - spytał nagle Chuck.

- Jestem tu znana jako lady Eve Marlowe.

- Recepcjonista mi tego nie powiedział.

- Nieważne, kim jestem. Ważne jest to, co nas łączy. Przysięgam, że wydostanę nas z tego bagna.

- Z pewnością, lady Marlowe. Nie wątpię, że masz zwyczaj sprzątanania po swoich grzeszkach, zanim znajdziesz nową zabawkę.

- Chuck, słuchaj mnie, proszę! Mam pieniądze...

- Nie wszystko jest na sprzedaż. Ja na pewno nie. Odwrócił się, zupełnie jakbym przestała istnieć. Dlaczego nie mógł zaakceptować faktu, że chcę wykorzystać swój tytuł i majątek, by mu pomóc?

- Nie bądź głupcem. Egipcjanie nas nienawidzą. - szeptałam gorączkowo. - Za nic nie uwierzą w historię o samoobronie, choćby w duchu przyznawali ci rację. Nie będziesz miał

sprawiedliwego procesu.

- Proszę nie rozmawiać z aresztantem, madame. - Gbur w mundurze kapitana policji skinął na swoich podwładnych, by zakuli Chucka i wyprowadzili go. - Będzie pani miała okazję złożyć zeznania.

- Kiedy?

- Kto to może wiedzieć? Wojna wszystko zmieniała.

Nie mogłam uwierzyć. Ramzi nie żyje, Chuck w więzieniu... Byłam niewyobrażalnie zmęczona. Zrzucałam życie dwóch mężczyzn. Ja... i perfumy Kleopatry.

Borykam się z pytaniami, na które nie potrafię odpowiedzieć. Gdybym miała na sobie perfumy, czy uratowałyby mnie przed kulą? A może jestem zaćpaną idiotką, która przestaje myśleć trzeźwo, gdy w grę wchodzi seks?

A co z Ramzim? Był wyrafinowanym światowcem i miał wiele talentów, ale w niczym nie okazał się wybitny. Bywał romantyczny, choć jednocześnie nie miał za grosz skrupułów moralnych; hodował rozdęte ego, choć we wszystkim był zależny od siostry; pozował na zblazowanego dekadenta, pokrywając zmanierowaniem brak ambicji.

O tym wszystkim myślałam, gdy zrzucałam z siebie brudne ubranie. (Policja nakazała obsłudze hotelowej, by mnie przeniesiono do innego apartamentu). Jakies niesamowite przecucie kazało mi wydobyć perfumy ze schowka w kufrze podróżnym i wetrzeć niewielką ilość smarowidła w przeguby dłoni. W ciągu kilku sekund powietrze wypełniło się korzennym, kojącym aromatem. Otulił mnie jak szlafrok, w niektórych miejscach śliski jak jedwab, w innych miękki niczym aksamit. To zmysłowe doznanie wywołało serię skojarzeń.

Przypominałam sobie, jak po raz pierwszy poczułam ten zapach: Ramzi palił turecką fajkę i obserwował Mahmuda, który z maestrią wsuwał palce w moje najbardziej sekretne miejsca. A teraz ich obu nie było wśród żywych.

Zaczęłam trząść się i szlochać. Dotarło do mnie, że już nigdy ich nie zobaczę, nie doznam ich pieszczot i tego dziwnego zmysłowego zatracenia. Opłakiwałam ich, przekonana, że to ja ściągnęłam na nich pożałowania godny koniec.

Przygniotło mnie poczucie winy, miałam mdłości, oddychałam z wysiłkiem. Dręczyło mnie poczucie niepowetowanej straty, potem ogarnął lęk. W dodatku straszliwy ból głowy rozsadał mi czaszkę. Siedziałam nago, bo nie byłam w stanie się ubrać.

Sięgnęłam po biały proszek, bo byłam przekonana, że oszaleję, jeśli się nie wspomogę porcją energii

i sztucznej euforii. Potem, ciągle na golasa, usiadłam na podnóżku i zapaliłam papierosa.

A może perfumy były bardziej klątwą niż darem? Upiorny psikus losu splełany kobiecie, której się zamarzyła nieśmiertelność? Zaciągnęłam się papierosem i czekałam, aż narkotyk zaczną działać i wyleczy mnie zarówno z bólu głowy, jak i z egzystencjalnych lęków. Czy trzeci mężczyzna umrze z powodu perfum?

Byłam zdecydowana, że do tego nie dopuszczę.

Nikt nie chciał mnie wysłuchać. Po prostu nikt. Poszłam do brytyjskiej ambasady (zaczęłam od nich, gdyż Chuck był zatrudniony przez firmę, której siedzibą było Zjednoczone Królestwo). Zbyli mnie uprzejmie:

- Zainteresujemy się tą sprawą, kiedy czas na to pozwoli, lady Marlowe. Jest wojna.

Jeszcze gorzej było w amerykańskim konsulacie, gdzie dyplomaci zajęci byli wyjaśnianiem lokalnej prasie motywów stojących za reakcjami rządu Stanów Zjednoczonych na niemiecką agresję przeciwko Polsce i nie mieli czasu na zajmowanie się losem swego obywatela.

Przekonałam się na własnej skórze, że zwariowana Angielka, próbująca ratować kochanka, nie budzi niczyjego współczucia, raczej już niechęć i wzgardę. Na szczęście Egipcjanie łaskawie przymknęli oczy, gdy wystąpiłam o przepustkę na widzenie z Chuckiem.

Wystarczyło, że wsunęłam kapitanowi policji pokazną sumkę w funtach szterlingach. Cóż, może i nas nienawidzą, ale z pewnością kochają nasze pieniądze.

Niestety, mój lotnik nie chciał mieć ze mną do czynienia.

Zaparłam się, że nie wyjdę z aresztu, dopóki go nie zobaczę, więc pod eskortą strażnika zostałam doprowadzona do celki, w której z trudem mieściła się prycza. Na kablu zwisała żarówka dająca niewiele światła. Małe okienko tuż pod sufitem nie pozwalało zobaczyć słońca.

Chuck wbił wzrok w ciężkie żelazne drzwi i nawet na mnie nie spojrział. Byłam zdruzgotana. Karał mnie za coś, czego nie pojmowałam. Bliskość i ciepło, które zrodziły się między nami owej nocy na pustyni, zamieniły się w dystans i chłód. Rozmowa była krótka i bolesna, jak początek kiepskiej farsy.

- Dlaczego przyszłaś, Eve? Och, przepraszam, lady Marlowe.

- Naprawdę nie rozumiesz, że chcę ci pomóc? Ocaliłeś mnie.

- Żebyś mogła wskoczyć do łóżka kolejnemu facetowi i zrujnować mu życie? Nie żałuj sobie. Wszystkie jesteście takie same. Chcecie mieć aureolę nad głową i sztywnego kutasa w piczce.

- Co się stało, Chuck? Twoje męskie ego nagle cierpi, bo źle się prowadzę?

- Jesteś tylko bogatą damą, która wykorzystuje mężczyzn. Widywałem takie jak ty.

Zabijacie nas swoim spojrzeniem, słodkim słówkiem, ponętym ciałem.

- Mówisz z doświadczenia?

- Nie twoja sprawa, lady Marlowe. Wynoś się.

Kiedy wróciłam do hotelu „Shepherd”, nie chciałam w kółko rozważać tej sceny, więc zażyłam kokainę i błąkałam się po hotelu, zaczepiając wszystkich wyższych oficerów brytyjskiej armii w nadziei, że któryś mi pomoże. Podchodziłam też do gości, których akcent zdradzał, że przyjechali z Ameryki. Rozpaczliwie szukałam adwokata, który podjąłby się obrony. Większość rozmówców patrzyła w bok i uciekała w popłochu, gdy tylko docierało do nich, że jestem właśnie tą Brytyjką.

Miałam nawet czelność wtargnąć do baru tylko dla mężczyzn, ale zostałam wyproszona wprawdzie uprzejmie, ale bardzo stanowczo. Nie miałam pojęcia, co jeszcze mogłabym zrobić. Zgodnie z egipskim prawem podejrzany o morderstwo powinien w ciągu dwudziestu czterech godzin stanąć przed sądem, aby usłyszeć formalne zarzuty lub zostać zwolniony z aresztu. Miał też prawo do wpłacenia kaucji i do obrońcy.

Sprawa Chucka od początku poszła źle. Kiedy zadzwoniłam do banku, do mojego doradcy finansowego, prosząc o pośrednictwo w zatrudnieniu miejscowego adwokata, spotkałam się z odmową. Nie pomogła obietnica sówitej nagrody, urzędnik bankowy posunął

się nawet do tego, że zarzucił mi próbę korupcji. Wojna wywróciła wszystko do góry nogami, powiedział, stare zasady przestały obowiązywać. Zasugerował mi też, że rządzący twardą ręką egipcycy intelektualiści uznali, iż Amerykanin jest aktywistą zaangażowanym w obalenie narodowego systemu bezpieczeństwa. Zaczęłam podejrzewać, że Chuck Dawn stał się pionkiem w grze prowadzącej do unieważnienia prawodawstwa brytyjskiego i Kodeksu Napoleońskiego na rzecz prawa religijnego. Ten styl działania miejscowej władzy był mi znany. Lord Marlowe i ja grywaliśmy swego czasu w bridża z angielskim adwokatem, który praktykował prawo w Kairze. Niejeden raz uskarżał się na teatralizację procesów i przekupność sędziów, którzy przewyższali prokuratorów w napastliwości wobec podejrzanych i ich obrońców.

Mogłam się tylko domyślać, że lokalne władze postanowiły wykorzystać moment, w którym Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom, na wzniecenie patriotycznej rewolty przeciw kolonialistom, a sprawę Chucka zamierzały wykorzystać jako demonstrację niezależności. Jednak nadal nie rozumiałam, skąd ta zawziętość, zważywszy na to, że Ramzi i jego krewni nie mieli szczególnych koneksji i wpływów w kairskich kręgach biznesowych i politycznych. Dopiero później zorientowałam się, jak bardzo się myliłam.

Tymczasem nikt nie chciał się podjąć obrony Chucka Dawna, Amerykanina, któremu groziła kara śmierci lub dożywocie.

Nie miałam wyboru i postanowiłam się zwrócić do jedynej osoby w Kairze, z którą mogłam ubić interes.

Do Laili.

- Wynoś się! - wrzasnęła. Miała spuchnięte oczy, jakby płakała. Był to dziwnie poruszający widok. Nie podejrzewałam jej o zdolność do płaczu. Zawsze uważałam, że w jej żyłach przesypuje się piasek. - Nie dbam o to, co powiedziałaś moim sługom. Nie chcę cię widzieć.

- Wiem, ile znaczył dla ciebie Ramzi...

- Jak mogłabyś zrozumieć, co czuję? Poza nim nie miałam nikogo...

Zastanowiłam się, dlaczego właściwie odwiedziłam ją w domu na Starym Mieście, a nie w „Klubie Kleopatry”. Mieszkała w jednej z urokliwych, acz nadgryzionych zębem czasu kamieniczek, różniących się drewnianymi balkonami, osłoniętymi żywymi kotarami z kwitnącej bugenwilli. Tylko u Laili nie było kwiatów.

Odźwierny próbował odprawić mnie z kwitkiem, mówiąc, że pani nie lubi, gdy nieproszeni goście zakłócają jej porę modłów. Podałam mu wizytówkę i wyjaśniłam, że muszę porozmawiać z mademoiselle Al-Raszid o jej bracie. Wtedy zmienił zdanie i wpuścił

mnie. Przez wewnętrzne patio przeszliśmy do haremu, czyli części przeznaczonej dla kobiet, gdzie zgodnie z tradycją pani domu przyjmowała odwiedzające ją niewiasty.

Drewniane parawany dodawały wnętrzu tajemniczości, a jednocześnie umożliwiały najlepszą cyrkulację powietrza, mimo to panowała w nim posępna atmosfera. Salon świadczył

o bogactwie właścicielki. Miał pokryty złoceniami sufit, wysokie okna, ściany ozdobione jaskrawymi, misternymi mozaikami, a tu i ówdzie można było dostrzec wyeksponowane ze smakiem egipskie starożytności. Laila otaczała się luksusem, ale trzymała go w ukryciu.

Pomyślałam, że pod wieloma względami jesteśmy podobne. Obie rozsadzamy klatki konwenansów, w których chciałby nas uwięzić świat zewnętrzny. Obie straciłyśmy mężczyznę, którego kochałyśmy.

- Nic, co powiem, nie przywróci Ramziego do życia - zaczęłam.

- Więc po co przyszłaś? - spytała oskarżycielsko, ale wyczułam w jej głosie nutę ciekawości. - Torturować mnie zapachem, którym cię namaścił Ramzi?

- Musisz mnie wysłuchać. Nie pozwól, by osobista rozpacz popchnęła cię do odebrania życia innemu człowiekowi. Jego winą jest tylko to, że wystąpił w mojej obronie.

Zapadło milczenie, jakby Laila czekała, co jeszcze powiem, lecz milczałam.

- Ramzi był rozpieszczonym, aroganckim mężczyzną, który dzięki swej urodzie mógł

zdobyć każdą kobietę. Nawet mnie - zaczęła. - Jako dzieci mieszkaliśmy na dachu, w szałasie skleconym z dykty i połamanych mebli, których ludzie pozbywali się ze swoich mieszkań.

Spaliśmy na starej kanapie, wyobrażając sobie, że to królewskie łóżce. Ale wyobraźnia nie mogła nas osłonić przed upałem i deszczem, wytepić robactwa wyłazającego z każdej szpary.

Przetrwaliśmy, handlując tym, co wygrzebaliśmy na śmietniku. Nocami widzieliśmy nad sobą niebo usiane gwiazdami. Ręce Ramziego odnajdywały moje rozkwitające piersi i bawiły się nimi, jak to często robią chłopcy. Wiedziałam, że nie mogę mu ulec. Nie bałam się złamania islamskiego prawa, ale chciałam, by oszałamiające piękno mojego brata stało się naszą przepustką do lepszego życia. - Rozejrzała się z uśmiechem. - I tak się stało.

- Czy Ramzi dał ci wszystko, czego pragniesz, Lailo?

- A co mi proponujesz?

- Przepiszę na ciebie „Klub Kleopatry”, jeśli pomożesz mi uwolnić Amerykanina. W razie odmowy zamknę klub. Na stałe.

- Prosisz o rzecz niemożliwą. Egipskie prawo kryminalne jest skomplikowane. - Jej ton sugerował, że już wie, jaki zapadnie wyrok. - Sąd będzie miał wybór między zastosowaniem się do litery prawa, zignorowaniem prawa w imię miłosierdzia albo - zapaliła papierosa i dmuchnęła w moją stronę dymem - parodią prawa dla usatysfakcjonowania swoich przełożonych.

- A ty bez słowa pozwolisz, by Chuck Dawn stał się ofiarą rozgrywek politycznych! -

zawołałam rozgniewana. - Obie dobrze wiemy, że to ty jesteś winna, Lailo. Wiedziałaś, że jeśli doniesiesz bratu o mojej schadzce z Mahmudem, zmusisz go do zamordowania Nubijczyka i mnie z powodu jakiegoś durnego plemiennego prawa.

- Nie udowodnisz mi tego.

- Nie, ale teraz starasz się ukryć swój błąd, doprowadzając do stracenia Chucka Dawna bez sprawiedliwego procesu. - Następne słowa dobrałam ze szczególną rozwagą. -

Myślę, że sama jesteś swoim największym wrogiem. Nie uciekniesz przed poczuciem winy za śmierć Ramziego, bo sama się o nią oskarżasz.

Jej oczy zwęziły się do cienkich szparek i teraz byłam pewna, że zamierzała wykorzystać swoje wpływy, by sąd wymierzył najsurowszą karę. Nie wiedziałam, że miałam się stać jej następną ofiarą.

- Nie będę ci już zwracała głowy, Lailo. Zostawiam cię własnemu sumieniu.

Odwróciłam się i skierowałam do wyjścia, a nagła eksplozja znajomego egzotycznego zapachu uderzyła mnie w nozdrza.

- Lady Marlowe. Proszę poczekać.

- Słucham? - Musiałam jej wysłuchać. Los Chucka wisiał na włosku.

- Może się myliłam co do ciebie. - Odłożyła papierosa i z czarującym uśmiechem wskazała mi fotel wyłożony jedwabnymi poduszkami. - Czy mogę ci zaproponować herbatę?

Wydarzenia tamtego popołudnia, drogi czytelniku, są szokujące. Zaraz objawią ci prawdziwą naturę tej kobiety, istoty bezwzględnej, okrutnej, fałszywej, sprzedajnej i pełnej nienawiści. Nie miałam pojęcia, co knuła Laila w chwili, gdy dzwoniła na służbę. Nie zdawałam sobie sprawy, że jedną z moich najmądrzejszych decyzji było namaszczenie się rano perfumami.

Zapytałam ją, czemu wymyślili tak skomplikowany plan, by mnie naciągnąć na pieniądze. Po co im była historia magicznych perfum królowej Kleopatry? Nie dbałam o pachnidło, nie interesowałam się magią, chciałam tylko Ramziego i jego wirtuozerii w dostarczaniu mi rozkoszy.

Ujawnienie pewnych detali naszych erotycznych igraszek nie było najmądrzejszym ruchem z mojej strony, podsyciło bowiem tylko zazdrość Laili. Zaśmiała się, wyparła się swego udziału w planie sprzedania mi perfum z grobowca i szybko zmieniła temat. Zaczęła utyskiwać na trudności ze znalezieniem profesjonalnej służby domowej.

Powinłam była zachować czujność, bo ta kobieta zawsze miała w zanadrzu jakieś podstępny. Dostrzegałam oznaki niebezpieczeństwa: duszność w powietrzu, wyraźną woń perfum, zamazujący się obraz, zanikający głos, martwość opuszków palców, gdy głaskałam nimi jedwabne poduszki. Zdecydowałam się je zignorować.

Zamiast tego różnymi aluzjami starałam się naprowadzić ją na myśl, że pomoc w uwolnieniu amerykańskiego lotnika będzie działaniem w jej najlepiej pojętym interesie. Nie miałam odwagi zaszantażować jej wprost i zapowiedzieć, że złożę donos do władz, ujawniający szczegóły prowadzonego przez nią nielegalnego handlu podrobionymi antykami.

Dopóki w Kairze rządzą Brytyjczycy, miała wiele do stracenia. Nie wątpię, że należała do tej części egipskiego społeczeństwa, która nie mogła się doczekać niemieckiej inwazji.

Laila wróciła z tacą, na której były piękne porcelanowe filiżanki z połączonym brzegiem, wypełnione wonnym naparem. Rozmawiałyśmy o tym, że chociaż nikt w Kairze nie cieszył się z wojny, niewątpliwie wszyscy na niej zarobią. Mówiłam o planach zatrudnienia najlepszego adwokata do obrony Chucka. Ręce mi drżały, kiedy uniosłam herbatę miętową do ust, ale gdy ją powąchałam, reakcja wbiła mnie w fotel. Czy to mięta, czy obezwładniający zapach perfum wypełnił moje płuca? Zegar z kukułką wybił godzinę, nagle podniosłam wzrok i dostrzegłam wbite w siebie oczy Egipcjanki, obwiedzione czarnym tuszem i przepełnione czarną nienawiścią. Zadrzałam, choć w pomieszczeniu było ciepło.

Niebezpieczeństwo? Powinłam to uznać za ostrzeżenie? Starałam się pohamować neurotyczny bieg myśli, który wypełniał moją głowę chaotycznymi obrazami. Otarłam pot z górnego wargi.

- Lady Marlowe, proszę wypić herbatę, zanim wystygnie, a ja przyniosę słodkie ciasteczka migdałowe. Potem skończymy rozmowę o twoim Amerykaninie.

Przetarłam oczy, ale mgła zasnuwała mi pole widzenia. Ponownie podniosłam filiżankę do ust i zapach perfum uderzył mnie w nos boleśnie - jakbym spaliła sobie błonę śluzową potężną dawką kokainy. Ból docierał aż do mózgu, potem spłynął do każdego mięśnia, każdego nerwu. Nie byłam w stanie się poruszyć. Zesztywniały mi mięśnie szczęki i gardła, potem martwota dotarła do ramion i

palców.

Sparaliżował mnie lęk. Filiżanka wypadła mi z ręki, ale już nie słyszałam, jak się roztrzaskała o lśniące kafelki podłogi.

I wtedy zniknęłam.

16

Berlin

22 kwietnia 1941 r.

Zaczęłam się obawiać, że nie wykonam misji, gdy wreszcie Maxi nawiązała ze mną kontakt. Zadzwoiła wcześniej rano, w pokoju było ciemno, bo grube zasłony nie przepuszczały światła. Strach ścisnął mnie za gardło na dźwięk jej głosu. Maxi? Czy ktoś, kto się pod nią podszywa?

Wyobraź sobie stan mojego ducha i umysłu, przygnębiające otoczenie i cień faszyzmu wiszący nad społeczeństwem, tresowanym w powtarzaniu sloganów, włączanych ludziom do głów przez wszechobecną hitlerowską wojenną propagandę. Nasza rozmowa składała się z półsłówek, aluzji i przemilczeń, jakbyśmy spodziewały się usłyszeć oddech osoby, która podsłuchuje to połączenie i stenografuje każde zdanie - niech to świadczy o moim ówczesnym przekonaniu, że gestapo wszędzie ma swoje wtyczki.

- Eve... Tu Maxi.

- Maxi! Już myślałam, że jesteś... to znaczy... - Nie wiedziałam, co mogę powiedzieć.

- Jest OK, jak to mawiacie wy, Amerykanie.

Oczywiście zauważyłam, że nie omieszkała wymienić mojej narodowości. Pewnie też spodziewała się podsłuchu.

- Dzięki Bogu - szepnęłam, tym razem pozwalając sobie na okazanie emocji. - Miałam nadzieję przed wyjazdem cię zobaczyć i pogadać o starych dziejach.

Głośno wciągnęła powietrze. A może to nie ona? Byłam kłębkim nerwów na myśl o naszym ostatnim spotkaniu w krypcie, gdy Ramzi spalił swoje akty, i jej gwałtownym wyjeździe z Kairu. Nie starałam się z nią skontaktować, zajęta ucłowieczaniem własnej egzystencji, szukaniem wytłumaczenia, dlaczego ciągle żyję, skoro wokół mnie giną ludzie (mówię tu o pewnej przerażającej nocy w Londynie, którą później opiszę ci ze szczegółami).

Wierzyłam, jak większość Brytyjczyków, że wszyscy Niemcy ślepo popierają swego Führera.

Teraz wiem, że się myliłam. Bezwzględna władza rządzi masami zgodnie ze starą i z niezawodną formułą: terror wypleni wszelki opór.

Chciałam jej dać poznać, że rozumiem, na jakie niebezpieczeństwo się naraża.

- Maxi, ja...

- Byłam zajęta przygotowaniem do wystawy moich prac tutaj, w Berlinie - wyjaśniła szybko, jakby w obawie, że powiem coś inkryminującego, po czym wdała się w wyjaśnienia, że zamówiono u niej cykl fotografii opiewający rolę niemieckich kobiet w Trzeciej Rzeszy. -

Może umówimy się na lunch w przyszłym tygodniu? „Horcher”, co ty na to?

Zaakceptowałam zaproszenie, zdziwiona, że Maxi wybrała ulubioną restaurację Göringa. Jest bardzo sprytna albo zastawia na mnie pułapkę. Podała dzień i godzinę, zgodziłam się, po czym się rozłączyła. Nie usłyszałam drugiego kliknięcia. Może gestapo było sprytniejsze, niż podejrzewałam, a może jest prawdą, że strach ma wielkie oczy.

Teraz mogłam spokojnie oszacować topniejące fundusze. Moje obawy się potwierdziły. Nie miałam marek na opłacenie kolejnego tygodnia w hotelu, a obawiałam się udać do amerykańskiej ambasady, by nie wzbudzić podejrzeń. Może Maxi da się naciągnąć na pożyczkę. Nie znałam już w Berlinie nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Większość cudzoziemców wyjechała, a ci, którzy pozostali, troszczyli się przede wszystkim o siebie. W

razie kłopotów miałam się zgłosić pod adres kontaktowy, ale nie wspomnę o nim ani słowem, by nie narazić anonimowych bohaterów, którzy organizowali przerzuty ludzi do Anglii.

Ostrzegano mnie, że muszę zachować najdalej posuniętą ostrożność i nie wolno mi ufać nikomu.

Prześladowały mnie wizje tortur. Widziałam siebie pobitą, gwałconą, martwą na szubienicy, widziałam moje nagie ciało ciśnięte na druty kolczaste. Nie mogę przedłużyć swojego pobytu w Berlinie. Sytuacja z każdym dniem stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Boję się ludzi, którzy zabiliby mnie bez wahania tylko ze względu na moje pochodzenie.

Nie pasowałam do swojej rodziny, do jej tradycji, obyczajów i przekonania, że nazwisko jest jak fatum: przesądza, kim jesteś, nawet wbrew faktom. Stworzyłam sobie podwójną osobowość: fasadę posłusznej córki i kolorowe, nikomu nieujawniane wnętrze.

Chciałam żyć tańcem, wyrażać się przez wdzięk i formę mojej sztuki. Szukałam miejsca, w którym nikt nie będzie mnie potępiał za to, że wybrałam własną drogę życiową, z dala od sztywnej doktryny, w której byłam wychowana. To prawda, starałam się pójść w ślady matki, spełnić jej oczekiwania, zbudować fundamenty swojej tożsamości na wyuczonych rytuałach, ale ramy tamtego świata były zbyt sztywne i nie pozwalały na odrobinę plastyczności, na odstępstwa, które pozwoliłyby mi połączyć to, czego po mnie oczekiwano, z tym, czego pragnęłam. Tak więc zerwałam z tradycją i opuściłam rodzinny dom, by nigdy nie wrócić.

Teraz nadszedł czas, by ujawnić tajemnicę, której strzegłam przez te wszystkie lata.

Naprawdę nazywam się Esther Jakobs.

Jestem Żydówką.

Zawsze uważałam, że bohaterstwo jest dobre dla innych ludzi, nie dla mnie, a nawet że jest czymś podejrzanym. Jak można ryzykować życie w imię ideałów? A teraz to właśnie robiła Maxi, a wraz z nią również ja. Ale chodziło o coś więcej. Chciałam wyzwolić mój naród z trybów faszystowskiej maszyny wojennej, tego zbrodniczego systemu metodycznej eksterminacji całej rasy i jej kultury po wcześniejszym odebraniu Żydom podstawowych i niezbywalnych ludzkich praw. Modłę się, by po wojnie świat się dowiedział, że w najczarniejszych momentach historii świeciło światło ludzkiej solidarności. Tak, jestem Żydówką. Moja rodzina pochodziła z małej wioski na południu Niemiec. W domu mówiliśmy w jidysz, stąd znajomość niemieckiego. Wychowywałam się na Brooklynie, lato spędzałam zazwyczaj na Coney Island, pozując dla turystów w czerwonym stroju kąpielowym. Kiedy miałam czternaście lat, podzieliłam się z mamą moją fascynacją kinematografem, ale powiedziała mi, że takie rzeczy są dobre dla siks - młodych gojek z różowymi policzkami i jasnymi włosami.

- Mam jasne włosy - rezonowałam - dlaczego ja nie mogę?

- Bo jesteś miłą żydowską dziewczyną z ortodoksyjnej rodziny - odparła - a miłe żydowskie dziewczyny wychodzą za mąż i rodzą dzieci.

- Chcę mieć dzieci, mam - nie ustępowałam - ale najpierw chcę zaznać życia, zobaczyć świat, zakochać się.

Nie mogłam się przyznać, że ciekawość świata buzuje we mnie jak żądza, której nie da się zaspokoić, i obdarza mnie elektryzującym erotycznym magnetyzmem, któremu mężczyźni nie umieją się oprzeć. Mama nigdy by tego nie zrozumiała. Myślę, drogi czytelniku, że teraz jasny stał się dla ciebie mój wcześniejszy wpis o mamie. Tak to między nami było.

Kiedy dostałam pracę w klubie jako tancerka i przestałam wracać na noc, mama zamknęła mnie w pokoju i zabroniła wychodzić. Uciekłam z Brooklynu i przestałam być miłą żydowską dziewczyną. Zaangażowałam się do zespołu girlasek jadących do Berlina.

Tańczyłam, piłam alkohol, brałam kokainę i kochałam się z mężczyznami. Wtedy spotkałam lorda Marlowe'a, który oswoił tę dziką dziewczynę i pokazał jej piękno życia, sztuki, muzyki i erotyczny świat dominacji i uległości. Nie dbał o moją przeszłość i pochodzenie.

Wprowadził mnie jako lady Eve Marlowe na salony, w których bywali artyści, podróżnicy i intelektualiści. Byłam lady Marlowe dla jego przyjaciół, ale nie dla mojej matki na Brooklynie.

Dla niej byłam martwa.

Odbyła po mnie tradycyjną siedmiodniową żałobę zwaną shiva - nie wychodziła z domu i modliła się - a teraz, niezależnie od tego, co bym robiła, dla niej byłam martwa. Już nigdy się do mnie nie odezwie. Musiałam ten fakt zaakceptować. I zrobiłam to. Pochowałam Esther Jakobs, zdecydowana nigdy jej nie wskrzeszać.

Teraz rozumiesz, drogi czytelniku, czemu dręczą mnie wyrzuty sumienia, że nie pomogłam młodej

Żydówce w Port Saidzie. Zdradziłam ją jak Judasz. Wyparłam się własnego dziedzictwa. Tylko jedna osoba zna prawdę.

Maxi.

Muszę uważać, kiedy się spotkamy. W dzisiejszych czasach nie sposób odróżnić sprzymierzeńca od wroga, bohatera od zdrajcy. Nagle czuję wilgoć na twarzy i płacę, by rozładować napięcie, w którym żyłam przez ostatnie dni. Jak daleko odeszliśmy od owych czasów, gdy w długich skórzanych płaszczach wyprawialiśmy się na awanturnicze eskapady po najbardziej zakazanych lokalach Berlina. Maxi odkryła, że jestem Żydówką, gdy kierowana sentymentem zaciągnęłam ją do synagogi przy Fasanenstrasse (potem spalonej w czasie Nocy Kryształowej).

Determinacja, by nie zaprzepaścić mojej misji, zmusza mnie do nadzwyczajnych wysiłków. Powinnam też przyspieszyć tempo opowieści, bo mam zaledwie parę dni na skończenie pamiętnika, a będę opisywać okres szczególnie obfitujący w ważne wydarzenia -

można by nimi obdzielić żywot kilku osób. Jest tam erotyzm, napięcie i historia degradacji, jakiej nie chciałabym już nigdy doświadczyć.

Wyobrażam sobie, jak przerzucasz kartki i czytasz, pijąc kolejną kawę i wypalając kolejnego papierosa. Chcesz wreszcie poznać tajemnicę perfum Kleopatry. Wiem, zostawiłam cię w zawieszeniu, drogi czytelniku, oszołomionego i pełnego podejrzeń, czy rzeczywiście jestem przy zdrowych zmysłach. Zniknęłam w momencie, gdy podnosiłam do ust filiżankę z zatrutą herbatą.

Tak, zatrutą.

To jedyne wyjaśnienie mojego zniknięcia. Bezwonna i bezbarwna trucizna.

Podejrzewam, że Laila posłużyła się winianem antymonu, zwanym też emetykiem.

Przechowywała go w domu wśród innych chemikaliów i używała przy renowacji artefaktów, gdy trzeba było przykleić świeżą pozłotę.

Zastanawiam się, co zrobiłaby z ciałem. Prawdopodobnie wmówiłaby policji, że popełniłam samobójstwo, niepokieszona po tragicznej śmierci kochanka. Ale to nieistotne.

Wezmę cię teraz z powrotem do Kairu, do tego momentu, gdy rozplynęłam się w powietrzu.

Wciągnij w nozdrza zapach perfum i poddaj się sile wyobraźni. Każde moje słowo jest prawdą. Uwierz.

Pochłonał mnie obłok niezwyklej woni, kompozycja, w której można było odnaleźć pikantne korzenie, jaśmin, różę, cynamon, goździki, nard i coś jeszcze, czego nigdy nie zdołałam zidentyfikować, a co nastrajało tak euforycznie, że było mi wszystko jedno, czy czuję, widzę, słyszę i smakuję. Zatraciłam się w oszalamiającej przyjemności wachania, zapomniałam o strachu, zmartwieniach i obawach. Perfumy pozbawiły mnie wszelkich innych zmysłów, choć miałam świadomość, że nie otacza mnie ciemność, ale tkwię w snopie światła. To była niezwykła światłość,

jaskrawa, intensywna, niepodobna do niczego, co znałam w naturze, a jednocześnie żywa i drgająca przed moimi oczyma jak płynne srebro.

Pośpieszyłam w głąb światła. Było tak, jakbym wiedziona odurzającą wonią i chroniona niewidzialną zasłoną, przekroczyła bramę do innego wymiaru, gdzie już nic mi nie groziło. Wszystko to działo się w ułamkach sekundy. Przez chwilę zagubiłam się w labiryncie, w którym czas był tylko innym wymiarem przestrzeni, ale prowadzona niepowtarzalnym aromatem perfum znalazłam się nagle...

Wylądowałam na ziemi tak ciężko, że przez chwilę odjęło mi dech i pomyślałam, że mam złamane żebra, ale w rzeczywistości nie było żadnych ubocznych skutków ucieczki przez mistyczne wrota. (Ból w boku uświadomił mi tylko, że odzyskałam władzę nad zmysłami). Stałam na równe nogi, potrząsnęłam głową, jakbym w ten sposób mogła pozbyć się odgłosu młotów walących mi pod czaszką. Przed oczyma miałam mozaikę pomarańczowych, czerwonych, brązowych i żółtych plamek, które nagle połączyły się, tworząc wyraźny obraz. Złotnik wyklepywał srebrny talerz, nadając mu kształt. Rozpoznałam to miejsce. Khan Al-Khalili. Długie rzędy wąskich uliczek z małymi sklepikami po obu stronach. Lord Marlowe i ja kupowaliśmy tutaj biżuterię, piękne okazy lapis-lazuli oprawione w złoto. Nagłe pojawienie się białej kobiety przyciągnęło uwagę tłumu gapiów: rozgadanych mężczyzn w luźnych szatach, ciekawskich małych chłopców, kryjących się z tyłu kobiet w burkach. Żadnych turystów. Tym lepiej, bo jak miałabym wyjaśnić im nagłą materializację kobiety z krwi i kości z tumanu żółtego pyłu na staromiejskiej uliczce?

Łamaną arabszczyzną wyjaśniłam, że czuję się dobrze. Kiedy odchodziłam, za moimi plecami rodziła się nowa miejska legenda o jasnowłosej Angielce, która pojawiła się między kramami jak dżin szukający swojej lampy.

Przez chwilę błądziłam uliczkami, aż w pewnym miejscu mocny zapach drzewa sandałowego i wonnych korzeni przyprawił mnie o duszności. Przystanąłam, pewna, że znów grozi mi niebezpieczeństwo. Dopiero po chwili zorientowałam się, że trafiłam do tej części bazaru, w której handluje się przyprawami. W tym mieście, wypełnionym bogactwem różnorodnych zapachów, nigdzie nie zaznam spokoju. Perfumy odcisnęły piętno na mojej psychce. Każdy intensywny zapach będzie mnie wprawiać w popłoch. Muszę wyjechać z Kairu.

Miałam jeszcze jeden powód do obaw. Laila. Pewnie się zastanawia, w jaki sposób wymknęłam się z jej domu, skoro jedyne wyjście było strzeżone przez dwóch Maurów.

Niedługo się domyśli. Wyobrażałam sobie, jak rozważa różne warianty i zostaje z jednym -

perfumy. Moje zniknięcie przekona ją, że magia perfum nie była dziwacznym wymysłem bajkopisarzy. Już raz próbowała mnie zabić. Nie wątpiłam, że spróbuje ponownie.

Złapałam dorożkę do hotelu, spakowałam się i wróciłam do Londynu pierwszym lotem. Przyznaję, użyłam swoich wpływów, by dostać bilet. Niewielki to grzech, zważywszy na powagę sytuacji. I Chuck. Nie mogłam przestać o nim myśleć. Lotnik zamknięty w ciasnej celi był jak ptak ze złamanym skrzydłem; w dodatku wierzył, że zdradziła go kobieta z tytułem, lecz bez skrupułów.

W ciągu najbliższych miesięcy nie przestałam walczyć o uwolnienie Chucka.

Łudziłam się, że Laila nie ma do mnie dostępu w moim bezpiecznym świecie. Teraz wiem, że stać ją było na wszystko, dosłownie na wszystko, by się na mnie zemścić i ukraść perfumy.

A ty, drogi czytelniku, do czego ty byś się posunął, by osiąść moc zawartą w perfumach Kleopatry?

17

Londyn

27 września 1939 r.

Kiedy jesienią wróciłam do Londynu, dostrzegłam najbardziej absurdalną zmianę, jaką można by wymyślić. Pani Wills zajęła się robótkami na drutach. Kobieta o żelaznej sile charakteru, nigdy nieokazująca emocji, teraz migąła drutami, mrużąc pod nosem: „Jedno nabierz, jedno spuść”, podczas gdy razem przeglądałyśmy domowy budżet. Żywiła irracjonalną obawę, że jeśli rząd nie zwiększy krajowej produkcji żywności, umrzemy z głodu ze względu na drastyczny spadek importu. Skutki długotrwałej głodówki mogą być nieprzyjemne, dowodziła, powołując się na zrujnowany system trawienny pewnego dżentelmena, który w obozie jenieckim podczas pierwszej wojny żywił się wyłącznie rzepą.

Posłusznie nawijałam na rozstawione dłonie wełnę w patriotycznym kolorze stalowego granatu (jak mundury lotników z RAF-u), kiwałam głową i puszczałam mimo uszu utyskiwanie mej towarzyszki na temat rzep i brukwi.

Woń perfum otaczała mnie tajemniczym ochronnym obłokiem. Każdego ranka nabierałam maść na palec i wcierałam ją między udami. Stało się to nawykiem, jak dopięcie ostatniego guzika. Jeśli nawet moje przeżycia były iluzją, to nie próbowałam z nią walczyć, tylko zaakceptowałam jako część swojego duchowego skarbcza.

Nie zaniechałam monitorowania sprawy Chucka. Złożyłam liczne wizyty w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, naciskając na wysoko postawionych urzędników państwowych, by zaangażowali się w uwolnienie Amerykanina z egipskiego więzienia.

Pewien arystokrata, przyjaciel lorda Marlowe'a, którego nazwisko pominę, zapewnił mnie, że przyjrzy się tej sprawie (otaczał mnie dyskretną opieką, gdyż obiecał to memu zmarłemu mężowi), ale usilnie prosił, bym nie wyjeżdżała za granicę bez omówienia z nim swoich planów. Przystałam na to bez oporu, zwłaszcza że i tak nie zamierzałam opuszczać Anglii.

Nieważne, co myślał o mnie Chuck Dawn, po prostu nie mogłam pozwolić na niesprawiedliwe oskarżenie i uwięzienie mojego wybawcy.

Ministerstwo przygotowało operację pod przykrywką i zorganizowało ucieczkę pilota.

Akcję przeprowadziły brytyjskie służby specjalne, SIS, przy pomocy Czecha, podwójnego agenta. Chuck nigdy się nie dowie, jakie były prawdziwe okoliczności jego ucieczki i jaką rolę odegrałam w

jego uwolnieniu, choć mogę o tym szczerze napisać w pamiętniku.

Zapewne wrócił do Ameryki, daleko od niebezpieczeństwa, i za to jestem wdzięczna losowi.

Będzie mi brakowało jego poczucia humoru i, jak by to ująć, intensywności charakteru. Miał duże poczucie godności i ogromną pewność siebie, a takiej mieszance nie potrafiłam się oprzeć. Teraz byłam zdecydowana uznać Kair za rozdział zamknięty i prowadzić w Londynie żywot odpowiedni do pozycji społecznej lady Marlowe. Jednak zawsze można pomarzyć, prawda?

Odzyskiwałam równowagę w towarzystwie pani Wills. Świetnie się przystosowała do nowej sytuacji i nic nie było w stanie wytrącić jej z równowagi, nawet wisząca nad nami groźba racjonowania sprzedaży odzieży. Jej garderoba, w której przeważały szarości i brązy, spódnice sięgały za kolana, buty miały rozsądny, płaski obcas, z pewnością nie odczuje różnicy. Ale najbardziej ceniłam sobie jej specyficzne poczucie humoru.

- Wysłałam list do „Timesa” z zażaleniem, że od wybuchu wojny trudno jest kupić przyzwoity papier toaletowy - opowiadała wszystkim, od listonosza po kucharkę. - Czy da pani wiarę? Odpowiedzieli mi! Zapewnili, że zwrócą się z tą kwestią bezpośrednio do Hitlera.

Była bardzo niezależną osobą, co w niej szanowałam, i inteligentną towarzyszką życia. Nigdy nie naśladowała nudnych, konwencjonalnych sekretarek, których wszędzie pełno. Na moją prośbę zrezygnowała z podjęcia pracy w zastępstwie jakiegoś zmobilizowanego żołnierza, co robiło w tej chwili wiele kobiet w Wielkiej Brytanii (roznosiły pocztę, prowadziły autobusy, a nawet spawały), i zarządzała moim majątkiem, mieszkając ze mną w Londynie. Pozostała aktywną działaczką ochotniczej służby kobiet, została nawet szefową grupy, która dziergała skarpety dla naszych żołnierzy. Dzięki niej moja księgowość była w nienagannym porządku, co nie było łatwe, bo od wybuchu wojny bez przerwy zmieniały się prawa i przepisy. Nasza wiejska posiadłość w Glynwyck, jak wiele brytyjskich dworów, została zarekwirowana na potrzeby armii. (Wyobrażam sobie, jaką minę zrobiłby lord Marlowe, gdyby odkrył, że jego wierny zarządca, Smitty, po każdej walce powietrznej osobiście usuwa z nienagannie przyciętych trawników łuski po nabojach do karabinów maszynowych). Osobiście zajęłam się przygotowaniem domu na przyjęcie żołnierzy, a zarazem upewniłam się, że dźwiękoszczelne „pokoje zabaw”, w których ojciec lorda Marlowe'a trzymał swoje bicze, pejcze i ławki do kar cielesnych, pozostaną zamknięte na cztery spusty i niedostępne dla ciekawskich.

A skoro mowa o grach erotycznych...

Coventry

30 grudnia 1939 r.

Tego roku pojechałam na święta do Coventry, biorąc z sobą panią Wills, a propozycja wywołała rumieniec na jej policzkach i znaczące chrząknięcia. Rzadko jej się zdarzało bywać w tej naszej samotni, choć znajdowała się zaledwie dwie godziny jazdy samochodem od Londynu. Żółte ściany z piaskowca i łupkowy dach. Okna z ośmioma szybami, które uwielbiałam, i piękny hol wejściowy.

Wielki salon, przepastna kuchnia, dwie sypialnie przylegające łazienką i odizolowana sypialnia małżeńska z własną łazienką, mieszcząca się nad pokojem bilardowym. Mogłam stamtąd podziwiać ogród pełen kwitnących krzaków, jednak teraz, zimą, bezlistne gałęzie przykrywała wilgotna mgła.

Podczas zwiedzania domu pani Wills ignorowała prywatne pokoje na piętrze, choć dobrze wiedziała o upodobaniach lorda Marlowe'a i nie ukrywała zadowolenia (a w każdym razie tak mi to przedstawił mój mąż), gdy ożenił się ze mną i odkrył we mnie wdzięczną towarzyszkę zabaw. Jak mi powiedziano, jego pierwsza żona była śliczną dziewczyną, łagodną i cichą, ale nie interesowały jej seksualne eksploracje. Po jej śmierci przez życie Jego Lordowskiej Mości przewinęło się wiele kobiet, jednak żadna z nich nie była tak spragniona wiedzy jak ja i nie okazała się tak pojętą uczennicą w trudnej sztuce dominacji i podległości.

Szczerze pragnęłam przywołać wspomnienia naszych pierwszych pobytów w Coventry z nieśpiesznym tempem tego miejsca i jego serdeczną atmosferą.

Pojechałam na przejażdżkę rowerową po brukowanych uliczkach, najpierw wzdłuż Pepper Lane, potem do biblioteki publicznej, gdzie czytałam na temat tych wszystkich cudownych miejsc, które zwiedzaliśmy z lordem Marlowe'em, i gdzie uzupełniałam obrazy, które jeszcze miałam pod powiekami, o książkową wiedzę. Odwiedziłam antykwariat na Earl Street, gdzie swego czasu kupiłam wiktoriański album, którego nigdy nie miałam okazji wręczyć memu mężowi. (Te wspomnienia wciąż wracają jak smętna melodia wypełniona łzami, ale ja muszę iść dalej). Mijałam salony bilardowe, do których często chadzał mój mąż, i jego ulubiony pub przy Paynes Line, który zwał się „Pod Dębem”.

Nie mogłam sobie odmówić popołudniowego seansu w kinie Globe na Primrose Hill Street. Mieliśmy zwyczaj przesiadywać tam w ostatnim rzędzie jak para studentów, a lord Marlowe korzystał z ciemności, by ścisnąć mnie za kolano lub pierś i skraść mi całusa.

Czułam się taka spokojna w Coventry. Wojna wydawała się nie mieć wpływu na miasteczko, które nie zmieniło się od czasów, gdy jego ulicami przejechała lady Godiva - nago, okryta tylko płaszczem włosów - aby zmusić swego męża do obniżenia podatków nałożonych na mieszczan. (Słyszałam plotki, że miasto zamierza wystawić pomnik swojej dobrodziejce). Tu nie mogło się zdarzyć nic złego.

Myśli stają się coraz bardziej chaotyczne, gdy wspominam swoją trzeźwą wizytę w Coventry (na ten okres odstawiłam kokainę, więc, jak widzisz, drogi czytelniku, miałam na to dosyć charakteru, ale w Londynie brakowało mi silnej woli). Pobyt w naszym domeczku sprawił mi wiele radości (zdrobnienia używam jako figury retorycznej, bo w rzeczywistości budynek był wielki i przestronny). Pokój na piętrze, w którym przechowywaliśmy nasze

„zabawki”, wyposażony był w judasze w ścianach oraz otwory ukryte za maskami karnawałowymi z Wenecji, przez które lord Marlowe mógł mnie podglądać.

Przywiązana do krzesła, z opaską na oczach.

Jedwabny szkarłatny sznur obluzował się trochę i mogę wyciągnąć rękę.

Próbuję się dotknąć między nogami, ale nie sięgam, bo ramiona też są skrępowane.

Szamocę się, więzy stają się coraz luźniejsze.

Próbuję się oswobodzić...

I dotykam sromu koniuszkami palców.

Wsuwam w siebie jeden palec, dwa, pocieram łechtaczkę, aż zaczyna rozkosznie piec, a temu wszystkiemu przygląda się lord Marlowe.

Mój małżonek dzielił się ze mną przemyśleniami na temat uległości w powściągliwy, inteligentny sposób, bez pośpiechu i dyskretnie, stopniowo zanurzając mnie w swoim świecie.

Na nic się zdał nacisk opinii publicznej, byśmy się wstydzieli z powodu dzielącej nas różnicy wieku i klasy społecznej. W naszym azylu w Coventry miłość wzrastała w nas i rozkwitała.

Jej wyjątkowa sensualność płynęła z absolutnej szczerości i dosadności, z którymi komunikowaliśmy sobie swe potrzeby, w połączeniu z delikatnością i empatią - nagość emocjonalna w parze z fizycznym ekshibicjonizmem. W każdej sytuacji. O każdej porze.

Ulubiona gra lorda polegała na tym, że musiałam być bezustannie gotowa na seks, niezależnie od tego, czy byłam podniecona, czy nie. Musiałam się sama przygotować na przyjęcie jego penisa. Penetrował mnie regularnie, bez ostrzeżenia, niezależnie od pory dnia czy nocy i moich aktualnych zajęć. Jakże mi brak tamtych dni.

Magia naszej samotni zadziałała znowu, gdy zaczęło padać. W mgnieniu oka unicestwiła postanowienie, by nie odtwarzać szczegółów innej małżeńskiej gry; płynne palce deszczu stukające w okiennice były jak wezwanie, któremu nie potrafiłam się oprzeć. Nie zdradziłam się przed panią Wills. Nie zrozumiałaby. Zostawiłam ją w salonie z drutami w rękę i poszłam na paluszkach na górę. Świetnie wiedziałam, gdzie znaleźć to, czego szukałam. Weszłam do pokoju ze ścianami wyłożonymi boazerią, usunęłam drewniany panel znad kominka i westchnęłam na widok czarnego pudła na kapelusze przewiązanego białą wstążką. Otworzyłam je trzęsącymi się rękami i wyciągnęłam szkarłatny sznur. W powietrzu unosił się ledwie rozpoznawalny zapach mych słodkich soków i zmysłowej przyjemności.

Przypomniałam sobie, jak lord Marlowe zrywał ze mnie majtki i stanik, żebym mogła rozciągnąć się nago na pluszowej kanapie, po czym wiązał mi ręce naszym ulubionym jedwabnym sznurem, a następnie przewracał na brzuch i smagał szpicrutą po gołym tyłeczku.

Piekący, przyjemny ból stymulował moje seksualne potrzeby, błagałam męża, by mnie wreszcie posiadał, ale miał wobec mnie inne zamiary. Kazał mi się rozłożyć na granatowym aksamicie, rozrzucić nogi, a sam kierował się do mego sekretnego miejsca, lizał i ssał jego spęczniałe wargi i małą zadziorną łechtaczkę schowaną w swoim gniazdku.

Nie, drogi czytelniku, nie miałabym odwagi powiedzieć o tym pani Wills. Ale wiem, że ty mnie rozumiesz.

Londyn

Od 18 lutego do początków września 1940 r.

Po powrocie do Londynu czułam się jeszcze bardziej samotna i próbowałam zwalczyć niepożądane uczucie w jedyny sposób, jaki znałam: przez seks. Postanowiłam, że nigdy więcej nie zaangażuję się w te sprawy sercem i duszą. To luksus, na który mnie nie stać.

Seksualne eskapady utrzymywałam w tajemnicy, dobrze wiedząc, że pani Wills skarciłaby mnie za dobór podejrzanych kompanów, zwłaszcza podobnych do mnie amatorów białego proszku. Trzeba pamiętać, że w tym okresie londyńczyków ogarnęła prawdziwa gorączka miłosna. Nie masz pojęcia, z jakim szczenięcym entuzjazmem młodzi lotnicy bili łożkowe rekordy, by chwilę później meldować się w swoich jednostkach i wyruszać na misje bojowe w głąb terytorium wroga, bombardować niemieckie rafinerie i zakłady zbrojeniowe, fabryki samolotów, kanały i mosty oraz fortyfikacje wojskowe. Starsi panowie również chcieli udowodnić sobie, że nadal płonie w nich ogień. Z tego właśnie powodu spędziłam uroczy weekend w domu pewnego emerytowanego wyższego oficera, konsultanta w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a prywatnie zapalonego nudysty. Po wieczorze spędzonym na pokerze i szachach przyłapałam go rano w kuchni, gdy na golasa wydawał polecenia swemu lokajowi.

Był czarujący.

W moich flirtach i schadzках zdecydowanie ważniejsze było poczucie bliskości z drugim człowiekiem czy potrzeba zapomnienia na chwilę o ciężkich czasach, niż czysty seks, który był raczej środkiem do celu niż celem. Uważałam, że jestem wyzwoloną kobietą poszukującą przygody i nieco perwersyjnych przyjemności. Nie chciałam widzieć, że w rzeczywistości jestem obolała i bezbronna. Brałam, co chciałam, kiedy chciałam i od kogo chciałam z arogancją królowej, która przyzywa do łożnicy kapitana straży, by ją zadowolili.

Trawił mnie wewnętrzny głód, pragnienie, żeby ktoś wreszcie wypełnił ssącą pustkę. Byłam podła, sarkastyczna, zachłanna i egoistycznie brałam od innych, nie myśląc o ich potrzebach.

Tak, drogi czytelniku. Popelniałam błędy, których nigdy nie zapomnę. Pamiętam młodego Australijczyka z pięknymi niebieskimi oczami i niesamowitym talentem do pieszczot oralnych. Dzwonił do mnie lub wpadał niespodziewanie, przynosząc całe naręcza żonkili. Pewnego dnia pojawił się z większym niż zwykle bukietem, przechwalając się, że w powrotnym locie miał pewne trudności i RAF wpisał go na listę „zaginionych w akcji”, a tymczasem, patrzcie ludzie, jest żywy, gotów upić się do nieprzytomności i całować moje nagie ciało do samego rana. Kiedy się nie pojawił tydzień później, zażartowałam w towarzystwie grupy młodych pilotów, że Australijczyk znowu bawi się ze mną w chowanego.

Nie, powiedział ktoś, zaatakowało go sześć messerschmittów, udało mu się zestrzelić jeden, zanim sam roztrzaskał się o ziemię. Już nie wróci.

Myślisz, że się rozplakałam? Nie umiałam. Jakbym cierpiała na zanik emocji. Tego dnia nie

sięgnęłam po wspomagacze. Czekałam na ból głowy i rozdygotanie, ale nie czułam nic, tylko całkowite odrętwienie i smutek, który przenikał mnie do szpiku kości. Od tego czasu na widok żonkila w parku zawracałam i szłam inną drogą, jakbym w ten sposób mogła zignorować wojnę z jej przerażającymi konsekwencjami.

Teraz rozumiem, że arogancja była zbroją, która miała mnie uchronić przed zranieniem, podobnie jak powłóczyście suknie z białej mory, anielskie i niewinne, miały uwznioślić brzydotę wulgarnych flirtów. Pamiętam randkę z pewnym oficerem, który był tak zaabsorbowany śledzeniem strat brytyjskich sił powietrznych RAF-u, że nie czekał, aż wymotam się z wszystkich haftek i falbanek, tylko popędził do gazeciarza, by sprawdzić, jakie są najnowsze informacje z frontu. („RAF-Niemcy, wynik na dzisiaj: 58 do 21”). Zgłosił

się w swoim pułku, odgrządzając się głośno - niech mu lepiej Szkopy schodzą z drogi, bo dzisiaj sobie nie pociupciał i ma ochotę rozwalić parę głów.

Czy wspomniałam już, że nie żałowałam sobie kokainowych wzlotów? Nie byłam wyjątkiem, wielu londyńczyków szukało pociechy w narkotykach. Przed wojną ludzie z wyższych sfer sięgali po nie dla kaprysu, teraz kupowany nielegalnie środek pobudzający miał umożliwić przetrwanie kolejnych dni czy miesięcy w oczekiwaniu na koniec wojny.

Dziwisz się, gdzie dostawałam kokainę? Byłam sprytna, drogi czytelniku, najlepszy dowód, że udawało mi się utrzymywać w nieświadomości panią Wills.

Jak wiele kobiet z mojej sfery, zgłosiłam swój akces do pomocniczej służby wojskowej kobiet i początkowo wykonywałam nudną pracę biurową w ministerstwie, że nie wspomnę o konieczności znoszenia częstych wizyt lady Palmer, która z niezwykłą energią rzuciła się do organizowania pomocy dla potrzebujących. Narzekała też niemiłosiernie, że wojna zupełnie zniszczyła otwarcie tegorocznego sezonu wyścigów konnych w Ascot.

Wkrótce znalazłam sobie znacznie bardziej satysfakcjonujące zajęcie, w dodatku dające szansę na nowe kanały dostaw.

Zostałam kierowcą ambulansu.

Pracowałam w systemie trzymianowym: ośmiogodzinny dyżur, trwająca tyleż samo pełna dyspozycyjność (co oznaczało, że muszę się zgłosić do szpitala, gdy tylko odezwą się syreny alarmów przeciwlotniczych) i wreszcie osiem godzin wypoczynku. Miałam wolny co trzeci weekend. Wydawałoby się, że będzie mi trudno podporządkować się takiemu rygorowi, tymczasem rzuciłam się w wir pracy z entuzjazmem, jakiego nie czułam od lat. Nawiązałam kontakty towarzyskie ze współpracownikami (miłym zaskoczeniem było, że Flavia, córka lady Palmer, pracowała w szpitalu jako wolontariuszka Czerwonego Krzyża). Z dumą paradowałam w eleganckim mundurze WAAF, pomocniczej lotniczej służby kobiet. Może to głupie, ale wierzyłam, że nic złego mnie nie spotka, może poza brakiem jedwabnych pończoch i czerwonych szminek. (W kosmetyczce została mi ostatnia, jeszcze sprzed wojny).

Niestety, również mój zapasik kokainy był na wyczerpaniu.

Los zdawał się mi sprzyjać. Pewnego popołudnia, gdy wezwano nas do doków, zabrałam po drodze starego wiarusa z drewnianą nogą. Podczas gdy z tyłu ambulansu lekarz zajmował się robotnikiem portowym, rannym podczas przeładunku skrzynek z barki, wdałam się w rozmowę z przygodnym pasażerem. Zabawiał mnie opowieścią o ranach odniesionych na froncie, pielęgniarkach, które się nim zajmowały i morfinie, która niezawodnie usuwała ból. Niespodziewanie wtrącił aluzję o środku, który pozwala zwalczyć senność w czasie nocnych dyżurów. Otworzył przemyślną skrytkę w protezie i pokazał mi biały proszek. Ślina napłynęła mi do ust. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Wiedziałam, że ta droga prowadzi do autodestrukcji, ale nie było przy mnie lorda Marlowe'a, który by mnie powstrzymał. Już nie miałam odwrotu.

Kupował narkotyk od lekarza nadzorującego zakupy leków do szpitala. Kokaina była szmuglowana z innymi medykamentami, przechowywana w szpitalnej aptece i rejestrowana jako środek znieczulający. System ten funkcjonował jak dobrze naoliwiony zegarek.

Raz w tygodniu spotykałam się ze starym weteranem, za każdym razem w innym miejscu, i uzupełniałam podręczny zapasik. Wiedział o mnie tylko tyle, że prowadzę ambulans. Byłam w zakazanym niebie. Żyłam na haju, gdy tego potrzebowałam, a wolne dni przesypiałam. Nikt nie dostrzegł nic dziwnego w moim zachowaniu, oprócz...

Pani Wills.

Spytała, czemu mam takie podkrążone oczy, skąd nagłe skoki nastroju i nieprzytomne spojrzenie. Nabrała pewności, że znowu biorę, gdy po raz pierwszy nie zgłosiłam się na wezwanie. Mój przełożony zadzwonił do domu z awanturą i kazał mi przekazać, że służba wojskowa to nie jest piknik dla pań z towarzystwa. Przyparła mnie do muru. Musiałam się przyznać do potajemnych peregrynacji po całym Londynie, by kupić kolejną działkę.

Poprosiłam, by mnie kryła w razie ponownej wpadki.

Droga pani Wills. Błagała, bym poszła na odwyk. Odmówiłam. Panuję nad tym, zapewniłam ją. Przeżyłam już śmierć lorda Marlowe'a, niewierność Ramziego, odejście Amerykanina. Ogarnęła mnie nostalgia, niewyobrażalny wręcz smutek.

Trzech mężczyzn. Trzy miłości. Trzy obsesje.

Wmawiałam sobie, że sprostam tej sytuacji. Przetrzymam koszmarne bóle głowy, nieustające mdłości, obezwładniającą apatię i bóle mięśni. Dojdę do siebie, jak zwykle. Nic, co mówiła czy robiła pani Wills, nie było w stanie mnie zatrzymać. Nałogowiec musi znaleźć własną drogę do trzeźwości, wąską i krętą, często samobójczą, wypełnioną cierpieniem, ale będzie w stanie nią podążać dopiero wtedy, gdy jego duszę ogarnie chaos i śmiertelne zimno, gdy spadnie na samo dno i nie ma już innego wyjścia.

Wtedy przychodzą demony.

Nie upadłam tak nisko. Jeszcze nie.

I tak toczyły się dni. Nocne włóczęgi na zmianę z przewożeniem w karetce ofiar wypadków i pożarów oraz chorych dzieci. Prawdziwy punkt zwrotny nastąpił pewnej nocy między pierwszym a drugim aktem nudnej sztuki wystawianej w Queen's Theatre na West Endzie. Siedziałam w trzecim rzędzie między pewnym znajomym lorda Marlowe'a, wysokim urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nazwijmy go lordem X, a atrakcyjnym młodym kawalerzystą. Dyplomata zapytał od niechcenia, czy zamierzam wrócić do Stanów.

Odparłam, że nie. O wiele bardziej interesował mnie młody oficer, który bezceremonialnie i znacząco trącał moje kolano. Podobał mi się. Sir X wspomniał, że potrzebny mu ktoś z amerykańskim paszportem. Nic wielkiego, chodzi tylko o drobną przysługę, przekazanie banalnej informacji, podsłuchanie zwykłych rozmów. Kawalerzysta szeptał mi w tym czasie do ucha, że ma czerwoną pomadkę przeschmuglowaną z Paryża. Pytał, czy mam dosyć fantazji, by pozwolić mu na uszmkowanie moich sutek? Tak, powiedziałam głośno, a sir X uznał, że przyjąłam jego propozycję. Mruknął jeszcze, że wkrótce się odezwie.

W ten sposób, drogi czytelniku, zostałam zwerbowana. Stałam się agentką, jedną z wielu osób szkolonych do podróżowania po świecie i zwykłego podsłuchiwania wrogów.

Gdybym wiedziała, o co chodzi, odmówiłabym. Europę zalewały hitlerowskie hordy i nie miałam zamiaru nigdzie wyjeżdżać.

Jednak tamtej nocy myślałam o zupełnie innych rzeczach. Schroniliśmy się w pustej łoży, gdzie oficer nieśmiało wsunął mi rękę pod spódnicę, ale wkrótce dziarsko przystąpił do działania, gdy spotkał się z wilgotnym i ciepłym przyjęciem. Orgazmy przychodziły mi łatwo, tłumiłam głośniejsze westchnienia i jęki.

Finał zbiegł się z końcem trzeciego aktu. Opadła kurtyna.

Powinnam tu dodać, że Queen's Theatre został zniszczony w czasie bombardowań Londynu. Tak, tamtej nocy miałam na sobie perfumy Kleopatry. Wierzyłam, że ocaliły mi życie w Kairze i w jakiś sposób nadal mnie chronią. Nie wiedziałam tylko, że grozi mi coś innego niż bomby zrzucone przez Luftwaffe.

Laila.

Od kiedy uwierzyła, że perfumy kryją w sobie starożytną magię, przysięgła, że nie spocznie, dopóki ich nie odzyska. Ale nigdy nie dałabym wiary, do czego się posunie, gdybym nie spotkała Anny.

W rzeczywistości nazywała się inaczej, ale to imię musi nam wystarczyć na potrzeby tej opowieści. Nie zdradzę też, gdzie spotkałam tę czarującą łajdaczkę. Od początku uderzył

mnie jej spryt, jednak był on podszyty niepokojem, który trudno mi było zdefiniować. Jakby stale oglądała się za siebie, niepewna, co jej może grozić. Pośpiesznie przechodziła obok ludzi tłoczących się w kolejkach po bony żywnościowe, spuszczała oczy i kulila ramiona.

Mówiła po angielsku z uroczym obcym akcentem, dlatego uznałam ją za Szwajcarce lub Belgijkę,

choć miała w sobie pewną dzikość, która przywodziła na myśl zapach paczuli i ciężkich orientalnych perfum.

Szary kostium zwisał luźno na jej szczupłym ciele, włosy przykrywał fantazyjnie przekrzywiony beret. Mrużyła oczy jak osoba nieprzyzwyczajona do słonecznego światła.

Wydawała się zagubiona w Londynie, potrzebowała przyjaciółki, dlatego zaprosiłam ją na herbatę do kawiarni. Świetnie nam się rozmawiało o sztuce, muzyce i „radzeniu sobie”.

Powiedziałam, że niektóre wojenne ograniczenia wychodzą nam na dobre. Niedostatek ciemnych materiałów kontraktowanych na potrzeby armii usprawiedliwiał moją skłonność do przyodziewania się w biele. W dodatku, zwierzyłam się jej, nie ma nic przyjemniejszego niż flirtowanie z trzema przystojnymi oficerami jednocześnie. Wtedy Anna mruknęła nieśmiało, że w mundurze WAAF wyglądam niesamowicie atrakcyjnie. I czy zgodziłabym się jej pozować?

To mi pochlebiło. Zgodziłam się.

Od wyjazdu z Kairu nie szukałam kobiecego towarzystwa w celach seksualnych.

Musisz pamiętać, że Londyn był miastem, w którym człowiek pragnący urozmaicenia życia erotycznego częściej zadawał sobie pytanie: „Co powie na to służba?” niż „A co na to prawo?”. Z tego powodu na niegrzeczne gry i zabawy wybrałam taki dzień pod koniec lata, kiedy pani Wills wyjechała, by uzupełnić zapasy włóczki na skarpety, a kucharka i gospodyni miały wychodne. Zamierzałam przygotować lekki posiłek z cielęciny na zimno i sera (tygodniowe racje ograniczone były do kilku uncji) i poczęstować Annę, gdy przyjdzie zademonstrować szkice zrobione w kawiarni. Były rewelacyjne. Miękkie cienie, wiatr igrający z moimi włosami i filuternie zagląający pod sukienkę. Czy dobrze odczytałam jej subtelny propozycję?

Nie pomyliłam się.

Na moją uwagę, że mogę się przebrać w mundur i kontynuować pozowanie, szepnęła, że wolałaby mnie portretować w stroju Ewy.

Odświeżyłam się w łazience (kąpiel o tej porze dnia z uwagi na reglamentację wody była wykluczona, ale umyłam włosy) i zarzuciłam na siebie prześwitującą białą podomkę.

Powinłam była mieć się na baczności, gdy Anna powiedziała, bym nie używała sztucznych zapachów, żeby nie psuły mojego naturalnego świeżego aromatu.

Byłam pewna siebie, w końcu znajdowałam się w swoim domu w Mayfair, więc zgodziłam się wystąpić w całkowitym dezabilu. Upozowałam się na łóżku, a ona szkicowała moje sterczące piersi, smukłe ciało, białą szarfę, którą przewiązałam włosy, i długi sznur pereł

na szyi. Na palec wsunęłam pierścień z rubinem, prezent od Ramziego. Piłyśmy francuskie wino - restauratorzy i kupcy zdążyli zrobić solidne zapasy, zanim Niemcy weszli do Paryża.

Chichotałam jak pensjonarka, gdy na prośbę Anny zmieniałam pozy. Jej ołówek tańczył w powietrzu,

każdą kreskę stawiała pewnie i precyzyjnie. I była taka ładna z tymi swoimi smutnymi oczami i ciemną karnacją.

Zapraǳnęłam odkryć sekrety jej dziewczęcego ciała. Może byłam znużona nieustannym, ale emocjonalnie niesatysfakcjonującym zainteresowaniem ze strony tych wszystkich jurnych mężczyzn, zawsze gotowych na seks, ale obojętnych na potrzeby duszy?

A może miałam chęć na egzotyczne rozrywki, które podpatrzyłam w Kairze?

- Chciałabyś mnie dotknąć? - szepnęłam, z góry znając odpowiedź.

Kiwnęła głową, po czym gra nabrała przyśpieszenia. Jej usta rozpały we mnie pożądanie. Ciepły i delikatny kobiecy dotyk różni się od męskich pośpiesznych pchnięć jak niebo i ziemia. Jej westchnienia stanowiły echo moich. Wsunęła się między uda, całowała włosy na łonie i lizała łechtaczkę, wprowadzając mnie w stan na pograniczu snu i jawy. I choć nie miałam na sobie perfum, wiernie strzegących przed niebezpieczeństwem, ciemność zapadającej nocy pochłonęła podejrzenia i obawy.

Jednak nadal wyczuwałam pewną nerwowość i wahanie. Nie byłam gotowa na oddanie tej kobiecie pełnej kontroli. Przytrzymałam ją ręką za włosy i naprowadzałam na miejsca, które wymagały uwagi. Moja łechtaczka była szczególnie wrażliwa na poczynania giętkiego języka Anny, zakołysałam biodrami w doskonałej harmonii z narzuconym przez nią rytmem.

Zatrzymała się. Nie, nie teraz. Proszę. Gorączka mną trzęsła, byłam o krok od orgazmu i nie pozwolę go sobie odebrać.

Spocona, zdyszana, podparłam się na łokciach, by sprawdzić, czemu przestała. Nie wierzyłam własnym oczom. Mierzyła do mnie z pistoletu. W mgnieniu oka zrozumiałam.

- Na co czekasz? - spytałam z brawurą, o którą się nie podejrzewałam. - Zastrzel mnie.

- Ja... ale ja... - zająknęła się.

- Czego chcesz? Pieniędzy? Klejnotów? - Zdjęłam pierścień z rubinem i cisnęłam jej pod nogi. Potoczył się po dywanie, ale nie schyliła się po niego.

- Tak. To znaczy nie. - Zaczęła przeszukiwać moją sypialnię i garderobę. Przewracała flakoniki z kosmetykami, wyrzuciła zawartość kasetki z biżuterią, wreszcie otworzyła toaletkę i znalazła...

Perfumy Kleopatry.

- Tego chcę. - Poglaskała palcami alabastrowe pudełko z wyrytą na wieczku sylwetką egipskiej królowej. - Muszę je mieć.

I nagle zapadła się w siebie. Jakby tego wszystkiego było za dużo. Seksu, wina, dotyku, widoków, zapachu. Załamała się, zaczęła histerycznie szlochać i nie stawiała oporu, gdy wyjęłam jej pistolet z ręki. Jak mogłam być tak lekkomyślna? Wiedziałam, kto przysłał tę dziewczynę. Zabawne, wybrała

kobietę, by mnie uwiodła. Znała moje słabości lepiej niż ja sama.

- To Laila ci kazała?

Skinęła głowę. Zatrudniła ją muzułmanka z oczyma obwiedzionymi tuszem i wielkimi kolczykami. Wręczyła jej pieniądze i zaaranżowała przejazd do Anglii. Anna miała mnie uwieść, zamordować i ukraść biżuterię oraz szkatułkę z perfumami. Zabytek skradziony ze starożytnego grobowca, wyjaśniła Laila. Musi wrócić do prywatnej kolekcji Göringa.

- Miałam cię zabić i odwieźć egipski artefakt do Szwajcarii, skąd trafiłby pocztą dyplomatyczną do Niemiec. Ale nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam. Widziałam już za dużo śmierci.

- O czym mówisz? Jak właściwie dostałaś się do Anglii?

- Nocą, na małym rybackim kutrze.

- Skąd przybyłaś?

- Z Dachau.

Pani Wills wróciła z tobołami pełnymi wełny i odciskami na obolałych stopach i znalazła dom wypełniony detektywami ze Scotland Yardu. Zeznałam tylko, że zaprzyjaźniłam się z młodą kobietą, a ona próbowała mnie okraść. Zabrano ją do więzienia Holloway i zarejestrowano jako uciekinierkę wojenną. Dowiedziałam się, że była rumuńską Cyganką, ostatnią ze swojego rodu. Nauczyła się mówić wieloma językami, bo w czasie, gdy jej tabor koczował po całej Europie, zarabiała na życie, rysując portrety na jarmarkach.

Rzadko zdarzało mi się odczuwać tak intensywną bliskość wobec partnera seksualnego jak owego wieczoru z tą młodą kobietą. Walczyły we mnie sprzeczne doznania: miłość, ból i poczucie obopólnej zdrady. Posłałam ją do więzienia, ale nie miałam innego wyjścia. Tam przynajmniej nie wpadnie w łapy Laili. Nie znajdzie się na powrót w obozie koncentracyjnym, gdzie skrupulatna niemiecka administracja rejestrowała każdego więźnia, datę jego przybycia i śmierci (liczyła nawet wszy na jego głowie, jak się wyraziła Anna).

Mówiła o mordowanych i wrzucanych do ognia żydowskich dzieciach, o stosach nagich trupów mężczyzn i kobiet. Jeśli wpatrywałeś się dłużej, niektóre z nich mrugały oczami. Żyli jeszcze.

Annę przeznaczono do sterylizacji i eksperymentów medycznych. Ocaliła skórę, gdy komendant zorientował się, jak dobrze potrafi rysować. Jej szkice były dokładniejsze niż niejedna fotografia. A potem pewnego dnia obóz odwiedziła cudzoziemka. Ciemnowłosa kobieta z dyndającymi kolczykami.

Nie mogę winić Anny, że skorzystała z okazji wyrwania się z obozu. Mam nadzieję, że pewnego dnia będzie mogła w spokoju wrócić do swego przedwojennego trybu życia.

Dlaczego opowiadam ci to wszystko? Chcę, byś zrozumiał stan mego umysłu w tym czasie. Miotalam się między wściekłością a poczuciem winy, ale cóż mogłam zrobić? Byłam narkomanką. Kobieta

uzależnioną od seksu i kokainy, egoistyczną, odciętą od własnych korzeni, bez charakteru. Do tego popadającą w obłąd. Macki Laili sięgnęły do Londynu.

Kogo przyśle teraz?

Co ja mam zrobić? - zastanawiałam się gorączkowo.

Wiem, drogi czytelniku, że kierujesz się własnym rozumem przy ocenie tych melodramatycznych wypadków. Dodam tylko, że owego wrześnieowego wieczoru, nastawiając się na beztruską rozrywkę, byłam zaniepokojona, zdenerwowana i na pograniczu załamania nerwowego. Docierało do mnie wiele informacji z pierwszej ręki na temat prawdziwego oblicza tej przerażającej wojny: cierpienia, nienawiści, upokorzenia. Robiłam wszystko, by się od nich odgradzić.

Nie chciałam brać udziału w walce.

Lady Palmer starannie wybrała lokal na przyjęcie z okazji dwudziestych pierwszych urodzin córki. Zrobiła to w przypiływie nadmiernej egzaltacji, z którą uznała, że czas zignorować tę „dziwną wojnę” z jej powtarzającymi się co noc próbnymi alarmami lotniczymi, i przywrócić egzystencji przynajmniej pozory normalności. Dla lady Palmer oznaczało to zaplanowanie wystawnej uroczystości. Z pewnością wolałyby ją urządzić w luksusowym hotelu, jakimś „Grosvenorze” czy „Dorchesterze”, ale Flavia uparła się na podziemną restaurację na Piccadilly, drogą, elegancką i bardzo popularną. Jazz, niebanalny wystrój i świetne jedzenie. (Choć, prawdę mówiąc, w czasach wojennych ograniczeń niewiele było trzeba, by uszczęśliwić gości).

Byłam ciekawa, kto się tam pokaże, bo wielu bywalców salonów uciekło z Londynu z obawy przed bombardowaniami, które mogły się zacząć lada dzień. Czekanie działało wszystkim na nerwy, ale naród był zdeterminowany nie oddać Anglii w ręce faszystów.

Ja jednak czułam się wyalienowana, mechanicznie powtarzałam codzienne rutynowe zajęcia i nie byłam w stanie zmierzyć się z prawdą o sobie. W Kairze usiłowałam stworzyć mit oparty wyłącznie na seksie i poniosłam klęskę. Aby znaleźć miłość, która łączyła mnie z lordem Marlowe'em, muszę dać mężczyźnie szansę poznania mnie takiej, jaka jestem, ze wszystkimi wadami i zaletami. A ponieważ nie byłam w stanie tego zrobić, zostawało mi wciąganie kokainy i łudzenie się identycznym mirażem, jakiemu już raz uległam na Bliskim Wschodzie. Żyłam dla seksu i wojna niczego tu nie zmieniła.

Kiedy lady Palmer z córką wpadły na popołudniową herbatę i patrzyłam na twarz tej młodej kobiety rozświetloną młodością i nadzieją, świetnie rozumiałam jej potrzebę cieszenia się każdą chwilą. Pomogłam Flavii przekonać matkę do zorganizowania przyjęcia w Londynie. Nie wątpiłam, że panna Palmer chce spędzić ten wieczór w towarzystwie zabójczo przystojnego lotnika, z którym widziałam ją pewnego razu w nocnym lokalu.

- Niesamowity facet, pod Dunkierką miał na ogonie pięć messerschmittów, zestrzelił

dwa i wrócił cało - opowiadała.

Przyznam, słuchałam jej entuzjastycznych słów z odrobiną zazdrości. Na szczęście narkotyk stanowił błyskawiczne antidotum na smutek samotności, o wiele lepsze niż żołnierz odchodzący na front. Tylu młodych mężczyzn już nigdy nie wróci...

Cieszyłam się na przyjęcie urodzinowe Flavii. Włożyłam wieczorową suknię bez pleców, wspomnienie po przedwojennym luksusie arystokratycznych salonów. Chciałam rozgrzać do białości libido dżentelmenów, którzy słyszeli o mojej reputacji, a dotąd nie mieli szansy skosztować zakazanego owocu.

Dziękuję, drogi czytelniku, że cierpliwie wysłuchałeś detalicznego opisu tego roku, który skończył się nocą siódmego września, gdy niebo nad Londynem przesłoniło trzysta pięćdziesiąt niemieckich bombowców eskortowanych przez sześćset myśliwców, a powietrze wypełnił przeraźliwy ryk padających bomb.

Ta noc była początkiem „London Blitz” - wielomiesięcznych zmasowanych nalotów niemieckich, początkiem bitwy o Anglię, a jednocześnie końcem mojego dotychczasowego wykwintnego życia.

18

Londyn

7 września 1940 r.

Sobota, piąta po południu. Nikt nie zwracał uwagi na monotonne brzęczenie gdzieś w oddali, męczący szum w uszach, który traktowano raczej jak drobną uciążliwość niż ostrzeżenie. W restauracji w podziemiu kłębił się tłum, wiele osób miało przy sobie maski przeciwgazowe (ostatni krzyk mody, zgodnie z zasadą, że przezorny zawsze ubezpieczony).

Dziś nikt nie pamiętał o wojnie. To było przyjęcie urodzinowe, czas świętowania. W torcie waniliowym (na cieście marchwiowym, które nie wymagało cukru) tkwiły już świece, pudding i tarty z jabłkami zachęcały do skosztowania deseru jeszcze przed głównym daniem, na które przewidziano rybę i ziemniaki purée. W wysokich szklaneczkach z drinkami połyskiwały kostki lodu. Tego popołudnia przekroczyliśmy niewidzialną barierę, która odgradzała zwyczajne życie od świata wdzięku, elegancji, flirtów i seksu.

Oczekiwałam na tę noc, byłam podekscytowana jak młoda dziewczyna. W minionym roku rzucałam się z jednego zauroczenia w drugie, zmieniałam partnerów seksualnych jak rękawiczki, tłumiałam rozczarowanie, gdy czułam zapach obcych perfum na kłapach chwilowego kochanka, wpadałam w wir podbojów i cierpiałam z powodu wyrzutów sumienia. Takie były czasy, drogi czytelniku, wojna, nie zapominaj o tym.

Od nieudanego zamachu na moje życie zawsze wcierałam w skórę perfumy Kleopatry i zawsze miałam przy sobie w torebce ich niewielką porcję.

Wchodząc do lokalu, wpadłam na eleganckiego, starszego dżentelmena, który spytał

mnie uprzejmie, czy jestem szkolną koleżanką Flavii. Pochlebilo mi to. Skromnie spuściłam wzrok i

odpowiedziałam, że przyjaźnię się z jej matką. Nie mógł ukryć zdumienia, ale natychmiast zaproponował wspólne zjedzenie kolacji, jeśli jutro będę miała czas. Jak się okazało, był przyjacielem rodziny, Kanadyjczykiem, a do Londynu przyjechał w interesach.

- Sprawy dyplomatyczne? - spytałam.

Tylko lekko się uśmiechnął. Byłam już trochę wstawiona, więc pozwoliłam sobie na żarcik, że omal nie zostałam agentką naszego wywiadu.

- Co słyszę? Będzie pani szpiegiem, lady Marlowe? - zdziwiła się Flavia, która w tym momencie do nas dołączyła.

- Nie, moja droga, odmówiłam. Nie nadaję się na Matę Hari.

- Jest pani wystarczająco piękna, by nią zostać - odparła szczerze, czym mnie nieco zaskoczyła. Przeprosiła mojego towarzysza, że musi mnie porwać na chwilę i poprowadziła w kierunku długiej wyściełanej ławki stojącej pod lustrzaną ścianą. - I jest pani odważna.

- O czym mówisz, Flavio?

- Nigdy nie zapomnę, że odważyła się pani stawić czoło temu Egipcjaninowi w Port Saidzie i ustrzegła mnie przed zrobieniem największego głupstwa w życiu. Ocaliła mnie pani.

- I dość szczegółowo opowiedziała mi żalosalną historię swego erotycznego zauroczenia.

Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować.

- Flavio, nie ma powodu, byś do tego wracała.

- Zmarnowałamby sobie życie, gdyby nie pani - zaprotestowała energicznie. - Nie spotkałabym mojego Tommy'ego i nie byłabym teraz najszczęśliwszą osobą na świecie.

- Flavio, ja...

- Jestem pani dłużniczką - stwierdziła z przekonaniem. - Nigdy się pani nie wypłacę.

Te słowa jeszcze długo będą do mnie wracały, ale w tamtym momencie czułam się po prostu zakłopotana i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zmieniłam więc temat:

- Gdzie jest lady Palmer? - Nigdzie nie zauważyłam jej troskliwej rodzicielki.

- Mamusia wkrótce tu będzie. Przywiezie z sobą mój prezent urodzinowy. Wiem, co to jest - szepnęła mi do ucha.

- Doprawdy? - Lady Palmer kazała mi przysięgać, że dochowam tajemnicy, jednak, jak widać, ktoś inny nie utrzymał języka za zębami.

- Przyprowdzi Tommy'ego. Dostał specjalną przepustkę. W przyszłym tygodniu weźmiemy ślub. Już się nie mogę doczekać.

- Życzę wam obojgu dużo szczęścia - powiedziałam szczerze. Równocześnie poczułam coś, czego się nie spodziewałam. Zazdrość. Nie zazdrościłam Flavii, naprawdę cieszyłam się jej szczęściem. Poczułam jednak tak dojmującą potrzebę miłości, że nagle zalała mnie czarna rozpacz. Spadła ze mnie maska uwodzicielki w białym atłasie, a pod spodem była samotna, niekochana kobieta, która szukała sensu życia w białym proszku.

Gdy uściskałyśmy się, Flavia pochwaliła piękny zapach moich perfum. Spytała, gdzie można kupić flakonik, bo uwielbia takie orientalne kompozycje zapachowe, a jej narzeczonemu też się spodobała. Co miałam odpowiedzieć? Że mają dwa tysiące lat i należały do królowej Kleopatry? Może jestem sentymentalną idiotką, ale postanowiłam podzielić swój zapas na mniejsze porcje i podarować Flavii jedną z nich jako prezent ślubny.

Przecież moja egipska przygoda zaczęła się od tego, że Flavia straciła głowę dla przystojnego Egipcjanina.

Otworzyłam torebkę, zdecydowana dać jej pojemniczek, który nosiłam z sobą, ale mój wzrok padł na puderniczkę z kokainą. Musiałam wziąć działkę. Natychmiast.

Poprosiłam Flavię, by rozejrzała się i upewniła, czy lady Palmer nie dotarła w czasie naszej pogawędki. Gdy zasłoniła mnie przed innymi gośćmi, nabrałam szczyptę proszku na paznokieć i wciągnęłam głęboko. Efekt był natychmiastowy. Nagła euforia zastąpiła mi coś, czego nie miałam i nie mogłam mieć. Miłość mężczyzny.

Nie umiem wyjaśnić ówczesnego stanu mojego umysłu. Byłam niemądra, tchórzliwa, powierzchowna, całkowicie zdemoralizowana i niezdolna do autorefleksji. Liczyło się tylko, że jestem na haju...

Biały rozbłysk oślepił mnie, poczułam uderzenie w twarz, straszliwy ucisk na czaszkę i nagle zapadła ciemność. Ostatnie, co pamiętam, to był ogłuszający huk, niepokojący charkotliwy odgłos i eksplozja, która wyrzuciła w powietrze ławkę, na której siedziałam.

Potem zniknęłam.

Ocknęłam się na ziemi, wśród rzędów płonących domów, w robotniczej dzielnicy.

Tym razem otrząsnęłam się szybko i poderwałam na równe nogi. Wielkie jężory ognia lizały mury, żaden z budynków nie miał dachu, z kilku została sterta gruzów lub same zgliszcza, gdzie indziej sterczała samotna ściana z przyklejonymi do niej schodami prowadzącymi donikąd. Resztki starych, wysłużonych mebli i długich, blaszanych wanien walały się na chodniku. Nagle mnie tknęło. Wiedziałam, gdzie jestem. Tulip Street w Silverton, we wschodnim Londynie. W zeszłym tygodniu kupowałam działkę kokainy w pobliskim pubie.

Ruszyłam w kierunku doków, rozglądając się, nasłuchując, wachając. Nie czułam bezpośredniego

niebezpieczeństwa, ale sytuacja mogła się zmienić w każdej chwili. Miałam rację, wyszłam prosto na pub, a raczej to, co z niego zostało. Budynek był bez dachu, z drzwiami zatarasowanymi powaloną lampą uliczną.

Ogarnęła mnie panika. Byłam daleko od restauracji na Piccadilly. Perfumy mnie tu przeniosły. Biała suknia przypominała szmatę do podłogi, a ja byłam od stóp do głów oblepiona pyłem i sadzą. To znaczy, że bomba trafiła w lokal, w którym odbywało się przyjęcie...

Flavia.

Nie, dobry Boże, nie! Tylko nie to, nie ona. Nie wierzę. To niemożliwe. Rozpaczliwy krzyk uwiązał mi w gardle, wargi poruszały się, ale nie byłam w stanie wydobyć głosu.

Spokojnie. Muszę pomyśleć. Stała o krok ode mnie, zwrócona w kierunku sali, podczas gdy ja siedziałam na ławce i wciągałam kokainę z paznokcia. Zamierzałam posmarować perfumami jej przeguby, ale tego nie zrobiłam. Nie zrobiłam! Jedna, dwie sekundy, a Flavia byłaby ocalona, lecz ja widziałam tylko biały proszek, nie mogłam wytrzymać bez kolejnego niucha, bez narkotycznej euforii. Pozwoliłam, by degradujący nałóg mnie pożarł i zniszczył, a raczej zniszczył we mnie kobietę, którą kiedyś byłam. Mgnienie oka i znalazłam się tutaj, na ulicy. Perfumy mnie uratowały. To znaczy, że Flavia...

Zaczęłam wrzeszczeć histerycznie i nie byłam w stanie przestać.

Wciąż w szoku błądziłam po opuszczonych ulicach wokół portu. Cały horyzont rozjaśniała pomarańczowa łuna, tu i ówdzie przechodząca w czerwień. Przede mną palił się ogromny skład drewna. Ogień huczał tak głośno, że zatkałam uszy rękami. Ciemnymi ulicami przejeżdżały karetki, wymijając wielkie leje po bombach, wożąc do szpitala tylu rannych, ilu się dało pomieścić. Wkrótce ja także zawiązywałam bandaże, dźwigałam nosze, pomagałam wydostać z gruzowiska matkę z dwuletnim dzieckiem. Pracowaliśmy w śmiertelnej ciszy, jakbyśmy nie byli w stanie uwierzyć własnym oczom.

Pierwszy nalot bombowców na East End był dopiero początkiem koszmaru. Kiedy wybuchły pożary, samoloty wroga wróciły i rzuciły więcej bomb w te same miejsca, a szrapnele trafiały uciekających w popłochu mieszkańców. Głównym celem nalotu były tereny portu, jednak niektórzy piloci Luftwaffe najwyraźniej śpieszyli się, by jak najszybciej pozbyć się ładunku i uciec przed brytyjskimi myśliwcami, więc zrzucali bomby gdzie popadnie, nawet tak daleko od celu jak Tottenham w północnym Londynie.

Następna fala nalotów zaczęła się dwie godziny później. Jękliwy głos syren zabrzmiał

w moich uszach jak złowieszcze zawrośnięcie upiorów, a samoloty wychynęły z mroku niczym stado żądnych krwi furii, których nic nie powstrzyma w niszczycielskim szale.

Wróciłam do domu następnego dnia o świcie (nalot skończył się o czwartej rano).

Ratowałam rannych, wyjaśniłam pani Wills, mogłam też uratować Flavię, gdybym tylko nie była taką

beznadziejną egoistką, której mózg spopielił się w biały proszek. To wykluczone, upierała się, jak zawsze przejmując kontrolę nad sytuacją i owijając mnie w kokon rozsądnych, łagodnych słów, ale uparcie nawracałam do widzianych niedawno gruzów, pożarów i zniszczenia, do tego, co mogłam zrobić, a z powodu nałogu nie zrobiłam, i przez co młoda dziewczyna straciła życie.

Wyrwałam się z objęć pani Wills, łzy płynęły mi po twarzy, jakbym zmywała nimi cuchnącą truciznę, w której zanurzona była moja dusza, i jakbym dzięki temu oczyszczeniu wydostawała się z pułapki, w której się sama zatrzasnęłam. Pobiegłam na górę do sypialni, rozrzuciłam złożone w idealne kwadraty jedwabne pończochy i wydostałam ukrytą między nimi kasetkę z białym proszkiem. Jak wariatka szamotałam się z zamkiem, próbowałam go otworzyć, ale ręce za bardzo mi się trzęsły, a serce waliło tak szybko, jakbym miała za chwilę zemdleć. Mój demon starał się mnie powstrzymać, racjonalizował, przekonywał:

- Nie bądź głupia. Potrzebujesz narkotyku, jego stymulującej siły, zwiększenia wrażliwości na rozkosz, euforię orgazmu. Nie rób tego.

Nie będę słuchała diabelskich podszeptów w tym iluzorycznym raju. Nieważne, że moja dusza spłynie krwią, jakby chodziła bosymi stopami po kruszonym szkle. Położę temu kres.

Wpadłam do łazienki i wrzuciłam całą zawartość kasetki do kanalizacji, po czym spuściłam wodę. Już raz tego próbowałam, ale wtedy zostawiłam sobie rację na czarną godzinę. Teraz zniszczyłam wszystko. Stałam i patrzyłam, jak ostatni kryształek rozpuszcza się i znika w otchłani. Oto rozwiewał się transcendentálny sen, który był tylko złudzeniem, jak poemat bez rytmu i sensu. Całe moje życie było pozbawione sensu.

Rzuciłam się na łóżko i zaczęłam płakać. Płakałam i płakałam. Bez opamiętania.

Szpital St. Middleton

Na północ od Londynu

8 stycznia 1941 r.

Szpital St. Middleton mieścił się w palladiańskim dworze w sielskiej okolicy, na północ od Londynu. Samochodem można tam dojechać w godzinę. Posiadłość otoczona była nienagannie przystrzyżonym żywopłotem. Lśniące parkiety w przestronnych pomieszczeniach kusiły pacjentów do ślizgania się po podłogach, jakby byli jeszcze uczniakami. To ścigało na ich głowy surowe spojrzenia młodych pielęgniarek w dopasowanych szarych uniformach z wykrochmalonymi białymi kołnierzykami i w czepkach zasłaniających włosy. Spojrzenia, ale nie reprimendy, bo jak można strofować lorda, księcia czy członka parlamentu za ślizganie się po świeżo wyfroterowanej podłodze?

Szare anioły miłosierdzia krążyły wokół swoich pacjentów jak pszczoły wokół

kwiatów, jednak nie miały odwagi zbliżyć się do nich za bardzo z obawy przed uszkodzeniem resztek delikatnych płatków ich umysłu. Pograżeni w swoich czarno-białych światach ludzie zwierzali się

czasem pielęgniarkom, dlaczego tu trafili, ale większość z nich trwała w upartym samozakłamaniu.

To była dziwaczna zbieranina, drogi czytelniku. Wielu pacjentów należało do najwyższych sfer społecznych, kupowało narkotyki w zaprzyjaźnionej aptece i zażywało je za cichym przyzwoleniem otoczenia. Uzależnienie od opiatów traktowane było jako wstydlivy grzeszek klas uprzywilejowanych. Dopiero ostatnio pojawiły się sanatoria takie jak St.

Middleton, gdzie oferowano kurację, której nie mogła zapewnić rodzina. Tutaj odtruwano i leczono nałogowców.

Wiem o tym.

Byłam pacjentką.

Stałam w salonie przy wielkim oknie, obserwując, jak gwałtowna ulewa przechodzi w lekką mżawkę. Potem chmury odpłynęły i pojawiło się słońce, jednak już wkrótce zaniósło się na nowo, pociemniało i spadł kolejny deszcz. Pogoda małpowała moje nastroje. Bywało, że czułam się normalnie, a już za chwilę wpadałam w psychotyczne stany lękowe. Otaczała mnie ciemność, wysychało mi w ustach, nie byłam w stanie oddychać normalnie. Żyłam w nieustannym lęku. Widywałam obłąkane mnie robaki i podejrzanego indywidua, które towarzyszyły mi na każdym kroku. Obcy mężczyźni przywiązywani mnie do wezglowia, wcierali kokainę w moje genitalia, swędzenie doprowadzało mnie do szaleństwa, wiłam się w konwulsjach, ale nie byłam w stanie osiągnąć orgazmu. Halucynacje, złudzenia, ale dla mnie były przerażająco realne.

Jakże powoli upływały okrutne godziny, gdy pogrążona w żalu zalewałam się gorzkimi łzami. Opłakiwałam ludzi zabitych podczas bombardowań. Płakałam, bo nie wierzyłam, że kiedykolwiek stąd wyjdę i zaznam miłości mężczyzny. Byłam pewna, że mam załamanie nerwowe, ale okazało się, że jestem silniejsza, niż podejrzewałam. Brałam kąpiele parowe i solankowe, przyjmowałam lekarstwa o nazwach, których nie sposób wymówić bez zwichnięcia języka.

Lekarz namówił mnie na psychoterapię, czyli leczenie słowem. Nie będę traciła czasu na opisywanie wszystkich powodów uzależnienia, przecież już znasz moją historię. Mówiąc krótko, ponieważ jako dziecko nie zaznałam czułości fizycznej i akceptacji ze strony najbliższych, potem szukałam tego w seksie i łamaniu społecznych tabu. I właśnie w St.

Middleton, podczas wielotygodniowej terapii, odkryłam wreszcie, że jestem wartościowym człowiekiem godnym nazwiska i tytułu, które noszę dzięki szlachetności lorda Marlowe'a.

Moje życie wpadło w utarte koleiny i właśnie wtedy zaczęłam układać skomplikowane puzzle. Każdego dnia układanka powiększała się o nowe fragmenty, a przed moimi oczyma pojawiały się płatki, łydźki i waza, do której włożony był bukiet. Każdego dnia zmieniał się sposób, w który patrzyłam na własne życie, i słabło poczucie winy za śmierć Flavii, choć pamięć o niej będzie mi towarzyszyć do końca życia. Wciąż widzę w oczach lady Palmer to niewypowiedziane pytanie: „Dlaczego ty przeżyłaś, a moja córka zginęła?”

Nikt nie wiedział, co się ze mną stało po wybuchu bomby. Policja przyniosła pani Wills moją

torebkę i maskę gazową znalezione przez strażaków podczas odgruzowywania lokalu. Moja powiernica umierała ze zmartwienia aż do chwili, gdy pojawiłam się niespodziewanie następnego rana. Nie powiedziałam ani słowa o perfumach Kleopatry. Któż by uwierzył w taką historię? Nikt oprócz ciebie, drogi czytelniku. Co ciekawe, na początku kuracji straciłam powonienie, jakby perfumy już na mnie nie działały. Lekarz był zdania, że to efekt uboczny wciągania kokainy nosem i zapewniał, że wkrótce odzyskam wrażliwość na zapachy.

Czasem miałam potrzebę samobiczowania się i oskarżałam siebie o całe zło, które spadło na miasto podczas bombardowań. Nie mogłam przywrócić do życia Flavii ani żadnej z ofiar, ale w mojej głowie powstał pewien plan - plan, który wymagał odwagi i całkowitej trzeźwości.

Zamierzałam go zrealizować.

Gdy tylko skończę układać puzzle.

Lubiłam chodzić na spacer po zmroku, chociaż wysoki mur otaczający posiadłość i zamknięte bramy wejściowe nie dawały poczucia swobody, do jakiej byłam przyzwyczajona.

Na końcu żuźlowej ścieżki na tyłach szpitala zaczynała się zwykła polna drożyna prowadząca do lasu. Każdego dnia podchodziłam nieco bliżej, ale bałam się zapuszczać w smolistą ciemność czarnego labiryntu.

Po tygodniu podjęłam kolejną próbę. Tym razem mgła uniemożliwiła dalsze eksploracje, ale obiecałam sobie, że nie dam za wygraną. Po raz pierwszy od przyjazdu do St.

Middleton poczułam przyływ odwagi. Odzyskałam wiarę w siebie.

Dwa tygodnie później znowu podążałam ścieżką przed siebie. To był ważny dzień.

Stało się tak, jak przewidział doktor, a mianowicie odzyskałam zmysł powonienia. Ale stało się coś jeszcze, i to coś znacznie dla mnie ważniejszego. Skończyłam układać puzzle.

Musiałam uważnie obejrzeć każdy kawałek, tak jak oglądałam fragmenty swojego życia, i dopasować do pozostałych elementów, aby dopełniły się wzajemnie i stworzyły ukończony obrazek.

Nuciłam pod nosem melodię. Już się nie bałam. Zostawiłam St. Middleton za plecami, ale ciemność nie była ani ciemna, ani przerażająca. Znałam przyczynę. Wchodząc w las, zagłębiałam się w siebie.

Weszłam do labiryntu własnego umysłu.

I wyszłam bezpiecznie po drugiej stronie.

Coventry

Luty 1941 r.

Rządowa limuzyna przemknęła obok wielkiej wyrwy na środku ulicy. Wjeżdżaliśmy do centrum Coventry. Wyglądałam przez okno i nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Z

mojego ukochanego miasta zostały ruiny. Minęły niemal trzy miesiące od zmasowanego ataku Luftwaffe, gdy w wyniku dziesięciogodzinnego nalotu dywanowego zginęło sześciuset mieszkańców, legło w gruzach pięć tysięcy domów i dwadzieścia jeden fabryk. Najbardziej przynębiający był widok średniowiecznej gotyckiej katedry. Została z niej tylko skorupa, wokół której gromadzili się żałobnicy. Piętnastowieczna iglica i gołe mury stały się wstrząsającym symbolem tej koszmarnej nocy, kiedy z nieba spadło trzydzieści tysięcy bomb zapalających i skąpało miasteczko w oślepiającym białym świetle. Jakby z nieba spłynął

ogień piekielny.

Byłam zdumiona, jakie zwały czerwonego błota i rumowiska pokrywały drogi i ulice.

Wodociąg i gazociąg nie działały. W całym mieście ustawiono bariery blokujące ruch uliczny, ale ministerialny samochód przepuszczany był na specjalnych zasadach, z trzaśnięciem obcasami i wojskowym salutem. Naprawdę miałam szczęście, że przydzielono mi go wraz ze specjalnym zezwoleniem na zatrzymanie się w Coventry w drodze na północ.

Mijaliśmy kilka budynków poważnie uszkodzonych, nienadających się do zamieszkania. Kierowca zwolnił; powiedział, że mogą się zawalić pod wpływem najdrobniejszej wibracji. A jednak zauważyłam chudą staruszkę, która uwijała się w ruinach i zносиła do małego ręcznego wózka resztki swojego dobytku. Czajnik, łyżka wazowa, durszlak, książki, szmaciana lalka... Otarła pot chusteczką, a na mój widok uśmiechnęła się i pokazała znak V, symbol zwycięstwa. Jej hart ducha i odwaga są przykładem powszechnej w owych dniach postawy. Nigdy jej nie zapomnę.

Wstrzymałam oddech, gdy wjechaliśmy na odosobnioną uliczkę prowadzącą do mojego i lorda Marlowe'a azylu. Co mnie czeka? Czy zostało cokolwiek z tego okresu mojego życia? Śmiałam się i płakałam z ulgi na widok domu, który wyszedł z bombardowania obronną ręką, jedynie część ściany z tyłu domu była naruszona. Brakowało szyb w pięciu oknach, w kuchni, która najbardziej ucierpiała, wyrwane było całe okno z framugą. Gdzie indziej szyby strzaskane na kawałeczki trzymały się, bo były przyklejone do dużych płacht czarnego papieru używanego do zaciemnienia. Lecz dom ocalał.

Przypomniałam sobie, jak przyjechałam tu przed rokiem. Była to swoista pielgrzymka odprawiona z czysto egoistycznych powodów. Nie było już tamtej kobiety. Nie było tamtego świata. To prawda, trudno mnie stawiać za wzór obywatelskiej postawy. Lekceważyłam przepisy, koncentrowałam się na własnych potrzebach, traktowałam seks jak afrodyzjak przed wysłaniem naszych lotników do boju. Jednak teraz nadeszła moja kolej. Jestem gotowa służyć swemu krajowi.

Jeszcze jedną rzecz chciałam zrobić przed opuszczeniem ukochanej samotni. Weszłam na górę, do naszej bawialni, minęłam książki rozrzucone po podłodze, meble pokryte tynkiem, który osypał się z sufitów. Zdjęłam drewniany panel i wyjęłam ze skrytki pudło na kapelusze przewiązane wstążką. Jest. Nietknięte. Przytuliłam je do piersi, ale nie zajrzałam do środka. Na to przyjdzie pora, gdy skończy się ta koszmarna wojna. Do tego czasu szkarłatny sznur pozostanie w bezpiecznym schowku, razem z moimi wspomnieniami. Mam zadanie do wykonania.

Byłam gotowa na to, o co mnie poprosił sir X.

Zostanę szpiegiem.

19

Londyn

Marzec 1941 r.

Wybiegłam ze sklepu Dickins & Jones ze stosem pakunków, ale pod drodze do domu chciałam sprawdzić jeszcze jedno miejsce, gdzie kilka tygodni temu wypatrzyłam długą, praktyczną podomkę. Było to tuż przed wyjazdem z Londynu, do miejsca, którego nazwy nie podam, gdzieś w Anglii. Powiem tylko, że budowla przypominała średniowieczny zamek otoczony ze wszystkich stron rozległymi łąkami.

Tam uczyłam się być szpiegiem.

Przeszłam wszechstronne szkolenie, a mojej determinacji nie zmniejszył fakt, że mam tylko pięćdziesiąt procent szans na bezpieczny powrót. Uprzedzono mnie, że będę pracowała w pojedynkę, wspierana co najwyżej przez miejscowych agentów, a jeśli zostanę aresztowana, nikt nie przyjdzie mi z pomocą. Nie byłam jedyną kursantką, drogi czytelniku, okazało się, że płeć piękna ma predyspozycje do pracy w wywiadzie. Kobiety są rzadziej zatrzymywane do kontroli na terenach okupowanych przez wroga, sprawniej obsługują radiostację, mają więcej cierpliwości niż mężczyźni, gdy przychodzi przyczaić się i czekać na kontakt. Moja misja miała być banalnie prosta: zjeść lunch ze starą znajomą, coś od niej wziąć i przekazać to do centrali w Londynie. Żadnych więcej szczegółów i żadnych pytań. Im mniej wiem, tym lepiej, bo niczego nie zdradzę, nawet na torturach.

Z przyjemnością opowiedziałabym ci o nauce samoobrony czy alfabetu Morse'a, treningu w posługiwaniu się krótkofalówką, szkoleniu w kodowaniu i odszyfrowywaniu wiadomości oraz posługiwaniu się materiałami wybuchowymi, ćwiczeniach na strzelnicy i skokach ze spadochronem. Moje szkolenie obejmowało podstawy, gdyż nie byłam zawodowym szpiegiem, tylko „przyjaciółką lorda X”, która miała wykorzystać swoją pozycję społeczną do prowadzenia rozpoznania na tyłach wroga. Zapewne w czasach pokoju moja aplikacja zostałaby odrzucona ze względu na kurację antynarkotykową, którą niedawno przeszłam, ale to była wojna. Miałam nadzieję, że jeśli się dobrze spiszę, dostanę kolejną misję.

Ale najpierw muszę wrócić.

Czas najwyższy podjąć temat moich dzisiejszych zakupów. Skoro zamierzam udawać inną osobę, uznałam, że potrzebuję nowych ubrań. Miałam tak zwaną przykrywkę, czyli wiarygodny i w dużej mierze prawdziwy powód wizyty w Berlinie. Nie znałam tylko terminu wyjazdu, ale mógł nastąpić lada chwila. W stolicy Trzeciej Rzeszy miałam się posługiwać podrobionym paszportem amerykańskim, ale na własne, to znaczy panińskie nazwisko, Eve Charles, i odgrywać rolę zamożnej kobiety podróżującej dla przyjemności. Wybrałam sukienki pasujące do nowej tożsamości. Jeszcze

nie wiedziałam, że zostanę przemycona na terytorium wroga na kutrze, w męskim przebraniu i rybackiej kurcie z kapturem.

Tego zimnego marcowego popołudnia wyobrażałam sobie, że będę tajemniczą damą w granatowej garsonce z poszerzanymi ramionami i absolutnie uroczym kapelusiku, który wypatrzyłam u modystki przy Regent Street. Granatowy słomkowy kapelusik z bukiecikiem kwiatków, kokardkami i niewielką woalką.

Byłam tak zadowolona z nowego nabytku, że zdecydowałam się włożyć go na głowę dla dobrego nastroju. Może to głupie, ale zakupy nieodmiennie poprawiały mi humor.

Wszędzie wokół dawało się dostrzec oznaki wojny. Policjanci nosili hełmy, na ulicach wpadało się na zasieki z drutów kolczastych i sterty worków wypełnionych piaskiem, tu i ówdzie otwory okienne były zamurowane lub zabite deskami.

Sina mgła podniosła się z wilgotnej ziemi i zasnęła ulice. Woalka jeszcze bardziej ograniczała widoczność. W pewnym momencie napatoczyłam się na trzech lotników RAF-u wychodzących z baru. Byli bardzo hałaśliwi. I bardzo pijani. Chciałam ich ominąć, ale poślizgnęłam się i wylądowałam w ich ramionach. Rzucili się na pomoc, mimo że sami z trudem utrzymywali pozycję pionową. Pozbierali moje paczki, a jeden z nich przytrzymał

mnie, abym nie upadła.

- No, siostrzyczko, szczęściara z ciebie, żem cię złapał - wybełkotał.

Powiedziałam mu, że nie jestem jego siostrą i żeby lepiej trzymał łapy przy sobie. To wywołało radosny rechot jego kompanów. Mimo woli ja też zaczęłam się śmiać. Piloci z królewskich sił powietrznych znani byli z tego, że po szczęśliwym powrocie z misji pędzili do najbliższego baru, by się upić do nieprzytomności. Trudno ich było za to winić, przecież za każdym razem byli o krok od śmierci. Szaleńczo odważni ludzie, jeden w drugiego. Miło mi było zauważyć, że mój samozwańczy wybawca jest jankesem. Nie miałam żadnego ukrytego motywu, nie szukałam przypadkowych znajomości. Raz na zawsze zrezygnowałam z seksualnych eskapad i odstawiłam narkotyki, co więcej, od powrotu do Londynu praktycznie nie podtrzymywałam kontaktów towarzyskich.

Lord X zapewnił mnie, że jeśli nawet ktoś mnie obserwuje, to po traumie przeżytej w czasie pierwszych nalotów mój samotniczy tryb życia nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Nadal miałam koszmarne sny o Flavii i innych ofiarach (nie wspominałam wcześniej - szarmancki Kanadyjczyk również zginął podczas bombardowania). Od czasu do czasu składałam lady Palmer wizyty, jednak nie mogłam powiedzieć nic, co przywróciłoby jej córkę. Ale mogłam zrobić coś dla niej. I dla Anglii.

Filuterny kapelusik miał być moim przebraniem. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby, że osóbką z czymś takim na głowie może być szpiegiem. Lotnicy najwyraźniej uznali mnie za kokietkę i nalegali, bym weszła z nimi na jednego. Miałam nawet ochotę spełnić ich prośbę, choćby po to, by spytać jankesa, czemu się zaciągnął do brytyjskiej armii.

- Przyjechałem bić Szkopów tutaj - wyjaśnił - żebym nie musiał bronić się przed nimi w domu.

Gdy okazało się, że jest z New Jersey, przez moment kusiło mnie, by powiedzieć mu, że sama jestem z Brooklynu i też walczę za Amerykę (nawet jeśli jeszcze nie przystąpiła do wojny), ale obowiązywała mnie tajemnica. Nasza rozmowa zamieniła się w wesołe przekomarzanie, śmiałam się z ich nalegań i zapewniałam, że chętnie skorzystałabym z zaproszenia, ale wzywają mnie pilne sprawy, gdy nagle w drzwiach baru stanął wyższy rangą oficer, który najwyraźniej chciał sprawdzić, co zatrzymuje jego kolegów pod drzwiami lokalu. Stał jak wryty i spiorunował mnie wzrokiem.

Ja też patrzyłam z absolutnym niedowierzaniem.

Chuck Dawn.

A raczej powinnam powiedzieć:

Kapitan Chuck Dawn z RAF-u.

Byliśmy jak obcy sobie ludzie. Miałam ochotę rzucić mu się na szyję, ale akurat tego nie wolno mi było zrobić. Musiałam pamiętać o czekającej mnie misji, o pracy, którą już wykonałam, o tych wszystkich ludziach, którym mogłam ocalić życie.

- Czy moi ludzie panią zaczepiają, lady Marlowe? - spytał.

- Nie - odparłam szybko. - Potknęłam się na chodniku.

- Panie kapitanie, to fajna babka - wtrącił jankes. - Nie taka, jak te nadęte angielskie paniusie.

- Fajna, od czubka głowy po śliczną, różową... - Zawiesił głos. Jego podkomendnym szumiało w łepetynach, więc nie zauważyli dwuznacznej aluzji.

- Stare dzieje, kapitanie Dawn. Teraz mamy wojnę. - Nie chciałam, by się domyślił, co się ze mną dzieje.

- Kapitanie, zna pan tę damę? - upewniał się jeden z pilotów.

- Spotkaliśmy się w Kairze...

- W klubie sportowym Gezira, czyż nie tak? - skończyłam za niego. Nie chciałam publicznie roztrząsać mojej przeszłości.

- Oczywiście, lady Marlowe. - Zasalutował. - Świetnie pani sobie radzi bez mojej pomocy. Do zobaczenia.

Odwrocił się i odszedł w milczeniu z Regent Street... i z mojego życia.

- Chuck, Chuck! - zawołałam za nim.

Nawet się nie odwrócił.

To był moment iluminacji. Nieważne, jak bardzo bym się tego wypierała, pragnęłam Chucka z całej siły.

Ciemność wisiała nad miastem jak sieć, która za chwilę spadnie. Zrobiło mi się zimno ze strachu, gdy usłyszałam kroki za plecami. Ktoś za mną szedł. Schroniłam się w jakiejś bramie, gdy zawyły syreny alarmowe. Kolejny nalot. A już od paru tygodni był spokój.

Czasem wystarczał nagły dźwięk silnika samochodowego, a podskakiwałam ze zdenerwowania. Dzisiaj to nie był fałszywy alarm. Samoloty pojawiły się na niebie jak chmara strzał, ryczały nad głową. Powinnam uciekać do schronu, ale żadnego nie było w tej okolicy. Strach przed znalezieniem się na otwartej przestrzeni, gdy z nieba sypią się bomby, był większy niż strach przed uwięzieniem pod gruzami. Przykucnęłam w bramie opustoszałej kamienicy. Nie będę się bać.

Kwadrans później odgłosy zamilkły. Ruszyłam przed siebie, a moje kroki rezonowały głucho na opustoszałej ulicy. Coraz bardziej zdenerwowana przyśpieszyłam kroku. Byłam blisko domu. Jeszcze tylko kilka przecznic. Ciężły mi paczki, piekły podeszwy stóp. Po rozstaniu z Chuckiem nie miałam już ochoty na zakupy, tylko skierowałam się prosto do Mayfair. Czekałam na upragniony sygnał, że niebo jest czyste, ale alarm ciągle trwał. W

oddali zaczęły jazgotać baterie przeciwlotnicze. Niebo rozświetliło się od reflektorów wyłapujących z ciemności sylwetki bombowców. Nie słyszałam kroków za sobą, ale czułam czyjąś obecność. Ktoś mnie śledził. Nie zamierzałam dać się zastraszyć. Perfumy Kleopatry podsycaly odwagę, jak niegdyś pożądanie. Wiedziałam, że nic mi się nie może stać. Nie wiem, czy była to głupota, czy męstwo, ale odwróciłam się i ruszyłam na mojego prześladowcę. Szczerze powiedziawszy, drogi czytelniku, zrobiłam to, zanim zdążyłam się zastanowić.

- Czego ode mnie chcesz? - spytałam ostro.

- Musiałem cię jeszcze raz zobaczyć, Eve. Wziąć cię w ramiona.

- Chuck... - Westchnęłam z ulgą. I z czymś więcej. Po raz pierwszy od miesiący ogarnęła mnie fala radości na dźwięk swojego imienia wypowiedzianego przez mężczyznę.

Nie wiedziałam, jak długo to potrwa, ale cieszyłam się niemal zapomnianym, lecz jakże cudownym smakiem nadziei. - Dlaczego za mną szedłeś?

- Miałem przeczucie, że Szkopy nas dzisiaj odwiedzą. Chciałem się upewnić, że nic ci nie grozi.

- I to wszystko? - Czekałam na inną odpowiedź, na słowa, które naładują moje emocjonalne akumulatory, nie wspominając już o libido.

- Tak miło potraktowałaś moich chłopaków - powiedział po dłuższej przerwie. -

Przypomniało mi się...

Przerwał nam głośny dźwięk nad głowami przypominający przeciągły grzmot. Chuck przycisnął mnie do ściany budynku, jego twarde ciało osłoniło mnie, usta musnęły policzek, a gorący oddech poślaskotał ucho. Upuściłam paczki, zleciał mi z głowy kapelusz, ale nie schyliłam się, by go podnieść. Nie padło ani słowo, nie pocałowaliśmy się, jednak ta szczególna chwila miała smak grzechu i pożądania, pragnienia i zmysłów rozgrzanych do białości. Gdyby się odważył i sięgnął po mnie, odkryłby, że pod warstwami materiału jestem mokra i śliska, gotowa na niego jak nigdy dotąd. Tak bardzo chciałam poczuć na sobie jego ręce. Powinnam bać się nalotu, a myślałam jedynie o ciepłe i dotyku Chucka.

- Ich czy nasze? - spytałam szeptem.

- Czekaj chwilę. - Wsłuchał się w warkot przelatujących samolotów. - Nasze.

- Jesteś pewien? - Przytuliłam policzek do munduru, guziki przyjemnie drażniły mi piersi.

- Ich silniki mają charakterystyczny dźwięk. - Nie zdążyłam zadać kolejnego pytania.

Jego usta odnalazły moje, język wśliznął się do środka, wyszał ze mnie oddech. Ręce opadły nagle na pośladki i ścisnęły je zaborczo. - Chciałem się trzymać z dala od ciebie, Eve, ale nie potrafię. Kiedy prysnąłem z więzienia w Kairze...

- Uciekłeś? - spytałam, udając zdziwienie.

- Można tak powiedzieć - odparł ze śmiechem. - Zgadałem się z innym więźniem, cwany złodziejaskiem z Czechosłowacji. Namówił mnie na ucieczkę tunelem wykopanym dwadzieścia lat wcześniej, jeszcze w czasie poprzedniej wojny. Musieliśmy go odgruzowywać przez kilka tygodni, ale i tak mieliśmy podejrzenie dużo szczęścia. Nie wiem, jakim cudem przesznuł do więzienia plany. Chyba nie był człowiekiem, za którego się podawał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Założę się o miesięczny żołd, że miał wspólników, ludzi, którzy chcieli mnie uwolnić. Podejrzewam, że Brytyjczyków. - Przytulił mnie mocniej. - Myślałem, że możesz coś na ten temat wiedzieć.

- Ja? - Mam nadzieję, że brzmiałam wystarczająco niewinnie.

- Wiem, głupi pomysł. Co możesz mieć wspólnego z brytyjskim wywiadem? - Jego ręce poczynęły sobie coraz odważniej. - To już nieważne. Przytulam cię, czuję twoje perfumy...

- Skąd się wzięłeś w Londynie? - Musiałam odwrócić jego uwagę. Nie wolno mi narazić misji.

- Straciłem pracę w Imperial, wróciłem do Stanów, objąłem się po różnych lotniskach, ale nie byłem w stanie o tobie zapomnieć. Gdy usłyszałem, że Brytyjczycy werbują pilotów, zaciągnąłem się. Z radością wysadzę w powietrze Hitlera z całym jego Reichstagem, ale, nie ukrywam, miałem osobisty powód. Chciałem cię zobaczyć, Eve. Czuję, że źle cię oceniłem.

Przez wszystkie te miesiące szukałem cię i nie przestawałem wierzyć, że się jeszcze spotkamy.

Rozległ się dźwięk odwołujący alarm, ale nie poruszyliśmy się, a Chuck coraz śmieiej pieścił moje piersi przez jedwabną bluzkę. Jednak w mojej głowie wyła syrena. Zaskoczyło mnie, jak bliski był prawdy. Przypomniałam sobie surowy nakaz instruktorów, wielokrotnie powtarzany podczas szkolenia:

- Nikomu ani słowa. Chodzi o ludzkie życie.

Musiałam przekonać Chucka, że się nie zmieniłam, że jestem tą samą egocentryczną Angielką, którą znał w Kairze.

- Proszę cię, nie tutaj.

- Chodźmy do ciebie.

- Z przyjemnością, ale dziś wieczorem jestem umówiona z pewnym dżentelmenem - skłamałam gładko.

- Wobec tego jutro rano. Mam dwudziestoczwierogodziną przepustkę.

- Nie, Chuck. To się nie uda. Ty i ja. Widzisz...

- Widzę. Nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry. - Puścił mnie, ale nie poruszył się, jakby chciał zebrać myśli. W jego głosie nie było gniewu ani zawodu. Raczej zrozumienie, jakby wszystko nagle stało się jasne. - Co za kretyn ze mnie.

- Nic nie rozumiesz. Tu, w Londynie, wszystko się zmieniło. To inny świat. - Dlaczego wygadywałam takie rzeczy?

Potrząsnął głową. Policzek Chucka był tak blisko, że czułam jego ciepło.

- Nic się nie zmieniłaś, Eve. Jesteś jak zwykle piękna i jak zwykle... przebiegła. -

Podniósł mój kapelusz, otrzepał i podał mi. - Nic ci nie grozi. Już mnie nie potrzebujesz.

- Chuck...

- Do zobaczenia, lady Marlowe.

Stałam w ciemności, szarpiąc na strzępy woalkę i obrywając Bogu ducha winne kokardki. Przeliczyłam się, nie wzięłam pod uwagę, że dopadnie mnie moja przeszłość.

Poczułam gwałtowny ból głowy, duszności i obezwładniającą potrzebę zażycia narkotyku.

Trzęsłam się i płakałam, ale tym razem wygrałam z sobą. Rzuciłam przeklęty kapelusz na ziemię i

podeptałam go z furją. Muszę zapamiętać o Chucku Dawnie. Muszę być mocna.

Muszę wykonać zadanie.

Rozejrzałam się. Nie mogę stać tu w ciemności i czekać na powrót bombowców.

Muszę iść dalej. Muszę odnaleźć w sobie odwagę i wolę walki.

Tylko to mi zostało.

20

Berlin

28 kwietnia 1941 r.

Wydało mi się, że od ostatniego spotkania minęło parę dni, a nie dwa lata.

Uściskałyśmy się z Maxi i wycalowałyśmy z dubeltówki, choć nie byłam pewna jej prawdziwych uczuć. Zimne ręce byłej przyjaciółki skojarzyły mi się z chłodem w sercu.

Nadal nosiła męskie stroje, a ich ciężki i pozbawiony finezji krój dobrze pasował do stylu lansowanego przez Trzecią Rzeszę. Zmieniło się tylko to, że malowała usta czerwoną szminką. Zdziwiłam się, powszechnie było przecież wiadomo, że Hitler nie aprobuje makijażu u kobiet. Czy Maxi demonstrowała w ten sposób brak aprobaty dla militarnej taktyki Führera, czy też - wzorem wielu oficerskich żon - w imię kobiecej kokieterii pozwalała sobie na odrobinę nieposłuszeństwa?

Nie zamierzałam jej sądzić. Muszę też przyznać, że przestałam mieć do niej żal za jej zachowanie w Kairze. Na początku obarczałam ją całą winą, uważałam, że mi odbiła Ramziego, ale przecież trzeba wziąć pod uwagę osobowość Egipcjanina, jego skłonność do pobłażania sobie i folgowania zachciankom. W pewnym sensie ja też byłam winna, bo chciałam posiadać coś, co nie mogło należeć do nikogo: tego mężczyznę, z ciałem i duszą.

Szukałam seksualnego spełnienia w obcym świecie - chaotycznym, nieobliczalnym, niezrozumiałym - w ramionach człowieka, który oszukał nas obie. Oskarżanie o wszystko Maxi nie rozwiązywało sprawy. Teraz to rozumiałam i nawet chciałam jej powiedzieć, ale nie potrafiłam. Rozmawiałyśmy o nalotach. Obie bałyśmy się, że bombardowanie złapie nas pod gołym niebem, choć Maxi powiedziała, że gdy tylko zaczynają wyc syreny, pozostawanie na ulicach jest „verboten”, czyli zabronione.

Mówiłyśmy o inwazji Niemiec na Jugosławię i Grecję, o tym, że „Horcher”, gdzie się spotkałyśmy, nie żąda od klientów kartek żywnościowych i wreszcie o najnowszym pomysle na wyhodowanie rasy panów przez zachęcanie młodych kobiet z Hitlerjugend do utrzymywania stosunków seksualnych z elitą oficerów SS. Plotkowałyśmy jak pensjonarki, przeskakując z tematów poważnych na kompletnie absurdalne, bo nasza potrzeba ożywienia starych czasów i szczerego śmiechu była równie ważna, jak konieczność ukrycia prawdziwego celu tego spotkania. Bystry obserwator mógł dostrzec oznaki napięcia: bawiłam się serwetką, odchrząkiwałam, Maxi poprawiała makijaż, unosząc lusterko tak, by

rzucić okiem na salę za plecami. Grupa wojskowych zniknęła w prywatnym gabinecie z mężczyzną w garniturze, najwyraźniej biznesmenem. (Maxi powiedziała od niechcienia, że to prezes zarządu wielkiej huty stali).

Zastanawiałam się, jakie nikczemne plany knują w zaciszu gabinetu, rechocząc wulgarnie. Nie pasowali do tego eleganckiego miejsca z bordowymi ścianami, ciężkimi złotymi zasłonami, tapetami w delikatny kwiatowy wzorek i śnieżnobiałymi obrusami. Stoliki były ozdobione kryształowymi flakonikami z pojedynczymi chryzantemami i wysokimi czerwonymi świecami osadzonymi w złotych świecznikach.

- Ostatni ślad starego Berlina - zauważyłam. Pilnowałam się, by po pokrojeniu potraw przełożyć widelec do prawej ręki, jak robią to Amerykanie. Jakiś agent wpadł przez podobne głupstwo.

- Wszystko się zmieniło, Eve - stwierdziła z naciskiem Maxi. - Władza decyduje o wszystkich aspektach naszego życia, cenzuruje gazety, podsłuchuje rozmowy telefoniczne.

- Dlatego się tak pilnowałaś, gdy rozmawialiśmy przez telefon?

- Tak. Chociaż jestem pewna, że nikt nie wie...

W tym momencie to ja muszę wprowadzić cenzurę, drogi czytelniku, bo Maxi powiedziała coś, co stanowi tajemnicę państwową.

Zdecydowałam się wtajemniczyć ją w moje kłopoty finansowe. Przy tak sztywnych zasadach dotyczących wymiany pieniędzy moje zasoby szybko się wyczerpywały.

- To żaden problem, Eve - odparła ze śmiechem. - My, artyści, jesteśmy sowicie wynagradzani za głoszenie chwały aryjskich korzeni Trzeciej Rzeszy i umacnianie morale społeczeństwa. - Bez wahania wsunęła mi pod stołem do ręki zwitek banknotów i zupełnie niespodziewanie się rozkleiła. - Pieniądze nie mają znaczenia, kiedy... Czemu tego nie przewidziałam? Czemu? Miałam wszelkie przesłanki. Mogłam zmusić ojca do ucieczki za granicę, zanim trafił do obozu koncentracyjnego jako antyfaszysta. Teraz jest już za późno.

Nie żyje.

Czekałam na dalsze wyjaśnienia, ale zaczęła mówić pozornie na inny temat:

- Kiedy Hitler doszedł do władzy, w pobliskim teatrze publiczność zgotowała mu owację na stojąco, w kierunku jego łoża posypały się bukieciki fiołków. Jak wielu Niemców, ignorowałam to, bo wolno mi było dalej pracować. Więc przymykałam oczy i patrzyłam na świat przez obiektyw aparatu, aż nie mogłam dłużej udawać, że niczego nie dostrzegam. -

Westchnęła. - Dlatego tu jestem. Potrzebuję twojej pomocy. - Wbiła we mnie palące spojrzenie, jakby chciała utrwalić w mojej pamięci własne wspomnienia o ostatnich miesiącach życia jej ojca, więźnia politycznego, bitego i torturowanego, który wreszcie umarł

na „zapalenie płuc”, jak wpisano w oficjalnym świadectwie zgonu.

Nie miałam apetytu, choć potrawy w tej sławnej restauracji mogły zaspokoić najbardziej wyrafinowane gusty. W menu były kraby i ostrygi, a nie kiszona kapusta i duszone mięso z ziemniakami, typowe dla niemieckiej kuchni.

- Kiedy nawiązałam kontakt, Eve, i zaproponowałam przekazanie twojemu rządowi konkretnych informacji, nie miałam pojęcia, że przyśłał cię. Czy zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa?

- Nic mi nie będzie, Maxi. Mam amerykański paszport.

„Jest pani idealna do tej roboty, lady Marlowe, ze względu na pani przyjaźń z niemiecką fotografką. Dwie przyjaciółki, które przy kolacji wspominają wspólną młodość, cóż bardziej niewinnego?”.

- Przecież ty... ty jesteś Żydówką, Eve.

- Tak, ale nie schowam się przed nimi do szafy.

- Nie masz pojęcia, co zrobią z tobą naziści, gdy się zorientują. Nie ujdiesz stąd z życiem.

- Pomoże mi amerykański konsul. - Obie wiedziałyśmy, że jestem zdana tylko na siebie.

- Słyszałam o Amerykanach przetrzymywanych miesiącami w więzieniu pod zarzutem szpiegostwa. Wsadzają nawet katolickich księży. Jeśli odkryją, że jesteś Żydówką...

- Czemu mnie tu zaprosiłaś, Maxi? Wystawiłaś mnie? Z zemsty za to, co stało się w Kairze? Pewnie zaraz się tu pojawią twoi przyjaciele z gestapo i zabiorą mnie, a ty będziesz się śmiała z mojej głupoty.

- Nie, Eve. Zaprosiłam cię tutaj, bo nawet ona nie odważy się zaatakować cię w restauracji, która jest ulubionym lokalem wielu hitlerowskich dygnitarzy.

- Kto? O kim mówisz?

- Laila.

- Laila?!

- Skontaktowała się ze mną kilka dni temu, gdy zauważyła cię w lobby hotelu

„Adlon”. Chciała wiedzieć, czemu się podajesz za Amerykankę.

- Skąd wiedziała? - Instruktor podczas szkolenia ostrzegał przed niebezpieczeństwem natknięcia się na kogoś, kto nas rozpozna. Nie sądziłam, że to groźne, wszyscy berlińscy znajomi pamiętali mnie jako Eve Charles, tancerkę ze Stanów. Nie spodziewałam się, że w Berlinie mogę się natknąć na Lailę. To sytuacja, jakiej boi się każdy tajny agent - że zostanie zdemaskowany przez głupi przypadek.

- Laila ma wysoko postawionych przyjaciół, naprawdę wysoko. - Maxi przyciszyła głos i

opowiedziała mi, że Laila jest agentką Wielkiego Muftiego Jerozolimy, Hadża Amina al-Husseiniego, arabskiego przywódcy, który miał ogromne wpływy na całym Bliskim Wschodzie. Krążyły plotki, że zamierza sprzymierzyć się z Hitlerem, bo wierzy w nieuchronne zwycięstwo państw Osi. Nieuchronne i nad wyraz opłaczalne.

Był człowiekiem, który cenił bogactwo. Nic dziwnego, że Laila znalazła do niego dojścia i poleciła mu swoje usługi w handlu staroegipskimi zabytkami. Agenci Muftiego przygotowywali teraz jego wizytę w Berlinie. Laila pochwaliła się Maxi, że zlecono jej wyposażenie apartamentu przeznaczonego dla Husseiniego w rzadkie artefakty egipskie i irackie. Podobno właśnie wtedy zauważyła mnie w lobby.

Stało się jasne, w jaki sposób wyciągnęła z obozu koncentracyjnego Annę, moją niedoszłą zabójczynię, której zleciła kradzież perfum. Pewnie knuła jakąś nową intrygę, gdy zobaczyła mnie w Berlinie. Wyobrażam sobie jej zdumienie. Moje było nie mniejsze.

Ministerstwo z pewnością przydzieliliby tę misję innej osobie, gdybym ich uprzedziła o Laili.

Wierzyłam, że nic mi nie grozi, bo mam na sobie perfumy. A co będzie, jeśli mnie zamkną w więzieniu? Perfumy wywietrzeją, a wraz z nimi ulotni się moje bezpieczeństwo.

Rozejrzałam się nerwowo, jakbym spodziewała się, że Laila obserwuje mnie z jakiegoś kąta. Maxi mogła być z nią w zмовie. Czyżbym się dała podejść? Czy Maxi mnie zdradziła?

Spotkałyśmy się wzrokiem, patrzyła mi prosto w oczy i lekko ścisnęła moją rękę.

Odpowiedziałam w ten sam sposób. W jednej chwili, bez słów, zrozumiałam, że podejrzenia były bezpodstawne. Nie powiedziała Egipcjance o moim przyjeździe. I nagle wszystkie złe słowa, które między nami padły, zostały wymazane. Ulżyło mi. Co za ironia losu, że trzeba było wojny, byśmy zapomnieli o wzajemnych pretensjach i kontynuowały przyjaźń. Jednak jej kolejne pytanie zupełnie mnie zaskoczyło.

- Nie sposób nie zauważyć twoich perfum - powiedziała lekkim tonem, gdy przechodzący obok oficer obrzucił mnie taksującym spojrzeniem. - Czy to ten sam zapach, którego używałaś w Kairze?

- Tak - odparłam, modląc się, by głos mi nie zadrżał.

- Nie spotkałam ich w sprzedaży, choć na czarnym rynku można dostać perfumy o egzotycznych i sugestywnych nazwach. Laila pytała, czy nadal nimi pachniesz.

- I co jej odpowiedziałas?

- Że nie wiem.

Nie chciałam kontynuować tego tematu. Im mniej Maxi będzie wiedziała o obsesji Laili na punkcie perfum, tym bezpieczniej dla nas obu.

Zapytałam, czemu zwlekała ze spotkaniem. Okazało się, że wezwano ją do biura Göbbelsa i

indagowano o znajomość z Amerykanką, Eve Charles. Przestraszyła się, ale potem zdecydowała, że informacja, którą posiada, jest ważniejsza niż nasze życie. Tak, drogi czytelniku, przekazała mi ją, ale na ten temat nie powiem ani słowa. Dobrze rozumiesz, dlaczego.

- Laila napuściła na mnie gestapo. - Opowiedziałam o incydencie z oficerem SS w hotelowym barze.
- Obserwował mnie. Jestem tego pewna.
- Musisz wyjechać bez zwłoki.
- Nie mogę. Natychmiast się zorientują i mnie zatrzymają. Spróbuję uspić ich czujność. Umówię się z esesmanem na drinka, będę z nim flirtować.
- Nie zapominaj o szwedzkim narzeczonym. Czy twój hitlerowiec nie będzie cię o niego pytać?
- Wątpię. Jego męskie ego będzie się pławiło w słońcu mego uwielbienia.
- Nic się nie zmieniłaś, Eve. Jest zupełnie tak, jak za starych, dobrych czasów.
- Prawda? - uśmiechnęłam się zuchowato, nie wiedząc, jak bardzo się pomyliłam.

Berlin

29 kwietnia 1941 r.

To już ostatni wpis w pamiętniku. Emocje aż mnie rozsadzają. Nie mogę napisać nic więcej, ale mam nadzieję, że uda mi się wpłynąć na losy wojny. Wiem, drogi czytelniku.

Jesteś zirytowany i trochę rozgniewany. Jeśli jeszcze czytasz, proszę, wysłuchaj mnie. Nie chcę grać z tobą w ciuciubabkę tylko po to, by cię zostawić z pustymi rękami. Nie zamierzałam zabierać cię w tę podróż i zniknąć, zanim poznasz odpowiedź na wszystkie pytania - ale nie mam wyboru.

Zaczęłam pisać z czysto egoistycznych, erotycznych potrzeb. Miałam tak wiele wspomnień o trzech mężczyznach mojego życia, że po prostu musiałam przelać je na papier.

Chciałam się ogrzać w ich ciepłe. Zapewniam cię, gdy wojna się skończy, poznasz wszystkie sekrety.

Za chwilę zejść na dół, do baru, na spotkanie z esesmanem. Nie chcę go rozzłościć ani nadmiernie zaciekać swoją osobą, a pewnie zareagowałby tak, gdybym nie stawiła się na randkę. Wcześniej ukryję pamiętnik w podwójnym dnie kufra podróżnego razem z zaproszeniem na wernisaż Maxi w przyszłym tygodniu - wyjątkowo pięknym, wytłaczanym na pergaminie.

Zwlekam z wyjściem. Jeśli czytasz te słowa, zapewne nie wróciłam ze spotkania.

Może jestem w więzieniu. Bez perfum nie wytrzymam dłużej niż kilka dni. Będą mnie torturować, ale wolę umrzeć, niż powiedzieć im choćby jedno słowo. Nawet jeśli będą mi wyrywać paznokcie, golić głowę i przypalać papierosami.

Nie chcę cię zostawić z gorzkimi myślami. Zapamiętaj mnie taką, jaką poznałeś na kartach tego pamiętnika. Niech moja historia cię oczaruje, zachęci do śmiechu, płaczu i napełni słodkim zmysłowym podnieceniem. Proszę tylko o jedno: zwróć ten dziennik pani Wills w Londynie, razem z zaproszeniem, o którym wspomniałam. Doceni je, jest kolekcjonerką pięknych druków.

Nie żałuję niczego. Nie znam kobiety, która oparłaby się magii perfum Kleopatry, która nie uległaby fascynacji legendą tak dynamiczną, kontrowersyjną, mistyczną, bogatą w historyczny kontekst i erotyczne treści, gdzie najpotężniejszym afrodyzjakiem jest obietnica nieśmiertelności. Wyobrażam sobie, jak otwierasz puzderko z perfumami. Zazdroszczę ci tego pierwszego momentu, gdy smarowidło topi się na twojej skórze i obezwładnia cię aromat egzotycznych ziół i kwiatów. Twoje życie już nigdy nie będzie takie samo.

Idę na spotkanie z przeznaczeniem.

Z miłością i nadzieją podpisuję się znakiem V - jak zwycięstwo Lady Eve Marlowe

29 kwietnia 1941 r.

21

Berlin

29 kwietnia 1941 r.

Dźwięk telefonu - uporczywy, agresywny, niepokojący - przewiercił mu bębenki w uszach chwilę po zamknięciu pamiętnika. Nie odebrał. Nie był w stanie. Czuł się nazbyt oszołomiony i zmęczony, a jednocześnie dziwnie lekki i radosny, jakby doznał duchowego przemienienia i przebudzenia. Teraz wiedział, czemu tak magnetycznie działał na niego jej zmysłowy sposób poruszania się, striptiz, który urządziła dla niego i esesmana, erotyczny taniec z analnymi koralami w „Klubie Kleopatry”. Już wtedy był zaintrygowany kryjącą się w oczach Eve tajemniczą obietnicą, naturalnym sposobem bycia i pewnością siebie. Zachwycił

się nią do tego stopnia, że wbrew własnej woli przebył długą drogę, która prowadziła do odkrycia jej sekretów. Najsilniejsze wrażenie wywarły na nim te części pamiętnika, w których przyznawała się do obsesji na punkcie trzech mężczyzn: zmarłego męża, Egipcjanina i, Boże dopomóż, jego właśnie.

A on ją stracił. Nieodwracalnie. Cały ten nonsens o perfumach Kleopatry nie był

niczym innym niż chytrą sztuczką brytyjskiego wywiadu, mistyfikacją stworzoną po to, by zmylić gestapo. Pomyśleć, że nawet on, człowiek racjonalny i oficer RAF-u, dał się nabrać na tę bajeczkę, bo czytając pamiętnik, wierzył autorce i wyobrażał sobie, że dzięki magii wyszła cało z zamachów na swoje życie.

A może, czego nie mógł wykluczyć, dziennik był medytacją na temat relacji między potęgą ludzkiego umysłu a niedowiedzionymi mitycznymi efektami starożytnego odurzającego pachnidła?

Wciągnął powietrze w płuca. Mógłby przysiąc, że zeszyt przesycony jest niezwykle zapachem tej kobiety, która wypełniała jego myśli i uczucia. Zanim go przeczytał, nie mógł

pojąć, jak można łączyć w sobie wrażliwość, zmysłowość i nieskrywaną niegodziwość. Teraz miały nim zupełnie inne emocje. Podziw. Pożądanie. Jeszcze większy podziw i jeszcze gorętsza żądza. Czy Eve Marlowe żyła? Czy zniknęła, gdy Niemiec do niej strzelił? Czy przeniosła się do innego miejsca, gdzie ocknęła się cała i zdrowa, nawet jeśli trochę przestraszona? To by tłumaczyło, czemu nigdzie nie odkrył jej śladów. Może błąka się teraz po okolicy naga i zmarznięta, niepewna, co robić dalej. Nie może jej tak zostawić. Nawet jeśli jest to lekkomyślny i niemądry pomysł, musi zostać w Berlinie, odszukać ją i powiedzieć, że już wszystko rozumie.

Telefon przestał dzwonić. Chuck starał się uspokoić sam siebie, że to recepcja. Jakiś nerwowy pracownik hotelu, jeden z wielu Niemców, którzy bali się własnego cienia. A może ktoś inny? Czy mużłmanka Laila miała tyle czelności, by wydzwaniać do Eve?

Jeszcze raz przekartkował pamiętnik, zatrzymując się na plastycznych opisach szalonych ekscesów seksualnych i gorących aktów miłosnych z różnymi kochankami, z których każdy obiecywał czytelnikowi erotyczną nirwanę. Dostrzegł gorączkę, szaleństwo, delirium. Nałóg. Ta historia pasowałaby bardziej do słynnej gwiazdy filmowej. Wystawny, a zarazem autodestrukcyjny tryb życia, gwałtowne działania, maniakalne uzależnienie od mężczyzn i narkotyków prowadzące do załamania nerwowego, wykojenie i psychiczna dewastacja. A jednak Eve stanęła na nogi, pozbyła się toksyn i postanowiła poświęcić życie walce z faszyzmem.

Eve. Ten unikalny zapach, jej i perfum, przypominał mu boleśnie o chwilach, gdy trzymał ją w ramionach, czuł dotyk jędrnych piersi i smukłego ciała. Ta kobieta miała klasę.

Nie tylko ze względu na niesamowity powab erotyczny, bujne jasne włosy i ponętne kształty.

Było w niej coś autentycznego, najwyższej klasy właśnie, co czyniło ją wcieleniem kobiecości. Nie mógł sobie dłużej wmawiać, że jest rozpieszczoną i samolubną lalą, nie po przeczytaniu jej historii. Przeszedł z nią całą drogę od Kairu do Londynu i Berlina. Jej uczciwość, wierność szczegółom, powaga, z którą traktowała swoje zwierzenia, dały mu poczucie, że otworzyła przed nim swój umysł. Kiedy śledził przebieg wypadków, potrzasał z niedowierzaniem głową, pytając sam siebie, czy więcej w nich żywej imaginacji, czy ryzykownych eksperymentów w dziedzinie seksu. Jedną rzecz utrudniała mu wyrobienie sobie zdecydowanego zdania na temat wiarygodności jej przeżyć: perfumy. Czy naprawdę były magiczne? Czy miały aż taką moc? Czy jego też ocala przed śmiercią, jeśli Niemcy go pochwyca?

Postanowił sprawdzić to na sobie, choć krępowała go pewność, co pomyślą o nim gestapowcy, jeśli go złapią, a on będzie pachniał jak arabski burdel. Istniało wyjście z tej dwuznacznej sytuacji. Nawet tajniacy rozumieją mężczyznę, który ma przy sobie rzecz należącą do kochanki i przesyconą jej perfumami. Schował pamiętnik w wewnętrznej kieszeni, nie mógł go tu zostawić. Przeszukał kufer i znalazł to, czego potrzebował: jedwabną pończochę. Następnie znalazł perfumy, bezbarwne smarowidło w zwykłym pudełku. Oczywiście wyobraźni zobaczył oryginalne puzderko opisywane przez Eve: eleganckie proporcje antycznej szkatuły, sterczące piersi młodej królowej, zachęcającej gestem do skorzystania z miodowej esencji dla przypieczętowania własnego losu.

Roztarł w dłoni niewielką ilość smarowidła, pozwolił mu rozpuścić się pod wpływem ludzkiego ciepła i rozsmarował na rękach i karku. Wsunął do kieszeni pończochę nasyoną tym egzotycznym aromatem. Miał właśnie zamiar włożyć całą pojemnik do drugiej kieszeni, gdy...

- Oddaj perfumy.

Głos kobiecy. Zmysłowy, władczy. Wiedział od razu, że to nie Eve.

- Oddaj perfumy. Nie rozumiesz po angielsku?

- Rozumiem. - Starał się pozostać w cieniu. Lektura zajęła mu kilka godzin, ale nie zapomniał o starannym zaciemnieniu okien, więc w pokoju panował mrok. Nie zauważył, kiedy otworzyły się drzwi wejściowe, nie usłyszał szelestu jedwabnej sukni, nie dostrzegł

migotania długich kolczyków. Laila. Widział ją tamtej nocy w klubie, gdy znokautował jej brata. Wtedy nagle zrozumiał. Ma na sobie mundur SS.

Egipcjanka go nie poznała.

- Na co czekasz? Miałeś wykonywać rozkazy.

- Ja? - bąknął Chuck i czekał na dalszy rozwój wypadków.

- Miałeś uwieść Amerykankę, wywieźć ją nad jezioro i tam zamordować. - Głos Laili stał się ostry, przenikliwy. - Ukradła coś, co należy do Rzeszy. Cenny zabytek.

Chuck ją przejrzał. Liczyła na to, że Eve będzie się bała gestapowskich tortur i wybierze śmierć z rąk hitlerowca. Pozwoli, by w czasie kąpieli w jeziorze woda splukała z niej resztki perfum, czyniąc bezbroną wobec fizycznej przewagi esesmana.

Obserwował Lailę z ciekawością i ironią. Przeliczyła się. Niemiec nie był czuły na kobiece wdzięki, choć pod jednym względem się nie pomyliła - był urodzonym zabójcą.

Chuck zacisnął zęby. Gdyby nie spotkał Eve w lobby, już by nie żyła. Ta myśl była jak sztych prosto w serce. Nie zapomniał też o jej misji. Był przekonany, że tajna informacja, do której Eve czyniła aluzje, została w jakiś sposób zaszyfrowana w zaproszeniu na wernisaż, które wraz z pamiętnikiem ukrył na piersi. Teraz jego obowiązkiem jest dostarczenie go do Londynu, do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Nie mogę ci oddać perfum, Lailo - odmówił twardo.

- Kim jesteś? - Zrobiła parę kroków w jego stronę.

- Człowiekiem, którego posłałaś do więzienia za zbrodnię popełnioną w samoobronie.

- Amerykanin. - Nie zamierzała się wycofać. Jej mina i poza o tym świadczyły. - Co tu robisz? Gdzie jest oficer SS?

- Na dnie jeziora.
- A lady Marlowe? Nie wmawiaj mi, że jest amerykańską turystką. Śledzę ją od kilku dni. Chcę wiedzieć, co naprawdę tu robi.
- Od kiedy jesteś szefową prywatnej ochrony Hitlera?
- Od momentu, gdy Herr Göring wyraził chęć nabycia unikalnego pojemnika na wonności należącego do Kleopatry.
- Zdradziłaś mu, jaką moc mają perfumy, czy nie wspomniałaś o tym szczególe?
- O czym ty mówisz?
- Twoja intryga, Lailo, nie wypaliła. Eve jest bezpieczna i znajduje się z dala od Berlina. - Kłamstwo, ale może skutkuje.
- Nie ruszaj się, bo strzelam. - W rękę miała lugera.
- Ciężko się będzie wytłumaczyć z zamordowania oficera SS.
- Zajrzą pod twoją lewą pachę i nie znajdą tam tatuażu.
- Ciekaw jestem, co powie Göring, gdy odkryje, że wciskasz mu falsyfikaty.
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Wszystko, co dostarczam, ma świadectwa autentyczności wystawione przez poważnych ekspertów.
- Niewątpliwie sowiecie opłaconych.
- Ma pan bujną wyobraźnię, panie...
- Dawn. Chuck Dawn. Jestem reporterem nowojorskiej gazety. Niechętnie myślę o konsekwencjach, które cię czekają, gdy opiszę, w jaki sposób oszukujesz Trzecią Rzeszę.
- To bluff. W hotelu jest wielu zagranicznych dziennikarzy. Nie przebierałbyś się w mundur SS, gdybyś był pod ochroną amerykańskiego rządu. Zamordowałeś niemieckiego oficera. Musisz mieć wiele grzeszków na sumieniu.
- Oboje mamy swoje tajemnice, Lailo. Pamiętaj o tym. Jeśli zostanę aresztowany, zdemaskuję cię przed gestapo. Słyszałem, że hitlerowcy mają swoje sposoby na zdrajców.

Wieszają ich na rzeźniczym haku ze struną fortepianową zapętloną na szyi.

- Ostrzegam... - Laila odbezpieczyła pistolet.

W ich rozmowę wdarł się dźwięk telefonu.

Egipcjanka chwyciła za słuchawkę wolną ręką. Ani na chwilę nie przestała celować w Chucka.

- Tak? Nie, to nie Eve, Maxi. Tu Laila. Nie rozłączaj się. Muszę z tobą porozmawiać. -

Pauza. - Maxi! Maxi? - Rzuciła słuchawkę na widełki.

- Idiotka. Skończy jak jej ojciec, zgnije w obozie koncentracyjnym. Nie wiem, jaką grę tu prowadzisz, ale jestem pewna, że przysłał was brytyjski wywiad. Gdzie jest kobieta, która się podaje za Eve Charles?

- W drodze do Londynu. Przyszedłem tylko po jej rzeczy.

- Lady Marlowe nie zostawiłaby perfum. Jest w Berlinie, a ja zamierzam ją znaleźć.

Eve pojawiła się dosłownie znikąd.

Kroki. Ciężkie, jakby miała na sobie męskie buciory. Nierówny oddech. Chuck dostrzegł ją wcześniej niż muzulmanka. Jej twarz miała wyraz determinacji. Widać było, że to kobieta, którą cechują charakter i wola walki. Skąd się tu wzięła? Udało jej się zdobyć odzież, najpewniej od jakiejś wieśniaczki. Irracjonalna część jego umysłu chciała wierzyć, że po prostu nagle się zmaterializowała. Jej widok zawsze działał na niego jak zaklęcie, niezwykły zapach oszałamiał i otumaniał.

Laila także wyczuła znajomą balsamiczną woń. Zanim zdążyła się odwrócić, usłyszała tuż za sobą:

- Nie musisz szukać daleko. Jestem za twoimi plecami.

- Nie spodziewałaś się, że wymkniesz się z rąk wroga tylko po to, by wpaść w moje.

Nie wyjdę bez perfum, lady Marlowe.

- Nie liczyłabym na to.

- Mój plan jest prosty i sprytny zarazem. - Laila uśmiechnęła się. - Strzelę do ciebie.

Znikniesz. Strzelę do Amerykanina, który aż cuchnie tym samym zapachem - on też zniknie.

Zostanę sam na sam z pojemnikiem. Perfumy będą moje.

Widok Eve wystawionej na śmiercionośną broń w rękach szalonej kobiety pobudził

Chucka do działania. Oszłołomił Egipcjankę ciosem w splot słoneczny, wykręcił jej rękę i wyrwał pistolet.

- Nie zastrzelę cię, chyba, że mnie zmusisz.

- Nie uda wam się - syknęła wściekle. - Gestapo was znajdzie.

Ucisnął ramieniem jej gardło. Walczyła jak dzika kotka, pazurami zdarła mu opaskę ze swastyką, ale wreszcie bezwładne ciało osunęło się na ziemię. Nie czuł wyrzutów sumienia, gdy odciągnął ją od drzwi i rzucił na środku pokoju.

- Nie żyje? - spytała chłodno Eve.

- Dojdzie do siebie.

Mógł zabić Lailę, ale nie chciał. I bez tego mieli wystarczająco dużo kłopotów. Nie był im potrzebny kolejny trup do ukrycia.

Szybko i bez dyskusji ją rozebrali, związali nagą i nieprzytomną, i zakneblowali.

Zanim przyjdzie do siebie, po nich nie będzie już śladu.

Chuck krążył nerwowo przed trzypiętrowym budynkiem z czerwonej cegły na Giesebrechtstrasse, tuż obok „Salonu Kitty”, domu publicznego znanego w całym Berlinie z dużego wyboru pięknych kobiet i specjalizującego się w sadomasochistycznych orgiach. Nie bał się, że ktoś go zauważy, przecież miał na sobie mundur SS. Ale co będzie, jeśli ktoś się do niego odezwie? Nie zna ani słowa po niemiecku, a wdawanie się w bójki z innymi oficerami nie jest skuteczną metodą na wydostanie się z Berlina.

Nie chce stracić Eve.

Była jego przeznaczeniem. I nie chodziło o seks. Była odważnym żołnierzem, zdolnym do narażania własnego życia. Szanował ją, a nawet podziwiał. Ale teraz marzył o chwili, gdy będzie mógł ją tulić w ramionach, ścisnąć i całować, gotowy towarzyszyć jej w kolejnych zapierających dech w piersiach eskapadach. Niestety, muszą z tym poczekać na stosowniejszy moment. Najważniejszą sprawą jest ucieczka.

Przekonała go, że muszą poszukać pomocy. Sięgnęła po środek ostateczny, czyli kontakt z podziemiem. Stąd ich wizyta w tajnym lokalu w eleganckiej dzielnicy Berlina. Z

hotelu wyszli bez problemu, nikt nie miał odwagi zaczepiać oficera SS przechadzającego się w towarzystwie atrakcyjnej kobiety. Zwrócił jej pamiętnik z wetkniętym do zeszytu zaproszeniem i pojemnik z perfumami. Nigdy nie zapomni przejmującego spojrzenia jej spłoszonych oczu, gdy spytała, czy go przeczytał. Mimo brawury i pozornego stoicyzmu w głębi serca była nadwrażliwą kobietą, niepewną, jaki zapadnie wyrok. Tak, odparł, i jest pod wrażeniem jej odwagi, siły i hartu ducha. Uśmiechnęła się, a jej piękna twarz nagle rozświetliła się od środka. Czekala, że powie coś jeszcze, ale nie dodał ani słowa. Dlaczego?

Czyżby nadal w nią wątpił, bał się jej, był zazdrosny? A może nie był pewien własnych uczuć?

Obnażyła przed nim duszę w taki sam sposób, w jaki kobieta ofiarowuje nagie ciało kochankowi w czasie aktu miłosnego. Miała prawo pytać o jego uczucia. Dlaczego nie potrafi wykrztusić tych prostych słów?

Podobne myśli kłębiły mu się w głowie, gdy obserwował zamknięte drzwi budynku.

Nagle uchyliły się i na zewnątrz wyrzała ciemnowłosa dziewczyna. Coś w jej sylwetce i gestykulacji wydało mu się znajome, ale nie umiał jej umiejscowić. Dopiero gdy przywołała go ruchem dłoni, spłynęło na niego nagłe olśnienie. To ta brunetka, którą widział przy pianinie w „Klubie Kleopatry”.

- Nie ma pewności, że się uda.

Josette La Fleur uczciwie oceniła szanse ich ucieczki, a Chuck nie żywił żadnych złudzeń. Ich powrót do Anglii wymagał zaangażowania wielu zupełnie nieznanym osobom, a ten lokal był dopiero pierwszym krokiem długiego marszu.

Cała trójka wpatrywała się w szczegółowy plan Berlina, a Chuck starał się nauczyć na pamięć marszrutę i nazw ulic w pobliżu lotniska. Słuchał Josette z rosnącym szacunkiem.

Gdzieś zniknął jej afektowany paryski akcent, choć nadal nosiła kwiat za uchem. Obcisła czarna spódnica podkreślała krągłość bioder, a duży dekolt odsłaniał pełne piersi. Pachniała podobnie jak oni, bo Eve posmarowała jej przeguby dłoni „na pamiątkę starych czasów”. Nie był pewien, czy zdradziła jej prawdziwy sekret perfum.

- To najszybszy sposób na wydostanie się z Berlina, zanim znajdzie was gestapo. Laila już wkrótce wpadnie na wasz trop. Musisz się dostać do Londynu za wszelką cenę.

- Jestem gotowa na ryzyko - powiedziała Eve, nie patrząc w jego stronę. A tak bardzo chciał jej dodać otuchy, okazać, że w nią wierzy.

- Wiesz, Eve, co ci grozi, jeśli zostaniesz aresztowana? - spytała Josette.

- Wiem - przerwała jej bez wahania. Uprzedzono ją, jakie tortury stosuje gestapo.

- Czy jest inny sposób na przekazanie informacji do Londynu? - upewniał się Chuck.

Miał na sobie zwykłą marynarkę, ale w kieszeni nadal trzymał pończochę Eve pachnącą perfumami Kleopatry. - Inny kurier. Ktoś, kto podróżuje w obie strony bez wzbudzania podejrzeń?

- Od początku zdawałam sobie sprawę z ryzyka - stwierdziła zdecydowanie Eve. - Nie będę teraz chować się za plecami innych.

- Eve ma rację. Wszyscy ryzykujemy życie.

- Czemu nigdy się nie przyznałaś, że jesteś Amerykanką, Josette? - spytała nagle Eve.

- Urodziłam się na Południu. Przez większość życia starałam się zapomnieć, że jestem

„kolorowa”. Kiedy Niemcy zajęli Paryż, wróciłam bronić swojej drugiej ojczyzny. Kraju, gdzie nie było segregacji rasowej, gdzie mogłam siedzieć w restauracji przy tym samym stoliku co biali, gdzie wchodziłam do tych samych butików i mieszkałam w tych samych hotelach i nikt się nie dziwił. Ale teraz wracajmy do naszego planu.

- Podchodzę do tylnego wejścia „Salonu Kitty” - powtórzyła posłusznie Eve. -

Czekam na dziewczynę, która mnie wpuści.

Chuck niechętnie przyznał, że spotkanie w burdelu dla elity było dobrym pomysłem.

Ładna kobieta nie wzbudzi tam takich podejrzeń, jakie by wywołała, spacerując samotnie po peronie dworca czy siedząc w obskurnej kafejce.

- Else jest tam służącą. - Josette wskazała dziewczynę odwróconą od nich plecami, która właśnie dokładała do pieca. - Ona cię wprowadzi do środka.

- Mówi po angielsku?

- Tak, ale ukrywa się tak długo, że prawie się nie odzywa.

- Dlaczego?

- Jest Żydówką. Ma fałszywe papiery, dlatego pracuje w burdelu bez wzbudzania podejrzeń.

- Strasznie się naraża. - Eve powiedziała to spokojnie, ale Chuck rozumiał, co się w niej dzieje. Taki mógł być jej los.

- Nie ma dokąd pójść. Co zrobisz, gdy już będziesz na miejscu?

- Czekam w kuchni na twój sygnał.

- Zagram melodię Cole'a Portera na pianinie.

- Gdy tylko usłyszę piosenkę, wejdę na drugie piętro do pokoju. - Eve wymieniła numer. - Tam już będzie na mnie czekał rumuński dyplomata.

- Nie zapomnij, Eve, że każdy pokój jest na podsłuchu i każde słowo jest nagrywane przez agentów gestapo, którzy siedzą w sekretnym pomieszczeniu w piwnicy.

- Nie nabiorą podejrzeń, gdy usłyszą kobietę mówiącą z amerykańskim akcentem? -

zaniepokoił się Chuck.

- Eve się nie odezwie - wyjaśniła Josette. - Else przyniesie kanapki i szampana i będzie udawała jedną z dziewczynek madame Kitty.

- Dyplomata wręczy mi paszport, papiery wyjazdowe i bilet lotniczy do Lizbony.

- Jeśli ktoś zapyta, kim jesteś, odpowiedz tylko: Ich bein Fraülein von Dieter. Nic więcej. Uznają, że jesteś damą z towarzystwa, która w ten sposób wywiązuje się z patriotycznych obowiązków wobec Rzeszy. Wyjdź szybko, żeby cię nie zauważył nikt ze stałych gości. Madame Kitty będzie w swoim

gabiniecie zajęta rachunkami. Klienci zazwyczaj są zbyt pijani albo nadmiernie wyczerpani wyczynami łożkowymi, by zwracać uwagę na otoczenie. Wymkniesz się tylnym wyjściem. Samochód już będzie czekał. - Josette zwróciła się do Chucka. - Teraz pora na pana, kapitanie. Zawiezie pan Eve na lotnisko. Tam nawiąże pan kontakt z innym agentem. - Opisała go szczegółowo. Starszy człowiek, czerwone piórko w kapeluszu, pusta klatka w ręku. Będzie pogwizdywał. Chuck ma czekać koło samochodu, czytając gazetę i paląc papierosa.

- Czy można ufać temu rumuńskiemu dyplomacie? - upewniał się Chuck.

- Tak. To wypróbowany brytyjski agent. Życzę wam powodzenia.

Eve zerwała się, ściągnęła z palca pierścion z rubinem i włożyła go na palec Josette.

- Weź, proszę. Zrób z niego dobry użytek.

- Dziękuję, Eve. Czas na nas. Madame Kitty wymaga, aby co noc o dziesiątej grać Szopena.

Chuck czekał w starym mercedesie, zapewne jedynym dostępnym automobile, który ukryci sprzymierzeńcy byli w stanie wygospodarować w tak krótkim czasie. Parkował na ocienionej starymi drzewami ulicy w zamożnej części Berlina. Jediną rzeczą odbiegającą od normy była liczba podjeżdżających limuzyn, przywożących dyplomatów państw Osi i oficerów Wehrmachtu do przybytku madame Kitty.

Co, do diabła, zajmowało jej aż tyle czasu? Chuck niecierpliwie przesunął rękoma po obitej skórze kierownicy. Czeka już od godziny. Na wschodzie zaczęło się przejaśniać. Jeśli Eve nie wróci w ciągu pięciu minut, będzie musiał po nią pójść.

I wtedy ją zobaczył. Biegła w kierunku samochodu, jakby ją ścigały upiory.

Niech to szlag! Co się stało? Co jej zrobili?

Czy ktoś ją skrzywdził?

- Jedziemy - rzuciła krótko i zatrzasnęła za sobą drzwiczki. Dygotała ze zdenerwowania.

- Masz paszport?

- Wszystko poszło zgodnie z planem, dopóki nie zobaczyłam tego, co robił ten nazista.

Słowa popłynęły same, mieszanina strachu i zdenerwowania, gniewu i ulgi. Dodał

gazu. Co, u diabła, sobie myślał, pozwalając jej wejść do takiego miejsca?

- Weszłam do burdelu i skierowałam się po schodach w górę. Piersiasta dziewczyna zaczepiła mnie na półpiętrze, zadając pytania po niemiecku. Mruknęłam frazę, której mnie nauczyła Josette. Dziwka kiwnęła głową i usunęła się z przejścia.

We wskazanym pokoju zastałam przyjemnie wyglądającego mężczyznę z przylizanymi ciemnymi włosami. Pocałował mnie w oba policzki i po niemiecku zaprosił do środka. Przyłożył palec do ust, po czym wyjął płaską paczuszkę z dyplomacki. Else przyniosła napoje i kanapki. Szeptła sprośne słówka przeznaczone dla uszu podsłuchującego policjanta.

Rumun wskazał gestem, że powinnam schować dokumenty w majtkach.

Odwrócił się plecami, gdy to robiłam, co było wzruszającą delikatnością ze strony bywalca burdelu. Sprawdził, czy korytarz jest pusty, i dał mi znać, że droga wolna. Byłam już na schodach, gdy zauważyłam wchodzącego na górę esesmana, który prowadził na smyczy nagą rudowłosą dziewczynę.

Na paluszkach wróciłam na górę i ukryłam się za posągiem Wenus. Niemiec zmusił rudowłosą do wchodzenia na czworakach i zaczął ją okładać pejcem. Krzyczała i szarpała się. Na pośladkach miała czerwone pręgi.

Na górze oficer rozkazał jej stanąć na baczność. Wydał komendę i nagle na korytarz wypadła pulchna blondynka w różowym negliżu. Niosła szampana w wiaderku z lodem i sznur. Kiedy oficer odświeżał się pianistym napojem prosto z butelki, blondynka z wielką wprawą skrępowwała koleżankę w taki sposób, aby wyeksponować piersi i unieruchomić ręce.

Hitlerowiec zaczął chłostać rudowłosą z ogromną siłą i bez finezji, nie patrząc, czy piekące smagnięcia trafiają na pupę, sutki czy brzuch. Dziewczyna wrzeszczała coraz bardziej ochryple i coraz słabiej, aż zupełnie straciła głos.

Nigdy nie widziałam takiego pokazu brutalnego sadyzmu, w którym cała przyjemność płynęła z zadawania bólu bezbronnej ofierze. Nie mieściło mi się w głowie, że można w tak obrzydliwy sposób spaskudzić piękną sztukę dominacji i podległości, zatruć ją żądzą władzy i nienawiścią. Ten człowiek splugawił coś, co w moim życiu było piękne i głęboko duchowe, sprowadził erotyczną sztukę do zdeprawowanej, ohydnej i wyuzdanej rozpusty. Lord Marlowe uczył mnie, że celem fizycznego zniewolenia jest głębokie duchowe wyzwolenie.

Tu widziałam przykład bezmyślnego okrucieństwa.

Kiedy dziewczyna zemdląca z bólu, kat poszedł szukać kolejnej ofiary, a ja wymknęłam się tylnym wyjściem, starając się wyprzeć z pamięci to, co widziałam, lecz chyba nie potrafię. Będzie mnie prześladował widok nagiego kobiecego ciała pokrytego paskudnymi czerwonymi śladami chłosty.

- Eve - powiedział miękko, skręcając w równoległą ulicę, aby się upewnić, że nikt za nimi nie jedzie.
- Nie musisz już nic mówić. Ze mną jesteś bezpieczna.

Wziął ją w ramiona, jakby nie chciał się z nią rozstać. Samolot Lufthansy stał już na płycie lotniska. Z głośnika rozległo się wezwanie skierowane do pasażerów do Lizbony.

Jeszcze parę minut i znowu zniknie z jego życia.

- Nie chciałam cię oszukiwać z Londynie - szepnęła - ale nie miałam wyboru. A jednak gdybyś nie podszedł do mnie w hotelowym lobby, być może esesmanowi udałoby się mnie zabić, a informacje niezwyklej wagi przepadłyby razem ze mną.
- Nie żałuję, że utopiłem tego łajdaka w jeziorze. Walczyłbym z całą niemiecką armią w twojej obronie.
- Chciałabym, żebyś leciał ze mną. Gdybyśmy tylko mogli być razem...
- Pewnego dnia będziemy. Ameryka na pewno przystąpi do wojny. Czeka nas jeszcze długa walka.
- Kiedy cię znowu zobaczę?
- Jak tylko skończy się wojna, na pewno cię odnajdę. Nic mnie nie powstrzyma.
- Odbuduję dom w Coventry. Tam będę czekała.
- Jesteśmy umówieni - zapewnił ją, choć szanse dotarcia do Londynu wydawały się bliskie zera.
- Weź perfumy, Chuck. Przydadzą ci cię.
- Ty też możesz ich potrzebować. Poza tym - poklepał się po kieszeni - mam zapasik w twojej pończosze.
- Chciałabym zobaczyć minę twojego przełożonego, gdy mu pokażesz swoje trofeum wojenne. - Uśmiechnęła się. - Pocałuj mnie.

Nie dbał, kto na nich patrzy i co sobie myśli. Włożył w ten pocałunek wszystkie niewypowiedziane uczucia, ich słodycz i płomień, a potem nagle ją puścił i zmusił się do zrobienia kroku w tył.

Spojrzała jeszcze za siebie, gdy biegła w stronę wyjścia. Taka piękna, taka kobieca i pewna siebie. Zniknęła mu z oczu, ale długo patrzył w ślad za nią. Nieważne, co go jeszcze czeka, przeżyje za wszelką cenę, by się z nią spotkać po wojnie.

Dopiero kiedy samolot z Eve na pokładzie uniósł się w powietrze, Chuck wrócił do samochodu. Wyjął z kieszeni niemiecką gazetę. Zapalił papierosa. Potem kolejnego. I jeszcze jednego. Minuty dłużyły mu się jak godziny. Wreszcie dostrzegł staruszkę w czarnym kapeluszu z czerwonym piórkiem, który zbliżał się, pogwizdując i wymachując pustą klatką na ptaki. Zatrzymał się przy nim i schylił po niedopałek. Powiedział coś po niemiecku, podniósł klatkę i poklepał go życzliwie po przedramieniu, po czym oddalił się. Niepewny, co właściwie ma zrobić, Chuck sięgnął do kieszeni po następnego papierosa i wyłowił kartkę papieru, której tam wcześniej nie było. List. Jakiś miłosny list od frontowego żołnierza do lubej. Po niemiecku. I wtedy przyszło olśnienie. Tekst nie był ważny. Spojrzał na adres zwrotny na kopercie i nauczył się go na pamięć. To jego punkt kontaktowy. Podarł list na drobniutkie kawałeczki i wrzucił do kratki ściekowej. Zanim zdążył dojść do kolejnej przecznicy, usłyszał za plecami pisk hamulców i trzaskanie drzwiczek. Z samochodu wyskoczyło dwóch gestapowców i przytrzymało go.

- To ten mężczyzna?

- Tak - odpowiedziała kobieta, która właśnie wysiadła z auta. - To amerykański szpieg.

Jest z nim kobieta.

- Tu nie ma żadnej kobiety.

- Głupcy! Zdążyła się wyniknąć.

Ta myśl sprawiła mu taką radość, że uśmiechał się od ucha do ucha, gdy rozjuszona Egipcjanka wymierzyła mu policzek.

- Wzięła z sobą perfumy? - dopytywała Laila.

- Nigdy się tego nie dowiesz - odpowiedział z nienawiścią.

- Przeszukajcie go! - wrzasnęła histerycznie.

Chuck zrozumiał, że nie ma czasu do stracenia. Odwrócił się i zaczął biec.

Gestapowcy wyciągnęli broń z kabury, rzucili się w pogoń. I nagle miał nozdrza pełne znajomego zapachu. Tego samego, który wonną falą otaczał Eve. Przyszła mu do głowy niesamowita myśl. Dlaczego właściwie ucieka? Powinien jej uwierzyć. Zaufać mocy perfum.

Odwrócił się i ruszył na Niemców.

Strzelaj, prosił wroga w duchu. No, strzelaj.

Gestapowiec kilka razy pociągnął za spust. W jednej sekundzie Chuck doświadczył

zaniku wszystkich doznań, jakby ogłuchł i oślepl jednocześnie. Zapanowała cisza. Ogarnęło go dziwne uczucie niesamowitej lekkości i oślepiającej jasności, ostateczne wyzwolenie z ziemskiego ciała.

I w tym momencie Chuck Dawn zniknął.

EPILOG

Coventry

29 września 1945 r.

Koniec wojny. Obiecałam skończyć pamiętnik i zamierzam dotrzymać obietnicy.

Przygody rewiowej tancerki, która została szpiegiem, stanowiłyby dobry materiał na powieść, ale mnie przyświeca inny cel. Zapisując swoje myśli, nadzieje i marzenia, czerpię z nich siłę.

Mam nadzieję, że doprowadzą mnie do szczęśliwego zakończenia.

Od tamtego dnia w Berlinie nie widziałam Chucka. Kontaktowałam się z amerykańskim departamentem obrony w nadziei, że uzyskam jakieś informacje. Zapewniono mnie, że wy dostał się z Niemiec i trafił do Francji, gdzie skorzystał z adresów podanych mu przez Josette. Brytyjski łącznik przejął go w Paryżu.

Moja podróż do Lizbony jest niewarta wzmianki, może z wyjątkiem burzy parę kilometrów od hiszpańskiego nabrzeża. Wiatr i mgła zmusiły nas do lądowania na lotnisku wojskowym na południe od stolicy Portugalii. Na szczęście mój amerykański paszport nie wzbudził niczyich podejrzeń. Po spędzeniu nocy w hotelu odleciałam do Anglii zwykłym lotem. Na lotnisku odebrał mnie urzędnik ministerstwa.

Z niespokojnym sercem czekam na jakiegokolwiek wieści o Chucku, a tymczasem mogę zaspokoić twoją ciekawość, drogi czytelniku, i wyjaśnić ci, jakie informacje przekazała mi Maxi w czasie spotkania w Berlinie.

Maxi opanowała opracowaną przez niemiecki wywiad technikę zmniejszania zdjęć do mikroskopijnych rozmiarów przy zachowaniu ostrości i szczegółów pełnowymiarowego zdjęcia.

Zaproszenie na wernisaż zawierało kilkanaście zdjęć zrobionych w ośrodku naukowym przeprowadzającym testy nowej rakiety balistycznej V-2. Zupełnie przypadkowo po alkoholowej libacji Maxi spędziła noc z jednym z konstruktorów, który nie był w stanie ukryć swego rozgoryczenia, gdyż kto inny przejął jego projekt, a on dostał powołanie na front. Łóżkowe zwierzenia zakończyły się nad ranem w ośrodku badawczym, gdzie wciąż jeszcze nietrzeźwy przygodny kochanek oprowadził ją po wszystkich pomieszczeniach i zademonstrował plany, które Maxi niepostrzeżenie sfotografowała. Było to na rok przed odkryciem śladów pierwszego poligonu doświadczalnego. Zdjęcia Maxi przyczyniły się do późniejszego zbombardowania ośrodka w Peenemünde, co skutecznie pokrzyżowało plany Hitlera, by w wojnie z aliantami wykorzystać nową broń raketową i w efekcie ocaliło życie wielu brytyjskich obywateli.

Niczego nie żałuję. Myślę, że swoim działaniem uhonorowałam Flavię i wszystkie ofiary wojny. Modłę się, byśmy już nigdy nie zaznali podobnego koszmaru, choć moja znajomość ludzkiej natury - z całą jej ułomnością i pazernością na dobra materialne i władzę -

każe mi zachować czujność i sceptycyzm. Historia jest nieobliczalna jak siły natury, na wszystkich kontynentach i we wszystkich czasach przelewała krew milionów niewinnych ofiar. Może przyszłe pokolenia wyciągną wniosek z naszych błędów.

Na pewno jesteś zainteresowany moimi dalszymi losami. Odkryłam, że bardziej niż podejrzewałam pociąga mnie niebezpieczny świat międzynarodowego wywiadu. Przez całą wojnę współpracowałam z brytyjską SIS, potem także amerykańskim OSS. Szczegóły można znaleźć w archiwach, ale na razie są objęte klauzulą tajności. Używałam perfum Kleopatry, choć starałam się korzystać głównie z własnego sprytu, a nie antycznej magii. Alabastrowy pojemnik z piękną, nagą do pasa królową, dumnie siedzącą na tronie, stoi na półeczce nad kominkiem w naszej ulubionej bawialni w Coventry, tuż pod skrytką, w której przechowuję szkarłatny sznur. Kto wie? Może jeszcze będę miała okazję

skorzystać ze stymulującego działania perfum?

Chciałabym też zaspokoić twoją ciekawość i zdradzę ci, co się stało z innymi bohaterami moich wspomnień. Maxi kontynuowała współpracę z aliantami tuż pod nosem niemieckiej tajnej policji. Teraz, podobnie jak wielu jej rodaków, ma problemy z dostosowaniem się do życia w powojennym świecie. Rozmawiałam z brytyjskimi i amerykańskimi mocodawcami na temat umożliwienia jej powrotu do aktywnego uprawiania sztuki fotograficznej. A Laila? Zniknęła mi z oczu po burzliwej scenie na lotnisku w Berlinie.

Moje źródła twierdzą, że skończyła w obozie koncentracyjnym, gdy hitlerowcy odkryli, że oszukiwała na dziełach sztuki i wyłudziła od nich pokaźne kwoty za falsyfikaty.

Nie mam pojęcia, czy Josette przeżyła wojnę. Dowiedziałam się tylko, używając koneksji w kręgach rządowych do załatwienia sobie wglądu w tajne akta tamtej operacji, że prostytutka, która widziała mnie na schodach, rzeczywiście uznała mnie za damę z towarzystwa, która puszcza się z powodów patriotycznych. Przesłuchiwał ją mężczyzna, którego wtedy widziałam (teraz wiem, że był to SS-Obergruppenführer i szef tajnej policji, Reinhard Heydrich, znany ze swoich sadystycznych upodobań). Ironia losu, drogi czytelniku, polega na tym, że w czasie jego wizyt w burdelu podsłuch był wyłączany. Ktoś jednak widział

mnie z młodą służącą. Na torturach dziewczyna zdradziła adres skrzynki kontaktowej.

Załamana się kompletnie i powiesiła się w celi. Niech spoczywa w pokoju.

Gestapo urządziło tam kocioł. Aresztowało wszystkich. Nie wiem, czy była między nimi Josette i nie mam jak sprawdzić, bo nigdy nie znałam jej prawdziwego nazwiska. Często o niej myślę. O jej pięknych dłoniach fruujących po klawiaturze, głosie z czarującą chrypką, który uwodził słuchaczy od pierwszej nuty. Tak wielu bohaterów walczyło we francuskim ruchu oporu i zginęło dla wspólnej sprawy. Nie spocznę, póki nie poznam jej losów.

Wracam do Chucka. Wojna nas rozdzieliła, ale udało nam się wymienić parę listów.

Tego dnia w Berlinie został przeniesiony gdzieś na obrzeża miasta, udało mu się przedostać do Francji, a stamtąd wrócić do swojego pułku w Anglii. Kiedy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, pułk amerykańskich lotników został wcielony do macierzystych sił

zbrojnych. W 1944 roku został zestrzelony. Udało mu się wylądować, mimo że samolot był

poważnie uszkodzony. Trafił do obozu dla jeńców wojennych, wielokrotnie podejmował

próby ucieczki, aż przeniesiono go do więzienia w zamku Colditz. Przed końcem wojny znalazł się na terenach oswobodzonych przez Rosjan. Jakiś naoczny świadek twierdzi, że zginął podczas próby ucieczki, ale w to nie wierzę. Wolę myśleć, że perfumy Kleopatry przeniosły go w bezpieczne miejsce.

Drogi czytelniku, mam wspaniałe wieści! Chuck żyje! Utknął na terenach okupowanych przez Rosjan i sporo czasu mu zajęło, nim przedostał się do swoich. Jest w drodze do Coventry. Nie mogę się

doczekać. Renowacje, dzięki nieocenionej pani Wills, są już na ukończeniu. Nie mogę się doczekać momentu, gdy jej przedstawię Chucka. To mi przypomina niezwykle komentarz, który wygłosiła, pozwalając sobie na zaskakująco osobistą uwagę. Odgarniając nieposłuszne pasemko włosów, które ośmieliło się wysunąć z nienagannie ułożonej fryzury, powiedziała, że na podstawie jego listów i moich opowieści jest absolutnie przekonana, że Amerykanin spotkałby się z pełną aprobatą Jego Lordowskiej Mości. Potem odchrząknęła i wyszła z pokoju.

Dobry Boże, już jest. Przyciskam nos do szyby i widzę, jak lekko przeskakuje kamienne stopnie ścieżki prowadzącej ku domowi. Odkładam pióro i biegnę na spotkanie, by go przytulić, całować, utonąć w jego objęciach. Owiewa mnie pizmowy zapach, wszystkie zmysły śpiewają ze szczęścia.

Napawaj się wraz ze mną cudowną wonią perfum Kleopatry. Żegnaj, drogi czytelniku, czas na nowe życie, na nowy pamiętnik.

